

PIĘĆ KRÓLESTW

BIEDNY RYCERZ



Brandon Mull

DRUGI TOM NOWEJ BESTSELLEROWEJ SERII
AUTORA BĘSNIOBORU!

WYDAWCA: WYBEGMONI

Brandon Mull

Pięć Królestw Tom 2

Błądny Rycerz

Tytuł oryginału: Five Kingdoms. The Rogue Knight

Przekład Rafał Lisowski

*Wszystkie mogłyby być dla Mary
Oto kolejna*

*Jesteśmy tym, kogo udajemy, i dlatego musimy bardzo uważać, kogo
udajemy.*

KURT VONNEGUT
(przeł. Lech Jęczmyk)

ROZDZIAŁ 1

AUTOWÓZ

Minęło trochę czasu, zanim Cole zauważył, że autowóz jedzie szybciej niż zwykle. Mira, Jace, Drgawa i Joe zasnęli tuż po zmroku. Pomimo ciemności oraz rytmicznego stukotu olbrzymiej czworonożnej cegły ciągnącej pojazd, Cole nie mógł się na tyle odprężyć, by także się zdrzemnąć.

Podążali w kierunku Elloweer już od wielu dni. Mira była tak podniecona perspektywą spotkania z siostrą, że chwilami Cole zastanawiał się, czy nie zapomniała, że Honoracie grozi niebezpieczeństwo. Drgawa podróżował w ciszy, niewiele mówił, chyba że ktoś zadawał mu pytania. Joe przez większość czasu koncentrował się na niebezpieczeństwach, które mogły czyhać na drodze. Jace natomiast z każdym dniem robił się coraz bardziej rozdrażniony i niespokojny. Cole wcale mu się nie dziwił.

Warunki podróży tłumaczyły obecną bezsenność – zbyt wiele godzin spędzonych w ciasnym autowozie, brak ruchu oraz drzemka, kiedy tylko naszła ochota. Zlewały się dni i noce, trudno było utrzymać regularny rytm aktywności i odpoczynku.

Siedząc w ciemności, kiedy inni spali, Cole zmagał się z myślami o otaczającym go świecie. Jeszcze kilka tygodni temu prowadził zwyczajne życie szóstoklasisty w miejscowości Mesa w Arizonie. A potem, po wycieczce do nawiedzzonego domu w Halloween, trafił wraz z przyjaciółmi na Obrzeża, do tajemniczego świata Pięciu Królestw, z których każde rządziło się innym rodzajem magii. Jakby nie wystarczyło, że utkwili w innej rzeczywistości, to tuż po przybyciu na Obrzeża wszystkie dzieci towarzyszące Cole'owi naznaczono jako niewolników.

Po nieudanej próbie ratowania przyjaciół chłopiec został oddzielony od pozostałych i sprzedany Łupieżcom Niebios – grupie poszukiwaczy pozyskujących wartościowe przedmioty z niebezpiecznych zamków na niebie. Cole nie miał pojęcia, dokąd trafili koledzy z Arizony, w tym jego najlepszy przyjaciel Dalton oraz Jenna, dziewczyna, w której od lat się

kochał. Wiedział tylko, że są gdzieś na terenie Pięciu Królestw, i zamierzał ich odnaleźć. Czasami jednak to zadanie wydawało się niewykonalne.

Jedynym jasnym punktem było to, że na Obrzeżach poznał nowych przyjaciół, między innymi Jace'a, Drgawę i Mirę – Łupieżców Niebios, którzy uciekli razem z nim. Joe przybył ostrzec Mirę o zagrożeniu, a potem do nich dołączył. Cole czuł, że powinien towarzyszyć dziewczynce. Miała znajomości w całym Elloweer, które ułatwiały podróż i mogły pomóc w znalezieniu informacji na temat przyjaciół Cole'a. To oczywiście znaczyło, że wcześniej czekało ich mnóstwo niebezpieczeństw, ponieważ Mira uciekała przed niezwykle potężnym złym władcą. A tak się akurat złożyło, że był on przy okazji jej ojcem – najwyższym formistą i samozwańczym najwyższym królem. Już kiedyś skradł Mirze jej moce, a teraz chciał je odzyskać. Cole nawet go rozumiał, bo widział na własne oczy, co umożliwiają.

Od czasu przybycia na Obrzeża już kilka razy otarł się o śmierć – gdy przeszukiwał zamki na niebie, gdy uciekał z Nieboportu i gdy przedzierał się przez Krainę Snów stworzoną przez jakiegoś uzdolnionego magicznie chłopca. Wydawało się, że niebezpieczeństwom nie ma końca. Ile razy mu się jeszcze upiecze?

Miał wrażenie, że znajduje się milion kilometrów od domu. Tak naprawdę był pewnie jeszcze dalej. Obrzeża istniały chyba w całkiem innym wymiarze.

Teraz jednak Cole przebywał tutaj, w Sambrii, jednym z Pięciu Królestw, i w przewidywalnym czasie miało się to nie zmienić, więc musiał się skoncentrować na najbliższym celu.

Matka Miry użyła swojego talentu formistycznego, żeby umieścić na niebie gwiazdę nad Honoratą. Oznaczało to, że siostra Miry jest w niebezpieczeństwie, ale innych szczegółów nie znali. Niedawno moc Miry przyjęła fizyczną postać. Pokonali ją, ale prawie przypłacili to życiem. Czy teraz czekało ich podobne starcie? Nie mieli pojęcia, co grozi Honoracie, ale Mira była zdeterminowana, żeby ją uratować.

Woźnica Bertram siedział zgarbiony na swojej ławce i wpatrywał się w podłogę. Jego stara twarz nic nie wyrażała. Jako pozór stworzony za pomocą formowania nie potrzebował snu, ale nie zaprojektowano go tak, by

nadawał się na towarzysza. Czasem dzielił się przydatnymi informacjami na temat podróży. Ostatnio stwierdził, że do granicy z Elloweer dotrą nazajutrz rano.

Zwykle autowozem jechało się płynnie, więc kiedy pojazd raz za razem podskoczył na nierównościach, Cole zwrócił na to uwagę. Rytm kroków chodzącej cegły jeszcze nigdy nie był tak żwawy. Stukot przybrał tempo szybkiego biegu i autowóz jeszcze bardziej przyśpieszył.

Autowóz nie był ani zwierzęciem, ani maszyną. Stworzyli go formiści, więc nigdy się nie męczył, ale też nigdy nie poruszał się szybko. Cole postukał Bertrama w ramię.

– Dlaczego przyśpieszamy?

Staruszek tylko na niego spojrział. Trzęsły mu się wargi, drgała powieka. Bertram odzywał się tylko po to, żeby udzielić informacji na temat następnego odcinka trasy albo zapewnić każdego, kto chciał słuchać, że jest na wakacjach z wnukami brata. Co prawda jego odpowiedzi nie zawsze pasowały do sytuacji, ale jeszcze nigdy nie zlekceważył pytania.

– Wstawajcie! – zawołał Cole. – Coś jest nie tak!

Joe, który dotąd cicho chrapał, parsknął. Popatrzył na chłopca spod zmrużonych powiek.

– Czy powóz... biegnie?

– Tak – odparł Cole i dodał: – A Bertram nie odpowiada na pytania.

Stary pozór miał zbolalą minę. Raz po raz zaciskał jedną dłoń.

Joe pośpiesznie potrząsnął Mirą i Jace'em.

– Obudźcie się!

Drgawa usiadł i aż się otrząsnął.

– Co się dzieje? – zapytał.

Teraz cegła galopowała, dudniąc kopytami. Autowóz skrzypiał i stukotał. Podskoczył na wyboju tak, że Cole poczuł prąd w kręgosłupie.

Jace wyciągnął złotą linę, magiczny przedmiot, który zdobył, pracując u Łupieżców Niebios. Mira sięgnęła po swój miecz skakania wykonany przez ich przyjaciela Liama, zanim ten wrócił do wielkiego formisty Sambrii.

Joe energicznie uderzył Bertrama w policzek.

– Bertramie! Zwolnij! Zatrzymaj wóz!

– Bertramie! Zatrzymaj wóz! – zażądała Mira.

Woźnica wykrzywił twarz w grymasie bólu, zgrzytał zębami. Ślina ciekła mu po brodzie.

– Bertramie, stój! – naciskał Joe. – Natychmiast się zatrzymaj!

Bertram wrzasnął, kolebiąc się na boki. Na dźwięk tego okropnego, rozpaczliwego krzyku Cole wpadł w panikę. Cóż mogło zmusić spokojny stary pozór do takiego niezwykłego zachowania?

Autowóz chyba nadal przyśpieszał.

– Wyskakujemy? – zapytał Drgawa, wsuwając na palec swój elloweerski pierścień, który sprawiał, że widoczne stawały się jego półprzeźroczyste skrzydła oraz nogi pasikonika.

– A nasze rzeczy? – odparł Jace.

– Wy uciekajcie – polecił Joe. – Użyjcie swoich artefaktów, żeby bezpiecznie wylądować. Ja tu zostanę i zobaczę, dokąd...

Jego wskazówki urwały się, kiedy autowóz wystrzelił w górę. Na moment przestała działać grawitacja. Cole zawisł w powietrzu, pozostali również. Po chwili runęli w dół, bo pojazd, mocno wychylony do przodu, z hukiem grzmotnął o ziemię i zaczął staczać się po stromym zboczu.

Cole wylądował na plecach, a na nim Drgawa. Autowóz trząsł się i pędził po

stoku niekontrolowany. Zanim Cole zdążył usiąść, pojazd znów wzbił się w powietrze, a przy tym ostro przechylił się w prawo.

Nagle złota lina Jace'a rozrosła się i wypełniła wnętrze kabiny skomplikowanym zygzakowatym wzorem. Autowóz wylądował na boku, a potem gwałtownie zaczął się toczyć. Impet cisnął Cole'a i jego przyjaciół na elastyczne zwoje liny. Zawile sploty zadziałały amortyzująco i ochroniły ich przed uderzeniem o ściany. Cole, oplątany kawałkami sznura, stracił orientację. Wokół niego wirował i sypał się autowóz.

Pojazd zatrzymał się do góry nogami. Przez chwilę pasażerowie wisieli jak owady w pajęczej sieci. Po gwałtownej kraksie nastąpiła wręcz cisza i spokój. Potem lina się rozluźniła i wszyscy opadli na sufit. Cole był obolały i miał mętlik w głowie.

– Wsiadajcie – szepnął gorączkowo Joe. – To atak. Jeszcze nie koniec. Musimy uciekać.

Drzwi z jednej strony zniszczonego powozu były wyrwane. Drgawa wyskoczył przez otwór i zniknął w mroku. Jace przywrócił linie zwyczajne rozmiary, a potem również wyszedł. Za nim wysiadła Mira, później Cole. Jako ostatni wydostał się Joe.

Autowóz spoczął na dnie ziemnego wąwozu, nad którym przebiegał most. W słabym świetle księżyca widać było strome, porośnięte krzakami zbocza po obu stronach, a na dole pośrodku strumyk, na tyle wąski, żeby przejść nad nim jednym krokiem. Kamienie, gałęzie i stare powyginane kłody pokrywające dno wąwozu wskazywały na to, że czasem strumień podnosił się wyżej.

Cole głęboko odetchnął nocnym powietrzem. To zdecydowanie lepsze niż woń sześciu ciał upchniętych przez wiele dni w ciasnej kabinie. Odkąd wyruszyli do Elloweer, opuszczał powóz tylko po to, żeby się załatwić i czasem zjeść coś w przydrożnej gospodzie.

Jace przycisnął palec do ust i wskazał szczyt wąwozu. Po stoku zmierzały w ich stronę dwie postaci w zbrojach i pelerynach. Jedna dosiadała olbrzymiego kota bagiennego, a druga jechała na czymś, co wyglądało jak

wijąca się masa szmat. Oba groźne wierzchowce sunęły w dół pochyłości płynnie i z gracją.

Cole nisko przykucnął, wstrzymując oddech. Ostatnich kilka dni minęło spokojnie, ale wiedział, że polują na nich ludzie ojca Miry. Kiedy dziewczynka pokonała potworny pozór zwany Spustoszą i odzyskała swoje moce formowania, najwyższy formista całkowicie utracił dostęp do jej skradzionych zdolności. Moce, które odebrał pozostałym siostram, również słabły, więc na pewno wpadł w panikę.

Złowieszczy napastnicy nie wyglądali na legionistów ani gwardzistów miejskich. Może to agenci? Cole słyszał już przestrogi przed tajną policją najwyższego formisty, ale nie mógł wiedzieć, czy ci tutaj są z nią związani. Kimkolwiek byli, miał ciarki na ich widok. Nauczył się, że w świecie, w którym rzeczywistość można przekształcać, trzeba akceptować niemożliwe, ale to jeszcze nie znaczy, że polubił, kiedy to niemożliwe na niego poluje.

Grupka przyjaciół bez słowa rozeszła się w różnych kierunkach: Drgawa wpelzł za kłodę, Mira przykucnęła za krzakiem, a Jace zlał się z cieniami za stosem kamieni. Joe wskoczył z powrotem do zniszczonej kabiny. Cole ostrożnie obszedł autowóz tak, by oddzielał go od nadciągających postaci, a jednocześnie dało się je stamtąd obserwować. Dwójka nieznanomych przemieszczała się, nie dbając o dyskrecję. Cole zrozumiał, że na pewno sądzą, iż po kraksie wszyscy pasażerowie albo nie żyją, albo są unieruchomieni. Gdyby nie lina Jace'a, tak właśnie by się stało.

Pomyślał, że dobrze byłoby wziąć z pojazdu miecz skakania. Szykowała się walka, więc nie chciał być bezbronny. Martwił się jednak, że narobi hałasu i pogrzebie szanse na zaskoczenie nadciągających jeźdźców. Zbliżali się już do dna wąwozu.

Zmrużył oczy i próbował zrozumieć, czym właściwie jest ta wijąca się kupa szmat. Szmatostwór sunął naprzód na postrzępionych paskach materiału i raczej unosił się w powietrzu, niż szedł. Był niezbyt wielki, a przy tym brakowało mu wyraźnego kształtu, ale najwidoczniej utrzymywał jeźdźca bez trudu.

Joe przyczołgał się do Cole'a i po cichu wręczył mu miecz skakania.

– Trzymaj się nisko, jeśli dasz radę – szepnął chłopcu do ucha. Miał w ręku łuk, formowaną broń, którą Cole znalazł w zamku na niebie. Przy każdym naciągnięciu cięciwy pojawiała się nowa strzała. – Pożyczę sobie. W tej chwili przede wszystkim musimy zabrać stąd Mirę.

Z łukiem w dłoni Joe ukradkiem oddalił się od zniszczonego autowozu. Przystąpił strumyk i skrył się za wysokim krzewem.

Cole, nie podnosząc się znad ziemi, zerknął na jeźdźców, którzy przemieszczali się dnem wąwozu. Podążali wprost ku pojazdowi. Oczywiście! Zamierzali przeszukać wrak! Dlaczego nie znalazł sobie innej kryjówki?

Zaczął się wycofywać w taki sposób, żeby nadal zasłaniał go przewrócony powóz. Poruszał się przykucnięty, z mieczem skakania w pogotowiu. Jeżeli jeźdźcy go zauważą, użyje go do ucieczki w górę stoku. Może nawet odciągnie ich od przyjaciół. Co prawda, tamci mają te dziwne wierzchowce, ale niewykluczone, że miecz skakania pomoże mu uciec.

Jedną nogą wdepnął w strumień i woda cicho chlupnęła. Chłopiec zamarł.

Wielki kot zawył gniewnie. Cole skulił się i zgrzytnął zębami. Zobaczył, że Drgawa uniósł się ku niebu. Jego duże skrzydła ważyły w blasku księżyca.

Zauważyli go.

Cole przesunął się na bok w samą porę, żeby dojrzeć, jak złota lina Jace'a oplata się wokół zbroi jeźdźca, który dosiadał kota bagiennego. Uniosła go wysoko w powietrze, a potem z donośnym brzękiem cisnęła o kamienisty odcinek dna strumyka.

Szmatostwór zawrócił w stronę Jace'a. Mira wyskoczyła z kryjówki – sunęła w powietrzu z wyciągniętym przed sobą mieczem skakania. Klinga uderzyła jeźdźca dosiadającego szmatostwora i zrzuciła go na ziemię, ale nie przebiła zbroi. Mira potoczyła się do strumienia. Miecz wypadł jej z dłoni.

Olbrzymi kot ruszył w kierunku dziewczynki. Cole wycelował broń w miejsce tuż przed bestią i krzyknął:

– Naprzód!

Miecz pociągnął go w powietrzu płaskim łukiem tuż nad dnem wąwozu. Kot właśnie rzucał się na Mirę, kiedy chłopiec, pchany pędem skoku, wbił mu ostrze między żebra. Miecz skakania zwolnił, zanim trafił w cel, ale i tak zanurzył się głęboko, a zaraz potem Cole sam uderzył we włochate, mięsiste cielsko bestii. Zawirował w powietrzu i wylądował na ziemi. Bolesnie wykręcił ramię i otarł sobie nogi.

Kot bagienny zwinął się z sykiem, zębami usiłując capnąć miecz, który tkwił mu w boku. Po chwili w kark trafiła go strzała.

– Cepie, atak! – zawołała Mira, wskazując zwierza.

Ze zniszczonego autowozu, przy akompaniamencie chrzęstu miażdżonego drewna, wyfrunął cep formisty złożony z sześciu ciężkich żelaznych kul połączonych z centralnym pierścieniem ciężkimi łańcuchami. Pomknął w stronę kota bagiennego. Jednocześnie okładał go i oplatał. Ogromna bestia wylądowała na grzbiecie z dwiema unieruchomionymi łapami, szarpiąc się i sycząc.

Jeździec w zbroi, którego Mira wysadziła z siodła, zdążył podnieść się na nogi. W rękach dzierżył bojowy topór obosieczny. Ruszył na Cole'a, wysoko unosząc olbrzymią broń. Chłopiec zgiął nogi w kolanach, gotów uskoczyć przed opadającym ostrzem.

Jednak zanim drgnął, złota lina spętała jeźdźcowi kostki, dźwignęła go wzwyż i cisnęła nim o głaz po drugiej stronie wąwozu. Wielki kot bagienny znieruchomiał, naszpikowany kolejnymi strzałami.

Jace kilka razy smagnął liną szmatostwora, ale przechodziła na wylot, o nic nie zaczepiając. Wyglądało na to, że jego atak tylko pobudził plataninę poszarpanych szmat do działania. Przez moment wirowała w miejscu, a potem otarła się o Cole'a, wyrządzając tyle samo szkody, co gdyby ktoś cisnął w niego stosem rzeczy do prania.

Chłopiec poszedł po swój miecz. Mocno musiał nim poruszać, żeby go wyszarpnąć. Otarł klingę o futro zwierzęcia.

Ze szczytu wąwozu, z okolic mostu, dobiegło głośnie rżenie. Cole zdążył podnieść wzrok, żeby dostrzec konia, który stanął dęba. Zsunął się z niego jeździec, a potem obie sylwetki zniknęły mu z pola widzenia.

Obok Miry z furkotem skrzydeł wylądował Drgawa. Przykucnął i pomógł jej wstać. Szmatostwór prędko sunął w górę wąskiego strumyka.

Joe podbiegł do przyjaciół ze strzałą na cięciwie.

– Miro, zajmij się tym jeźdźcem – polecił, celując z łuku ku szczytowi wąwozu.

– Cepie, atak – wydała komendę dziewczynka. Płatanina kul i łańcuchów porzuciła powalonego kota i pomknęła w górę stoku. Na szczycie się zatrzymała. – Cepie, atak – powtórzyła Mira, wskazując ręką kierunek, w którym oddalił się nieznajomy. Cep nieszkodliwie wisiał nad ziemią. – Próbuję wyobrazić sobie jeźdźca – powiedziała. – Zniknął mi z oczu, zanim dobrze mu się przyjrzałam. Chyba muszę widzieć cel. Czy powinnam wspiąć się na górę?

– Nie – odparł cicho Joe. – Nie warto ryzykować. Czy nie możesz polecić cepowi, żeby zaatakował tam wszystko, co znajdzie się w jego zasięgu?

– To nie jest pies obronny. Muszę nim pokierować.

Joe skinął głową.

– Trafiłem strzałą konia. Nie wiem, czy dużą szkodę wyrządziłem. Nie wolno pozwolić napastnikowi uciec. Mógłby wezwać posiłki. Powinienem ruszyć za nim.

– Jak oni to zrobili, że autowóz oszalał? – spytał Drgawa.

– Pewnie go przeformowali – stwierdził Jace.

– Ale przecież ten powóz stworzył Declan – mruknęła Mira. – Trzeba nie

lada mocy, żeby przejąć dzieło wielkiego formisty.

– Może to formownictwo – rzekł Cole. – Skoro formownicy mogą grzebać w samej mocy formowania, to kto wie, co jeszcze potrafią?

– Przecież skupili moc Miry w Spustoszy – przypomniał Drgawa. – Co to dla nich przerobienie pozoru?

– Nie wiem, co potrafią formownicy, ale to nie byli zwykli żołnierze – uznał Joe. – Właśnie spotkaliście agentów. A jeden teraz ucieka. Nie dopuszczę do tego. Raczej nie sprowadzi legionistów ani zwyczajnych służb porządku, ale w okolicy może być więcej takich jak on.

– Rozdzielamy się? – zapytał Jace.

– Chwilowo tak – odparł Joe.

– Mamy trzymać się drogi? – upewnił się Drgawa.

– Doprowadzi was do Kartaginy, miasta na granicy między Sambrią a Elloweer – potwierdził mężczyzna. – Gwiazda Honoraty stale wskazuje ten kierunek. Jeżeli niebezpieczeństwo zmusi was do opuszczenia drogi, Mira wie, jak podążać za gwiazdą.

Cole spojrzał na dziewczynkę, która uniosła wzrok ku niebu. Dla utrzymania w sekrecie faktu, że jej matka potrafi oznaczyć miejsce położenia swoich pięciu córek, tylko Mira i Joe wiedzieli, jak wygląda gwiazda Honoraty. Gdyby ta informacja dotarła do najwyższego formisty, dziewczynki byłyby zgubione.

– Nie widzę jej – stwierdziła Mira. – Czy to tylko z nerwów? Czy...

Joe popatrzył w niebo w tym samym kierunku.

– O nie – wymamrotał po chwili napiętego milczenia. – Masz rację. Gwiazda zniknęła.

ROZDZIAŁ 2 BEZ GWIAZDY

Co to oznacza? – jęknęła Mira.

Cole strasznie jej współczuł. To była jej jedyna więź z siostrą, która znajdowała się w niebezpieczeństwie. Dziewczynka spanikowanym wzrokiem wpatrywała się w skrawek nieba, gdzie powinna znajdować się gwiazda.

– Przyczyn może być wiele – powiedział Joe, dbając o spokój w głosie. – Może twoja mama bała się, że gwiazdę wykorzystają wrogowie. A może twoja siostra została już uratowana.

– A jeśli ona... – szepnęła Mira i zakryła usta.

– Na pewno nie – odrzekł Joe. – To nas nie może zniechęcić. Ja muszę dopaść agenta, który uciekł. Wy ruszajcie do Kartaginy. Po stronie Elloweer jest fontanna z siedmioma dyszami. Jeśli nie dogonię was na drodze, szukajcie mnie w tym miejscu codziennie w południe. Przyczajcie się. Gdybym się nie pojawił przez ponad trzy dni, to znaczy, że albo nie żyję, albo mnie złapali. – Joe zmierzył wzrokiem Cole’a, Jace’a i Drgawę. – Uważajcie na nią.

Potem odwrócił się i ruszył biegiem pod górę.

Mira nadal wpatrywała się we fragment nieba. Podążając za jej spojrzeniem, Cole zobaczył wiele gwiazd. Wiedział jednak, że wśród nich nie ma tej jednej, którą ona pragnie zobaczyć.

– Nie zostawajcie tutaj! – zawołał z góry Joe. – Nie wiadomo, co jeszcze się tu zbliża!

– To prawda – przyznał Drgawa.

– A nasze rzeczy? – zapytał Jace, ruchem głowy wskazując uszkodzony autowóz. – Weźmy przynajmniej pieniądze!

– Racja – zgodził się Cole.

– Wy dwaj zabierzcie, co trzeba – powiedział Drgawa. – Ja polecę z Mirą w ustronnejsze miejsce. Poczekamy na was na drodze.

– Dobra, spływajcie. – Jace machnął ręką. – Ty też, Cole, jeśli chcesz.

– Zostanę z tobą – odparł chłopiec, a potem spojrzął na Mirę. – Do zobaczenia za moment.

Drgawa wzbił się w powietrze, a Mira posłużyła się mieczem skakania. Wylądowała w połowie wysokości stoku po przeciwnej stronie wąwozu niż ta, po której wspiął się Joe.

– Cepie, za mną – poleciała, a cep jej posłuchał.

Cole ruszył do autowozu. Bolało go ramię i piekły otarte nogi. Chodząca cegła, niezaprzęgnięta już do pojazdu, leżała bez ruchu na boku. Dwie nogi miała złamane na wysokości ud.

Cole i Jace dotarli do otworu po drzwiach i wdrapali się do środka. Bertram leżał bezwładnie twarzą w dół.

– Czy on nie żyje? – zapytał Jace.

Cole, zaniepokojony, że to prawda, przykucnął i szarpnął starego woźnicę za ramię.

– Bertramie, nic ci nie jest?

Staruszek poruszył się i uniósł głowę.

– Jestem na wakacjach z wnukami brata. – Lekko się uśmiechnął. – Nie ma powodu do obaw.

Jace wspiął się do podłogi powozu, a potem otworzył klapę. Wypadło stamtąd kilka przedmiotów. Zeskoczył i zaczął w nich grzebać. Z zewnątrz Cole słyszał cichy chlupot strumyka.

– Nie byłeś sobą – powiedział do Bertrama. – Krzyczałeś.

Staruszek zamrugał oczami.

– Nie jestem już młodzieniaszkiem. Wy, szczawiki, musicie wybaczyć nam, starszym panom, że raz po raz coś się nam przydarza. Ostatnio nie najlepiej się czułem. Ale to nie zepsuje nam wakacji.

Jace ruszył do wyjścia.

– Musimy spadać – powiedział, wycofując się z autowozu.

Cole uniósł palec na znak, żeby zaczekał. Usiłował ułożyć takie pytanie, na które Bertram mógłby odpowiedzieć.

– Nasze wakacje są zagrożone. Powóz zwariował i się rozbił. Jak teraz dotrzemy do Elloweer? Co się stało?

Bertram zachichotał niezręcznie.

– Powóz zrobił to, co musiał.

– Przecież powóz słucha poleceń Miry – powiedział z namysłem Cole. – Nie jeździ szybko. Co się stało?

– Sprawił się tak, jak należało – odrzekł Bertram. – Ja również.

– Kto wydał rozkaz? Kto zmienił autowóz?

Staruszek zdawał się nieporuszony.

– Musicie sobie chwilę poradzić beze mnie, młodziaki. Powóz jest w kiepskim stanie. Chyba dobrze mi robi, jeśli tu kapkę odpocznę. Te wakacje nieźle dały mi w kość! Każdy dziadek ma swoją granicę wytrzymałości.

– Chodź – poganiał Cole’a Jace. – Wziąłem pieniądze i trochę jedzenia.

– Do widzenia, Bertramie. Dzięki za wakacje.

Bertram kiwnął głową.

– Dobry z ciebie wnuczek.

Cole wyszedł z autowozu.

– Co to? Łzy? – zapytał Jace.

Cole otarł oczy i odwrócił wzrok.

– Nie.

– On nie jest prawdziwy. To pozór. Został stworzony.

Cole westchnął.

– To w sumie jeszcze gorzej. Będzie tu siedział i myślał, że powinien być z nami na wakacjach.

– On w ogóle nie myśli – odparł Jace. – Papele tylko te rzeczy, których nauczył go Declan. Nie martw się nim. Gorzej, że straciliśmy transport. Chodź, poszukamy Miry.

– A ci goście, których załatwiłeś liną? – spytał Cole. – Nie powinniśmy sprawdzić, czy żyją?

– Nie ma szans. Chcieli nas zabić. Nie hamowałem się.

– Mieli broje.

– Broja nie chroni przed upadkiem z urwiska. Mocno nimi rzuciłem. Joe się o nich nie martwił.

– Joe się śpieszył – zauważył Cole.

Jace głośno westchnął.

– Dobra. Ty sprawdź tamtego. – Wskazał bliższego z mężczyzn. Potem jego sznur zwinął się jak sprężyna, a następnie rozprostował, posyłając go tam, gdzie leżał drugi napastnik. Lina w porę splotła się pod nim, żeby złagodzić lądowanie.

Cole potruchtał do swojego jeźdźca. Hełm i napierśnik były mocno wgniecione od zderzenia z głazem. Postać się nie ruszała. Przykucnął obok i przyłożył ucho do hełmu, nasłuchując oddechu. Nic nie usłyszał.

– Giń! – wrzasnął jakiś głos, a czyjeś dłonie chwyciły Cole'a od tyłu.

Chłopiec podskoczył i natychmiast się obrócił. Miał tak zaskoczoną minę, że Jace parsknął śmiechem.

– Tamten drugi zszedł z tego świata – poinformował. – Tracimy czas. Spadajmy.

Jego lina znów się zwinęła i Jace wystrzelił w górę stoku. Cole wycelował miecz, wypowiedział komendę i pofrunął.

Robił to już wiele razy, ale używanie miecza skakania nadal było ekscytujące, między innymi dlatego, że nie miał pełnej kontroli. Zwykle najtrudniej się lądowało. Przekonał się, że jeśli od razu wykona jeszcze jeden skok, zamiast całkiem się zatrzymać, impet będzie znacznie słabszy. Dlatego połączył serię skoków: po stoku, przez most i dalej drogą, aż dostrzegł Drgawę i Mirę, którzy do niego machali.

Wycelował czubek klingi w miejsce obok przyjaciół, jeszcze raz wykrzyknął komendę i poszybował w ich stronę. Miecz spowolnił go w ostatniej chwili, ale nie na tyle, żeby Cole nie upadł na kolana na piaszczystej drodze.

Skacząc przy użyciu miecza, chłopiec wyprzedził Jace'a, który chwycił liną pnie przydrożnych drzew i wystrzeliwał jak z procy. Jace dotarł na miejsce właśnie wtedy, gdy Cole podnosił się z ziemi.

– Musisz poćwiczyć lądowanie – powiedział.

– A ty popracuj nad szybkością – odparował Cole.

Jace wskazał pobocze.

– Co to ma być?

Cole spojrział w tamtą stronę. Zobaczył bezkształtną brązową bryłę sięgającą mu do pasa, która kołysała się w tył i w przód na dwóch nierównych nogach. Być może wyczuwając skupioną na nim uwagę, niezgrabny obiekt pokuśtykał w ich kierunku.

– Mira próbowała uformować coś, co zawiozłoby nas do Kartaginy – wyjaśnił Drgawa.

Jace wybuchnął śmiechem.

– To coś? Wygląda jak chodząca kula z błota.

Cole usiłował się nie roześmiać. Opis był całkiem trafny.

– Śpieszyłam się – odparła Mira wzburzona. – Tworzenie pozorów jest bardzo trudne. Nawet najlepsi formiści potrzebują czasu, kiedy symulują życie.

– To po co w ogóle próbowałaś? – zapytał Jace.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Zobaczyłam, do czego jest zdolna moja moc, kiedy walczyliśmy ze Spustoszą. Pamiętacie, jaka była wielka? Jak dobrze symulowała mnie i mojego ojca? Teraz ta moc jest we mnie. Muszę tylko nauczyć się jej używać. Wiem, że jestem zdolna do wielkich formistycznych wyczynów. Pomyślałam, że może czerpiąc ze swej desperacji, uformuję coś przydatnego.

Kula z błota przyczłapała do Jace'a, wpadła na jego nogę i się przewróciła. Zaczęła się lekko kołysać i wydała z siebie zniekształcony, ściśnięty dźwięk.

– Czy to coś próbuje mówić? – spytał Jace. – Wiesz co? Jest trochę podobne do Drgawy. Robił ci za modela?

– Przestań. – Mira uderzyła go w ramię. Zachwiała się, a on ją przytrzymał.

– Co się stało? – zapytał.

– Wysiłek dużo mnie kosztował. Nic mi nie będzie.

– Zdajesz sobie sprawę, że przed nami długa droga, prawda? – przypomniał jej Cole.

– Chciałam, żeby było nam łatwiej – odpowiedziała, podczas gdy mały, nieforemny pozór kolebał się i próbował wstać. Zaśmiała się cicho. – Miał być większy.

Po tych słowach pozostali również mogli się roześmiać.

– Kazesz mu się ruszać? – zainteresował się Cole.

– Został tak zaprojektowany, żeby iść za nami, kiedy na nim nie jedziemy – wyjaśniła Mira. – Tyle chyba rozumie. Miał mieć cztery nogi. I słuchać moich poleceń, ale wydaje się prawie całkiem nieświadomy.

– Możesz go jakoś bardziej uformować? – spytał Cole. – Ulepszyć go?

Dziewczynka pokręciła głową.

– Jestem wykończona.

– A odformować? – wtrącił Jace. – Ktoś go może znaleźć.

– Może bym i potrafiła, ale za dużo by mnie to kosztowało. I tak z trudem za wami nadążę. Głupio postąpiłam, próbując stworzyć pozór za jednym razem. Spustosz tak zrobiła, więc pomyślałam, że ja też potrafię. Zwykle takie projekty realizuje się po trochu, krok po kroku.

Pozór wstał i poczłapał do Cole'a. Chłopiec się cofnął. Kreatura przyprawiała go o gęsią skórkę.

– Z czego to jest zrobione? – zapytał Jace.

- Wygląda jak ziemia, ale w dotyku przypomina raczej korek – odparła Mira.
- Jest bardziej wytrzymały, niż się wydaje, ale nie do końca o to mi chodziło.

Jace popchnął pozór. Przykucnął, przesunął dłońmi po jego powierzchni i lekko go rozkołysał.

- Wy już idźcie. Dogonię was, gdy się tego pozbędę.

– Co chcesz zrobić? – zapytał Cole.

- Ukryję to coś w lesie daleko od drogi. Nie jest lekkie, ale przy użyciu liny chyba sobie poradzę.

– To chyba trochę wredne, co?

Jace zaśmiał się z irytacją.

- Cole, przecież to chodzący kawał korka! Mira stworzyła go z gruzu. On nie ma uczuć. Ale mógłby próbować za nami iść, czym zrobiłby wielką przysługę każdemu, kto chce nas odnaleźć.

– Dobra – odrzekł Cole. – To ma sens.

- Ruszajcie – powiedział Jace. – Może ktoś nas ściga. Nie marnujmy naszej przewagi.

– Dasz radę chodzić? – spytał Mirę Cole.

Otarła dłonią czoło.

- Muszę. Nie mam wyboru. – Spojrzała w niebo. – Szkoda tylko, że nie ma gwiazdy.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział chłopiec. Nie był pewien, czy sam wierzy we własne słowa, ale chciał podnieść ją na duchu.

– Miro, ty idź przodem – zasugerował Drgawa. – Będziemy mieli na ciebie oko z tyłu.

Mira dobyła miecza skakania, wycelowała go w głąb drogi i zawołała:

– Naprzód!

Cep formisty ruszył za nią. Cole usłyszał, że kiedy wylądowała, powtórzyła komendę i znów wystrzeliła przed siebie. Drgawa pomknął za nią, furkocząc skrzydłami. Cole wyprostował rękę z mieczem i skoczył.

ROZDZIAŁ 3 KARTAGINA

Cole mknął przez noc, skok za skokiem. Czekał, aż Mira zmęczy się i zatrzyma, ale ona wciąż parła naprzód. Trzymał się z tyłu i stale miał ją na oku. Przy każdym skoku omiatało go chłodne powietrze.

Tej nocy jeden z księżyców świecił dość jasno. Inny, smukły sierp, dopiero wschodził. Nocne niebo na Obrzeżach zmieniało się bez żadnych prawidłowości. Ten brak reguł sprawiał, że Mira i jej siostry mogły być oznaczone gwiazdami i nikt tego nie zauważał. Każdej nocy mógł się pojawić któryś z dziesięciu czy jedenastu różnych księżyców, chociaż Cole nigdy nie widział więcej niż trzy naraz. Wiele z nich przypominało ten ziemski, natomiast dzisiejszy wydał mu się nieco bardziej żółty.

Cole lustrował cienie pod drzewami po obu stronach drogi. Pod osłoną ciemności mogło się czaić wszystko. Zerkał również za siebie, gotów zobaczyć tam pluton legionistów albo tajemniczych jeźdźców na szmatostworach.

Jedną z zalet podróży autowozem było to, że kabina odcinała pasażerów od reszty świata, dawała przyjemne złudzenie, że są ukryci i bezpieczni. Cole pomyślał, że to cudowne, ale tylko do czasu, aż po zasadzce wyląduje się na

dnie wężowu. Teraz czuł się bardziej odkryty, ale dzięki temu był czujniejszy.

Niepokój Miry o siostrę kazał mu wrócić myślami do zaginionych przyjaciół. Cole przypomniał sobie, kiedy po raz ostatni widział Jennę – zamkniętą w klatce na kołach, wciąż ubraną w halloweenowy kostium Kleopatry. Ostatnie wspomnienia jego najlepszego kumpla Daltona to obraz smutnego, brudnego klauna, także za kratkami. Kiedy Cole'a wybrano do Łupieżców Niebios, oni mieli zostać sprzedani do niewoli.

Myśl o Jennie w klatce go rozwścieczyła. Choć teraz pewnie dziewczyna już nie siedziała za kratkami, ale służyła gdzieś jako niewolnica. Czy pracowała w kuchni? Nosila posiłki jakiemuś leniwemu koledze najwyższego króla? Te wizje wcale go nie uspokoiły.

Jenna była mądra i dowcipna. Miła i ładna. Nie zasługiwała na taki los. W Halloween weszła do piwnicy, do której wejść nie powinna, i to zniszczyło jej życie – a przecież wyprawa do uliczki strachów to był pomysł Cole'a. Dalton to także świetny gość, najlepszy przyjaciel, jakiego Cole miał w życiu – jego życie również legło w gruzach.

Gdzie byli dzisiejszej nocy? Gdzie były dziesiątki innych dzieci porwanych z Mesy na Obrzeża? Czy żyło im się wygodnie? Czy cierpiały? Mogły się znajdować w każdej krainie Pięciu Królestw. I groziło im niebezpieczeństwo. Formowniczka Quima ostrzegła, że najwyższy formista chce przeprowadzić na nich eksperymenty związane z ich mocami formistycznymi. Dzieci spoza Pięciu Królestw zwykle posiadały takie moce. Te, które wykazywały największy potencjał, handlarz niewolników Ansel sprzedawał najwyższemu królowi.

Mknąc drogą w świetle księżycy, Cole musiał wierzyć, że jego przyjaciele są cali i zdrowi. Musiał wierzyć, że wykonują zadania bezpieczniejsze niż plądrowanie zamków na niebie. Wcześniej zastanawiał się, czy nie wyruszyć samotnie, własną drogą, tylko po to, żeby ich odnaleźć. Ale trop był zimny i Cole nie miał pojęcia, od czego zacząć. Jenna, Dalton i pozostali mogli być wszędzie.

Gdyby szukał ich na własną rękę, znalazłby się w bardzo niekorzystnej

sytuacji. Mało wiedział o Obrzeżach i nie miałby nikogo do pomocy. Zostając z Mirą, nie tylko mógł korzystać z jej znajomości Pięciu Królestw, ale także liczyć na pomoc buntowników takich jak Joe, chętnych wesprzeć królową na wygnaniu. Cole starał się wierzyć, że jeśli pomoże Mirze, a przy tym będzie miał oczy i uszy otwarte, to spotka swoich przyjaciół.

Ile osób będzie musiał odnaleźć? W tej chwili zależało mu przede wszystkim na ratowaniu Daltona i Jenny. Ale co z koleżankami Jenny: Chelsea i Sarah? Co z Blakiem? I z resztą porwanych? Większość z nich Cole znał tylko z widzenia, nie po imieniu. Czy gdyby uratował z niewoli Daltona i Jennę i odkrył drogę do domu, to zostawiłyby pozostałych? Trudno powiedzieć. Jeśli będzie miał szczęście znaleźć się w takiej sytuacji, wtedy zdecyduje.

A co z Mirą? Czy gdyby poznał sposób powrotu, to ją porzuci? Stała się jego prawdziwą przyjaciółką. Bez niej zapewne nadal tkwiłby u Łupieżców Niebios, gdzie pracowałby jako zwiadowca, więc pewnie już by nie żył.

Mira ciągle przepraszała za to, że jej problemy stały się także jego problemami, ale to tylko sprawiało, że jeszcze bardziej chciał jej pomóc. Bez jego wsparcia pewnie nie zaszłyby tak daleko. Parę razy uratował jej skórę.

Gdyby odszedł, Mirze pomogliby inni. Jace zachowywał się jak palant, ale był jej całkowicie oddany. Drgawa również by nie zawiódł. A Joe, jako członek ruchu oporu, także wydawał się w pełni zaangażowany.

Cole patrzył na skaczącą przed nim Mirę. Decydowanie, czy ją opuścić, w tej chwili było bez sensu. Kiedy naprawdę pojawi się ten problem, okoliczności mogą się zmienić. Miał nadzieję, że wtedy Jenna i Dalton pomogą mu wybrać.

W końcu dziewczynka przystanęła i obejrzała się na Cole'a. Tak wymierzył kolejny skok, żeby znaleźć się obok niej. Wylądował, potykając się niezgrabnie. Drgawa osiadł nieopodal z furkotem skrzydeł.

– Zmęczyłaś się? – zapytał Cole.

– Mogę iść dalej – odparła Mira – ale martwię się, że Jace jeszcze nas nie dogonił.

Cole obejrzał się za siebie. Gdyby coś się Jace'owi stało, to byłaby tragedia. Palant czy nie palant – Jace to przyjaciel. Na dodatek umiał się bić i miał instynkt przetrwania.

– Pewnie nic mu nie jest. Założę się, że po prostu za szybko się poruszamy.

– Fakt – zgodziła się Mira. – Drzewa się przerzedziły.

Cole skinął głową. Po obu stronach ścieżki ciągnęły się krzaczaste pola, więc Jace nie mógł używać drzew, żeby wystrzeliwać jak z procy. To jeszcze bardziej go spowalniało.

– Jeżeli cały czas powiększaliśmy nad nim przewagę – stwierdził Drgawa – to może przyjdzie nam długo czekać.

– Tym bardziej powinniśmy zatrzymać się teraz, a nie później – odrzekła Mira. – Nie możemy go zgubić. Jeżeli ma kłopoty, to musimy po niego wrócić.

– Jeżeli ma kłopoty, to pewnie nas przerastają – wtrącił Cole. – Z tą swoją liną Jace to nie jest łatwa zdobycz. Jeśli się nie pojawi, ja zawrócę. Ty i Drgawa idźcie dalej.

Drgawa zszedł z traktu.

– A może poczekamy w tych krzakach? – zaproponował. – Jest stamtąd widok na drogę, ale można się schować, gdyby pojawili się niespodziewani goście.

– Skoczmy – poradził Cole. – Dzięki temu do naszej kryjówki nie będą prowadzić ślady.

– Dobry pomysł – zgodził się Drgawa. Wzbił się w powietrze, zamigotały jego lśniące skrzydełka.

Cole i Mira również skoczyli w krzaki. Mira usiadła na ziemi i podwinęła nogi. Objęła ramionami kolana, a potem ułożyła na nich głowę.

– Stanę na warcie – zaoferował się Drgawa. – Grinaldi świetnie widzą

w nocy.

– Czy jest w ogóle coś, czego nie umiecie? – spytał Cole.

Drgawa wzruszył ramionami.

– Słabo pływamy. Unikamy głębokiej wody.

– Jesteś zmęczona? – zapytał Cole Mirę.

– Głowa mnie boli – odpowiedziała. – Mogło być gorzej. Przynajmniej nie dogonili nas źli formiści.

– Dobrze się wtedy spisaliście – stwierdził Drgawa. – Te miecze skakania to skuteczna broń.

– Przydają się – przyznał Cole. – Ale zawsze się stresuję, kiedy muszę atakować. To trochę tak, jakby mieć łuk z tylko jedną strzałą. Którą jestem ja sam.

Drgawa i Mira roześmiali się, słysząc takie porównanie.

– Tak w ogóle to dzięki – powiedziała dziewczynka. – Chyba znowu uratowałeś mi życie. Ten potworny kot już prawie mnie miał.

– Tylko dlatego, że ty pomogłaś Jace’owi – odparł Cole, usiłując nie okazywać, jak cieszy go jej wdzięczność. – On też nas ochronił. Nie ma sensu liczyć punktów.

– Przepraszam, że bardziej się nie włączyłem – wtrącił Drgawa. – Przez całą walkę byłem w powietrzu. Czekałem na swój moment. Ja wolę ratować niż atakować.

– To dobrze – odrzekł Cole. – Już wcześniej mnie ratowałeś. Jace’a też.

Drgawa uśmiechnął się lekko.

– Jak sam mówiłeś, nie ma sensu liczyć punktów.

Coś białoszarego sfrunęło z góry i wylądowało obok Miry. Cole wzdrygnął się i uniósł miecz, a potem rozpoznał papugę, którą dostali od Liama jako zwiadowcę.

– Mango! – zawołała Mira. Wyprostowała ramię, a pozór przycupnął na jej nadgarstku.

– Gdzie autowóz? – zapytała nimfa.

– Nie widziałaś? – odparła dziewczynka. – Rozbił się w wąwozie.

– Nie przynależę do powozu. Wróciłam do was. Jak daleko się rozbił?

– Spory kawałek stąd. To była zasadzka.

Papuga gwizdnęła.

– Przepraszam, że was nie ostrzegłam.

– Oddział był nieduży – powiedziała Mira. – Widziałaś Jace’a?

– Nie. Sprawdzalam głównie drogę przed nami. Trasa do Kartaginy wydaje się bezpieczna. Nie korzystamy z głównego traktu. Ta droga jest dłuższa i rzadziej uczęszczana.

– Daleko do miasta? – zapytał Cole.

– Jeśli się pośpieszycie, to rano będziecie już blisko – poinformowała Mango.

– Leć poszukać Jace’a – poleciała jej Mira. – Miał dogonić nas drogą. Potem wróć i zdaj raport. Zobacz, czy ktoś nas nie śledzi. To mogą być ludzie w ciemnych zbrojach i na dziwnych wierzchowcach.

– Się robi – odparła papuga i poderwała się do lotu.

Patrzyli, jak odfruwa w kierunku, z którego przybyli, i znika w mroku. Cole’owi ulżyło, że już nie musi wracać po Jace’a.

– Nigdy nie byłem w Kartaginie – powiedział Drgawa.

– Ja też nie – przyznała Mira. – Słyszałam tylko opowieści. To stare miasto. Duże. Leży na granicy dwóch królestw: zachodnia część jest w Sambrii, a wschodnia w Elloweer.

– Joe chce się z nami spotkać po stronie elloweerskiej – przypomniał im Cole.

– I to mnie martwi – przyznała Mira. – Tam nasze artefakty przestaną działać. Koniec z mieczami skakania. I ze złotą liną.

– Przesną od razu na granicy? – zapytał Cole. – Może zadziałają jeszcze kawałek od Sambrii?

– Trochę działałyby na Rozdrożu, między królestwami – wyjaśniła. – Ale gdy tylko przekroczysz granicę, wszystko tam jest inne. Granice istnieją od niepamiętnych czasów. W zamieszkanym okolicach zwykle są oznaczone. Ale bez względu na oznaczenia efekt jest zawsze taki sam: działanie formowania zmienia się. Jest chyba odrobina szansy, że w innym królestwie niektóre z naszych artefaktów też częściowo zadziałają, ale tak samo będzie tuż za granicą Elloweer i sto mil od niej.

– Na przykład mój pierścień – wtrącił Drgawa. – W innych królestwach pozwala mi wrócić do elloweerskiej postaci.

– Ale takie przedmioty są naprawdę bardzo rzadkie – powiedziała Mira.

– Wraca Jace – oznajmił Drgawa. – Nieźle się uwinął. Przecież dopiero teraz po raz pierwszy się zatrzymaliśmy.

Cole zobaczył Jace'a, który pędził drogą. Jego złota lina zwijała się i rozwijała podobnie do sprężyny, najpierw wyrzucała go naprzód, a potem amortyzowała lądowanie. W rezultacie chłopak poruszał się prawie tak szybko jak oni z mieczami skakania.

Drgawa zagwizdał i Jace zatrzymał się po kolejnym lądowaniu.

– Gdzie jesteście? – zapytał głośnym szeptem.

Drgawa przeskoczył krzew, a Cole pomógł Mirze wstać i wyszli na trakt.

– Jak poszło? – zapytał.

– Pomagier Miry jest już daleko od drogi – powiedział Jace. – Dużo czasu mi to nie zajęło. Na razie ani śladu pościgu. Idziemy dalej?

– Tak – odparła Mira.

– Na pewno nie potrzebujesz dłuższej przerwy? – zapytał Cole.

– Przydałaby mi się, ale nie możemy sobie na to pozwolić. Skoro wrogowie już wiedzą, gdzie jesteśmy, nie możemy dopuścić, żeby nas dogonili. Trzeba dotrzeć do Kartaginy i znaleźć kryjówkę.

Z góry sfrunęła Mango.

– Znalazłam Jace'a. Nie musiałam długo szukać.

– Sprawdź drogę przed nami i z tyłu – poleciała Mira. – Daj znać, gdyby zbliżało się niebezpieczeństwo. W Kartaginie wkroczymy do Elloweer. Jako pozór nie możesz tam wlecieć, więc odszukaj Joego i powiedz mu, dokąd poszliśmy. Kiedy do nas dołączy, wróć do Liama i przekaz mu, co robimy, co się z nami dzieje. Potem służ mu do czasu, aż wrócę do Sambrii.

Papuga kiwnęła głową.

– Jak sobie życzysz.

Odfrunęła, wznosząc się bardzo szybko.

Cole pokręcił głową. Uświadomił sobie, że już prawie wcale nie robi na nim wrażenia to, że pomaga im magicznie stworzony ptak. Niesamowite, jak szybko totalnie dziwaczne rzeczy stają się normalne, kiedy są częścią twojej codzienności.

– Nigdy nie byłem w Kartaginie – powiedział Jace. – Podobno to kawał miasta.

– Niewiele miast znajduje się na terenie dwóch różnych królestw – odrzekła

Mira. – A jeśli dodać do tego, że Kartagina leży nad rzeką, to już mamy ważny ośrodek handlowy.

– A nam zostało trochę kółkatów na zbyciu – dodał Jace z szerokim uśmiechem. – Zabrałem z wozu naszą forszę.

– Nie jesteśmy na wakacjach – upomniała go Mira.

– W miastach mnóstwo ludzi ma pieniądze. Zwrócimy na siebie mniej uwagi, jeśli nie będziemy wyglądać, jakbyśmy się ukrywali.

– Dzieci wydające dużo pieniędzy zawsze zwracają uwagę – odparła dziewczynka. – Jako ciekawostka i jako cel.

– Ona ma rację – zgodził się Cole.

To prawda nie tylko tutaj, ale również w jego ojczystej Arizonie.

– Ja też – zripostował ostro Jace. – Całe życie byłem niewolnikiem. Nie chcę żyć w ten sposób dłużej, niż to konieczne. Jestem wolny i mam pieniądze. Wcale nie uważam, że powinniśmy szastać złotymi kółkatami, ale wiele wolnych dzieci w naszym wieku ma przy sobie trochę forsy. Tyle, żeby kupić coś do jedzenia i trochę się zabawić.

– Żadnej zabawy – odparła surowo Mira. – Musimy być jak najnieszczęśliwsi.

Jace zachichotał.

– Przecież wiesz, co mam na myśli.

– Wiem – przyznała. – Trzeba wydać trochę na jedzenie i nocleg. Ale musimy być rozsądni. Dzieci w naszym wieku zwykle same nie wynajmują sobie pokoi.

– Niektóre pochodzą z bogatych rodzin – powiedział Jace. – Niektóre mają pracę. Zostawcie to mnie. Pracowałem w miastach. Umiem udawać wolne dziecko lepiej niż ktokolwiek z was.

– Nie musisz go udawać – odparł Cole – bo nim jesteś. Tak mówi twój znak.

Jace potarł wolnoznak na wierzchu swej dłoni.

– Declan dał nam właściwe znaki, ale wolne dzieci i niewolnicy inaczej się zachowują.

– Ja, Drgawa i Mira kiedyś byliśmy wolni – przypomniał mu Cole.

– W pewnym sensie – sprostował Jace i parsknął. – Mira to uciekająca królewna, ty byłeś wolny w innym świecie, a Drgawa wśród pasikoników. Ja za to wiem, jak normalne życie wygląda tutaj i jak zachowują się ludzie.

– Jesteś szczywany lis – powiedziała Mira, przewracając oczami. – Tylko nie wydawaj za dużo. I nie trać nerwów.

Jace uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Ja miałbym tracić nerwy? Nie martw się, zawsze trzymam je na wodzy. Ostatni w Kartaginie to owad!

– Ej! – zaprotestował Drgawa.

– A, racja. – Jace udał, że przeprasza. – Ostatni w Kartaginie to szczur?

– A może: ostatni urodził się niewolnikiem? – wtrącił Cole.

Jace rzucił mu wściekłe spojrzenie.

– Ostatni w Kartaginie podczas walk trzyma się z tyłu i tylko czasami pomaga pod koniec.

– Przestańcie – przerwała im Mira. – Może byśmy tak ruszyli? Kto pierwszy w Kartaginie, ten najszybszy. – Uniosła miecz i zawołała: – Naprzód!

Chłopcy podążyli za nią.

Skacząc drogą długimi susami, Cole starał się nie przejmować oskarżeniem Jace'a. Chyba rzeczywiście podczas ostatniej walki trochę został z tyłu. Ale

złota lina Jace'a to zdecydowanie ich najlepsza broń. Cole nieraz stawiał czoła niebezpieczeństwu. Wcale nie był tchórzem – po prostu chciał, żeby każdy jego atak coś dał.

Jace odgrywał się za ten tekst o niewolnictwie. Cole zrobił wrednie, wytykając mu coś, na co tamten nie miał wpływu, ale przecież Jace postępował tak samo wobec Drgawy. Skoro potrafił rozdawać takie ciosy, to powinien nauczyć się je przyjmować.

Cole'a niezbyt męczyła podróż, bo skakał od razu po każdym lądowaniu. Większość roboty wykonywał miecz. On sam musiał tylko w odpowiedniej chwili wymówić komendę i wycelować ostrze we właściwą stronę.

Mimo że się nie wysiłał, to i tak żałował, że nie zdołał zdrzemnąć się w autowozie. Kiedy nadchodzący świt zaczął barwić horyzont, Cole'owi zaciążyły powieki. Zastanawiał się, czy można zasnąć, sunąc w powietrzu z niesamowitą prędkością. Domyślał się, że tak, jeśli się dostatecznie zmęczy, a skoki będą bardzo monotonne.

Kiedy niebo jaśniało, Mira przystanęła i schowała miecz do pochwy. Cole zatrzymał się obok niej.

– Coś nie tak? – zapytał.

– Przy ostatnim skoku widziałam przed nami domki – wytłumaczyła dziewczynka. – Robi się za jasno.

Drgawa zdjął pierścień i jego półprzezroczyste skrzydła znikły. Wyglądał teraz jak zwykły ludzki chłopiec.

– Musimy być już blisko – powiedział Jace. – Przez całą noc zasuwaliliśmy.

– Chyba powinnam pozbyć się cepa – stwierdziła Mira. – W Elloweer i tak go nie użyję, a po drodze będzie za bardzo zwracał uwagę.

– Szkoda – mruknął Cole. – Parę razy nas uratował.

Dziewczynka wskazała pobocze.

– Cepie, kryj się – poleciła. Posłuchał i zniknął w krzakach za drzewami. – Odesłałabym go do Azji i Declana, ale nie zrozumie takich komend. Może kiedyś będziemy tędy wracać.

Ruszyli dalej pieszo. Oczy Cole'a były suche i piekły. Ciągłe je pocierał i mrugał powiekami, ale podrażnienie nie ustępowało. Potrzebował się przespać.

W świetle wschodzącego dnia zaczęli mijać gospodarstwa. Z naprzeciwna nadjechał wóz. Woźnica właściwie nawet na nich nie spojrział.

– Nie spinaj się na widok ludzi – powiedział Jace do Cole'a. – Za bardzo gapiłeś się na tego faceta. Nikt nas nie zna. Jesteśmy wolnymi dziećmi na przechadzce. Zachowuj się tak, jakby ta droga należała do ciebie. Nie zwracaj uwagi na innych, to i oni raczej nie zwrócą uwagi na ciebie. Jeżeli ktoś chciałby się spoufalać, niech sam zrobi pierwszy krok.

Odruchowo Cole chciał się wytłumaczyć, ale powstrzymał się. Na widok woźnicy rzeczywiście poczuł się spięty, i może było to widać.

– Dzięki za radę.

Na moment droga zmieniała się w główną uliczkę niedużej osady. Potem coraz częściej mijali domostwa, raz duże, raz małe. Ludzie jeździli w obu kierunkach konno, wozami albo szli pieszo. Obecność tylu nieznanomych pomogła Cole'owi trochę się odprężyć. Nie miał już wrażenia, że tak bardzo rzuca się w oczy. Poza tym wśród tłumu przestał być senny. Obserwował umundurowanych legionistów i ukradkiem sprawdzał, czy któryś za bardzo nie interesuje się Mirą.

W miarę jak słońce pięło się po niebie, droga coraz bardziej się zaludniała, a w końcu połączyła się z głównym traktem. Gdy wyszli zza zakrętu, Cole ujrzał potężny mur, ciemnozielony niczym las o zmierzchu. Zza tej mocarnej bariery wystawały dachy, kopuły, wieże i wieżyczki wskazujące na miasto znacznie większe, niż chłopiec się spodziewał. To było coś zupełnie innego od rozsianych tu i ówdzie niskich budynków i rozległych przedmieść Phoenix. Teraz miał przed sobą zabudowania dużo bardziej zwarte, a architektura przypominała mu dawne stolice z podręczników historii.

- To naprawdę jest miasto – mruknął.
 - Chyba nie sądziłeś, że Pięć Królestw to same gospodarstwa i lasy? – odparł Jace.
 - I magiczne latające zamki – dodał Cole.
 - On jest tu od niedawna – odezwała się Mira. – Do tej pory trzymaliśmy się z dala od zaludnionych rejonów.
 - To nie zawsze jest dobra strategia – stwierdził Jace. – W tłumie łatwiej zniknąć.
 - Wszystko ma wady i zalety – wtrącił Drgawa. – W tłumie jest mnóstwo oczu.
 - Wśród zalet są jeszcze łóżka i jedzenie – odparł Jace. – Zaryzykuję.
 - Jak jest w Elloweer? – zapytał Cole. – Ciągle wiem mało o tym królestwie.
 - Trudno to opowiedzieć – odparła Mira. – Sambryjskie formowanie wydaje mi się proste. W Elloweer jest bardziej mistyczne. Tamtejsi formiści lubią się popisywać. Swoją sztukę nazywają zaklinaniem.
 - Tworzą zdawy – powiedział Drgawa.
 - Czyli iluzje – wyjaśniła Mira. – Te najlepsze wyglądają zupełnie autentycznie, ale są nieuchwytnie, choćby wydawały się nie wiem jak namacalne.
 - Są jeszcze przemienice – dodał Jace.
 - Czyli żywe istoty, które odmieniono – podała definicję dziewczynka. – W Sambrii potrafimy tworzyć pozory naśladowujące życie, ale nasz rodzaj formowania niezbyt dobrze działa na żywe stworzenia. Za to część elloweerskich zaklinaczy potrafi dokonywać zdumiewających przemian.
- Cole zerknął na Drgawę.

– Co? Zastanawiasz się, czy ja jestem przemieńcem? Jeśli tak, to przemienstwo musiało mieć miejsce bardzo dawno temu, w czasach moich praprapradziadów. A ja je odziedziczyłem. Ale tradycja mówi, że nasi przodkowie przybyli do Elloweer skądś indziej.

– Uważa się, że Elloweer ma połączenie z wieloma światami – wtrąciła Mira.
– A przynajmniej było tak w przeszłości. Podobnie jak Drgawa, wielu niezwykłych Elloweerczyków poza swoim królestwem nie różni się wyglądem od ludzi. Z kolei inni są fizycznie niezdolni, żeby je opuścić.

– Zwyczajowa przestroga w Pięciu Królestwach brzmi: Elloweer to zakazany rewir – dodał Jace.

– Ja dostałem się do niewoli dopiero po opuszczeniu Elloweer – poskarżył się Drgawa.

– Cóż, w Sambrii ludzie dobrze się zastanowią, zanim zapuszczą się za daleko na wschód. Tam się dzieją dziwne rzeczy.

– Nikt nie zna wszystkich aspektów elloweerskiego formowania – powiedziała Mira. – Jest prawie tak niejasne, jak to w Necronum.

Cole spojrzał przed siebie ku miastu.

– Z czego jest zrobiony ten mur? Wygląda, jakby trochę przepuszczał światło. To jadeit? – Jego dziadek miał chińską kulę z jadeitu o podobnych kolorze i fakturze.

– Kto to wie? – odparła Mira. – Uformowano go dawno temu. To na pewno coś znacznie wytrzymalszego niż jadeit. Ludzie, którzy w dawnych czasach używali formowania w budownictwie, dobrze się znali na swoim fachu.

– Skoro mur stworzyli formiści, to po wschodniej stronie miasta musi wyglądać inaczej – domyślił się Cole.

– Niedługo się o tym przekonamy – stwierdziła dziewczynka.

Im bardziej zbliżali się do muru, tym więcej Cole rozróżniał szczegółów. Przydymioną zieloną powierzchnię pokrywały misterne rzeźbienia,

zwłaszcza u góry: płaskorzeźby postaci i splątane owocowe pnącza. Domyślał się, że na Ziemi, ze względu na rozmiary i kunszt, ten mur byłby jednym z cudów świata.

Droga wiodła do masywnej bramy, na tyle szerokiej, że minęłyby się w niej dwa wozy. Nad nią niczym rząd olbrzymich włóczni wisały zęby spuszczonej kraty. Z obu stron bramy stało po dwóch zbrojnych strażników, którzy bacznie obserwowali wszystkich wchodzących i wychodzących. Oni przynajmniej nie byli ubrani jak legioniści.

– Wchodząc, powinniśmy się rozdzielić – zasugerował Drgawa. – Na wypadek gdyby mieli opis naszej grupy.

– Niezły pomysł – przyznał Jace. – Ja zostanę z Mirą. Wy ruszajcie przodem. Idźcie prosto i zaczekajcie na nas nieco dalej. Pamiętajcie: przychodźcie tu cały czas. To miejsce was nudzi. Czujecie się tu jak w domu.

Cole i Drgawa przyśpieszyli kroku. Przez bramę w obu kierunkach przelewał się gęsty strumień ludzi. Strażnicy przyglądali się im, ale nikogo nie zatrzymywali ani nie zagadywali. Cole parł naprzód, skupiał wzrok na człowieku przed sobą i pilnował, żeby nie patrzeć na żołnierzy. Usiłował sprawiać wrażenie znudzonego, ale serce mu łomotało.

Tunel w bramie miał jakieś piętnaście kroków długości. Wchodząc, chłopiec zauważył, że przygląda mu się jeden ze strażników. W cieniu muru odniósł wrażenie, że pot na jego plecach jest lepki. Był boleśnie świadomy obecności miecza przy pasie. Czy wyglądał bardzo podejrzanie? Czy tutaj dzieci noszą miecze? Zaczęły mu strasznie ciążyć kółkaty, którymi obwiązał sobie nogi – w sumie niósł naprawdę sporo pieniędzy. A jeśli ktoś go przyłapie na ukrywaniu takiej gotówki?

Zmusił się do ziewnięcia i rozciągnął się, idąc naprzód. Starał się myśleć o nudnych rzeczach i stawiał stopę za stopą. Odetchnął z ulgą, kiedy znalazł się po drugiej stronie bramy, a przed nim rozpostarło się miasto. Najniższe budynki, jakie widział, miały po trzy albo cztery kondygnacje, a niektóre wznosiły się znacznie wyżej. Na straganach ciągnących się wzdłuż ulicy handlarze zachwalali swoje towary. Inni rozłożyli je na kocach. Były tam owoce, mięso, odzież, biżuteria, żywe ptaki i malowane statuetki.

W gromadzie ludzi wozy musiały brnąć powoli, ale tłum zwykle się rozstępował, kiedy zbliżały się konie. Przez zbiorowisko przeciskało się również kilka autowozów ciągniętych przez kroczące cegły.

Cole i Drgawa minęli parę ulic, a potem przystanęli na rogu. Poprzeczna droga była ruchliwa, ale nie tak tłoczna jak aleja, którą przybyli do miasta. Po kilku minutach jakaś ręka mocno złapała Cole'a od tyłu za ramię.

– Zabieramy cię na przesłuchanie – odezwał się szorstki głos.

Cole spał się na moment, a potem wyrwał się Jace'owi.

– Aleś ty dowcipny.

– Przecież mówiłem, że wszystko pójdzie jak z płatka, o ile będziemy się zachowywać naturalnie.

– Dokąd teraz? – spytał Drgawa.

– Głosuję za jedzeniem – powiedział Jace. – Zanim pojawi się Joe, większość czasu powinniśmy spędzić tutaj, w Sambrii. Możemy codziennie chodzić do fontanny, ale spać wolę w takim miejscu, gdzie mam pewność, że mój sprzęt działa.

Na poprzecznej ulicy, w pewnej odległości, Cole dostrzegł mężczyznę wychodzącego z budynku. Miał na sobie znajomy kapelusz z szerokim rondem oraz długi, zniszczony płaszcz. Nie był młodzieniaszkiem, ale wyglądał na twardego i sprawnego fizycznie mężczyznę. Tej twarzy Cole nie zapomniałby nigdy. To Ansel, handlarz niewolników, który sprowadził go i jego przyjaciół na Obrzeża.

ROZDZIAŁ 4

HANDLARZ NIEWOLNIKÓW

Przez ułamek sekundy Cole nie mógł się ruszyć ani odetchnąć. Ansel to człowiek, który go porwał, groził mu sierpem i przykuł go łańcuchem za wozem z klatką. Był zimny, fachowy i niebezpieczny. I na razie jeszcze nie patrzył w kierunku Cole'a.

Kiedy chłopiec chował się za rogiem, spojrzenie wąskich oczu Ansela pomknęło w jego stronę. Może to właśnie ruch zwrócił jego uwagę. Cole nie mógł mieć pewności, czy mężczyzna go rozpoznał, ale na krótką chwilę ich oczy się spotkały. Cole'a ogarnęła mdląca panika i wiedział, że powinien zakładać najgorsze. Ansel to typ człowieka, któremu niewiele umyka.

– Musimy się natychmiast rozdzielić – powiedział Cole pośpiesznie.

Nie chciał opuszczać swoich jedynych przyjaciół w obliczu niebezpieczeństwa, ale wiedział, że w tłumie trudno zniknąć całą grupą. Jeżeli się nie rozdzielią, wszyscy mogą zostać złapani. Jego przyjaciele nie zasługiwali na takie ryzyko. Poza tym jeśli pozostaną wolni, będą mieli większą szansę mu pomóc.

– Co takiego? – zdziwiła się Mira.

Wycofując się, Cole dał znak pozostałym, żeby się rozproszyli.

– Jest tutaj handlarz niewolników, który mnie porwał. Chyba mnie widział. Wie, że nie powinienem być wolny. Spotkajmy się po elloweerskiej stronie przy fontannie, o której mówił Joe.

Drgawa już zniknął w tłumie. Jace i Mira się zawahali, ale potem ruszyli przed siebie, gestem odganiani przez Cole'a. Chłopiec szybko stracił ich z oczu. Został sam. Przynajmniej przyjaciele potraktowali go poważnie.

Jeżeli Ansel biegł, to musiałby zaraz wyłonić się zza rogu. Jeśli tylko szybko szedł, Cole miał jeszcze moment.

Ponieważ pokonał już pewną odległość, teraz wszedł przez najbliższe drzwi i znalazł się w dużej, ruchliwej jadalni. Byli tu głównie mężczyźni.

Siedzieli na ławach przy długich drewnianych stołach. Nad paleniskami obracały się olbrzymie pieczenie na szpikulcach. Powietrze pachniało dymem, zwęglonym mięsem i ziołami. Mimo dramatycznej sytuacji bogate aromaty pobudziły głód Cole'a.

Po przeciwległej stronie sali chłopiec dostrzegł okna. To oznaczało, że było tam podwórko albo ulica. Nie miał pojęcia, czy Ansel widział go, jak wchodzi do jadłodajni. Bał się obejrzeć, żeby nie pokazać twarzy. Wiedział jednak, że na wszelki wypadek musi ruszać dalej.

Bieg zwróciłby uwagę, dlatego Cole przeszedł przez salę tak wolno, jak tylko się odważył. Kluczył między stołami, usiłując wyglądać swobodnie. Nikt nawet na niego nie spojrzał.

Może Ansel wcale go nie gonił. Może go nawet nie rozpoznał. Cole zaryzykował i zerknął za siebie. W lokalu na razie nie pojawił się nikt inny. Jeśli Ansel go ścigał, to mógł nie zauważyć, że tutaj wszedł. Tłum na ulicy nieźle go zasłonił.

Zresztą nawet gdyby handlarz niewolników go dopadł, to co mógłby zrobić? Zgodnie ze znakiem na dłoni, Cole był wolny. Ansel wiedział jednak, że w tym miejscu powinien się znajdować jarzmoznak. Ta zaskakująca zmiana wywołałaby niebezpieczne pytania, i to w momencie, kiedy Cole i przyjaciele potrzebowali anonimowości. Wolni czy nie, rzeczywiście byli zbiegami. Legion ścigał ich wszystkich, zwłaszcza Mirę. Teraz, gdy odzyskała moce formowania, najwyższy formista nie cofnie się przed niczym, żeby odnaleźć córkę. Potwierdzała to wczorajsza zasadzka.

Cole'a skręciło w żołądku. Jeżeli Ansel go złapie i zbada jego wolnoznak, na jaw wyjdzie ucieczka z Nieboportu, a wraz z nią powiązania z Mirą. Wtedy Cole miałby kłopoty nie tylko z Anselem, ale i z najwyższym królem. Trafiliby w niewolę, do więzienia albo spotkałoby go coś jeszcze gorszego. Na tym skończyłyby się marzenia o znalezieniu zaginionych przyjaciół i powrocie do domu.

Na drugim końcu sali, za wewnętrzną ścianą, chłopiec znalazł drzwi. Zalało go poczucie ulgi. Obejrzał się w samą porę, żeby zobaczyć wchodzącego Ansel.

Handlarz niewolników wypatrzył go natychmiast. W jego spokojnym spojrzeniu Cole znalazł potwierdzenie swych podejrzeń, a także milczącą satysfakcję kogoś, kto odkrył niecny sekret drugiego człowieka. Kiedy Ansel spokojnie ruszył w jego stronę, chłopiec wymknął się za drzwi.

Prowadziły na wąski zaułek wyłożony ciemnymi cegłami. W jedną stronę wiódł on na gwarną ulicę, a w drugą – za róg. Gdyby Cole wybiegł na ulicę, miałby szansę zniknąć w tłumie. Ale jeśli Ansel cofnął się i zawrócił, to pewnie już tam na niego czekał.

Wobec tego chłopiec skierował się w przeciwną stronę, w kierunku załomu uliczki. Miał nadzieję, że ona doprowadzi go w jakieś lepsze miejsce. Był przy zakręcie, kiedy usłyszał za sobą otwieranie drzwi.

Za rogiem droga się zwężała. Na ziemi, w miejscach, gdzie brakowało cegieł albo się zapadły, stały małe kałuże brudnej wody. Po góra dwudziestu krokach uliczka znowu zakręciła. Za kolejnym skrętem był ślepy zaułek. Ze wszystkich stron wznosiły się gładkie ściany liczące po pięć kondygnacji. Po lewej znajdowała się wnęka, a w niej pojedyncze drzwi. Cole nacisnął klamkę. Okazały się zamknięte.

Zbliżały się kroki. Nie biegiem, ale spokojnym tempem.

Usiłując zachować spokój, Cole dobył miecza skakania. Przynajmniej nikt go nie widział.

Myślał, czy nie poczekać, aż Ansel wyjdzie zza rogu, a wtedy skoczyć wprost na niego. Postawiłby wszystko na jedną kartę. A jeśli handlarz niewolników uskoczy? Cole nie miał ochoty zetrzeć się z nim w równej walce.

Zresztą nawet gdyby zabił Ansela, czy byłoby to w porządku? Mężczyzna ruszył za nim, co rzeczywiście wydawało się niebezpieczne, ale niczym mu nie groził, a poza tym na Obrzeżach niewolnictwo było legalne.

Cole wycelował miecz w kierunku szczytu ściany po lewej i nerwowo szepnął:

– Naprzód.

Poszybował w górę jak rakietą, w szczytowym punkcie skoku znalazł się nad budynkiem, a potem łagodnie wylądował. Na płaski dach prowadziły wyjścia przez klapy, ale nikogo tam nie było. Cole czym prędzej oddalił się od krawędzi, tracąc z oczu zaulek. Nie wiedział, czy handlarz niewolników widział jego skok, ale był pewien, że jeśli zerknie w dół, żeby to sprawdzić, Ansel na pewno go zobaczy. Chłopiec przykucnął w milczeniu. Czuł swój gwałtowny puls.

– Wiem, że jesteś tam na górze, strachu na wróble – odezwał się z dołu chrypliwy głos, niezbyt głośno, ale dostatecznie wyraźnie. – Pewnie dzięki jakiemuś artefaktowi, który zwinąłeś Łupieżcom. Masz kłopoty, mały. Życie niewolnika to nie bajka, ale życie zbiega jest znacznie gorsze. Przynajmniej nie bądź tchórzem i wyjdź do mnie. Przecież do ciebie nie pofrunę.

Cole się zawahał. Ansel właśnie potwierdził, że go rozpoznał. Czy można coś zyskać na rozmowie z handlarzem niewolników, skoro ucieczka jest w zasięgu ręki? Ansel miał Cole'a za zbiega. Czy gdy usłyszy, że to nieprawda, da mu spokój?

Chłopiec przypomniał sobie o Jennie. I o Daltonie. Niewykluczone, że Ansel orientuje się, dokąd ich wysłano. Czy można wyciągnąć z niego taką informację? Cole pomyślał, że pewnie nie nadarzy się już wiele okazji do rozmowy z kimś, kto wie z pierwszej ręki, co się stało z jego przyjaciółmi.

Spojrzał w dół i zobaczył, że Ansel patrzy w górę. Na ramieniu miał torbę, ale jego ręce były puste. Mężczyzna kiwnął głową.

– Bardzo dobrze, nic nas nie powstrzyma przed pogaduszką. Jak tu trafiłeś, strachu na wróble?

– Adam Jones mnie wypuścił – powiedział Cole. – Jestem wolny.

– Masz papiery?

Cole nie miał żadnych papierów, nie chciał też pokazać Anselowi, że jego jarzmoznak przeformowano w wolnoznak. Handlarz niewolników zrobiłby

się tylko jeszcze bardziej ciekawski.

– Papierów nie. Ale może pan spytać pana Jonesa. Nie uciekłem.

– Niedużo czasu upłynęło, odkąd sprzedałem cię Łupieżcom, strachu na wróble. Raz po raz rzeczywiście uwalniają swoich, ale na to potrzeba lat, a nie tygodni. Poza tym wtedy daliby ci dowód wolności.

Adam Jones pomógł Cole'owi, Jace'owi, Drgawie i Mirze uciec z Nieboportu, kiedy tej ostatniej szukali legionści. Wydał swoim ludziom zaszyfrowaną komendę, żeby spowolnili legionistów, kiedy Cole i jego przyjaciele uciekali. Chłopiec domyślał się jednak, że gdyby nacisnąć Adama, nazwałby go zbiegiem, aby zachować pozory.

– A co to pana obchodzi?

Ansel odwrócił się i splunął.

– Czyżbyśmy się nie znali? Niewolnicy to mój fach, strachu na wróble. Uciekiniera zwróciłbym właścicielowi choćby dla zasady, zwłaszcza skoro sam mu go sprzedałem. I to nawet bez względu na nagrodę.

Cole wiedział, że może zakończyć tę rozmowę. Wystarczy uciec po dachach. Ale nie uśmiechała mu się perspektywa, że Ansel zacznie przeczesywać miasto, by go znaleźć. Jeśli byli tu również jego kompani, mogłyby się z tego zrobić spore kłopoty. A co z Daltonem i Jenną?

Czy powinien pokazać Anselowi wolnoznak? Czy taki dowód go zadowoli? Z tej odległości handlarz mógłby pomyśleć, że to jakaś sztuczka. Zresztą nawet gdyby zbadał autentyczność znaku, ta niewiarygodna zmiana tylko wzmogłaby jego ciekawość.

Cole przygryzł wargę. Nieważne, czego spróbuje, musi wydobyć z handlarza informację o innych niewolnikach. Może ten człowiek zna wszystkie potrzebne odpowiedzi!

– Co z moimi przyjaciółmi? – zapytał chłopiec. – Wie pan, dokąd trafili?

– Sprzedaliśmy wszystkich – odparł Ansel. – Dalej chcesz ich uratować?

Umiem docenić upór. Ale nie głupotę.

– Wie pan, dokąd pojechali?

– Sam przyklepuję wszystkie transakcje.

– Jeden z moich przyjaciół nazywa się Dalton. Pamięta go pan?

– Szczególnie się nim interesowałeś. I jeszcze taką jedną, Jenną – powiedział Ansel. – Oboje trafili na Rozdroże. Ale tylko chwilowo. Dawno ich tam nie ma. Mogli pojechać w każde miejsce Pięciu Królestw.

Za plecami Cole'a coś zaskrzypiało. Gdy się obrócił, zobaczył krzepkiego, łysiejącego handlarza niewolników, który wdrapywał się na dach przez właz. To Baleron. Cole pamiętał go z piwnicy domu z uliczką strachów w Arizonie.

Przez moment zaskoczony chłopiec stał jak wryty. Gdyby nie to ciche skrzypnięcie, dałby się zaskoczyć i złapać. Baleron spojrział spode łba, a potem ruszył na niego. Cole wycelował miecz w dach po drugiej stronie uliczki, wypowiedział komendę i skoczył. Handlarz dopadł do krawędzi budynku, a potem spojrział na przerwę, jak gdyby sam rozważał skok.

– Albo go pan do siebie przywoła, albo zwiewam – zapowiedział chłopiec, gotowy do dalszej ucieczki.

– Baleron, wracaj na dół – warknął Ansel.

Tamten wycofał się i zniknął we włazie.

– Teraz już wiem, dlaczego był pan taki gadatliwy – stwierdził Cole.

– Robię, co mogę. Ty też lepiej zejdziesz, strachu na wróble. Może z tym mieczem umiesz latać, ale skoro już trafiłem na twój trop, teraz to tylko kwestia czasu.

– Niech pan sobie nie zawraca głowy – odparł chłopiec. – Jestem wolny. – Pokazał Anselowi wierzch dłoni.

Tamten zmarszczył czoło i długo się przyglądał. Sięgnął do torby i wyjął lunetę. Podniósł ją do oka, prędko ustawił ostrość, a potem opuścił przyrząd.

– Stąd wygląda nieźle. Jak ci się to udało?

– Już mówiłem, Adam Jones mnie uwolnił. Znał jakiegoś faceta i kazał mu zmienić znak. To dlatego nie mam papierów.

Co prawda Cole nagiął fakty, ale starał się zbytnio nie minąć z prawdą.

– Co to był za facet? – nie dowierzał Ansel. – Słyszałem o igłomistrzach, którzy przerabiają jarzmoznaki uwolnionym niewolnikom. Ale nikt nie potrafi ich całkiem wymazać i zastąpić wolnoznakiem.

– Ten facet potrafił – odparł Cole.

– Dlaczego Adam Jones zrobiłby coś takiego dla nowego niewolnika?

– Uratowałem życie kilku osobom, w tym jemu.

To również nie do końca było prawdą, ale Cole nie chciał brnąć w kłamstwo. Bądź co bądź rzeczywiście uratował życie Mirze.

– Jesteś kłamcą – stwierdził handlarz. – To na pewno dużo większa historia.

– Jestem wolny. Niech mnie pan zostawi w spokoju albo powiadomię władze.

Teraz to Ansel szeroko się uśmiechnął. Nawet z wysokości pięciu pięter na widok tej miny Cole miał ochotę uciekać. Handlarz niewolników wyjął z torby sierp.

– Władze? Wiesz co, strachu na wróble? Ja jestem człęk, co dotrzymuje słowa. Zejdź tu do mnie, zerknę na twój wolnoznak i obiecuję, że nie zrobię ci krzywdy. Wszystko sobie wyjaśnimy z Adamem Jonesem i władzami. Jeśli się zgodzą, że jesteś wolny, to dobrze ci zapłacę za to zawracanie głowy. Ale jak uciekniesz, to cię znajdę, urnę ci tę łapę z fałszywym znakiem, spalę, a ciebie skuję łańcuchem i zaciągnę z powrotem do Łupieżców Niebios. Twój wybór.

– A może umówimy się na trzecią opcję? – zaproponował Cole. – Życie moje i moich przyjaciół już pan zrujnował, więc może teraz poszuka pan sobie nowych niewolników, żeby ich dręczyć?

– Nie ma mowy, strachu na wróble.

– Może mnie pan gonić latami.

– Wątpię. A zresztą stać mnie. Sztuka polega na tym, żeby żyć na miarę swoich możliwości. Odłożyć parę groszy tu, parę groszy tam. Proszę bardzo, uciekaj. Uznam, że w ten sposób przyznałeś się do winy.

– Nie lubię pana i panu nie ufam – powiedział Cole. – Idę sobie. Więcej mnie pan nie zobaczy. A jeśli jednak, to niech pan lepiej uważa.

Ansel zaśmiał się chłodno.

– Ty mi właśnie zagroziłeś! Jesteś jedynym żywym człowiekiem, który zrobił coś takiego.

Kilka kroków za Cole’em z hukiem otwarły się drzwi. Wytoczył się z nich Baleron. Był cały czerwony, zdyszany, a łysina lśniła mu od potu.

Chłopiec spojrzał na niego i zdecydował.

– Naprzód – powiedział i przeskoczył nad uliczką. Spojrzał z góry na Anselę.

– No wiesz co!

– Nigdy nie obiecywałem, że nie wejdzie przez drugi budynek.

– Drzwi na górze były zamknięte – powiedział przeprasząco Baleron.

– Zostawcie mnie w spokoju – warknął Cole. – Nie uciekam dlatego, że jestem winny. Uciekam, bo mnie gonicie.

Nie czekając na odpowiedź, wycelował miecz, wypowiedział komendę i skoczył na odleglejszy dach budynku wyższego o kilka pięter. Po dwóch kolejnych susach znalazł się w pobliżu dużej ulicy. Prędko się rozejrzał, a potem zeskoczył do pustego zaułka, który do niej przylegał. Otrząsnął się

z podejrzeń, że ktoś go obserwuje i śledzi, a potem opuścił boczną uliczkę i wmieszał się w tłum.

ROZDZIAŁ 5

KARTAGINA WSCHODNIA

Podążając na wschód ulicami Kartaginy, Cole z trudem zachowywał spokój. Gdyby nie miecz skakania, Ansel już by go dorwał. Chłopiec miał niepokojącą świadomość, że o mały włos znowu nie został niewolnikiem. Dobrze było udawać, że wolnoznak rozwiązał problem. Ale gdyby Ansel uciął mu rękę z tym znakiem, co by go wtedy chroniło?

Cole starał się wyglądać swobodnie i zlewać się z tłumem, ale ciągle wyginał palce oznaczonej dłoni. Cały czas drżała. Czuł się odsłonięty. Czy lepiej było trzymać się dachów i posłużyć się mieczem skakania, żeby bardziej oddalić się od Ansela? A może w ten sposób ściągnąłby na siebie więcej uwagi? Czy powinien poszukać kryjówki? Czy też w takim wypadku handlarz niewolników miałby więcej czasu, żeby go dogonić? Cole przyśpieszył kroku.

Wtedy, na dachu, Baleron pojawił się znikąd. Ilu jeszcze ludzi Ansela ruszyło w pościg? Chłopiec usiłował sobie przypomnieć, jak wyglądali pozostali handlarze z karawany, i wypatrywał ich wokół siebie.

Drgawa miał rację co do tłumów: za dużo w nich oczu. Jasne, w dużych grupach człowiek zyskuje pewną anonimowość. Ale jeśli ktoś na ciebie poluje, to ryzykujesz, że napatoczysz się na niewłaściwą osobę.

Ryzykujesz także to, że nie zauważysz ścigających cię ludzi. W wyobraźni Cole już teraz czuł chłód stali potwornie ostrego sierpa, który zaskakuje go

od tyłu i podrzyna mu gardło. Cały czas trzymał rękę na rękojeści miecza skakania, gotów w razie potrzeby wyciągnąć go i uciec bez względu na tłum.

Czy Ansel naprawdę obciąłby mu rękę? Co to jest za świat? Kiedyś problemy Cole'a polegały na terminowym odrabianiu pracy domowej i użeraniu się z wkurzającą siostrą. A teraz ma wrogów, którzy chcą go zniewolić i pociąć na kawałki! Może groźba Ansela była tylko blefem mającym go wystraszyć i zmusić, żeby się poddał. Ale pewnie nie. Cole miał przerażające przeczucie, że Ansel jest zdolny do takich rzeczy, a także do znacznie gorszych.

Nie był pewien, czy powinien wmieszać się w tłum, czy raczej go unikać. Wszystko zależało od tego, w jaki sposób handlarz niewolników postanowi go szukać. Główne ulice wydawały się najbardziej oczywiste, więc Cole trzymał się od nich z dala. Na mniejszych trudniej się było ukryć, ale miał tam szansę w porę dostrzec nadciągające zagrożenie i odskoczyć, nie robiąc widowiska.

W miarę jak mijał kolejne przecznice, zaczęły go otaczać rozsypujące się domy. Wzrok przyciągały zapadnięte dachy, sfatygowane mury, rozbite okna i drzwi zabite deskami. Ludzie byli tu gorzej ubrani. Niektórzy zerkali na Cole'a i na jego miecz. Jakiś mężczyzna ze szczeciną siwego zarostu na twarzy otwarcie zmierzył go wzrokiem. Chłopiec próbował nie zwracać na niego uwagi, ale nie mógł nie zauważyć, że nieznajomy za nim ruszył.

Starał się posłuchać rady Jace'a. Musiał sprawiać wrażenie, że czuje się tu jak w domu. Był jednak bardzo młody, nie mógł ukryć miecza i miał na sobie co prawda zabrudzone, ale ładne ubranie. Wiedział, że się wyróżnia.

Na najbliższym rogu skręcił w boczną przecznicę. Spojrzał za siebie. Nieogolony nieznajomy nadal za nim szedł, na tyle szybko, że stale się zbliżał. Dostrzegł spojrzenie Cole'a i uniósł dłoń zwiniętą w miseczkę.

– Dałbyś kółkata albo dwa? – poprosił.

Cole odwrócił wzrok. Wyjmując nawet parę monet, odsłoniłby ukrytą gotówkę. Wyobrażał sobie, że gdyby ludzie w tej okolicy zobaczyli, ile pieniędzy ma przy sobie, pożarliby go jak piranie.

– Przykro mi – rzucił przez ramię.

Mężczyzna przyśpieszył. Biegł, szurając nogami.

– Zaczekaj, przyjacielu. Dokąd zmierzasz?

– Do wschodniej części miasta – odparł Cole, nie wiedząc, czy ma uciekać.

– Do Kartaginy Wschodniej? – upewnił się tamten. – Źle skręciłeś, chłopcze. To niebezpieczna część miasta. Potrzebujesz przewodnika, inaczej wpakujesz się w kłopoty.

Instynkt podpowiadał Cole'owi, że to właśnie ten facet oznacza kłopoty. Jeszcze kilka kroków i go dogoni.

Chłopiec dobył miecza, odwrócił się i stawiał czoła nieznanemu, chociaż tamten przerastał go o głowę.

– Odejdź, człowieku – warknął, zmuszając się do stanowczego tonu. – Mam zły dzień.

Mężczyzna uniósł dłonie.

– Co to ma znaczyć? Włazisz w mój rewir i jeszcze mi grozisz?

– Nie szukam przyjaciół ani przewodników – powiedział Cole. – Niech mnie pan zostawi w spokoju.

Nieznajomy spojrzał nieco w górę, za plecy chłopca, i lekko skinął głową. Cole obejrzał się w samą porę, żeby dostrzec, że rzuca się na niego drugi mężczyzna. Wycelował miecz w obwisły balkon po drugiej stronie ulicy, wypowiedział komendę i skoczył.

Ręce tamtego próbowały go chwycić, ale się spóźniły. Cole pofrunął, ledwo prześlizgnął się nad podrapaną balustradą i wylądował trzy piętra nad ziemią. Obaj mężczyźni gapili się z dołu z rozdziawionymi ustami.

– Ładne rzeczy – mruknął ten nieogolony. – Kto by się spodziewał, że to jakiś formista?

Drugi lekceważąco machnął ręką i odszedł, kręcąc głową. Widocznie nie byli współnikami, co najwyżej znajomymi. Tamten zwęszył łatwą zdobycz i chciał skorzystać z okazji.

Cole skierował miecz w stronę dachu domu po drugiej stronie ulicy i skoczył. Z wyżej położonego punktu miał lepszą perspektywę na okolicę, ale widok na Kartaginę Wschodnią przesłaniały mu jeszcze większe budynki. Pobiegł po dachu, skoczył na następny, a potem na kolejny.

Patrząc, jak brudne ulice przemykają mu stopami, czuł się wolny i podekscytowany. Na moment zapomniał o niepokoju i po prostu cieszył się szybowaniem. Kto go złapie, skoro ma miecz skakania?

Zmierzał w stronę ładniejszej okolicy. Na szóstym z kolei dachu napotkał kobietę podlewającą kwiatki. Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Tylko tędy przechodzę – powiedział najprzyjaźniej, jak potrafił.

Jej zaskoczona mina zmieniła się w wyraz oburzenia.

– Oko sobie wydłubiesz! – połajęła Cole'a.

Roześmiał się i skoczył dalej, kierując miecz w stronę następnego dachu. Cóż to za zwariowany świat, w którym nieznaną kobietą bardziej się martwi, że chłopiec wydłubie sobie oko mieczem, niż że robi pięćdziesięciometrowe skoki z budynku na budynek!

Unikał głównych traktów, zamiast nich szybował nad bocznymi uliczkami i zaułkami. Mimo to jedni patrzyli na niego z dołu, inni wskazywali go z okien i balkonów, nieliczni dostrzegali go także z dachów. I to byli tylko ci, których on sam zauważył! W Sambrii widok chłopaka skaczącego po budynkach co prawda nie był może niemożliwy, ale zwracał uwagę. Cole cieszył się, że miecz pozwala szybko się przemieszczać i oddalać od Anselę, wiedział jednak, że trzeba wrócić na ziemię. Każdy, kto go widział, stawał się potencjalnym źródłem informacji dla ludzi łowcy niewolników.

Dotarł do skrzyżowania dwóch dużych bulwarów. Aby iść dalej po dachach, musiałby przeskoczyć nad ruchliwą aleją, wystawiając się na widok setek

oczu, wobec tego zawrócił i zeskokczył w cichy zaułek.

Chociaż słońce pięło się coraz wyżej, wciąż było na tyle nisko, żeby dało się stwierdzić, gdzie jest wschód, a gdzie zachód. W miarę podróży na wschód budynki robiły się coraz wyższe. W niektórych znajdowały się mieszkania lub gospody. Inne wyglądały na prywatne pałace, które wciśnięto w miasto, ogradzając ich teren żelaznym płotem albo solidnym murem.

Jeszcze inne budynki były bardziej tajemnicze. Olbrzymia budowla z kopułą i mnóstwem minaretów to pewnie świątynia albo muzeum. Szary gmach z grubymi wieżami i blankami na murach mógł mieścić więzienie albo koszary wojskowe. Lekki, zwiewny kompleks o tarasowych ogrodach, wyniesionych kładkach oraz budynkach z olbrzymimi oknami służył zapewne jako szkoła lub biblioteka.

Większość miasta wyglądała tak, jak Cole wyobrażał sobie średniowiecze. Tu i ówdzie architektura była jednak nieco bardziej nowoczesna, a czasem wręcz nie przypominała niczego, co widział na Ziemi. Dojrzał na przykład budynek w kształcie piramidy, ale z otwartymi ścianami i wspartymi na słupach podłogami między każdym piętrem, co tworzyło jakby ułożone warstwami patia. Minął też czarny monolit pozbawiony okien, a także widocznego wejścia. Jeszcze inna konstrukcja wydawała się w całości wykonana z witraży i składała się z nachodzących na siebie bulwiastych kształtów. Cole'owi przypomniało to, jak kiedyś dmuchał przez słomkę do szklanki z mlekiem tak długo, aż wypełniły ją bańki.

Jeszcze dalej na wschód coraz więcej budynków wyglądało tak, że musieli je stworzyć formiści. Nie tylko były niezwykle kształtem, ale nieraz całkiem pozbawione szczelin, jakby wykuto je w litym kamieniu, wielkim niczym góra. Niektóre gmachy miały gładkie fasady o prostych liniach i nielicznych upiększeniach, inne zaś były misternie zdobione. Widział coraz więcej autowozów, a szyldy części sklepów reklamowały artefakty i pozory.

A potem miasto się skończyło.

Cole dotarł do długiego pasa zieleni, który ciągnął się wzdłuż szerokiej, wolno płynącej rzeki. Powierzchnia wody znajdowała się ze dwadzieścia metrów niżej, ogrodzona kamiennymi murami zamiast brzegów.

Jeśli architekturę po tej stronie można by nazwać imponującą, to ta po przeciwnej była absolutnie niesamowita. Mur rzeczny miał tam kolor chmur burzowych, a raz po raz migotały na nim jasne błyskawice. Wymyślne budynki osiągały niewiarygodny pułap i lśniły jaskrawymi barwami. Olbrzymie kształty balansowały na smukłych podporach, a masywne występy wisiały nad pustą przestrzenią, zupełnie lekceważąc prawa fizyki.

Mira wspominała, że elloweerscy zaklinacze posługują się iluzją. Chociaż budynki wydawały się zupełnie namacalne, część z tego, co widział Cole, musiało być złudzeniem.

Rzeka płynąca z północy na południe skutecznie dzieliła miasto. Domyślał się, że na drugim brzegu leży Kartagina Wschodnia. Widział stąd dwa mosty. W dole, po obu stronach rzeki, w wodę tu i ówdzie wcinały się doki. Robotnicy dźwigali towary, które układali na długich, płaskich barkach. Może odpływały stamtąd promy na drugą stronę, ale mosty wydawały się pewniejsze.

Skrećwszy na północ, Cole ruszył wzdłuż nadrzecznego pasa zieleni w kierunku najbliższego z mostów. Droga była przyjemna. Na trawniku i wśród drzew bawiły się dzieci, psy aportowały zabawki, przesiadywali starszycy, a wielu ludzi spacerowało. Dobrze jeździłoby się tu na rowerze. Cole zastanawiał się, czy w Kartaginie w ogóle są rowery. Żadnych nie widział.

Zbliżając się do mostu, zmarszczył czoło. Przejście na drugą stronę będzie niebezpieczne. Jeśli Ansel spodziewał się, że chłopiec uda się do Kartaginy Wschodniej, trasa przez most była najbardziej oczywista. Ale przecież to niejedyne rozwiązanie. Równie dobrze mógł uciec na sambryjską prowincję albo ukryć się w Kartaginie Zachodniej.

Żałował, że wie tak mało. Ilu ludzi miał teraz do dyspozycji Ansel? W mieście był Baleron, ale kto jeszcze? Wszyscy? I jak dużo czasu zajmie im mobilizacja?

Od spotkania z handlarzem niewolników Cole zmierzał na wschód najkrótszą możliwą drogą, a częściowo posłużył się mieczem skakania. Nawet jeśli Ansel miał dość ludzi, żeby obstawić wszystkie kierunki, chłopiec pewnie ich

wyprzedzał. Ale im więcej czasu minie, tym większe prawdopodobieństwo, że handlarze zajmą miejsca we wszystkich kluczowych punktach, takich jak mosty. Cole przyśpieszył.

Imponujący most wykonano z tego samego ciemnozielonego kamienia co mury miejskie. Wyglądał identycznie na całej długości, ozdobiony fryzami i maswerkami. Czy to znaczy, że granica z Elloweer jest dopiero po drugiej stronie? Misterna konstrukcja prawie na niczym się nie wspierała, więc zapewne powstała dzięki formowaniu. Była na tyle szeroka, żeby zmieściły się tam wozy, ale wypełniał ją tłum pieszych. Mniej więcej połowa z nich zmierzała na wschód, a połowa na zachód. Jechało też tamtędy dwóch konnych żołnierzy.

Cole ruszył przez most, wypatrując znajomych twarzy. Po bokach stali handlarze towarów rozłożonych na kocach. Wołali do przechodniów, żeby zwrócić ich uwagę na melony, marionetki, kiełbasy oraz maleńkie drewniane jelenie, które same chodziły.

Po elloweerskiej stronie najlepsza broń Cole'a będzie bezużyteczna. Okropnie nie podobała mu się perspektywa ucieczki przed pościgiem bez miecza skakania, ale musiał dotrzeć do fontanny, a im dłużej będzie zwlekał, tym bardziej ryzykowne stanie się przejście do sąsiedniego królestwa. Spróbował wmieszać się w najgęstszy tłum. Znalazł wielkiego mężczyznę, za którym mógł iść, więc trzymał się tuż za jego plecami.

W połowie mostu znajdowała się tablica z jaskrawym napisem ELLOWEER. Odwrócił się i zobaczył, że z drugiej strony widnieje nazwa SAMBRIA.

Gdy tylko minął znak, na moment poczuł się niemal nieważki i przebiegły go ciarki. Strzeliło mu w uszach. Poza tym nic się nie zmieniło. Most wyglądał tak samo. A tablice chyba tylko wyznaczały granicę. Może most zbudowano tradycyjnie, a może po stronie Elloweer użyto iluzji, żeby pasowała do tej sambryjskiej. Jeśli tak, to efekt był doskonały.

Wzdłuż krawędzi mostu nadal ciągnęły się koce handlarzy, ale teraz sprzedawali niesamowite towary. Pewien człowiek miał miski pełne pięknie szlifowanych kamieni szlachetnych, od małych jak kulki aż do takich wielkości kurzych jaj. Lśniły w promieniach słońca i wyglądały bardzo

autentycznie. Ktoś inny oferował szeroki wybór papug o najbardziej jaskrawym upierzeniu, jakie Cole w życiu widział. Trzeci zachwalał przedmioty wykonane z czystego złota. Ponieważ nikt nie zwracał uwagi na te egzotyczne towary, chłopiec uznał, że to na pewno iluzje.

Przy końcu mostu zobaczył przedstawienie, które sprawiło, że zwolnił. Młody człowiek siedział na plecionej macie ze skrzyżowanymi nogami. W wyprostowanej ręce ścisnął pionowo długą bambusową tyczkę, tak by nie dotykała ziemi. Drugi, starszy, wspinał się po niej, podczas gdy tamten nadal spokojnie ją trzymał. Następnie starszy obrócił się do góry nogami i zaczął balansować na czubku tyczki na jednej ręce. Przed matą stała miska z kółkami. Kilkoro marudnych dzieci tak długo dręczyło rodziców, aż wrzucili artystom po miedziaku.

Iluzja czy nie iluzja, Cole nigdy nie widział ulicznego przedstawienia, które mogłoby się z tym równać, więc chętnie dorzuciłby kółkate, gdyby miał je na podorędziu. Zamiast tego znów przyśpieszył kroku, spuścił głowę, żeby choć trochę ukryć twarz, i ukradkiem lustrował wzrokiem tłum.

Kiedy zszedł z mostu, starał się nie okazywać ulgi. Nikt go nie zatrzymał, a on nie dostrzegł handlarzy niewolników z karawany.

Z mostu wychodziło się na duży plac. Pośrodku, za niskim kryształowym murkiem hasało osiem marmurowych rzeźb młodych kobiet. Poruszały się według swobodnej choreografii, beztrudnie i z gracją. Przyglądając im się, Cole zrozumiał, że ruchy powtarzają się mniej więcej co minutę, więc to na pewno automatyczna pętla.

Strzeliste budynki wokół placu rywalizowały o uwagę. Jeden zdawał się wykonany w całości ze złota i srebra. Na innym znajdowały się ruchome murale – przedstawiały postaci potworów w trakcie zażartej walki. Na trzecim falujące wiry mieniły się najróżniejszymi kolorami, co Cole'owi skojarzyło się z roztopioną tęczą.

Był oszołomiony tymi widokami, ale chciał jak najszybciej opuścić ruchliwą okolicę, więc ruszył jedną z mniejszych ulic odchodzących od placu. Musiał znaleźć fontannę z siedmioma dyszami, ale nie miał pojęcia, gdzie zacząć poszukiwania. Wschodnia część Kartaginy wydawała się równie rozległa jak

zachodnia.

W tłumie przemieszczały się dziwne postaci, które przyciągały znacznie mniej uwagi, niż Cole mógłby sądzić: wysoka, pełna wdzięku kobieta z gadzimi źrenicami i puszystymi uszami kota, krępy mężczyzna o ciele pokrytym w całości niebieskimi kolcami, kobieta z pierzastymi skrzydłami anioła, mężczyzna z głową nieproporcjonalnie dużą względem tułowia. Cole starał się na nich nie gapić. Może ich wygląd to iluzja, a może, tak jak Drgawa, rzeczywiście różnili się od typowych ludzi.

– Hej, mały, spróbuj szczęścia – odezwał się mężczyzna usadowiony za skrzynką przykrytą kocem.

Był niski, szczupły, miał starannie przystrzyżony wąsik i mówił chrypliwym tenorem. Na kocu stały trzy kubki odwrócone dnem do góry.

– Dziękuję, nie dzisiaj – odparł Cole.

– No, dalej – nalegał tamten. – Jesteś dziany. To łatwe.

– Wcale nie jestem dziany.

Mężczyzna rzucił mu sceptyczne spojrzenie i dał znak, by podszedł bliżej. Cole się nachylił, a wtedy facet ściszył głos.

– Obwiązałeś sobie nogi kółkami, młody.

Cole był zaskoczony i poczuł się głupio. Sprawdził, czy nogawki wyraźnie się nie wybrzuszą. Wyglądały w porządku.

– Nawet nieźle to zrobiłeś – stwierdził mężczyzna. – Większość ludzi nic nie zauważy. Ale ja mam oko do szczegółów. No to co? Spróbuj. To łatwe jak zbieranie forsy z chodnika.

– Nie mam pieniędzy pod ręką – powiedział Cole.

– Wszystko na nogach i nic w kieszeni? – spytał tamten z niedowierzaniem.

– Przykro mi. – Chłopiec wywrócił kieszenie spodni.

– Hm – mruknął mężczyzna. – Ciekawy z ciebie okaz. Pewnie masz jakąś historię. Uciekasz przed kimś? Za młody mi się wydajesz na przestępcę.

– Ale nie za młody, żeby oskubać mnie z pieniędzy?

– Za coś przecież muszę jeść! Więc coś ty za jeden?

Cole wzruszył ramionami.

– Po prostu jestem umówiony ze znajomymi.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko i postukał w skroń.

– Rozumiem. Przyjaciele chcieli, żebyś przeniósł trochę kółkatów z miejsca na miejsce bez zbędnych pytań. Dostarczasz forszę i sam przy tym trochę zarabiasz. Mam rację?

– Mniej więcej.

– Dlatego nie możesz zaryzykować kółkatów, które masz przy sobie. W pewnym sensie mówiłeś prawdę. Jesteś splukany, dopóki nie doniesiesz przesyłki.

– Coś w tym stylu.

– I pewnie nie będziesz tędy wracał, gdy ci już zapłacą?

– Swoich pieniędzy nie mogę ryzykować.

– To może jedna kolejka za darmochę? – zaproponował mężczyzna. – Nudno dzisiaj.

Cole spojrzał w głąb ulicy w kierunku, w którym zmierzał. Nie chciał dać się okantować.

– Bez zobowiązań – zapewnił tamten. – Podnieś kubek.

– Dobrze. – Chłopiec podniósł ten środkowy i odkrył półprzejrzystą niebieską kulkę. – Co teraz?

– Postaw z powrotem.

Cole zakrył kamyk. Mężczyzna się uśmiechnął.

– Niczego jeszcze nie dotykałem. Tylko ty. Zgoda?

Cole skinął głową.

– Patrzysz uważnie? – Mężczyzna bez większego pośpiechu przesunął kubki, zamieniając miejscami lewy i środkowy. – Dobra. Zgadnij, gdzie jest kulka.

Chłopiec wskazał lewy kubek, który wcześniej był w środku.

– Chcesz się założyć o te schowane pieniądze? Jeżeli masz rację, to je podwoję. Będziesz mógł dostarczyć przesyłkę, a drugie tyle zachowasz dla siebie.

– Nie, dziękuję – odparł Cole.

– Na pewno? Mam dość forsy. Ostatnia szansa.

– To nie moje pieniądze.

– Niech będzie – uległ mężczyzna. Uniósł kubek po prawej. Nic pod nim nie było. Pod środkowym również. – Spróbuj ten, który wybrałeś.

Kiedy Cole go podniósł, odkrył małego ptaka o brązowych piórkach i żółtym brzuszku. Ptaszek dwa razy podskoczył w miejscu, a potem odfrunął, furkocząc skrzydełkami.

– Tak właśnie przeczuwałem, że przegram – stwierdził chłopiec.

Mężczyzna z szerokim uśmiechem odwrócił prędko kubek po prawej i podał go Cole'owi. Naczynie było pełne niebieskich kulek.

– Ufaj tym swoim przecuciom, mały. Kiedy coś wygląda za dobrze, żeby było prawdziwe, to właśnie tak jest. Miejscowi doskonale wiedzą, że w trzy kubki się nie gra. Rozstawiam się w pobliżu placu Bramnego, żeby powitać przybyszów i dać im praktyczną lekcję. Jeszcze cię tu nie widziałem. Jesteś

nowy w mieście?

– Dosyć – przyznał Cole.

– Opowiedz mi o tych gościach, dla których pracujesz. Przydałby im się ktoś taki jak ja?

– Mało o nich wiem. Są dość tajemniczy.

Mężczyzna westchnął.

– Ot, życie w Kartaginie Wschodniej.

– Wie pan co? Może mi pan w czymś pomóc – spróbował Cole. – Szukam fontanny z siedmioma dyszami.

– Dlaczego cię interesuje?

– Zaoszczędziłbym czas. Chodzi o tę dostawę. Nie liczyłem tutaj dysz w fontannach.

– A myślisz, że ja tak?

– Może. Pan ma oko do szczegółów. Wspomniałbym swoim pracodawcom, że mi pan pomógł.

Mężczyzna przyjrzał mu się w zamyśleniu.

– Wyglądasz mi na dobrego dzieciaka. Chcesz zarobić parę kółkatów. Doceniam to. Mówisz o Fontannie Lorony. To daleko, ale droga jest prosta. – Podał Cole'owi wskazówki. Skrecało się tylko cztery razy. – Pojąłeś? – Cole wszystko mu powtórzył. – Brawo – pochwalił mężczyzna. – Jeżeli lepiej poznasz tych ludzi i zaczniesz im ufać, to wspomnij, że ci pomogłem. Ale wcześniej miej się na baczności. Może ci się zdawać, że przenoszenie kółkatów z miejsca na miejsce to łatwy zarobek. Jednak kiedy coś wygląda za dobrze, żeby było prawdziwe...

– Jasne – odparł Cole i było mu trochę wstyd, że okłamał tego gościa. Jak na krętacza sprawiał wrażenie porządnego człowieka. – Dziękuję za radę. I za

wskazówki.

– Lepiej obwiązać sobie tułów – dodał mężczyzna. – Kółkatami. Wtedy można ukryć wybrzuszenia pod paroma warstwami ubrania.

– Będę pamiętał – obiecał chłopiec, a potem ruszył dalej ulicą.

Po drodze powtarzał w myślach wskazówki i wypatrywał pierwszej przecznicy, w którą miał skręcić.

Im bardziej oddalał się od rzeki, tym mniej fantazyjne stawały się budynki. Co prawda tu i ówdzie wciąż dostrzegał dziwacznych ludzi, ale samo miasto zaczęło wyglądać normalniej.

Dotarł do Fontanny Lorony, ani razu nie gubiąc drogi. Była centralnym punktem skromnego placu okolonego przez wąskie ulice i otynkowane ściany domów mieszkalnych. W basenie fontanny bawiły się cztery pucułowate cherubinki. Trzy z nich miały po muszli w każdej dłoni, a środkowy unosił jedną nad głową. W przeciwieństwie do innych posągów, które Cole widział w Kartaginie Wschodniej, te były nieruchome. Z każdej muszli tryskała woda.

Mężczyzna nie kłamał: fontanna miała siedem dysz. Oby jako jedyna po tej stronie rzeki.

Cole nie widział nikogo ze swoich przyjaciół. Poczul ukłucie niepokoju. A jeśli coś im się stało? Chyba mieli dość czasu, żeby dotrzeć tu przed nim. Ale może ich wyprzedził, używając miecza skakania. Co zrobi, jeśli się nie pojawią? Nagle boleśnie sobie uświadomił, że bardzo nie chciałby zgłębiać Pięciu Królestw w pojedynkę. W obcym miejscu, takim jak Elloweer, czułby się zdany na łaskę losu.

Aby za bardzo nie rzucać się w oczy, usiadł na ławce w cieniu. Wkrótce dało o sobie znać zmęczenie. Łagodny chlupot fontanny także robił swoje.

Jaka była szansa, że Ansel albo któryś z jego ludzi trafi akurat tutaj? Cole uważnie rozejrzał się po okolicy. Znajdował się po przeciwległej stronie miasta w stosunku do miejsca, gdzie napotkał go handlarz niewolników.

Placyk okazał się nieduży i niezbyt uczęszczany. Joe musiał go wybrać właśnie ze względu na ustronność. Ansel na pewno obserwował główne drogi i mosty. I pewnie skupił się na Kartaginie Zachodniej.

Im dłużej Cole tam siedział, tym silniej odczuwał wyczerpanie. Czy powinien wstać i zacząć spacerować? Niemądrze byłoby zasnąć. Ale czy to coś złego, że na minutkę zamknie oczy? Ławką w cieniu nie interesował się nikt inny, więc Cole podwinął nogi i oparł się o podłokietnik. Pozycja okazała się niebezpiecznie wygodna.

Sękaty drzewo o rozłożystych konarach osłaniało go przed słońcem wiszącym wysoko na niebie, więc temperatura panowała niemal idealna. Fontanna bulgotała kojąco. W ramach eksperymentu Cole zamknął oczy. Wiedział, że powinien je zaraz otworzyć i znowu spojrzeć wkoło. Ale miło dać im chwilę odpoczynku, a poza tym przecież rozglądał się przed momentem.

– Wynocha stąd, włóczęgo! – warknął mu jakiś głos wprost do ucha, budząc go gwałtownie.

Cole zerwał się na równe nogi, sennie mamrocząc przeprosiny, a potem rozpoznał Jace'a uśmiechniętego od ucha do ucha. Chętnie by mu przywalił, gdyby tak bardzo nie cieszył się na jego widok.

– Wymyśl sobie jakiś nowy żart.

– Poczekam, aż ten przestanie działać. Beztroski jesteś jak na ściganego. Miłe miałeś sny?

– Próbuję się nie wyróżniać – odparł Cole. Rozejrzał się dokoła. – Gdzie reszta?

– Niedaleko. Zarezerwowałem nam parę pokoi w pobliżu. Nie możemy się włóczyć po mieście, skoro cię szukają. Zostaniemy tutaj do przybycia Joego.

– Ansel mnie widział – poinformował Cole. – Ten handlarz niewolników. Gonił mnie.

- Wiem. Drgawa miał cię na oku. Dał nam znać, że uciekłeś za pomocą miecza skakania.
- Wiedział o tym?
- Potrafi być zręczny. Kiedy uciekłeś, dogonił mnie i Mirę, jakby to nie był żaden problem.
- Ansel zapowiedział, że mnie dopadnie.
- To rzeczywiście świetny powód do drzemki w publicznym miejscu – odparł Jace. – Chodźmy.

ROZDZIAŁ 6

KASORI

Wpołowie cichej bocznej uliczki, kilka przecznic od Fontanny Lorony, stała skromna dwupiętrowa gospoda z jasnoniebieskimi okiennicami. Nie była ani okazała, ani ruderowata, ot, niczym nie różniła się od dziesiątków innych domów, które Cole mijał przez cały dzień.

– Nie ma wspólnej sali – mruknął Jace, gdy podchodzili do drzwi. – Czyli nie ma tłumów.

Główne wejście od strony ulicy prowadziło do niewielkiego przedpokoju, gdzie za ladą siedziała rozkojarzona kobieta przyjmująca gości. Jace pomachał, kiedy ją mijali. Odpowiedziała bladym uśmiechem. Cole pomyślał sobie, że nawet w dziwnym, zabójczym świecie pełnym magicznych iluzji nudna praca wciąż jest nudną pracą.

Po drodze na piętro Jace wyjął klucz.

– Wynająłem trzy pokoje: najładniejszy, jaki mieli, i dwa tańsze, w tym taki dla czterech osób. Chciałem, żeby personel wziął nas za służbę, która rezerwuje nocleg dla swoich państwa. Ta pani przy wejściu nie pytała o szczegóły. Najlepszy pokój jest na drugim piętrze. Daliśmy go Mirze.

– Czy to bezpieczne zostawiać ją tam samą? – zapytał Cole.

– Nasz najmniejszy pokój jest po sąsiedzku. Ja tam będę mieszkał. Ty na razie zamieszkaś z Drgawą. Idź dokończyć tę drzemkę spod fontanny. Jeśli chcesz, to możesz się wykąpać w łazience na końcu korytarza.

Nie uszło uwagi Cole'a, że Jace stara się aranżować sytuację, w których miałyby Mirę tylko dla siebie. Ciągłe się w niej durzył. Pewnie celowo wynajął pokoje na różnych piętrach. Cole wiedział, że nie powinien się odzywać, ale czasami trudno się powstrzymać.

– Masz nadzieję, że spędzisz więcej czasu sam na sam z królowną?

– Hę? – odparł Jace z miną winowajcy.

– Do miasta też niby przypadkiem wszedłeś razem z nią.

Jace uśmiechnął się zawstydzony i pokręcił głową.

– Ty naprawdę nie wiesz, kiedy się zamknąć.

– Myślisz, że to nie było oczywiste?

Jace zamilkł, zacisnął zęby, powietrze zagwizdało mu w nozdrzach. Kiedy znów się odezwał, mówił cicho:

– Nie ma znaczenia, co ja czuję. Nie miałem u niej szans, jeszcze zanim się dowiedziałem, że jest królowną.

Cole pokręcił głową.

– Chyba nie znam drugiego tak pewnego siebie gościa jak ty. Dlaczego to nagle gdzieś znika, kiedy chodzi o nią?

Jace westchnął.

– Czy podobał ci się kiedyś ktoś poza twoim zasięgiem?

Cole poczuł, że krew napływa mu do twarzy.

– Może.

– Bardzo?

Cole wzruszył ramionami. Nagle najchętniej skończyłby rozmowę. Jakim cudem zeszło na Jennę?

– Chyba bardzo.

– Powiedziałeś jej kiedyś, co czujesz?

– No co ty!

– Dlaczego nie?

Cole przełknął ślinę.

– Pomyślałem, że nic z tego nie będzie.

– Bałeś się – stwierdził Jace.

– Chyba tak – przyznał Cole. – Zaprzyjaźniliśmy się. To mi wystarczyło.

– Naprawdę? – naciskał Jace.

– Nie. Ale myślałem, że kiedyś jej to powiem.

Jace zachichotał.

– No to powodzenia teraz – powiedział. Cole patrzył na niego poważnie. – Została na Ziemi? – Cole dalej patrzył. – Aha. – Na twarzy Jace’a wreszcie pojawiało się zrozumienie. – Tobie chodzi o tę Jennę. Twoją przyjaciółkę.

– Właśnie. – Cole usiłował nie zaczerwienić się jeszcze bardziej.

– A teraz przepadła – rzekł Jace bez cienia szyderstwa. – Jest niewolnicą.

Płacz w obecności Jace’a to ostatnie, na co Cole miał ochotę, ale nietypowa życzliwość chłopaka nie ułatwiała sprawy.

– Dopóki jej nie znajdę.

– Znajdziesz – powiedział Jace poważnie. – Posłuchaj, ty nie powiedziałeś Jennie, co czujesz, bo obawiałeś się jej reakcji. Ale ja w przypadku Miry mam prawdziwe powody, żeby milczeć. Ona jest formistką, ja nie. Jest dużo starsza, niż na to wygląda. I jest córką najwyższego króla. To oznacza, że nawet na wygnaniu nie zadaje się z takimi chłopakami jak ja.

– Ty też się boisz – stwierdził Cole.

Jace fuknął.

– Może. I wstyd mi, że chcę czegoś, co jest zupełnie poza moim zasięgiem.

Jestem byłym niewolnikiem bez rodziny. I jeszcze długo nie będę dorosły. Ale to nie znaczy, że moje uczucia nie są prawdziwe. Mogę się nią opiekować. Być jej przyjacielem. Spędzać z nią trochę czasu. Czy to tak dużo?

– Rozumiem. Nie będę ci już dokuczał. Kiedyś byłem przerażony, że będą ze mnie kpić z powodu Jenny.

– Pomyśl o wszystkim, co musimy zrobić. Gdyby Mira się połapała, jak bardzo mi się podoba, to mogłoby kompletnie popsuć sprawę.

– Raczej się domyśla.

– To nic. Ważne, że nie mogę tego potwierdzić. Dużo myślisz o Jennie?

– Cały czas – odparł Cole. – Ale nie w sensie romantycznym – dodał czym prędzej. – Martwię się o nią. I o mojego przyjaciela Daltona też. I o pozostałych.

– Pomogę ci ich znaleźć – obiecał Jace.

– Dzięki.

Jace podał Cole'owi klucz i wskazał drzwi.

– Zostawiłem w środku trochę jedzenia z autowozu. Potem pójde kupić więcej. Ty nie powinieneś wychodzić częściej niż to konieczne.

– Jasne – odrzekł Cole, zastanawiając się, czy resztę pobytu w Elloweer spędzi w czterech ścianach. – Dzięki, że znalazłeś nam miejscówkę.

Jace skinął głową, a potem ruszył korytarzem. Cole patrzył za nim i pomyślał, że chyba po raz pierwszy rozmawiał z prawdziwym Jace'em. Czasami w ogóle nie był pewien, czy ten chłopak ma uczucia. Zwykle skrywał je za grubym murem.

Cole otworzył drzwi kluczem. Większość pokoju zajmowały cztery wąskie łóżka. Przynajmniej było tu czysto. Drgawa, z widocznymi czułkami i skrzydłami, siedział na skraju jednego z materaców. Cole spojrzał na

przyjaciela i coś sobie uświadomił.

– Teraz cały czas będziesz tak wyglądał.

Drgawa uśmiechnął się nerwowo.

– Poza granicami Elloweer wyglądałem jak zwykły człowiek, chyba że użyłem pierścienia. Tak długo mnie tu nie było, że dziwnie mi z myślą, że nie będę się mógł w ten sposób kamuflować. Czasami to ułatwiało życie. Poza naszymi kilkoma wioskami rzadko widuje się grinaldich. Podróżując po Elloweer, zawsze się wyróżniałem.

Cole przeszedł przez pokój i usiadł na jednym z łóżek.

– Jace mówił, że śledziłeś mnie po tym, gdy natknąłem się na Ansela.

Drgawa wbił wzrok w podłogę.

– Chciałem się upewnić, że nic ci nie jest.

– Dzięki za opiekę. Ale uważaj. Tym handlarzom niewolników nie chciałbyś podpaść.

– Wierzę. Co powiedział? Byłem za daleko, by usłyszeć.

– Zapowiedział, że mnie dopadnie i utnie mi rękę z wolnoznakiem.

Drgawa aż się skrzywił.

– Nie wyglądał na gościa, w którym warto mieć wroga.

– Rzeczywiście – zgodził się Cole.

– Na pewno jesteś zmęczony.

– Trochę. Chwilę się zdrzemnąłem i dobrze mi to zrobiło. A ty?

– Jestem wyczerpany. Ale dziwnie się czuję z powrotem w Elloweer. Taki wyjątkowo czujny.

– Dobrze być w domu?

– To nie jest mój dom. – Drgawa zamrugał. – Mój dom to Kasori. Moja wioska. Reszta Elloweer właściwie jest mi obca. Ale powrót przypomniał mi o tym, co zostawiłem.

– Odszedłeś, by pomóc wiosce – przypomniał sobie Cole.

Drgawa zwiesił głowę, zadygotały mu czułki.

– I zupełnie zawiodłem.

– Co próbowałeś zrobić?

Drgawa ciężko westchnął.

– To mój problem, nie twój.

– Pomogę ci, jeśli będę w stanie – odparł Cole. – Wszyscy ci pomożemy.

Drgawa podniósł wzrok i spojrzał na chłopca z żalną miną. Łzy lśniły mu w oczach.

– Pamiętasz, jak powiedziałaś, że nie chciałbym podpaść tym handlarzom niewolników?

Cole przytaknął.

– Was też nie chcę wciągać w moje kłopoty – ciągnął Drgawa. – To byłoby nie w porządku. Lepiej zachować je dla siebie.

– No co ty – nalegał Cole. – Przecież jesteśmy teraz przyjaciółmi. Uratowałeś mi życie.

Drgawa spuścił głowę i mocno potarł nadgarstek. Po długiej chwili westchnął przejmująco.

– Słyszałeś o czempionach Elloweer?

– To drużyna sportowa?

Drgawa spróbował się uśmiechnąć.

– Każde miasto w Elloweer ma swojego czempiona. W tych dużych czempion dysponuje dwunastoma rycerzami. Rządzi miastem, broni go i decyduje, na co wydawać podatki. W dużych miastach praktycznymi sprawami zwykle zajmuje się władarz, a czempion żyje komfortowo, chyba że staje do pojedynku.

– Czempion to coś w stylu generała? – zapytał Cole.

– Generał ma armię, a czempion tylko swoich rycerzy. Służą mu jako ochrona i wsparcie. Elloweerskie miasta mają straż, która pilnuje porządku publicznego, ale do wojen nie używa się armii. Zgodnie z tradycją o ich wyniku rozstrzyga pojedynki czempionów.

– Serio? Gdy ktoś zabije czempiona, to przejmuje miasto?

– Mniej więcej. Ale walka musi być uczciwa i zgodna z zasadami.

– Przecież to wariactwo! – zawołał Cole. – Efekt musi być taki, że rządzą najlepsi wojownicy. – Wyobraził sobie, co by się działo, gdyby wybory na Ziemi rozstrzygać pojedynkiem na śmierć i życie. Ależ by było dziwnie! Kandydaci mieliby wtedy dużo mniej lat i odpuściliby sobie drogie garnitury.
– Przecież rzadko kiedy najlepszy wojownik jest jednocześnie najlepszy w rządzeniu.

– I właśnie dlatego większość ma władarzy, którzy wszystkim kierują – odparł Drgawa.

– Kto pilnuje, żeby pojedynki odbywały się zgodnie z zasadami?

– Rycerze. Gdyby ktoś zabił czempiona nieuczciwie, na przykład go otruli albo wbił mu nóż w plecy, nowym czempionem zostałby jego następca, a nie zabójca.

– Czempion zawsze ma wyznaczonego takiego następcę?

- Zwykle kilku. Najczęściej spośród swoich rycerzy.
 - To znaczy, że jeden z rycerzy mógłby zamordować czempiona i zająć jego miejsce.
 - I właśnie dlatego czempion stara się, żeby jego rycerzami byli prawi wojownicy, którym może ufać.
 - Dlaczego ktoś chciałby zostać czempionem? To brzmi niebezpiecznie.
 - Bo jest niebezpieczne – zgodził się Drgawa. – Ale jako czempion rządzisz miastem. Jeśli chcesz, większość pieniędzy z podatków możesz zachować dla siebie i swoich przyjaciół. Niektórzy wielcy czempioni zdobyli więcej miast, kierują nimi za pośrednictwem włodarzy i żyją jak królowie.
 - Czy jeśli ktoś zabije takiego czempiona, przejmuje wszystkie jego miasta?
 - Czempiona może wyzwąć na pojedynek wyłącznie inny czempion. I walczyć tylko o jedno miasto naraz. Jeśli obrońca zginie, nowy czempion przejmuje to miasto, a pozostałe odziedzicza następca dotychczasowego.
 - Zawsze walczą na śmierć i życie?
 - Tak. Teoretycznie czempion może się poddać, zamiast ginąć, ale nigdy się tak nie dzieje. Jeśli się podda, przeciwnik nie musi okazać mu litości.
 - Często zdarzają się takie walki?
 - Niezbyt. Rzucając komuś wyzwanie, czempion ryzykuje życie i utratę miasta. Większość zadowala się dotychczasowymi wpływami. Ale niektórzy są chciwi. Albo ambitni. A czasami między miastami rodzą się spory, które muszą rozstrzygać czempioni.
 - Zamiast wojny.
 - Ten pojedynek to właśnie wojna.
- Cole zastanowił się nad konsekwencjami.

– To chyba mniejsza strata niż bitwa między dwoma miastami – stwierdził.

– Przegrywające miasto zawsze cierpi. – Drgawa spuścił wzrok. – Dobrze o tym wiem.

– Czy właśnie to spotkało twoją wioskę? – spytał Cole.

Drgawa podrapał się w policzek i potarł nos.

– Kasori nie jest duże. Ani bogate. Od wielu pokoleń nasz czempion nigdy nie walczył. Był bardziej włodarzem niż wojownikiem. Jesteśmy prostym ludem. Prawie nie płaciliśmy podatków. Nikt się na nich nie bogacił. Nie walczyliśmy z sąsiednimi wioskami grinaldich, a kto oprócz nich zawracałby sobie nami głowę? Ale potem przyszedł Renford.

– Kto to taki?

– Niedaleko naszej wioski jest bagno. – Drgawa zmarszczył nos. – Zastaje moczary pełne gadów i szlamu. Mieszka tam trochę obszarpańców, parę dużych rodzin. Grinaldi sieją, zbierają i gromadzą plony. Uprawiamy ziemię. Ci z bagien rozstawiają pułapki albo jedzą padlinę. Żyją jak szczury. Po latach właściwie bez wzajemnych kontaktów niektórzy z nich zaczęli zauważać, co mamy, choć wcale nie było tego dużo. Wysłali swoich synów, żeby kształcili się na wojowników, a potem okrzyknęli się społecznością i wybrali Renforda Długala na czempiona.

– O nie!

– Pewnego dnia Renford przyjechał w towarzystwie pięciu rycerzy, każdy w zbroi złożonej z niedopasowanych kawałków z odzysku. Wyzwał naszego czempiona Brinkusa do walki. Właściwie nikt z nas nie traktował Brinkusa jak czempiona, chociaż teoretycznie taką miał funkcję. Był starszym mężczyzną z chorym skrzydłem, dowcipnym i zapominalskim. Syn poprosił go, żeby ustąpił i pozwolił mu walczyć w swoim imieniu, ale Brinkus osobiście stanął do pojedynku. I zginął.

– Więc waszym czempionem został Renford – dopowiedział Cole.

Drgawa skinął głową.

– Syn Brinkusa, Borus, udał się do sąsiedniej wioski i zaproponował, że zastąpi ich czempiona. Ten nie był wojownikiem, więc się zgodził. Nowemu czempionowi nie wolno rzucić wyzwania przez pół roku, więc Borus odczekał, ile trzeba, wyzwał Renforda i również zginął. Potem Renford wyzwał na pojedynki czempionów dwóch pozostałych wiosek grinaldich w okolicy. To bardzo zdolny wojownik. Jego rycerze, głównie bracia i kuzyni, też dużo potrafią.

– Czyli wasze wioski opanował ktoś z zewnątrz – podsumował Cole.

– I to nie pierwszy lepszy – odparł Drgawa – ale leniwy tyran. Wielu ludzi z bagien przeprowadziło się na naszą ziemię. Moją rodzinę wyrzucono z domu. Wkrótce rycerze Renforda przekroczyli limit dwunastu. W ogóle nie opiekowali się ziemią i majątkiem, który skonfiskowali. Pola uprawne zdziczały. Trzoda wyzdychała. Renford podniósł podatki, i to do takiej wysokości, że nikt nie był w stanie sprostać zobowiązaniom. U żadnego elloweerskiego czempiona podatek nie może przekroczyć pięćdziesięciu procent, a u niego sięgał prawie osiemdziesięciu. Nasi najlepsi robotnicy ledwo wiązali koniec z końcem. Kiedy niektórzy z nas zaprotestowali, zostali rozniesieni w pył.

– Co za koszmar – jęknął Cole z przerażeniem.

– Mój lud się poddał. Nie było nas wielu. Większość najdzielniejszych zginęła. Musiałem coś zrobić, ale samotny atak na ludzi z bagien nie miałby sensu. Byłem tylko dzieckiem, a do tego żadnym tam wojownikiem. Wymknąłem się z Kasori i wybrałem się do Wenachi, ostatniej wioski grinaldich, zbyt małej i odległej, żeby interesowała Renforda. Tam opowiedziałem mieszkańcom o naszym problemie. Zgodzili się, że jeśli znajdę czempiona, to może ich reprezentować. Więc wyruszyłem na poszukiwania bohatera.

– A potem trafiłeś w niewolę – zrozumiał Cole.

Drgawa spuścił głowę. Dygotały mu skrzydła.

– Grinaldi żyją w odosobnieniu. Nigdy nie zawracaliśmy sobie głowy wolnoznakami i jarzmoznakami. Nie mieliśmy igłomistrzów. Byłem tak zdesperowany, by znaleźć herosa, że zapomniałem, jak niebezpieczna jest reszta świata. Złapali mnie, oznaczyli i zrobili ze mnie niewolnika.

– Nadal potrzebujesz bohatera.

– Znalezienie go nie będzie łatwe. Już próbowałem. Nieliczni ludzie z zewnątrz, którzy nigdy nie słyszeli o grinaldich, w ogóle się nami nie przejmują. Nasze wioski wydają się bogate tym z bagien, ale nie czempionom zamożnych miast. W Elloweer mi się nie poszczęściło, więc wyruszyłem za granicę. Myślałem, że stamtąd sprowadzę herosa.

– A Joe? – spytał Cole.

Drgawa pokręcił głową.

– Joe jest potrzebny Mirze. Poza tym on nie wygląda mi na zawodowego szermierza. W pojedynkach nie wolno używać zaklęcia. Dozwolone są tylko tradycyjne bronie i zbroje. Renford nie nadaje się do niczego innego, ale bić to się umie.

– To jaki masz plan?

Drgawa zaczął się niezręcznie wiercić.

– Mam nadzieję, że Mira zgodzi się oddać moją część pieniędzy od Declana. Może wystarczą mi do opłacenia zawodowego rycerza, który podejmie się walki z Renfordem jako nasz czempion. Potrzebny ktoś, kto potrafi wygrać, ale ma gdzie indziej własne życie, więc nie zostanie w naszej wiosce zamiast Renforda. Z łupienia grinaldich można żyć na tyle dobrze, żeby niektórych to kusilo.

– Na tyle dobrze, że zachęciło tych z bagien.

– Ale zbyt skromnie i samotnie, żeby skusić kogoś przywykłego do życia w mieście – odparł Drgawa. Również złożył skrzydła. – Teraz rozumiesz cel mojej wyprawy.

– Musi ci się udać. Pozostali powiedzą to samo. Podziel się z nimi tą historią. Na pewno pomogą ci znaleźć właściwego czempiona. Joe nieźle się orientuje. Dopilnuje, żeby nikt cię nie okantował.

Drgawa milczał przez chwilę. Kiedy się odezwał, mówił z namysłem i przekonaniem.

– Może masz rację. Bardzo długo skrywałem ten sekret. Zamierzałem go nie wyjawiać, dopóki nie znajdę właściwego wojownika. Teraz sam się zdziwiłem, jak dobrze opowiedzieć komuś o tej misji.

– Wszyscy czasem potrzebujemy pomocy – powiedział Cole. – Nie musisz szarpać się z tym sam.

Drgawa się uśmiechnął.

– Dzięki. Przyjaciele, których szukasz, to farciarze, że cię mają. Dawno nie byłem taki pełen nadziei.

– A ja taki senny – odparł Cole, ziewając. – Wcale nie przez to, co mówiłeś!
– dodał pośpiesznie.

– Dobrze cię rozumiem. Jestem wykończony. Szkoda, żeby te łóżka się zmarnowały.

– Ale wszystko po kolei. Już nie pamiętam, kiedy ostatnio brałem kąpiel.

ROZDZIAŁ 7

SALON DYSKRECJI

Nazajutrz Cole stał przy oknie i przez szpary w okiennicach patrzył na ulicę

w dole, ociężały po zbyt długim śnie. Wzdrygnął się, słysząc pukanie do drzwi. Drgawa poszedł otworzyć.

– Kto tam?

– Przyjaciel – padła odpowiedź.

– Joe – mruknął Drgawa, otwierając drzwi.

Mężczyzna wszedł do pokoju, znacznie czystszy, niż Cole widział go dotychczas. Szarą skórzaną kurtkę i dżinsy zastąpiły ciemne spodnie, rdzawa koszula i stylowy surdut. Był ogolony i uczesany.

Drgawa wyrzwał na korytarz, a potem zamknął drzwi.

– Martwiliśmy się o ciebie – powiedział Cole. – Nie wiedzieliśmy, z kim się mierzysz. Wygląda na to, że wygrałeś walkę. Niezłe ciuchy.

Joe uśmiechnął się pod nosem i spojrzał na swoje ubranie.

– Nowe wcielenie to element mojego planu. Gdy tylko można, staram się właściwie ubrać do roli. – Rzucił na łóżko dwie paczki. – Dla was też mam nowe rzeczy.

– Dogoniłeś agenta? – zapytał Drgawa.

– Trochę mi to zajęło. Obaj szliśmy na piechotę, lecz on zwinnie się poruszał. W końcu wpakowałem mu strzałę w plecy. Chciałem go przesłuchać, ale już nie żył. Potem zwinąłem jakiegoś konia i czym prędzej przyjechałem tutaj. Dotarłem do miasta wczoraj wieczorem, a dzisiaj przez cały dzień załatwiałem sprawy. W południe spotkałem się z Jace'em przy fontannie. Wspomniał, że miałeś kłopoty, Cole. Co się stało?

– Okropny pech – przyznał chłopiec. – W Kartaginie Zachodniej natknąłem się na handlarza niewolników, który mnie i moich przyjaciół tu sprowadził i naznaczył. Uciekłem mu, używając miecza skakania, ale zapowiedział, że mnie odnajdzie.

– Jak się nazywa? – spytał Joe.

– Ansel.

Joe zmarszczył czoło.

– Nosi przy sobie sierp?

Cole kiwnął głową.

– Skąd wiedziałeś? – zapytał.

Joe gwizdnął, jakby był pod wrażeniem.

– Widzę, że kiedy znajdujesz sobie wrogów, to nie uznajesz półśrodków. Ansel Pratt jest jednym z najbardziej bezwzględnych handlarzy niewolników w Pięciu Królestwach.

– Znasz go?

– Tylko ze słyszenia. To człowiek, którego lepiej unikać, chyba że ma się dużo pieniędzy i potrzebuje takich usług. Jeżeli jakiś klient nie wywiąże się z umowy, odwet Ansela jest szybki i brutalny. Inni handlarze nauczyli się nie wchodzić mu w drogę. Tylko nieliczni mogą z nim konkurować, jeśli chodzi o liczbę niewolników w obrocie. On i jego ludzie to nic dobrego.

– Zapowiedział, że obetnie mi rękę z wolnoznakiem i zaciągnie mnie z powrotem do Łupieżców Niebios – powiedział Cole. – Wierzę, że będzie próbował.

– Ja też – zgodził się Joe. – No, to nie ma wyboru. Musisz pójść ze mną i Mirą do salonu dyskrecji.

– Dokąd?

– Salony dyskrecji ma większość miast w Elloweer. W Kartaginie Wschodniej są trzy. Służą jako miejsca spotkań, w których można wymieniać informacje z zachowaniem pewnej anonimowości. Na każdego, kto tam wchodzi, zostaje nałożona zdawa, więc wygląda inaczej niż naprawdę. Klientami są wszyscy, od kryminalistów po przedstawicieli władz. Zarezerwowałem miejsce w najbardziej luksusowym salonie.

– Żeby zdobyć informacje? – spytał Cole.

– Między innymi. W salonach dyskrecji nawiązuje się kontakty i dobija targu. Zdawy zwykle prędko się rozwiewają. Chcę znaleźć kogoś, kto nałoży na ciebie i Mirę taką trwałą, najlepiej jeszcze dziś. Poluje na was zbyt wielu ludzi.

Po raz pierwszy od spotkania z Anselem Cole pojął, że istnieje alternatywa dla ukrywania się do końca życia w czterech ścianach.

– To w ogóle możliwe? – spytał.

– Właściwy zaklinacz będzie umiał to zrobić – zapewnił Joe. – Należę do ruchu oporu o nazwie Niewidzialni. W rejonach Sambrii, przez które podróżowaliśmy, nie był on silny, ale tutaj jest nas sporo. Nie powinienem mówić nikomu o naszej grupie bez zgody dwóch innych starszych członków, ale nie wyobrażam sobie, że mógłbym nie zdradzić wam tego sekretu. Zgoda będzie musiała poczekać. Wątpię, żeby mi się za to oberwało. Bądź co bądź uciekamy z królewną Miracleą.

– Spotkałeś się już z nimi?

– Mamy tajne sposoby komunikacji. Widziałem w okolicy subtelne ślady naszej aktywności. Wczoraj wieczorem i dziś rano rozmieściłem w mieście komunikaty, żeby Niewidzialni odwiedzili po południu salon dyskrecji Cienisty Zaulek. Jeśli jacyś członkowie odpowiedzą na wezwanie, to mamy szansę na niezbędną pomoc.

– Kiedy tam pójdziemy?

– Powóz już czeka. Chciałem wziąć tylko Mirę, bo to o jej twarz najbardziej się martwię, ale dodatkowy gość to chyba nie problem. Wstęp kosztuje trzy złote kółkaty za osobę.

– Trzy złote kółkaty! – zawołał Drgawa. – Za taką forszę mógłbym żyć przez miesiąc!

– Dobre informacje nie bywają tanie – odparł Joe. – Powinniśmy już iść.

– Potrzebuję pieniędzy? – spytał Cole.

– Ja za ciebie zapłacę. Weź może parę kółkatów na wszelki wypadek, ale większość zostaw tutaj. Przebierz się, będę czekał na dole. Nie zabieraj miecza.

Sznurkiem z większością pieniędzy Cole miał teraz obwiązany tors. Zdjął bluzę, a Drgawa rozsupłał węzeł. W paczce na łóżku Cole znalazł niebieską koszulę na guziki oraz czarne spodnie. Włożył je, a potem schował do kieszeni parę złotych, srebrnych i miedzianych monet.

– Życz mi szczęścia – poprosił.

– Mam nadzieję, że cię nie poznam, kiedy się znowu spotkamy – odparł Drgawa.

Cole przytaknął, chociaż perspektywa wyglądanego jak ktoś inny była bardzo dziwna.

– Do zobaczenia.

Mira i Joe już czekali na dole. Joe trzymał brązową skórzaną torbę. Mira miała prostą czarną sukienkę z czerwoną szarfą. Cole po raz pierwszy widział ją w tak dziewczęcym stroju.

– Schludnie wyglądasz – powiedziała Mira. – Od czasu Chmurnej Doliny nasze ubrania sporo przeszły.

Cole się uśmiechnął. Chciał powiedzieć jej komplement, ale nie zebrał się na odwagę. Wyglądała odrobinę za ładnie.

– To będzie nowa przygoda – stwierdził.

– Porozmawiamy w powozie. – Joe pierwszy ruszył do drzwi. Wyszli na małą boczną uliczkę. – Tędy. – Poprowadził ich za róg, a potem pokonali kilka przecznic. Gdy dotarli do rojnej ulicy, Joe skręcił ponownie.

– Nie pochylaj głowy – mruknęła Mira. – Nie zachowuj się tak, jakbyś się ukrywał.

Cole nie robił tego umyślnie, ale zrozumiał, że dziewczynka ma rację. Czuł się odsłonięty. To byłby pech w jego stylu, gdyby akurat teraz natknął się na kogoś z karawany Ansel.

Joe poprowadził ich po marmurowych schodkach do okolonego kolumnami wejścia okazałego hotelu. Podłogę w holu pokrywała złoto-platynowa szachownica. Przepastną przestrzeń w górze przecinały jaskrawe tęcze. W jednym z kątów rzucał się w oczy szafirowy wodospad płynący w zwolnionym tempie. Cole domyślił się, że wiele z tego, co widzi, to iluzja.

Przeszli przez hol i wyszli drzwiami po przeciwnej stronie. Przytrzymał je lokaj w uniformie. Joe rzucił mu miedzianego kółkata.

– Nazywam się Dale Winters – powiedział. – Zamawiałem powóz.

– Tędy proszę – odrzekł uprzejmie odźwierny, prowadząc ich ku jednemu z konnych powozów, które czekały przy krawężniku.

Otworzył im drzwi. Wsiadając, Joe dał mu jeszcze jednego kółkata. Cole usiadł naprzeciwko niego, obok Miry. Drzwi się zamknęły i powóz ruszył.

Chłopiec był pod wrażeniem przygotowań Joego. Zamówienie powozu pod inny hotel niż ten, w którym się zatrzymali, robiło wrażenie jednego z takich sprytnych środków ostrożności, jakie stosują tajni agenci.

– Czy woźnica wie, dokąd ma jechać? – zapytał Cole.

– Tak. I że wolelibyśmy, aby nas nie oglądał. Kiedy podchodziliśmy i wsiadaliśmy, patrzył prosto przed siebie. – Joe otworzył torbę i wyjął z niej trzy maski karnawałowe. Lśniącą, srebrną dał Mirze, niebieską Cole'owi, a sam wziął czarną. – Włóżcie je.

Cole uniósł maskę, owinał głowę cienkim niebieskim łańcuszkiem i zapiął o haczyk po drugiej stronie. Patrząc przez otwory na oczy, miał nieco ograniczone pole widzenia. Maską zasłaniała całą twarz oprócz ust i brody.

– Omówmy strategię – powiedział Joe. – W salonie dyskrecji informacja to waluta. Musimy włączyć się do gry, inaczej będziemy się wyróżniać. Na

szczęście jesteśmy zamiejscowi i znamy parę atrakcyjnych plotek, które powinny kogoś zainteresować. Nie możemy mówić, kim jesteśmy, i powinniśmy unikać tematu najwyższego króla i jego córek.

– A co z Honoratą? – spytała Mira.

– Zostaw to mnie, już ja się o nią dowiem. I załatwię zaklinacza, który umie tworzyć trwałe zdawy.

– Czy mogę pytać o moich przyjaciół? – zastanawiał się Cole. – Może ktoś coś wie.

Przez chwilę Joe milczał.

– Wiem, że odnalezienie ich jest dla ciebie ważne – powiedział.

– Dla mnie też – dodała Mira.

Joe niechętnie skinął głową.

– Ogranicz się do ogółów. Jeśli nadarzy się okazja, napomknij, że podobno najwyższy król wysyła za granicę nowych niewolników o zdolnościach formistycznych.

– Którymi pogłoskami możemy się dzielić? – zapytał chłopiec.

– Niczego nie podawajcie jako wiedzy z pierwszej ręki – podkreślił Joe. – Mówcie, że usłyszeliście to z wiarygodnego źródła i tak dalej. Możecie mówić o pokonaniu Spustoszy i przybyciu czterystu legionistów do Nieboportu. Bardzo ogólnikowo wolno napomknąć o formownikach. Ciekaw jestem, czy ktoś o nich wie. Gdyby jakaś osoba wydała się użyteczna, dodajcie, że Declana wykurzono zza Wschodniego Chmuromuru. To na tyle dobra informacja, że powinna posłużyć za walutę, a przy tym nie robi krzywdy Declanowi, bo najwyższy król i tak już o wszystkim wie. Poza tym przypomnienie ludziom, że wielcy formiści nadal są w grze, będzie dla nas korzystne.

– Czy powinniśmy mówić, że wielki król uwięził swoje córki? – zapytał Cole. – Moglibyśmy ujawnić wszystkim, że tylko upozorował ich śmierć.

Ludzie byliby wściekli, prawda?

– Większość zlekceważy to jako starą teorię. A jeśli pogłoska dotrze do naszych wrogów, czym prędzej ukręca jej łeb. To niewłaściwy moment na wyjawienie prawdziwej sytuacji Miry.

– O co jeszcze powinniśmy pytać? – odezwała się dziewczynka.

– Niech to nie będzie oczywiste. Wypytajcie o wieści. Mówcie, że nie jesteście stąd. Wypadnicie wiarygodnie, bo większość waszej wiedzy rzeczywiście ma źródła w Sambrii. Spróbujcie wy badać, co się dzieje w Elloweer.

– Myślisz, że moc Honoraty też jest na wolności? – spytała Mira. – Czy Elloweer ma swoją Spustosz?

– Wyobrażam sobie, że jej zdolności formistyczne również przybrały formę. Quima wyraźnie to sugerowała. To właśnie tutaj możemy się dowiedzieć o anomaljach w królestwie. Miejcie uszy otwarte i uważajcie, co mówicie. Traficie między biegłych łowców plotek. Zbadają wszystko, co od was usłyszą. Starajcie się nie kłamać. Tych ludzi trudno oszukać.

Wkrótce powóz skręcił w pusty zaułek, zwolnił i wreszcie stanął. Uliczka była tak wąska, że Joe ledwie otworzył drzwi i wysiadł. Mira z Cole'em wyszli za nim.

Zatrzymali się przed nieoznaczonymi drzwiami w pustej ścianie. Joe zapukał, a wtedy te otworzyły się do środka, ukazując wielkiego draba z okropną fryzurą.

– Macie zaproszenie? – zapytał.

Joe podał mu kartę, a wraz z nią platynowego kółkata.

– W ostatniej chwili musiałem dodać jeszcze jednego gościa. Mam nadzieję, że to nie kłopot.

Olbrzym zmarszczył brew, przyglądając się zaproszeniu i monecie.

– Moment – powiedział, a potem drzwi się zamknęły.

– Gdyby był problem, mogę zostać w powozie – zaproponował Cole, który czuł się jak ktoś, kto nieproszony wbija się na imprezę.

– Nie – odparł Joe. – Chcę wprowadzić cię do środka i trwale zakamuflować. Jeśli to wymaga większej łapówki, stać nas.

Drzwi się otworzyły.

– Możecie wchodzić – oznajmił wielkolud, usuwając się na bok. – Witamy w Cienistym Zaułku.

Joe, Mira i Cole przekroczyli próg. Za plecami chłopiec usłyszał, że powóz odjeżdża. Drzwi się zamknęły.

Stali w niewielkim kamiennym pomieszczeniu z żelaznymi drzwiami po przeciwnej stronie. W dwóch ścianach znajdowały się rzędy ciemnych szczelin. Cole uważał, że wyglądają złowrogo. Ktoś mógłby przez nie podglądać, strzelać albo sączyć trujący gaz. Jak on trafił w takie miejsce? Przecież to misja dla wyrobionego szpiega.

Wyglądający bardzo profesjonalnie mężczyzna, zadbany i dobrze ubrany, oklepał najpierw Joego, następnie Cole'a, a na końcu Mirę. Potem cofnął się i mruknął coś do niewielkiej kratki obok żelaznych drzwi.

Otworzyły się, a wtedy dał znak przybyszom, żeby weszli. Następne pomieszczenie także wykonano z litego kamienia, było jednak większe, a także przytulniejsze dzięki dywanom, udrapowanym zasłonom i meblom z poduszkami. W ścianach zainstalowano tyle drzwi, że Cole zastanawiał się, czy pokoju nie otaczają szafy.

Przyjął ich jegomość w okularach, chyba po sześćdziesiątce. Nie był zbyt wysoki, ale tyczkowaty, miał duże dłonie i stopy. Cole'a rozpraszał silny zapach jego wody kolońskiej.

– Witajcie, czcigodni goście – powiedział mężczyzna unizonym tonem. – Czy odwiedzaliście nas już kiedyś? – Joe pokręcił głową. Widząc to, tamten

się ożywił. – Nowi goście! Cudownie. W Cienistym Zaułku szcycimy się niezrównaną dyskrecją. Mamy cztery główne salony. Wasz wygląd zmieni się przy każdym przejściu do kolejnego pomieszczenia. Najpierw wejdziecie do własnych przebieralni, zdejmiecie maski, włożycie do kufra, zamkniecie na klucz, który weźmiecie ze sobą, a potem staniecie przed lustrem. Gdy będziecie już zadowoleni z kamuflażu, wyjdźcie drugą stroną, a potem idźcie korytarzem aż do niebieskich drzwi. Jakież pytania?

Joe znowu pokręcił głową. Cole nie do końca sobie wyobrażał, o czym tamten mówi, ale nie chciał jako jedyny prosić o wyjaśnienia.

– Tędy – powiedział tyczkowaty, kierując się ku jednemu z wejść po prawej stronie. – Panicz skorzysta z drzwi z trójzębem.

Nad gałką rzeczywiście wytłoczono subtelny symbol trójzębu. Mężczyzna otworzył drzwi i Cole przestąpił próg. Wtedy drzwi zamknęły się za nim.

Chociaż uważnie nasłuchiwał, nie słyszał już ani słowa. Przebieralnia była prawie albo wręcz całkiem dźwiękoszczelna. Po drugiej stronie pomieszczenia znajdowały się następne drzwi. Na bocznej ścianie wisiało wysokie lustro, a naprzeciwko stał rząd kufków średniej wielkości. Z większości zamków sterczały klucze. Tylko dwie dziurki były puste.

Cole otworzył pierwszy kufer po lewej. Zdjął maskę, schował ją do środka, a potem zamknął wieko i wyjął klucz. Zdobiły go dwa znaki: trójząb i spiralny symbol. Taki sam znajdował się na zamku kufra.

Chłopiec stanął przed lustrem. Wyglądał tak samo jak do tej pory, więc domyślił się, że to, co ma się teraz stać, jeszcze się nie zaczęło. Rozglądał się po pokoju, zastanawiając się, czy jest obserwowany. Przecież ktoś musi stworzyć iluzję. Nie zauważył wizjerów. Może ten ktoś oglądał go zza lustra jak w pokoju przesłuchań. Albo może iluzja zachodzi automatycznie. Czy lustro było magiczne?

Kiedy patrzył na swoje odbicie, jego skóra zaczęła się robić obwisła i przeredziły mu się włosy. Rozszerzyły się uszy, nos i usta. Brzuch nabrał masy i spęczniał. Zanim Cole się obejrzał, miał przed sobą grubiotkiego staruszka, który w niczym go nie przypominał. Odbicie poruszało się tak

samo jak on i tak jak on mrugało powiekami. Gdyby taki kamuflaż był trwały, Ansel nigdy by go nie znalazł.

Gdy Cole spojrział w dół, okazało się, że nie pasuje do odbicia. Wciąż wyglądał tak samo jak po wejściu do pomieszczenia. Postać w lustrze miała natomiast elegantszy strój oraz zupełnie inną sylwetkę. Ręce wydawały się normalne, kiedy podnosił je do twarzy, za to te w zwierciadle były wyraźnie starsze, o grubszych palcach i z plamami wątrobowymi. Najwidoczniej iluzja oszukiwała wzrok Cole'a tylko w lustrzanym odbiciu.

Chłopiec wyszedł na korytarz. Ściany, sufit i podłogę pokrywało gęste futro. Kiedy zamknął za sobą drzwi, całkiem w nim zniknęły. Próbował namacać gałkę, ale nie mógł jej znaleźć. Wydawało mu się, że w dotyku to futro jest dziwne. Miał takie wrażenie, jakby grzebał ręką wśród pajęczyn. Docisnął dłoń – zagłębiła się i poczuł chłodny, płaski mur. Gdy potarł futro drugą ręką, nie napotkał oporu. Włochate ściany były złudzeniem.

Wybrał jeden kierunek, a potem ruszył przed siebie, aż dotarł do ślepego zaułka. Zawrócił więc i poszedł korytarzem, który skręcał w lewo. Wreszcie napotkał niebieskie drzwi – jedyną przerwę w futrzanej powierzchni.

Z drugiego końca korytarza nadeszła blada kobieta o srebrzystych włosach, z klejnotem na czole. Była nieco wyższa od Miry, ale Cole domyślał się, że to pewnie ona. Albo równie dobrze Joe.

Pomachał. Odpowiedziała tym samym.

– To ty? – zapytał nieznajomy damski głos.

Cole uświadomił sobie, że może to być każdy. Nie chciał dać się nabrać szpiegowi. Jak potwierdzić jej tożsamość, nie ujawniając własnej?

– Od jakiej litery zaczyna się moje imię? – zapytał.

– C? – odparła kobieta.

– A ty jesteś M? – upewnił się Cole.

Skinęła głową.

– Byłeś Łupieżcą Niebios?

– A ty jechałeś w latającej trumnie.

Kobieta zachichotała.

– Brzmisz zupełnie inaczej.

– Ty też – powiedział Cole. – Ja sam słyszę swój normalny głos.

– A ja swój – odrzekła Mira. – Wchodzimy?

– Ty pierwsza.

Mira otworzyła drzwi.

ROZDZIAŁ 8

POGŁOSKI

Wdużej sali za drzwiami postawiono w kilku grupach wygodne meble. W kącie kwartet smyczkowy grał nieznany utwór. Muzycy biegle łączyli melodie i harmonie. Z pomieszczenia wychodziły jeszcze dwie pary drzwi.

Cole natychmiast poczuł się nieswojo. To wyglądało niczym wyszukana impreza dla dorosłych. Przypomniawszy sobie jednak, że w tym kamuflażu nie wygląda już jak dziecko. Może inni też są bardzo młodzi.

Oprócz muzyków naliczył w sali osiem osób. Dwie rozmawiały w kącie, trzy siedziały na jednej kanapie, a trzy kolejne zebrały się wokół stołu.

Najdziwniejsze były dwie z nich: ktoś przypominający żywy posąg z czarnego kamienia oraz drugi, z głową papugi, ubrany w purpurową szatę.

Po przekroczeniu progu Mira zmieniła się w wesołą Azjatkę z wysoką, skomplikowaną fryzurą pełną grzebieni. Obróciła się do Cole'a i zachichotała. Chłopiec był ciekaw, jak teraz wygląda, więc podszedł do lustra. Miał pokrytą brodawkami głowę ropuchy o wyłupiastych żółtych oczach. Na wojskowej kurtce lśniły medale.

Parsknął śmiechem. Ropucha wyglądała jak żywa. To byłby najlepszy na świecie kostium halloweenowy!

Mira dołączyła do pary rozmawiającej w kącie. Z kanapy podniósł się brodaty facet z przepaską na oku i wolnym krokiem zbliżył się do Cole'a. Chłopiec czuł treść przed rozpoczęciem konwersacji, więc podał mu rękę na powitanie.

– Nie, nie – skarcił go łagodnie tamten. – Tu się nie dotykamy. Na pewno jesteś nowy.

Cole skrzępowany opuścił dłoń.

– Przepraszam. Nikt mi nie powiedział. To mój pierwszy pobyt tutaj.

Mężczyzna uniósł krzaczaste brwi.

– Albo tylko udajesz niedoświadczenie. – Nachylił się bliżej i coś wymamrotał.

– Nie dosłyszałem – powiedział Cole. – Muzyka jest trochę za głośna.

– I słusznie. Utrudnia podsłuchiwanie. A jaką piosenkę ty śpiewasz?

Cole zmarszczył brwi. Co ma odpowiedzieć na tak niespodziewane pytanie? Facet na pewno mówił szyfrem.

– Nie rozumiem, o co chodzi.

– No dobrze. Jak cię zwa?

– Chodzi o moje imię?

– Mnie w salonach zwą Hannibal. A ciebie?

Cole się zawahał. Czy powinien coś zmyślić? Joe ostrzegł go, żeby nie kłamał.

– Na razie nijak.

Hannibal przyglądał mu się przez chwilę, jakby badał jego autentyczność. Cole zaczął się zastanawiać nad prawdziwym wyglądem tego człowieka.

– No to słucham – powiedział Hannibal. – Co tu robisz?

– Nie jestem stąd. Chcę poznać wieści.

Hannibal zaśmiał się pod nosem.

– Jak my wszyscy. Skąd przybyłeś?

– Ostatnio z Sambrii.

– Uwierzę, bo to tuż za rzeką. Skąd konkretnie?

Cole zamilkł na chwilę. Jak odpowiedzieć ogólnikowo na takie pytanie?

– Z różnych miejsc. Przemieszczałem się.

– Przynosisz wieści z Sambrii?

Chłopiec zastanowił się, co powiedzieć.

– Łupieżców Niebios odwiedziło czterystu legionistów.

– Czego szukali?

Cole nie wiedział, ile wyjawic. Żałował, że nie przećwiczył wcześniej takiej rozmowy.

- Podobno wypytywali o niewolnika.
- Jednego?
- Tak słyszałem.
- Czterystu legionistów?
- Podobno.
- Znaleźli go?
- Nie wiem – odparł Cole. – Chyba nie. – Mężczyzna nie wydawał się tym szczególnie zainteresowany. – Co słyhać w Elloweer?
- Kiedy tu ostatnio byłeś? – zapytał Hannibal.
- Jestem pierwszy raz.
- Zatem witaj. Ostatnio krążą słuchy o niepokojach na północy. Znikają ludzie. Opustoszały całe miasta.
- Naprawdę?
- To niepokojąco podobne do waszych kłopotów ze Spustoszą w Sambrii. Ale dowiedziałem się o tym dopiero dwa tygodnie temu.
- Ktoś pokonał Spustosz – poinformował chłopiec.
- Słyszałem – odparł Hannibal. – Wiesz, kto to zrobił?
- Nie. – Cole zastanawiał się, czy może wyjawić nieznanemu cokolwiek ciekawszego. – Podobno było w to zamieszanych paru legionistów. Co wiadomo o tym nowym problemie w Elloweer?
- Bardzo niewiele. Nie wraca nikt, kto się tam zbliży. Nasi przywódcy zaczęli wpadać w panikę. Jak wspomniałem, wszystkim przypomina to sprawę Spustoszy. Wybacz ciekawość, ale co cię sprowadza do Elloweer, panie ropucho?

– Jestem... ee... z wizytą – odparł Cole.

– Na pewno masz tu coś do załatwienia. Może zdołam pomóc. Mam wielu przyjaciół.

– Nie jestem sam – powiedział chłopiec, pilnując się, żeby niczego nie zdradzić. – Nic sam nie załatwiam.

– Twoje sprawy to rzecz prywatna. Rozumiem to. Gdybyś chciał mi się zwierzyć, to zwykle przebywam w tej komnacie. Zamierzam tu być przez najbliższą godzinę.

– Dziękuję – powiedział Cole, nie za bardzo wiedząc, czy sobie poradził.

Może należało wyjawić jakiś duży sekret? Czy sam powinien był mocniej naciskać, żeby zdobyć informacje? Brodacz wrócił na kanapę. Cole nie zauważył, żeby Mira wyszła z sali, ale już jej tu nie widział. Wszyscy byli pogrążeni w rozmowie, więc postanowił spróbować szczęścia gdzie indziej.

Przeszedł przez drzwi i znalazł się w swobodniejszym salonie, gdzie ludzie leżeli na otomanach oraz wielkich poduszkach. Pod ścianą służący polerował kontuar, omijając wystawione na nim dania i napoje. W kącie sali pewien mężczyzna stukał w masywny ksylofon, a kobieta grała na flecie.

Gdy tylko Cole tu wszedł, przestał słyszeć dźwięki kwartetu smyczkowego. Z sześciu osób w salonie tylko dwie rozmawiały. Jeden gość z drinkiem w dłoni kręcił się przy ladzie z jedzeniem, starsza kobieta drzemała na otomane, pulchny mężczyzna pochylał się nad okrągłym pufem, studiując układ kart do gry, a piękna młoda dama o chłodnej urodzie siedziała po królewsku w olbrzymim fotelu niczym cesarzowa na tronie.

Cole podszedł do jednego z luster w pokoju. Teraz wyglądał jak Włoch w średnim wieku, niski, ale umięśniony. Widząc swoje odbicie, uświadomił sobie, iż wcale nie musi wszystkim mówić, że to jego pierwsza wizyta w salonie dyskrecji. Pod warunkiem że nie wyjawি ważnych informacji, może być kim zechce, zachowując się, jak tylko mu się podoba. Dużo gorzej niż za pierwszym razem na pewno mu nie pójdzie. Może lepiej się spiesz, jeśli trochę się rozluźni.

Rozejrzał się po sali i spróbował się odprężyć. Najbardziej przystępny wydawał mu się gość grający w karty. Podszedł i usiadł obok niego.

– Jak się masz?

Mężczyzna nie podniósł wzroku znad pasjansa.

– Zadowolająco. A ty?

– Po prostu szukam wiadomości.

– Jestem Potykajło. Jak zwać ciebie?

– Dracula – odparł Cole właściwie bez przyczyny.

– Nigdy o tobie nie słyszałem. Jaka piosenkę śpiewasz?

– Przeboje karaoke z lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych – spróbował Cole.

Mężczyzna popatrzył na niego znad kart.

– Co za brednie wygadujesz? Idź zawracać głowę komuś innemu, zanim złożę na ciebie skargę.

Joe ostrzegał Cole'a, żeby nie kłamał. Najwyraźniej dotyczyło to również żartów. To by było na tyle, jeśli chodzi o improwizację na luzie. Chłopiec postanowił iść dalej i nie ryzykować, że naprawdę zirytuje Potykajłę. Kiedy wstał, patrzyła na niego ta piękna młoda kobieta. Miała na sobie połyskującą suknię, która kojarzyła mu się z łuskami. Nieznajoma skinęła na niego zgiętym palcem.

Podchodząc, starał się pamiętać, że równie dobrze może to być szpetna staruszka. A nawet brudny staruszek. Cole postanowił zdobyć się na większą szczerość. Zmyślanie dziwnych odpowiedzi prowadziło donikąd.

Kobieta nachyliła się i odezwała cicho:

– Podejrzewam, że Błędny Rycerz to wygnany książę Laramii.

– O rany – odparł Cole. – Nie mam pojęcia, co to znaczy.

– Może powinnam mówić wolniej? – zadrwiła.

– Nie wiem, kim są ci ludzie.

Kobieta zamruwała.

– Przecież musiałeś słyszeć o Błędnym Rycerzu.

– Nie słyszałem. To moja pierwsza wizyta w Elloweer.

– Doprawdy? – Nieznajoma zachwycona klasnęła w dłonie.

– Tak. I pierwsza w salonie dyskrecji.

– Niezbyt ci wierzę, ale możemy udawać. Jestem Lisica. Skąd przybywasz, Panie Tajemniczy?

– Z Sambrii.

– Chyba z dalekich stron, skoro nie słyszałeś o Błędnym Rycerzu.

– Odległych od Kartaginy. Kim jest ten rycerz?

– Oto jest pytanie – odparła. – Jego tożsamość to temat wielu dyskusji. Błądny Rycerz został czempionem niewielkiej społeczności na wschód stąd. Ma nienasycony głód pojedynków i smykałkę do wygrywania. Zaczął od pomniejszych miast, ale potem zajął się tymi dużymi. W ogóle tego nie kojarzysz?

– Nie.

Cole zastanawiał się, czy to, o czym mówi kobieta, ma związek z informacjami potrzebnymi, żeby znaleźć Honoratę. Z całą pewnością nie wiązało się to z Daltonem i Jenną. Kusilo go, żeby przerwać nieznaną i zapytać o to, co naprawdę chciał usłyszeć, ale wydawała się podekscytowana tym tematem, więc uznał, że jeśli pozwoli jej go rozwinać, to może w końcu kobieta przejdzie do czegoś, co go interesuje.

– Nic nie wskazuje na to, żeby Błędny Rycerz chciał się ustatkować i cieszyć zdobyczami. Towarzyszy mu teraz sześciu rycerzy. Niektórzy mówią, że siedmiu. Żyją niczym włóczędzy. Kiedy Błędny Rycerz pokonuje czempiona, zwalnia włodarza, a pieniądze z podatków przekazuje mieszkańcom miasta. Urzędnicy i arystokraci nie dostają złamanego grosza. Szybko stał się ludowym bohaterem. Możesz się domyślić, że lista jego wrogów zrobiła się bardzo długa.

– Czy nie powinno się go nazywać Błędnym Czempionem? – zapytał Cole.

– Zapewne tak – przyznała Lisica. – Ale żaden z lordów i czempionów Elloweer nie chce nadać mu tej godności. On nie zachowuje się jak czempion. Mówią, że okrada podróżnych. Część miast uznała go za wyjętego spod prawa. Wprowadza chaos w nasze rządy.

– Nie lubisz go?

– Prawą rękę bym oddała, żeby go spotkać! – odparła z entuzjazmem. – Jeszcze nie mam wyrobionej opinii. Zżera mnie ciekawość. Zgadzam się z naszą arystokracją, że to łajdak, ale trzeba przyznać, że w tej śmiałości jest coś okropnie romantycznego.

Cole pomyślał, że Błędny Rycerz chyba dorobił się psychofanki.

– Wiesz, kim jest?

– Nikt nie widział go bez zbroi – powiedziała Lisica. – Hełm zasłania mu twarz. Ale być może jest księciem Laramii. To by pasowało. Książę był głośnym orędownikiem praw zwykłego ludu i często łamał konwenanse. Mówią, że nie żyje, ale może to tylko fortel zastosowany dla ukrycia nowej tożsamości?

– Więc to teoria – podsumował Cole.

– Co najmniej – odparła. – A może wręcz genialna dedukcja. Książę Laramii był słynnym przystojniakiem.

– Czy są inne teorie?

- Mnóstwo. Ale ja tu plotkuję w najlepsze, a nie spytałam ciebie o Sambrię.
- Spustoszą poległa.
- Wszyscy to wiemy. Zabójca bestii pozostaje nieznany.
- Słyszałem, że pomogli mu jacyś legionieści.

Lisica machnęła ręką, jakby ta informacja była dokuczliwą muchą.

- Czy naprawdę zupełnie o niczym nie wiesz? Nie masz żadnych soczystych ploteczek? Wtedy moglibyśmy pomówić na serio.

Cole nachylił się i zniżył głos.

- Podobno Declan, wielki formista Sambrii, został wykurzony z kryjówki.
- Niemożliwe! – zawołała. – Czy to pewne?
- Informacja jest wiarygodna.
- Niektórzy sądzili, że Declan już nie żyje.
- Żyje i ma się dobrze. Ukrywał się za Wschodnim Chmuromurem.

Lisica stęknęła.

- Na Skraju? To absurd.
- Podobno było tam trochę przestrzeni – powiedział Cole. – Dostał się za chmuromur i zbudował fort. Wygoniła go stamtąd grupa legionistów.
- Declan uciekł?
- Nikt nie wie, dokąd się udał. Ale słyszałem, że prawie go dorwali.
- To zaiste nowość – przyznała Lisica. – Znacząca, a może wręcz wstrząsająca. No dobrze, jestem ci winna coś istotnego. Skoro już poruszyliśmy temat Błędnego Rycerza, opowiem ci o najnowszych

wydarzeniach, o których jeszcze nie wiadomo powszechnie.

– W porządku – odrzekł Cole nieco zawiedziony, że kobieta skupiła się na rycerzu i nie ma nic innego do powiedzenia.

– Słyszałam z dobrze poinformowanego źródła, że Błędny Rycerz rzucił wyzwanie samemu Rustinowi Mądrymu, czempionowi Merriston.

– Gdzie to jest? – spytał chłopiec.

Lisica zachichotała, jakby żartował.

– Nie udawaj, że nie słyszałeś o naszej stolicy. Czy mam wierzyć, że jesteś obcokrajowcem, czy głupcem?

– Naprawdę jestem obcokrajowcem. Kiedy będzie walka?

– Odłożona na czas nieokreślony – powiedziała Lisica cicho i z podnieceniem. – Rustin nie chce uznać prawa Błędnego Rycerza do wyzwania go na pojedynek i ma pełne poparcie zarządcy. Naturalnie nie mówi się o tym głośno. Żaden czempion nie chce sprawiać wrażenia, że boi się stanąć do walki.

– A boi się? – zapytał Cole.

– Błędny Rycerz zgładził już wielu wprawnych czempionów, w tym Garta Kosiłba, choć wszyscy myśleli, że ten będzie rządził Cirestrą, aż umrze albo ustąpi ze stanowiska. Wyobrażasz sobie, co by to było, gdyby w stolicy wszystkie pieniądze z podatków rozdano wśród ludu? To by sparaliżowało nasze władze. Zapanowałaby anarchia. Chaos. Miasta, które podbił Błędny Rycerz, albo pogrążyły się w zamęcie, albo po cichu zlekceważyły jego zarządzenia. Wiem z wiarygodnego źródła, że stolica nie zawaha się przed niczym, byle nie dopuścić do tego pojedynku.

– Interesujące – powiedział Cole, wciąż nieprzekonany, czy ta wiedza ma przełożenie na jego problemy.

Lisica po raz pierwszy szepnęła tak cicho, że prawie zagłuszyła ją muzyka:

– Jeśli rzeczywiście jesteś tak nowy, jakiego zgrywasz, to uważaj, gdzie powtarzasz te wieści. Na przykład ten tam, Potykajło, to jeden z rycerzy Henricka. Nie byłby zadowolony z rozgłaszania takiej wiadomości. Kiedy czempioni nie zabijają się nawzajem, zwykle trzymają się razem, zwłaszcza jeśli chodzi o Błędnego Rycerza.

– Ten facet to rycerz? – zdziwił się Cole.

– Jest dużo młodszy i silniejszy, niż na to wygląda – zapewniła kobieta.

– Tutaj chyba wszystko jest możliwe. Równie dobrze mógłby być dziewczyną.

– Nieprawda – sprostowała Lisica. – Zdawy w Cienistym Zaułku zawsze odpowiadają płci przybysza. Taką tu mają regułę.

Przyczłapała do nich koścista staruszka. Cole nie zauważył, kiedy weszła do pokoju. Jedno oko miała wyraźnie większe od drugiego.

– Powinniśmy pomówić, szanowny panie – stwierdziła.

– A ty to kto? – zachnęła się Lisica.

– Nikt, kim powinnaś się przejmować – odparła staruszka. – Każdy, kto mieszka tutaj na ulicy Górnej, powinien pilnować własnego nosa.

Lisica rzuciła Cole'owi gwałtowne spojrzenie. Wyglądała na zszokowaną. Zmusiła się do uśmiechu.

Staruszka zbliżyła się do chłopca.

– Serio, chodź ze mną.

Cole nie wiedział, co robić. Kobieta wydawała się natarczywa i mogła być niebezpieczna.

– Dlaczego ja? – zapytał.

Zbliżyła suche usta do jego ucha.

– Bo ja też jestem z Arizony.

ROZDZIAŁ 9

JILL

Cole ruszył za staruszką. Był tak podekscytowany, że z trudem trzymał język za zębami. Zaprowadziła go na bok, z dala od obu drzwi, i przeszła przez ścianę. Ciemna boazeria wydawała się absolutnie namacalna. Kiedy Cole wsunął rękę w iluzję, przez moment miał wrażenie, że przedziera się przez pajęczyny, potem przeszedł na drugą stronę.

Znalazł się w przytulnym pomieszczeniu obwieszonym obrazami w ramach. Jedynymi meblami były tu okrągły stół oraz cztery krzesła. Stara kobieta usiadła na jednym z nich, a Cole na sąsiednim.

– Dobrze, teraz naprawdę możemy porozmawiać – powiedziała. – To jeden z tajnych, niemonitorowanych pokoi.

– Naprawdę pochodzisz z Arizony? – spytał chłopiec, ogromnie spragniony wyjaśnienia. – Kim jesteś?

– Jestem z Mesy – odparła. – Zostałam porwana razem z tobą, Cole! Nie wierzę, że cię tu spotkałam! Nazywam się Jill Davis.

– Znam cię! – zawołał Cole. – Chodzisz do siódmej klasy. – W zeszłym roku widywałam ją w szkole na korytarzu. Śpiewała w konkursie talentów. Nareszcie znalazł kogoś ze swojej karawany niewolników! Próbował sobie wyobrazić, jak ona naprawdę wygląda pod tą iluzją. Niełatwo było nie wierzyć oczom. – A twój brat chodzi do mojej.

– Jeff – powiedziała Jill. – Dawniej w Halloween chodziliśmy razem, ale

w tym roku był ze swoimi kolegami. Bardzo się cieszę, że nie utknął tu ze mną, ale ciągle się zastanawiam, co by się stało, gdybyśmy byli razem. Może też bym tu nie trafiła. Ty chyba też masz brata, prawda?

– Siostrę – sprostował Cole. – Nazywa się Chelsea. Jest wkurzająca, ale i tak za nią tęsknię.

– Znam to uczucie.

Chłopiec zamrugał. Wciąż usiłował nałożyć twarz Jill Davis na rysy tej starej kobiety.

– Jak mnie rozpoznałaś? – spytał zdezorientowany.

– Pomagałam zaklinaczowi, który cię przygotował, kiedy przyszedłeś. Możemy zajrzeć tutaj do prawie wszystkich pomieszczeń, w tym do przebieralni. Nie po to, żeby patrzeć, jak ludzie się rozbierają albo coś w tym stylu. Oni tylko zdejmują maski, a potem zmieniamy ich wygląd. Nie wierzyłam własnym oczom, kiedy cię zobaczyłam!

– Co tu robisz?

– Chciałam cię zapytać o to samo! – Jej podniecony ton oraz mowa ciała nie pasowały do wiekowych rysów twarzy. – Handlarze niewolników najpierw sprzedali cię, jeszcze zanim dotarliśmy do Pięciu Dróg. Nabywca zabrał cię gdzieś do Sambrii. Do jakichś Łupieżców. W ustach Ansela to brzmiało bardzo groźnie.

– Zgadza się – potwierdził Cole, nie wiedząc, ile może wyjawić. Przecież Jill mówiła, że pozostałe sale są obserwowane. Skąd miała pewność, że ta nie? – Pojechałem do Nieboportu i dołączyłem do Łupieżców Niebios. Ale uzyskałem wolność.

– Serio? Tak szybko? Ktoś cię wykupił i uwolnił?

– Mniej więcej. To długa historia. A ty?

– Pojechałam do Miasta na Rozdrożu. Zabrali tam dzieci ze zdolnościami formistycznymi, dziewiętnastoletnie. Wszyscy spotkaliśmy się z najwyższym

królem. Był... no, trochę straszny. Poddali nas próbom, a potem rozesłali do różnych królestw w zależności od naszych talentów. Twój przyjaciel Dalton trafił ze mną do Elloweer.

– Jest tutaj? – Cole poczuł się jak rażony piorunem.

– Nie w Kartaginie – sprecyzowała Jill. – Wysłali go na szkolenie do salonu dyskrecji w Merriston.

– W stolicy?

– To chyba duża rzecz, kiedy kogoś tam posyłają. On jest naprawdę dobry w iluzji.

Cole nie mógł uwierzyć, że zdobywa tak cenne informacje. Dalton jest w stolicy Elloweer? Umie tworzyć zdawy? Przecież jeszcze przed chwilą odnalezienie przyjaciół zaczynało się wydawać niemożliwe.

– A Jenna?

– Jenna Hunt? Nie wiem, dokąd trafiła. Przybyła z nami do Miasta na Rozdrożu. Odkąd podzielili nas według posiadanych zdolności, już nie widzieliśmy pozostałych. Nie ma jej w Elloweer.

– Wiesz, jak nazywa się salon dyskrecji, do którego pojechał Dalton?

Jill zmarszczyła brwi.

– Wiedziałam. Nigdy tam nie byłam. Minęło już trochę czasu, odkąd słyszałam tę nazwę. Srebrne coś. Chyba Jeleń. Nie... Ale na pewno Srebrne.

– To super – ucieszył się Cole.

Po raz pierwszy trafił na konkretny trop dotyczący Daltona. Nareszcie!

– Naprawdę jesteś wolny i możesz go odwiedzić? – zapytała Jill.

– Tak.

Przygryzła wargę.

– Ale masz szczęście. Dalton należy teraz do najwyższego króla, tak samo jak ja. A król to praktycznie władca absolutny całego tego świata. Szkoda, że nie widziałeś jego zamku! Ma masę żołnierzy, w tym takich z mocą formowania. Nie chciałbyś mu podpaść. Gdybyś go spotkał, tobyś sam zrozumiał.

– Wiem, jaki jest zły – odparł Cole, myśląc o Mirze. – Ale musi być sposób, żeby uwolnić ciebie i Daltona, tak jak ja się uwolniłem.

Oczy Jill wypełniła nadzieją.

– Nie myślę o niczym innym jak tylko o tym, żeby ktoś mnie stąd wyciągnął.
– Potem jej mina zrzędła. – Ale Cole, nie wiem, czy ci powiedzieli...
Podobno stąd nie da się wrócić, choćby nie wiem co. Nawet gdybyśmy znaleźli drogę do domu, nie zostaniemy tam. Zawsze będzie nas ciągnąć z powrotem tutaj. Jeśli teraz się wymknę, będę zbiegłą niewolnicą, która nie ma się gdzie podziąć.

Cole oparł łokcie na stole i ukrył twarz w dłoniach. Wiedział, że najwyższy król jest potężny. I że nie można na stałe wrócić do domu. Ale nawet jeśli rzeczywiście, czy to znaczy, że nie powinni postarać się odnaleźć siebie nawzajem? Czy muszą zaakceptować niewolę jako sposób życia? Kto może stwierdzić z całą pewnością, że z Obrzeży nie można uciec?

– Nie chcę cię dołować, Cole – powiedziała Jill. – Byłeś bardzo dzielny, kiedy próbowałeś nam pomóc wtedy, przy wozach. Życzyłam Tracy, żeby zdechła, po tym, co ci zrobiła. Ale teraz tu utknęliśmy. Dalton i ja zostaliśmy naznaczeni jarzmoznakiem. Jeśli się zbuntujemy, będzie jeszcze gorzej. Raz widziałam, że ktoś spróbował, i... to było okropne. – Wzdrygnęła się, wyraźnie wstrząśnięta przerażającym wspomnieniem.

Cole nachylił się nad stołem i zniżył głos.

– Nie chcesz, żebym cię stąd wyrwał?

Jill popatrzyła na niego z przejęciem.

– Żartujesz? Oczywiście, że chcę. Jesteś pierwszą osobą z naszego świata, którą widzę, odkąd tu trafiłam. Ale jak mamy to zrobić i nie dać się złapać?

– Porozmawiam z przyjaciółmi. Coś wymyślimy.

Pomarszczoną twarz Jill wypełnił niepokój.

– Kim oni są? Czy są na tyle potężni, żeby ochronić nas przed najwyższym królem?

– Dotarliśmy aż tutaj – odparł Cole, nie wiedząc, ile powinien wyjawiać. Nie chciał narażać Miry, ale musiał dodać Jill otuchy. – Należą do ruchu oporu. Pracując w takim miejscu, na pewno o nim słyszałaś.

– To prawda. – Dziewczynka zbladła. – Cole, grozi ci straszne niebezpieczeństwo! Najwyższy król robi potworne rzeczy wszystkim członkom tego ruchu, których złapie.

Cole próbował opanować zdenerwowanie. Wreszcie znalazł osobę ze swego świata, lecz ta wyraźnie bała się stąd odejść. A jeśli ze strachu nie zechce mu towarzyszyć? Czy powinien ją tu tak zostawić?

Spróbował przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o Jill. Nieliczne wspomnienia ograniczały się głównie do jej rozmów z koleżankami. Ponieważ była o rok starsza, nie znał jej zbyt dobrze. Chyba pamiętał, jak jej brat Jeff nabijał się z niej, że nie umie pływać. Podobno bała się zanurzyć głowę pod wodą. Cole domyślił się, że skoro już na Ziemi nie grzeszyła odwagą, to tutaj musi być jeszcze gorzej. Mimo to postanowił spróbować ją przekonać.

– Więc po prostu tu zostaniesz? – zapytał. – Serio? Z tymi wszystkimi ludźmi, których w ogóle nie znasz? Do tej pory nie myślałaś o ucieczce?

– Oczywiście, że myślałam – odparła Jill, ściszej głos. Wydawała się rozdarta. – Sama nie wiem, Cole. Zbiegów wcześniej czy później łapią, a wtedy jest paskudnie. Mówiłam ci, widziałam to na własne oczy.

– Nie jest dobrze?

– Kary są bardzo surowe. Chodzi o to, żeby wystraszyć pozostałych, żebyśmy nie myśleli o kolejnej próbie. I w sumie to działa.

– Nie mogę obiecać, że jeśli pójdziesz z nami, będzie łatwo – przyznał Cole, pamiętając o tym wszystkim, co do tej pory przeżyli z przyjaciółmi, o ryzyku podróżowania z Mirą. – Ale to na pewno lepsze niż pozostanie tutaj.

– Niewolnicy, którzy potrafią formować, wcale nie mają takiego złego życia – podkreśliła Jill. – Nie zrozum mnie źle, bardzo chcę wrócić do domu. Ale skoro tu utknęłam, to czy muszę jeszcze pogarszać swoją sytuację? Przynajmniej tworzenie zdaw to nieźła zabawa.

– Nie psuje ci jej bycie niewolnicą?

Dziewczynka się zaczerwieniła.

– Próbuję nie myśleć o tym cały czas. – Zmrużyła oczy. – Powiedz prawdę. Czy w rzeczywistości jesteś zbiegiem?

– Nie – zapewnił ją Cole. – Naprawdę się uwolniłem.

– Więc gdybym ci towarzyszyła, byłbyś w większym niebezpieczeństwie niż teraz.

– A jeśli cię wykupimy? – zasugerował chłopiec. – I Daltona też? Moi przyjaciele mają pieniądze.

Przez moment Jill była podekscytowana, ale zaraz zmarkotniała.

– Chyba nie jestem na sprzedaż. Wydaje mi się, że najwyższemu królowi strasznie zależało na zatrzymaniu niewolników, których kupił. – Zawahała się. – Nie mogę uwierzyć, że jesteś wolny. To się nigdy nie zdarza.

– Miał mi kto pomóc. Dlaczego najwyższy formista przysłał cię właśnie tutaj? Kieruje tym lokalem?

– Jego ludzie kontrolują wszystkie legalne salony dyskrecji. To w nich pracuje wielu najlepszych zaklinaczy. Ale skoro związałeś się z rebeliantami, to Cienisty Zaulek raczej nie jest dla ciebie bezpieczny.

– Czy najwyższy król zrobił komuś z was krzywdę? – zapytał Cole. – Majstrował przy waszych mocach?

– Jak to majstrował?

Cole rozejrzał się po pokoju, a potem spróbował raz jeszcze:

– Słyszałaś o formownictwie?

– Chodzi ci o formowanie?

– Nie. Formownictwo to formowanie samej zdolności formowania. Możliwe, że najwyższy król szkoli was tylko po to, żeby ukraść wasze moce i prowadzić na was dziwne eksperymenty.

– Co?! – zawołała Jill.

– Robił to już z innymi. Wiem z wiarygodnych źródeł, że jego eksperymenty z formownictwem będą coraz straszniejsze.

– Dziękuję, że mi to mówisz. – Jill bardzo ściszyła głos. – Nie słyszałam o formownictwie, ale będę bardzo ostrożna.

– Czy twoi szefowie wiedzą, że rozmawiamy?

– Oficjalnie nie. Nie zdradziłam, że cię znam. Kazały nam wchodzić do salonów w przebraniu, tylko jeśli ktoś wyda się ciekawy. Tajemnice interesują właścicieli tak samo jak każdego, kto tu przychodzi. Moi szefowie dbają, żeby zawsze kręciło się tu parę stałych osób. Poza tym staramy się podsłuchiwać przez ściany, sufity i podłogi. Dowiadujemy się przeróżnych rzeczy. Jeśli ktoś zapyta, dlaczego z tobą rozmawiałam, odpowiem, że mnie zainteresowałaś, bo wcześniej cię tu nie widziałam. Większość klientów odwiedza nas regularnie. Gdyby ktoś zawracał mi głowę, to powiem, że jesteś tylko podróżnikiem poszukującym wiadomości.

– Bo to prawda – odparł Cole. – Naprawdę podróżuję. Dzisiaj jestem tu tylko dlatego, że towarzyszę kilku osobom.

– Właśnie... może powinieneś je opuścić. Inaczej wylądujesz w więzieniu.

Albo jeszcze gorzej.

Cole nie chciał, żeby się martwiła, a tym bardziej dowiedziała się zbyt wiele o jego obecnej sytuacji, na wypadek gdyby ktoś potem wyciągnął z niej te informacje.

– Moi znajomi nie są jakoś szczególnie zaangażowani w ruch oporu – skłamał.

– W każdym razie uważaj. Władze ostro polują na takich ludzi. – Załamała rękę. – Mam nadzieję, że twoi przyjaciele będą ostrożni. Cole, to niebezpieczne miejsce. Nie powinniśmy rozmawiać dłużej. Tylko że... nie chcę, żebyś odchodził.

Chłopiec nie miał pojęcia, jak powinien postąpić. Okropnie byłoby ją tu zostawić, ale widział, że Jill boi się mu towarzyszyć. Przede wszystkim musiał odnaleźć Daltona i pomóc Jennie.

– Wiesz coś o innych osobach z naszego świata? – zapytał.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Znam tylko tych, których wysłano do Elloweer. Melissa Scott trafiła do salonu dyskrecji w Wenley, a Tom Eastman do salonu w Stowbarth. Ciągle mam nadzieję, że dowiem się czegoś więcej, ale tak się nie dzieje. To dlatego strasznie się ucieszyłam na twój widok!

Nagle Cole przypomniał sobie drugie ważne pytanie, z którym tutaj przybył.

– Podobno w Elloweer znikają ludzie. Wiesz coś o tym?

– W Sambrii była istota o imieniu Spustosz – powiedziała Jill. – Jakiś potwór. Ludzie myślą, że ten nowy problem może być z nim powiązany, ale nikt nie wie, co się właściwie dzieje. Zresztą ciągle nie rozumiemy, skąd wzięła się Spustosz. Niektórzy sądzą, że to wybuchł jakiś formista.

– Nie słyszałaś o żadnych słynnych więźniach, prawda? Tajnych, być może nowych?

Jill mocniej zacisnęła dłonie.

– Zawsze są jacyś więźniowie – powiedziała. – Nie powinieneś się interesować takimi rzeczami, jeśli chcesz pozostać wolny.

Nie ulegało wątpliwości, że taktyka najwyższego króla doskonale działała na Jill. Dziewczynka bała się nie tylko o siebie, ale o każdego, kto wejdzie mu w drogę.

– Najbardziej chciałbym odwiedzić Daltona – stwierdził Cole. – Nie po to, żeby go odbić – dodał pośpiesznie. – Nie chcę narobić mu kłopotów. Ale tęsknię za nim. To mój najlepszy przyjaciel.

Mina Jill złagodniała.

– Jeśli wybierzesz się do Merriston, uważaj na Błędnego Rycerza. Podobno okrada podróżnych.

– Niewiele mógłby mi zabrać. Ale dzięki za ostrzeżenie. Ta pani, z którą właśnie rozmawiałem, opowiadała mi o Błędnym Rycerzu. Można jej ufać?

– Lisicy? Trudno powiedzieć. Naprawdę nazywa się Mavis Proffin. Słyszałeś o niej? – zapytała Jill. Cole zaprzeczył. – Bywa tu regularnie. To żona miejscowego urzędnika. Załatwiła sobie, że zawsze dostaje zdawy pięknych kobiet. Interesuje się głównie plotkami towarzyskimi, ale nie jest głupia i wiele słyszy.

– Rozumiem.

Jill rozejrzała się ukradkiem, chociaż ciągle byli sami.

– Cole, tak się cieszę, że cię widzę. Nawet sobie nie wyobrażasz. Chciałabym pogadać dłużej, ale jeśli ktoś zauważy, że nasza rozmowa się przeciąga, nabierze podejrzeń, zwłaszcza jeśli nie zdobędę żadnych informacji.

– Wielki formista Declan ukrywał się za Wschodnim Chmuromurem – powiedział Cole. – Wykurzyli go stamtąd legioniści. To najciekawsza wiadomość, jaką mam.

– Mogę ją wykorzystać?

– Tak, jeśli to ci pomoże.

– Dzięki.

– Nie pójdziesz ze mną? – spróbował Cole.

Jill miała żalosną minę.

– Nie mogę. To zbyt niebezpieczne.

Chłopiec westchnął.

– W porządku, rozumiem.

– Szkoda, że nie mogę się z tobą spotkać i spędzić trochę czasu. Na razie nie wolno mi samej wychodzić. – Na chwilę zamilkła. – Gdybyś odkrył drogę do domu, wrócisz po mnie, prawda?

– Oczywiście! – obiecał Cole. – Na pewno ci tu dobrze?

– Ujdzie. Chyba będę tu bezpieczniejsza, niż gdybym spróbowała odejść. Przynajmniej na razie.

– W porządku. Nie zapomnę o tobie. Pomogę ci, jeśli tylko będę mógł.

– Ja o tobie też nie zapomnę – powiedziała dziewczynka i nie potrafiła ukryć rozpacz w tych słowach. – Jesteś bardzo odważny. Wiem, że próbujesz postępować właściwie. Masz szczęście, że odzyskałeś wolność. Rzadko się to zdarza. Nie zepsuj tego.

Cole wpatrywał się w twarz starej kobiety, próbując zobaczyć w niej prawdziwą Jill. Miał wrażenie, że wyobraźnia nie podsuwa mu dokładnego obrazu.

– Do widzenia, Jill – powiedział lekko ochrypłym głosem.

– Na razie, Cole. – Nie mógł nie rozpoznać głębokich emocji w tych

zwyczajnych słowach.

Nie chciał jej zostawiać, ale wiedział, że już czas. Przeszedł przez iluzoryczną ścianę z powrotem do salonu z ksylofonem. Lisica spojrzała w jego stronę, Potykajło również. Uznawszy, że jego zniknięcie w ścianie zwróciło zbyt dużo uwagi, Cole ruszył przez pokój w kierunku sąsiedniego. Kręciło się tam sporo osób, a jakiś facet grał na bongosach. Z głową pełną nowej wiedzy chłopiec przeszedł do następnych drzwi. Każda kolejna sala oznaczała nowy wygląd. Miał nadzieję, że po tej prędkiej rundce gapiom trudniej będzie go śledzić. Potem zaczął się zastanawiać, czy Jill nadal go obserwuje.

W sąsiednim pomieszczeniu ludzie siedzieli przy stołach do gry. Niektórzy grali w karty, inni w kości. Na jednym stole chyba ścigały się gąsienice. Cole się tu nie zatrzymał.

Za progiem następnych drzwi znalazł się w początkowej sali. Zastał tam te same twarze, w tym Hannibala oraz człowieka, który przypominał posąg. W lustrze spostrzegł, że wygląda teraz jak chudy, piegowaty nastolatek z wielkimi uszami.

Zaszedł mu drogę mężczyzna o siwych, kędzierzawych włosach i zaczął rozmowę, ale okazał się nudny. Cole podzielił się z nim podstawowymi informacjami i nie dowiedział się niczego ciekawego.

Kiedy tamten sobie poszedł, chłopiec zajął wolny fotel. Nie przestawał myśleć o Jill. Była pierwszą osobą z rodzinnych stron, którą spotkał, odkąd opuścił karawanę handlarzy niewolników. A teraz musiał ją tu zostawić, bo bała się mu towarzyszyć.

A jeśli Dalton zachowa się tak samo? Jeśli Jenna nie pozwoli się uratować? Jeśli próbując ich odbić, Cole tylko pogorszy sprawę?

Nie. Nie mógł myśleć w ten sposób. Nie każdy będzie tak ostrożny jak Jill. On sam na pewno walczyłby o wolność, gdziekolwiek trafiłby jako niewolnik. Był przekonany, że i Dalton skorzysta z okazji do ucieczki. A teraz pojawiła się prawdziwa szansa, żeby go znaleźć! A Jenna? Może właśnie Dalton będzie coś wiedział. Cole uparcie i mocno wierzył, że ona też

będzie chciała uciec bez względu na ryzyko.

Najpierw jednak musiał opuścić Cienisty Zaulek. Kiedy tak siedział sam w fotelu, uświadomił sobie, że nie wie, jak znaleźć Mirę i Joego, by ustalić, czy są już gotowi do wyjścia. Jak ich rozpozna? Czy w ogóle jeszcze tu są? I czy jeśli on wyjdzie za wcześnie, to wyląduje sam na ulicach Kartaginy Wschodniej?

Uznał, że musieliby się bardzo pośpieszyć, żeby już stąd pójść, a poza tym pewnie nie oddaliliby się bez niego. W takim razie najlepiej się stąd nie ruszać i obserwować przechodzących.

Do salonu weszła z zewnątrz nowa osoba, porozmawiała z Hannibalem i ruszyła dalej. Z sąsiedniego pomieszczenia przybyła upiornie chuda kobieta, która prędko udała się do kolejnego. Cole czekał dalej, z wpływem minut coraz bardziej nerwowo.

Z salonu gier wyłonili się wspólnie mężczyzna i kobieta. On był przystojny, miał zaczesane do tyłu czarne włosy oraz wąsik. Ona – zieloną skórę i węże zamiast włosów. Wskazała palcem na sufit, cicho powiedziała: „Naprzód”, a potem rozejrzała się po sali.

Jej włosy wiły się, kiedy patrzyła na podchodzącego Cole’a.

– Znam jednego gościa, który nazywa się Drgawa – szepnął chłopiec.

– A ja znam Jace’a – odpowiedziała.

To musiała być Mira, zatem ten drugi to Joe.

– Chodźmy – mruknął Joe.

– Co z trwałą iluzją? – zapytał Cole.

– Nie tutaj – odparł krótko mężczyzna.

Wyszli razem. W futrzanym korytarzu pojawiły się przed nimi niewidziane wcześniej drzwi. Przeszli przez nie, potem przez kolejne, i znaleźli się znowu w pomieszczeniu z tyczkowaną mężczyzną w okularach.

– Czy mogę zobaczyć wasze klucze? – zapytał. Spojrzawszy na klucz Cole’a, zaprowadził go do drzwi z trójzębem. – Po zabraniu swoich rzeczy proszę włożyć maskę i wrócić do tej sali – poinstruował. – Klucz ma zostać w przebieralni.

Cole zastosował się do wskazówek, a klucz zostawił w zamku kufra. Dołączył do Miry i Joego, a potem razem opuścili pomieszczenie innymi drzwiami niż te, przez które wcześniej weszli. Chłopiec bardzo chciał się podzielić wiadomościami o Jill, ale uznał, że lepiej poczekać, aż zostaną sami. Dwaj barczyści mężczyźni odprowadzili ich w dół po schodach, następnie pustym korytarzem, a potem schodami w górę, aż do drzwi. Kiedy przez nie wyszli, znaleźli się w zaułku, gdzie czekał już ich powóz.

Joe, Mira i Cole wsiedli do środka, a barczyści mężczyźni zamknęli drzwi. Kiedy pojazd ruszył, Joe zdjął maskę. Mira i Cole zrobili to samo.

– Spotkałem kogoś z mojego świata! – oznajmił chłopiec, ledwie tłumiąc podniecenie.

– Naprawdę? – spytała Mira.

– Jill, dziewczynę z mojej szkoły. Jest tu niewolnicą na jakimś przeszkoleniu. Powiedziała, gdzie znajdę mojego przyjaciela Daltona!

– To cudownie! – zawołała dziewczynka. – Gdzie on jest?

– W salonie dyskrecji w Merriston. Srebrne coś tam. Jill nie chciała iść z nami, chociaż próbowałem ją namówić. Ale teraz wiem, gdzie jej szukać, więc mogę po nią wrócić.

– To dobra informacja – zgodził się Joe. – Ja spotkałem się z jednym z Niewidzialnych. Podobno główne salony dyskrecji w Kartaginie są teraz bacznie obserwowane przez władze. Ostrzegł, że zatrudnienie poznanego tutaj zaklinacza byłoby zbyt niebezpieczne. Podał mi imię iluzjonisty, który może nam pomóc. To Verilan Niesamowity, znany miejscowy artysta sceniczny. Jeszcze dziś pójdziemy na jego występ, a potem z nim pomówimy. Czy któreś z was dowiedziało się czegoś o wartościowym tajnym więźniu?

Cole pokręcił głową.

– Ja dużo słyszałam o Błędnym Rycerzu – powiedziała Mira. – I o wielkim zagrożeniu na północy. Znikają ludzie. Wiele osób podejrzewa, że to elloweerska Spustosz.

– Spokojnie można przyjąć, że moc Honoraty jest na wolności – przyznał Joe. – Mój kontakt uznał, że ten iluzjonista może mieć dla nas cenne informacje. Ostrzegł również, że agenci zaczęli wypytywać o dziewczynkę podróżującą wraz z trzema chłopcami, być może w towarzystwie dorosłego mężczyzny. Domyślił się, że ten mężczyzna to ja. Nie zaprzeczyłem.

– Czy wiedział, kim jestem? – zapytała Mira.

– Imienia nie słyszał, ale widział twój portret pamięciowy. Wygląda na to, że agenci są pewni, że tu jesteśmy. Przybywa jeden z ich najlepszych ludzi, żeby osobiście nadzorować obławę. Mówią na niego Łowca. Ma straszliwą reputację. Większość agentów ogranicza się do konkretnego królestwa, ale on działa we wszystkich pięciu. Pewnie dysponuje nietypowymi zdolnościami formistycznymi.

– Albo zna się na formownictwie – wtrącił Cole.

– Nic mnie nie zdziwi – stwierdził Joe. – Krótko mówiąc, musimy się pośpieszyć, zakamuflować wasze twarze, a potem zmyć się z miasta.

ROZDZIAŁ 10 ILUZJONISTA

Uwielbiam iluzjonistów – powiedział Drgawa, nerwowo bębniąc palcami o kolana. – Nie do wiary, że przy tych wszystkich kłopotach idziemy na

przedstawienie.

– Tu nie chodzi o rozrywkę – przypomniała Mira. – Odpowiedni kamuflaż pomoże nam uniknąć kłopotów.

Wsiedli do powozu przed jakimś muzeum, kilka przecznic od gospody. Joe uznał, że ten środek transportu pozwoli im przemieszczać się niepostrzeżenie. Był to inny pojazd niż ten, którym udali się do salonu dyskrecji.

– Ale tymczasem obejrzymy spektakl – cieszył się Drgawa. – Od małego uwielbiam czarodziejskie widowiska. Wtedy niemożliwe staje się prawdziwe.

– Iluzjoniści podrabiają to, co niemożliwe – fuknął Jace. – Oszukują wzrok. Wielkie rzeczy.

– Ci najlepsi sprawiają, że wszystko wydaje się prawdziwe – nie ustępował Drgawa. – Wiesz, że to fałsz, a i tak wygląda niesamowicie. Chodzi o fajną rozrywkę.

– Verilan słono sobie liczy za usługi – powiedział Joe. – Przedstawienie będzie dowodem jakości jego zdaw. Bawcie się dobrze. Ale nie zapominajcie, że dziś nasz prawdziwy cel to zapewnienie kamuflażu Cole’owi i Mirze. Musimy być czujni.

– Nie mogę się doczekać – odezwał się Cole. – Do tej pory nigdy nie widziałem pokazu magii w wykonaniu prawdziwego iluzjonisty.

– Jak można urządzić czarodziejskie widowisko bez czarodzieja? – zapytał Jace.

– W naszym świecie mamy magików, mimo że nikt nie potrafi tam formować. Robią fajne sztuczki dzięki dużej wprawie i specjalnym rekwizytom.

Jace parsknął.

– To przebiję wszystko, co można zrobić bez formowania – powiedział.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Joe. – Trzymajcie się blisko mnie.

Powóz zwolnił, a potem się zatrzymał. Joe otworzył drzwi. Jako ostatni wysiadł Cole.

Lustrzana powierzchnia budynku odbijała wszystko w neonowych kolorach ostrego światła. Podchodząc do głównych drzwi, zobaczył swoją twarz w jaskrawej zieleni. Każdy w tłumie miał inną oślepiającą barwę.

Po wejściu do środka przemierzyli korytarz, którego podłoga udawała staw pełen ozdobnych ryb. Mimo autentycznego wyglądu Cole nie czuł wilgoci, kiedy po nim stąpał. Już samo to przerastało wszystkie magiczne pokazy, jakie oglądał w telewizji. Chelsea zawsze lubiła takie rzeczy. Ciekawe, co by teraz pomyślała.

Na widowni rzędy ławek odchodziły ku górze od półkolistej sceny. Sala była na tyle mała, że właściwie nie miała złych miejsc, ale Joe zaprowadził ich do świetnej ławki odrobinę na prawo od środka, mniej więcej w dziesiątym rzędzie.

Widzowie z niecierpliwością obserwowali scenę, gawędząc z sąsiadami. Cole żałował, że zamiast wczuć się w atmosferę wyczekiwania, marzy o tym, żeby stać się niewidzialny. Każda osoba, która zobaczyła jego twarz, stanowiła potencjalne zagrożenie. Kiedy zajął miejsce, pochylił się do przodu i spuścił głowę.

Martwił się, że owadzi wygląd Drgawy przyciągnie niepotrzebną uwagę, ale mniej więcej co dziesiąty widz wyglądał przynajmniej tak dziwnie jak jego przyjaciel albo jeszcze dziwniej. Na przykład gość kilka miejsc dalej, w tym samym rzędzie, miał olbrzymie usta bez warg, za to z trójkątnymi zębami jak u rekina.

Publiczność wciąż wlewała się do sali, kiedy na scenę wyszedł niewysoki mężczyzna ubrany w kamizelkę w panterkę, która odsłaniała wyrzeźbiony tors i ramiona. Długie blond włosy związał w kucyk. Jego ogorzała skóra wydawała się lekko spalona słońcem. Widzowie wiwatowali.

Artysta przez moment chłonał ich uwielbienie, a potem uniósł ręce, żeby uciszyć publiczność.

– Nie śpieszcie się z szukaniem miejsc! – zawołał. – Was godzina rozpoczęcia nie dotyczy. Nikomu nie przeszkadza, że się spóźniliście.

Widzowie parsknęli śmiechem, a mężczyzna błysnął zębami w ujmującym uśmiechu. Kiedy wyprostował rękę, w dłoni pojawiła się duża obręcz. Uniósł ją przed sobą. Całe jego ciało widoczne wewnątrz pierścienia zdawało się teraz należeć do kobiety o okrągłych kształtach. Artysta przytrzymał obręcz z boku, po czym machnął nią w dół, a wtedy obok niego pojawiła się zgrabna brunetka i pomachała do widzów. Uśmiechnęła się, ale nie było w tym serdeczności.

– Przedstawiam Madeline, moją uroczą asystentkę tego wieczoru – powiedział mężczyzna. – A ja nazywam się... – Przyłożył rękę do ucha.

– Verilan Niesamowity! – zawołała publiczność.

– Jaki? – spytał Verilan, marszcząc brwi w udawanym zdziwieniu.

– Niesamowity! – ryknęli widzowie, a Drgawa należał do tych najgłośniejszych.

Potem Verilan i jego asystentka czynili cuda. Miecze, którymi zonglował, zmieniały się w motyle. Woda skakała z naczynia do naczynia, aż wiadro po wiadrze i beczka po beczce iluzjonista stworzył skomplikowaną fontannę. Na olbrzymim płótnie malował ptaki, które ożywały i fruwały po sali. Verilan i Madeline tańczyli ponad morzem ognia. Cole był przekonany, że Chelsea ledwo usiedziałyby z zachwytu. Szkoda, że nie miał przy sobie telefonu komórkowego, żeby to dla niej nagrać!

W pewnym momencie artysta zaprosił ochotników. Drgawa opuścił rękę, dopiero kiedy Joe rzucił mu gniewne spojrzenie. Wybrany mężczyzna został umieszczony w gablocie. Verilan złożył ją w małą kostkę, a następnie połknął. Nieco później podczas spektaklu zaczął rzeźbić w wielkim drewnianym bloku, aż w końcu ten ożył jako ów widz – który zdezorientowany wrócił na swoje miejsce.

Cole był zachwycony jakością i różnorodnością iluzji. Już rozumiał, dlaczego Drgawa uwielbiał czarodziejskie widowiska. Nie mógł się z nimi równać

żaden show na Ziemi.

Po niezliczonych cudach Verilan zapowiedział swą najniebezpieczniejszą sztukę. Światła przygasły. Na scenę wwieziono trzy puste klatki i rozstawiono je w sporej odległości od siebie. Artysta zaprowadził Madeline do jednej z nich. Po oślepiającym błysku w miejscu asystentki pojawił się wielki lampart, a ona sama znalazła się w innej. Kolejny błysk – teraz Madeline była w ostatniej klatce, a jej miejsce zajął następny lampart. Trzeci błysk – kobieta znikła ze sceny, na której został tylko Verilan i trzy uwięzione lamparty.

Aplauz gwałtownie się urwał, kiedy jeden z wielkich kotów zaczął uderzać cielskiem o ścianę klatki. Iluzjonista starał się zachować uśmiech, ale wydawał się zdenerwowany. Z paszczy lamparta kapała biała piana. Napięły się jego mięśnie, a potem bestia wydarła się z niewoli i rzuciła na Verilana, zacisnęła kły na jego torsie i brutalnie nim potrząsnęła.

Cole chciał zerwać się z miejsca, ale Joe go przytrzymał.

– Czekać – nakazał.

Przerażająco brocząc krwią, iluzjonista wyrwał się wściekłemu lampartowi. Dwie pozostałe bestie również wyrwały się z klatek. Magik padł na scenę, lamparty obskoczyły go i zaczęły rozszarpywać, aż została z niego tylko zniszczona kamizelka.

Madeline wbiegła na scenę, niosąc obręcz z pierwszej sceny przedstawienia. Jeden z wielkich kotów rzucił się na asystentkę, a wtedy ona uniosła tę obręcz niczym tarczę. Kiedy lampart przeskoczył przez pierścień, zniknął. W ten sam sposób Madeline pozbyła się dwóch pozostałych bestii.

Potem odłożyła obręcz i przykucnęła nad zakrwawionymi strzępami kamizelki iluzjonisty. Zebrała je w garść, a potem uformowała z nich niedużą kostkę. Tę rozwinęła w użytej wcześniej gablocie, otworzyła drzwiczki i oto ze środka wyszedł Verilan – z nagim torsem, ale cały i zdrowy.

Publiczność wpadła w szal. Cole klaskał i gwizdał razem ze wszystkimi. Iluzja czy nie iluzja, to była najfajniejsza sztuczka, jaką kiedykolwiek

widział.

Verilan sięgnął do obręczy, żeby wyjąć z niej kamizelkę w panterkę. Ubrał się w nią, a potem przełożył obręcz przez Madeline, która natychmiast zniknęła. Pomachał widzom na pożegnanie, uniósł pierścień nad głowę jak przerośniętą aureolę i upuścił go. Kiedy obręcz spadła na scenę, Verilana już nie było.

Klatki eksplodowały, zmieniając się w stada ptaków origami. Papierowe łąbędzie, wróble, sowy i orły poszybowały nad głowami zebranych, zajęły się barwnymi płomieniami i zniknęły. Na scenę wyszedł pulchny konferansjer, podziękował wszystkim za przybycie, po czym poprosił o spokojne opuszczenie sali.

– To było super – powiedział Cole do Drgawy.

– Najlepszy spektakl, jaki w życiu widziałem – zachwycił się jego przyjaciel.
– Ten gość potrafi wszystko.

– Dobry jest – przyznała Mira. – Istnieje pewna granica tego, ile iluzji może stworzyć jedna osoba i jak bardzo są skomplikowane. Verilan naprawdę ma talent.

– Zgadzam się – powiedział Jace.

– Podobało ci się? – spytał Cole zdziwiony.

Jace wzruszył ramionami.

– Wyobrażałem sobie triki karciane i tańczące ogniki. Prostsze numery. To było lepsze, niż myślałem.

– Co teraz? – Mira zwróciła się do Joego.

– Czekamy. Rozmawiamy dalej. Róbmy wrażenie, że tylko przypadkiem zostaliśmy dłużej. Niech wszyscy sobie pójdą.

Cole i Drgawa omawiali ulubione momenty przedstawienia. Cole rzadko widywał u przyjaciela taki entuzjazm, więc głównie go słuchał. Wkrótce

w sali zostali tylko oni. Podszedł do nich tamten pulchny konferansjer.

– Koniec spektaklu, moi drodzy.

Joe wstał.

– Jestem umówiony z Verilanem.

– Czyżby? – Konferansjer zmierzył go od stóp do głów. – W takich sytuacjach używamy haseł.

– Zdawa przeminie, prawda nie zginie – odparł Joe.

Konferansjer rozpiął bransoletę na nadgarstku i nagle stał się Verilanem.

– Teraz mówisz moim językiem. – Uśmiechnął się, błyskając zębami. – A kim są ci młodzi ludzie?

– To jest pana największy fan – powiedział Jace i wskazał na Drgawę.

Drgawa skulił się w sobie.

– Bardzo mi się podobało – powiedział cicho, unikając kontaktu wzrokowego.

– Na tym mi właśnie zależy – odparł serdecznie Verilan. – Chodźmy na zaplecze.

Drgawa rzucił Cole’owi podniecone spojrzenie.

W ślad za iluzjonistą weszli na scenę, a potem za kulisy. Nad ich głowami przecinały się pomosty. Cole mijał masywne rekwizyty, długie czarne kurtyny, a także liczne sznury, które biegły w górę ku wysokiemu sufitowi.

Verilan poprowadził ich przed zwyczajne drzwi. Po drugiej stronie znajdowała się zabałaganiona garderoba oświetlona białymi kulami. Madeline czekała na nich w obcisłym kostiumie scenicznym. Wszyscy weszli do środka, po czym artysta zamknął drzwi.

- To twoi klienci po godzinach? – zapytała kobieta.
- Tak – odparł Verilan. – Jak rozumiem, interesuje was trwały kamuflaż? – upewnił się. Joe niepewnie zerknął na Madeline. – Spokojnie, tworzymy zespół.
- Dla tej dwójki dzieci – powiedział Joe, wskazując na Cole’a i Mirę. – Potrzebne nam zdawy, które wytrzymają analizę wykwalifikowanych zaklinaczy.
- Żadna zdawa nie jest idealna, przyjacielu. Ale moje należą do najlepszych.
- I dlatego przyszliśmy właśnie do ciebie – odrzekł Joe.
- Moje usługi nie są tanie. Dwa platynowe kółkaty od osoby.
- Dwa od osoby?! Mój kontakt mówił, że będzie drogo, ale to jest rozbój w biały dzień.

Iluzjonista uśmiechnął się szeroko.

- Nikt cię nie zmuszał, żebyś tu przychodził. Jeżeli chcesz zapolować na lepszą ofertę, to proszę bardzo.
- Zapłacę – westchnął Joe. – Do dzieła.
- Po co wydawać tyle kółkatów na dwójkę dzieci? – zapytała Madeline.
- To wyłącznie nasza sprawa.
- Jeśli zwracacie się z nią do mnie, to nie – odparł Verilan. – Gdyby mnie zdemaskowano, będą mnie ścigać. Muszę wiedzieć, z kim pracuję i dlaczego. Czy te dzieci posłużą jako szpiedzy? Czy są zbiegami? Czy jeśli wpakują się w kłopoty, ktoś powiąże to ze mną? O co chodzi?

Ta obcesowa ciekawość sprawiła, że Cole poczuł się nieswojo. Wymienił spojrzenia z Mirą i Joem.

- Jeśli poznasz całą tę historię, narażę cię na ryzyko – powiedział ten ostatni.

- Należę do Niewidzialnych. Czy moglibyśmy na tym poprzestać?
- Obawiam się, że nie – odparła Madeline. – Słyszeliśmy, że agenci szukają czwórki dzieci, które podróżują z dorosłym. Ale nie znamy szczegółów.
- To nas szukają. Dzieci są ścigane. To nie wystarczy?
- Jeśli mamy robić interesy, to nie – powiedział Verilan. – Wolimy ryzyko wiedzy od ryzyka nieświadomości.

Joe spojrział na Mirę. Zrobiła krok naprzód.

– Jestem Miraclea Pemberton, córka Stafforda, najwyższego formisty Pięciu Królestw. Mam tyle samo lat co wtedy, kiedy mój ojciec skradł moje moce formistyczne, upozorował moją śmierć i spróbował mnie uwięzić. Od lat żyję w ukryciu. Jesteśmy zbiegami.

Madeline zerknęła na Verilana.

- Czy to może być prawda? – Zmrużyła powieki, przyglądając się uważnie dziewczynce. – Masz aurę potężnego formisty.
- Niedawno odzyskałam zdolności. Bardziej przydają się w Sambrii.
- A twoje siostry?
- Nic o nich nie wiem. Ukrywamy się oddzielnie od lat. Jestem tutaj, ponieważ Honorata ma kłopoty. Sądzymy, że mogła zostać pojmana.

Madeline ze zdumieniem pokręciła głową.

- Czy możesz potwierdzić swoją tożsamość?
- Większość ludzi, którzy mnie znali, albo jest już stara, albo nie żyje – odparła Mira. – Wciąż mam swą królewską pieczęć. Miała ją każda z córek. Matka dostarczyła je nam potajemnie, zanim trafiłyśmy na wygnanie.

Wyjęła grawerowany złoty dysk na łańcuszku, ozdobiony maleńkimi brylantami. Cole nigdy wcześniej o nim nie słyszał.

Madeline wzięła pieczęć do ręki, przesunęła nad nią dłonią, a potem bacznie jej się przyjrzała. Następnie podała ją Verilanowi, który również długo na nią patrzył.

Potem uklęknął na jedno kolano i skłonił nisko głowę. Madeline poszła za jego przykładem.

– Wasza Wysokość – odezwał się z powagą. – Nie śmieliśmy żywić nadziei, że przeżyłaś.

– To najściślej strzeżony sekret najwyższego formisty – wtrącił Joe. – Poznając go, być może skróciliście sobie życie.

– Próbowaleś nas ostrzec. Tak... – odparła w zamyśleniu Madeline.

– Powstańcie, proszę – powiedziała Mira.

Verilan i Madeline podnieśli się z ziemi.

– Kim ty jesteś? – spytał Cole’a ten pierwszy.

Po tym, jak przedstawiła się Mira, chłopiec miał poczucie, że każda odpowiedź zabrzmiała rozczarowująco.

– Nie królowną.

– To poszukiwany niewolnik, którzy przybył tu spoza Obrzeży – wyjaśnił Joe.

– Teraz nam towarzyszy – dodała Mira. – Jest cennym sprzymierzeńcem.

– To najbardziej niesamowita wiadomość od lat – wydyszała Madeline z przejęciem. – Należę do wewnętrznego kręgu Niewidzialnych, a mimo to nic na ten temat nie słyszałam.

– Niezwykle ostrożnie dzielimy się tą wiedzą – odparł Joe. – Ich matka bardzo długo chowała tę tajemnicę dla siebie. Dopiero niedawno skontaktowała się z nielicznymi spośród Niewidzialnych. Wielu z naszych najbardziej zaufanych członków o niczym nie ma pojęcia. Wyjawiamy sekret

tylko w potrzebie. Służę jako opiekun Miry.

– Pomyślcie, co to może oznaczać dla rewolucji – mruknął Verilan.

– Dobrze zdajemy sobie z tego sprawę – powiedział Joe. – Naszym nadrzędnym celem jest zadbanie o bezpieczeństwo pozostałych królewien. Czy coś wam wiadomo o więźniach otoczonych najwyższym poziomem bezpieczeństwa i tajności, którzy niedawno pojawili się w Elloweer?

Madeline zakryła dłonią usta.

– Zamek Blackmont – szepnęła.

Verilan skinął głową.

– W Edgemoncie. Trzymają tam nienazwanego więźnia pod wyjątkowo ścisłą strażą.

– Edgemont znajduje się tuż pod Merriston – wyjaśnił Joe Mirze. – Na linii znacznika, który początkowo nas prowadził.

– Znacznika? – zdziwiła się Madeline.

– Do niedawna mieliśmy wskaźnik, który kierował nas do miejsca pobytu Honoraty. Przestał działać.

– Nasi najlepsi szpiedzy wiedzą tylko tyle, że taki więzień istnieje – powiedziała Madeline. – Żaden nie zdołał ustalić jego tożsamości. Wiele spekulowano o tym, kto mógłby wymagać takich zabezpieczeń. Na pewno chodzi właśnie o nią.

– To nasza pierwsza konkretna poszlaka od bardzo dawna – stwierdził Joe. – Dziękujemy.

Cole odetchnął z ulgą, że trop wiedzie w pobliże Merriston. To oznaczało, że odnalezienie Daltona może pozostać jego głównym celem i nie odciągnie to pozostałych od poszukiwań Honoraty.

– Chociaż tyle możemy zrobić – odparła Madeline. – Wasze tajemnice wymagają więcej zaufania, niż sądziliśmy. Chcę podzielić się moją.

– Jesteś pewna? – spytał Verilan.

– Jestem. Nie nazywam się Madeline, ale Skye. Zmieniam wygląd co kilka miesięcy, tak jakby Verilan stale zatrudniał nowe asystentki. To postacie, które odgrywam.

– Bez niej spektakl byłby niemożliwy – przyznał Verilan. – W tym układzie to ja jestem uczniem. Większość zdaw, które dziś oglądaliście, są jej dziełem.

– Zaraz – wtrącił Joe. – Skye... Skye Ryland?

Kobieta lekko się ukloniła.

– Do usług.

Joe zaśmiał się z niedowierzaniem.

– Jesteś legendą! Należysz do najlepszych iluzjonistów w Elloweer. I przywódców ruchu oporu.

Skye pomachała.

– Wewnętrzny krąg Niewidzialnych. Nie kłamałam.

Jace wskazał na Verilana.

– Jak pan naprawdę wygląda?

– Właśnie tak. – Mężczyzna rozłożył ręce i błysnął wyćwiczonym uśmiechem.

Skye przykryła usta i szepnęła:

– Pomogłam mu z opalenizną.

– Opalenizna jest wzmocniona – przyznał Verilan. – W rzeczywistości nazywam się Alan. Ale to nie ma znaczenia, bo wszędzie posługuję się imieniem Verilan.

Skye podeszła do Miry i wzięła ją za rękę.

– Mamy podobne kłopoty. Ścigają mnie. Nie jestem tak cenna jak ty, ale mam wielu wrogów, w tym twojego ojca. Ten spektakl to mój kamuflaż. Jestem zbiegiem.

– Nie chcemy was narażać na większe niebezpieczeństwo – odparła dziewczynka przeproszająco.

Skye pokręciła głową.

– Nie zrozumiałaś mnie – powiedziała. – Chcę dzielić wasze zagrożenie. Nie żądam opłaty za swoje usługi. Chcę wam pomóc z przebraniem. Pomogę ci odnaleźć siostrę.

– A nasze przedstawienie? – zapytał Verilan nieco poruszony deklaracją Skye.

– Możesz pracować z Mandy. Niech udaje twoją asystentkę. Poradzi sobie z większością moich iluzji. Albo zrób sobie przerwę. Dużo już zarobiliśmy. Nasz układ nigdy nie miał być na stałe.

– Chcesz do nas dołączyć? – spytał ją Joe.

– Jeszcze nigdy okazja nie pukała do moich drzwi tak głośno – stwierdziła Skye. – Nie codziennie trafia się okazja, by zadać cios najwyższemu królowi. Przyjmiecie mnie?

Joe odwrócił się do Miry, pozostawiając jej decyzję.

– Oczywiście – odpowiedziała. – Zamierzamy wkrótce opuścić Kartaginę.

Cole odetchnął. Widział zdawy Skye w akcji. Pomoc kogoś o jej talentach bardzo im się przyda.

– To dobrze – rzekła Skye. – Większość osób, które cię szukają, nie ma pojęcia, kim naprawdę jesteś, ale rozeszły się już wieści o twojej obecności. Powinam cię postarzyć. Ludzie spodziewają się dziewczynki i trzech chłopców.

– Cole też musi być starszy – stwierdziła Mira.

– Jaka jest twoja historia? – zapytała go Skye.

– Mój jarzmoznak został zmieniony w wolnoznak – wyjaśnił Cole, unosząc rękę, żeby to pokazać. – Ale handlarz niewolników, który mnie pojmał, zobaczył mnie tutaj i teraz mnie ściga.

– Co to za handlarz?

– Ansel Pratt.

Skye się skrzywiła.

– Paskudny gość. Ale dzisiaj mogę zmienić tylko jedno z was. Stworzenie trwałej zdawy wymaga mnóstwa siły, a po spektaklu i tak już jestem wyczerpana.

– Skąd czerpiesz tyle energii? – spytała Mira. – Tak wiele było dzisiaj zdaw...

– Przydają się przygotowania – odparła iluzjonistka. – Zaklinam przedmioty, żeby wywoływały określone iluzje, na przykład tę obręcz albo bransoletę, która zmienia Verilana w konferansjera. On też mi pomaga przy pewnych zdawach. Ale tak czy inaczej pokaz wymaga ogromnego wysiłku i skupienia. Gdybym przekroczyła granice własnych możliwości, mogłabym zachorować, umrzeć albo oszaleć, być może ucierpieliby też wszyscy w pobliżu. Ale

jestem przekonana, że jednym z was mogę się zająć.

– Niech pani zmieni Mirę – powiedział Cole. – To jej grozi największe niebezpieczeństwo.

– W porządku. Spotkamy się jutro, wtedy uporam się z tobą. Jak szybko chcecie opuścić miasto?

– Najchętniej jutro przed zachodem słońca – odparł Joe. – A najpóźniej pojutrze.

– W takim razie zajmijmy się Mirą i ruszajcie stąd. Mogę zostać z nią sama? Taka praca jest łatwiejsza, jeśli nic mnie nie rozprasza. Możecie poczekać tuż za drzwiami.

Mira skinęła głową, a wtedy Cole, Jace, Drgawa i Verilan opuścili garderobę. Ten ostatni zaprowadził ich na scenę. Usiedli rzędkiem na jej skraju, dyndając nogami.

– Myślicie, że Skye może mi przyciemnić opaleniznę? – zapytał Jace.

– Może zrobić z twoim wyglądem wszystko – odparł Verilan. – Ale ty i tak masz kolory. Moja naturalna cera jest dość blada.

– Pan też jest w ruchu oporu? – spytał Cole.

– Tak. Również należę do Niewidzialnych, ale Skye jest bardziej zaangażowana.

– Załamaleś się, że odchodzi? – rzucił Jace.

– A jak myślisz? Ta kobieta ma niezastąpiony talent. Jej zdolność tworzenia zdaw jest wprost zadziwiająca.

– Dobrze się bijesz? Może pójdziesz z nami?

Verilan zachichotał.

– Nie jestem wojownikiem. Zrobię sobie wolne, popracuję nad nowym

spektaklem z nową współniczką. Macie szczęście, że Skye wam pomoże. Doskonale zna Elloweer. Wasze szanse powodzenia właśnie znacznie wzrosły.

Kiedy iluzjonistka w końcu wyszła z garderoby, towarzyszyła jej niska, pulchna kobieta w średnim wieku. Twarz miała zwyczajną, strój prosty, a brązowe włosy owinięte chustą.

– Mira, to ty? – zapytał Cole.

– A jak myślisz? – odparła kobieta, która zupełnie nie brzmiała jak Mira.

– Idealnie – stwierdził Joe. – W ogóle nie zwracasz na siebie uwagi.

Cole zgadzał się z nim. Kobieta nie była ani brzydka, ani ładna, ni to wysoka, ni to niska, nie gruba, ale też nie chuda. Wyglądała bardzo zwyczajnie.

– Skye jest genialna – powiedziała kobieta.

– Cieszę się, że wam się podoba – rzekła iluzjonistka. – Jestem wyczerpana. Joe, spotkajmy się jutro na placu Trejażowym. Wiesz, gdzie to jest?

– Znajdę – odparł Joe.

– Szukajcie mnie około trzeciej nad ranem – powiedziała Skye. – Verilan zaprowadzi was do tylnego wyjścia. Przyjechaliście powozem?

– Tak.

– Znajdziecie go przy krawężniku od północy. Władze nie pozwalają czekać od frontu powozom bez pasażerów. Do jutra.

Verilan poprowadził ich przez scenę za przeciwną kulisę niż ta, za którą znajdowała się garderoba Skye, a potem do prostych, nieoznaczonych drzwi. Powóz czekał niedaleko, w bocznej uliczce, obok kilku innych. Lamy świeciły na tyle jasno, że nie było widać większości gwiazd na niebie. Chociaż zaułkiem chodziło niewielu ludzi, Cole na wszelki wypadek spuścił głowę. Już za niecałą dobę będzie miał kamuflaż, który uczyni go niewidzialnym dla wrogów. Miło będzie chodzić w miejscach publicznych,

nie obawiając się stale, że ktoś go rozpozna.

W powozie Joe zadał Mirze kilka pytań, aby się upewnić, że to naprawdę ona. Cole wcale się nie dziwił. Wyglądała i brzmiała jak ktoś całkiem obcy.

Wysiedli kilka przecznic od gospody, a potem bez kłopotów dotarli do swoich pokoi. Leżąc w łóżku, chłopiec z radością odtwarzał w myślach wydarzenia całego dnia. Wreszcie wiedział, gdzie szukać Daltona! Ledwo mógł w to uwierzyć. Ile dni minie, zanim znowu zobaczy przyjaciela? Poza tym mieli też wskazówkę dotyczącą miejsca pobytu Honoraty i znaleźli przewodniczkę, która pomoże im tam dotrzeć. Odpływając w sen, zastanawiał się, jaki wygląd rano nada mu Skye.

ROZDZIAŁ 11

UPROWADZONY

Cole! – szepnął nerwowo Drgawa. – Słyszałeś?

Te słowa docierały przez mgłę wyczerpania. Drgawa i jego łóżko były niewyraźnymi kształtami w mroku. Pod kołdrą, w wybornej kieszonce ciepła, Cole czuł się wręcz cudownie. Miał ochotę zlekceważyć pytanie i z powrotem pograć się we śnie. Zamiast tego się podniósł i oparł na łokciu.

– Hę?

– Posłuchaj – szepnął cicho Drgawa.

Nigdy dotąd nie budził go w ten sposób. Co teraz usłyszał? A może wpadł w paranoję? Przecież był ostrożny, ale nie głupi.

Od strony drzwi dobiegało ledwo słyszalne metaliczne zgrzytanie.

– To? – spytał Cole, nagle spięty.

– O nie! – jęknął Drgawa, wyskakując z łóżka na swych nogach pasikonika.

Rozległo się ostatnie pstryknięcie, a potem drzwi stanęły otworem. Blask latarni oświetlał od tyłu postacie, które chyłkiem wpadły do pokoju. Cole ledwo zdążył usiąść, kiedy chwyciły go stanowcze dłonie, a potem przycisnęły mu szorstką szmatę do nosa i ust.

Szarpiąc się, odetchnął chemiczną wonią. Opary paliły go w nozdrza i gardło, natychmiast zakreśliło mu się w głowie. Kasłał i dusił się, usiłował się miotać i wyginać, kiedy silne ręce podniosły go do góry. Jeden z napastników przycisnął mu ramiona do tułowia, a drugi unieruchomił nogi.

Szmata nadal przykrywała mu twarz. Cole wykasłał cały zapas powietrza, więc znowu zaciągnął się gryzącą wonią. Jego zmysły słabły. Wydawało mu się, że słyszy trzask tłuczonego szkła. Chrapliwy głos wydawał krótkie, niezrozumiałe komendy. Nieśli go. A może sunął w powietrzu? Nie mógł się dłużej opierać. Ruch przychodził mu z trudem. Cole czuł, jak świadomość odpływa, usiłował to zwalczyć, ale umysł był już zbyt daleko. Stracił przytomność.

– Chłopak dochodzi do siebie – oznajmił suchy głos.

– Nareszcie – odpowiedział inny.

Cole postanowił udawać, że dalej śpi. Siedział przywiązany do krzesła, czuł ostry ból pośrodku czoła. Nie podniósł głowy i nie otworzył oczu.

– Nie udawaj – zwrócił się do niego ten pierwszy. – Wiemy, że słuchasz. Zaczęłeś inaczej oddychać.

Cole rozpoznał ten głos. Zrozpaczony i przerażony otworzył oczy.

Ansel lekko unióś kapelusz i uśmiechnął się szeroko.

– Strachu na wróble! Wiedziałem, że jeszcze kiedyś się spotkamy.

Znajdowali się w pustym, zaniedbanym pomieszczeniu o ścianach ze starej cegły. Ansel i Baleron siedzieli na zniszczonych krzesłach przy chwiejnym stole. Do tej pory chyba grali w karty. W pokoju nie było okien i tylko jedno, solidne drzwi z drewna. Światło z dwóch latarni ukazywało ciemne plamy na ścianie i drzwiach, być może po zalaniu.

Cole stwierdził, że wciąż ma obie ręce. Odetchnął z ulgą. Jednak Ansel mógł zrealizować swoją groźbę w każdej chwili. Chłopiec starał się nie patrzeć na sierp.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał.

Uśmiech zniknął.

– To ja będę zadawał pytania.

Cole zaczął się wiercić, żeby sprawdzić pęta. Grube sznury trzymały go mocno i drapały w skórę. Tułów przywiązano mu do oparcia, a nogi do drewnianych nóg krzesła.

– Nigdzie się stąd nie wydostaniesz – powiedział Ansel. – Lepiej od razu przestań myśleć o wolności. To już przeszłość. I tak wytrzymałeś dłużej niż większość zbiegów. I wciąż masz rękę.

– Zauważyłem.

– Wolnoznak na twoim nadgarstku jest imponujący. Wygląda całkiem autentycznie. Ani śladu, że kiedyś był tam jarzmoznak. Skąd go masz?

Declan, wielki formista Sambrii, ukrywał się daleko stąd. Wyjawienie prawdy nie powinno mu zaszkodzić. Cole przełknął ślinę. Może jeśli będzie szczery, Ansel okaże mu trochę litości.

– Od Declana. Jednego z wielkich formistów.

Ta odpowiedź wywołała drwiący śmiech Ansela.

– No, skoro już zmyślasz, równie dobrze możesz iść na całość.

Cole zazgrzytał zębami. Szczerłość nie zda się na wiele, jeżeli Ansel mu nie uwierzy.

– Wielu znasz ludzi, którzy potrafią zmienić jarzmoznak na wolnoznak, tak żeby nie było śladu? – zapytał chłopiec.

Ansel podrapał się po brodzie, wpatrując się w niego.

– Dobrze, strachu na wróble, to opowiedz, jakim cudem zbiegły niewolnik spotkał wielkiego formistę Sambrii na wygnaniu.

– Z Nieboportu uciekłem niebolotem – powiedział Cole. – Adam Jones o tym wiedział. Wleciałem we Wschodni Chmuromur i tam znalazłem Declana. Pomógł mi. Już go tam nie ma. Wykurzyli go legioniści.

Baleron rąbnął mięsistą dłonią w blat stołu.

– Dość tego! Koniec z tymi kłamstwami. Gadaj szefowi prawdę albo cię do tego zmuszę.

Pod wpływem tego nagłego wybuchu Cole wzdrygnął się i zamknął oczy. Kiedy je otworzył, zobaczył, że Ansel uspokajająco unosi dłoń.

– Może chłopak wcale nie kłamie – stwierdził handlarz. Baleron wybałuszył oczy z niedowierzaniem, ale nic nie powiedział. – Nie twierdzą, że jego opowieść brzmi wiarygodnie – sprecyzował Ansel. – Ale... może to być prawda. Idź po Sechę.

Baleron wstał i wyszedł z pokoju. Przez drzwi Cole zobaczył ciemne, brudne schody. I nic więcej. Zastanawiał się, czy będzie mu kiedyś dane po nich wejść. Raczej się na to nie zanosilo. Zresztą nawet jeśli tak, to pewnie jako jednoręki niewolnik. Musiał zachować spokój. Kiedy drzwi się zamknęły, Ansel długo mu się przypatrywał.

– Z kim podróżujesz? – zapytał.

– Z kilkoma innymi niewolnikami z Nieboportu. Uciekliśmy razem. Pomaga

nam pewien mężczyzna.

Ansel wolno pokiwał głową.

– Dziewczynka i dwóch chłopców. I członek Niewidzialnych. – Cole był zaskoczony, że handlarz wie tak dużo. – Rozpytywałem o ciebie – powiedział Ansel w odpowiedzi na minę chłopca. – Inni szukają grupy zbiegów z Nieboportu. Łatwo to skojarzyć.

– Jak mnie znalazłeś?

– Nie zapominaj, kto tu zadaje pytania. Pewnym ludziom zależy na tej dziewczynce. Bardzo wpływowym ludziom. Kim ona jest?

– Nie chciałbyś się plątać w jej sprawy.

Twarz Ansela całkowicie straciła wyraz.

– Sam to ocenię. Mów, kim jest.

– Nie wiem – odparł Cole.

Handlarz wstał i ponuro pokręcił głową.

– Teraz kłamiesz.

Zważył sierp w ręce. W jego uścisku ostrze wyglądało okrutnie. Żyłki wystąpiły mu na dłoni.

Cole patrzył w milczeniu. Mira zaufała mu, wyjawiając swój sekret. Ansel porwał go z tej samej gospody, w której mieszkała również ona – może ludzie handlarza wciąż obserwują to miejsce, na komendę gotowi ją porwać. Cole nie mógł zdradzić prawdziwej tożsamości przyjaciółki.

– To potężna formistka.

– Możliwe, że to część prawdy – odparł Ansel. – Wcale nie musisz opuścić tego pomieszczenia żywy, strachu na wróble.

– Wiem.

– Ani w jednym kawałku – dodał mężczyzna groźnie. – Doszły mnie słuchy o niewolniku, który zbiegł najwyższemu królowi. Niewolniku, którego ten koniecznie chce odzyskać.

To wersja legionistów przybyłych po Mirę do Nieboportu. Fałszywa, ale gdyby Ansel uwierzył, że Mira to niewolnica, mógłby uznać, że właśnie on będzie tym handlarzem, który dostarczy ją właścicielowi.

– Ona nie jest niewolnicą – powiedział Cole.

– Domyślam się, że ma wolnoznak. Na pewno równie autentyczny jak ten twój. Najwyższy król to mój klient numer jeden.

Otworzyły się drzwi i do pomieszczenia weszła Secha, ogorzała kobieta, która kiedyś napiętnowała Cole’a jarzmoznakiem. Baleron wszedł za nią i zamknął drzwi.

Kobieta przyczłapała do chłopca.

– Wielki formista usunął mój znak?

– Zgadza się – odparł Cole.

Secha pochyliła się nad jego dłonią i dokładnie obejrzała wolnoznak. Potarła go i powąchała. Mamrotała coś cicho.

– I co myślisz? – zapytał Ansel.

– To rzeczywiście może być robota wielkiego formisty – przyznała. – Nie mam lepszego wytłumaczenia. Zupełnie jakby mojego znaku nigdy nie było. Taka idealna transformacja w ogóle nie powinna być możliwa.

– Zostawcie nas – polecił handlarz niewolników. – Chłopak i ja mamy sprawy do omówienia.

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i do środka wszedł Joe z łukiem gotowym do strzału. Za nim próg przestąpił Jace ze złotą liną w dłoni.

Cole'owi mocno zabiło serce – znaleźli go!

Baleron ruszył na intruzów, a wtedy lina wystrzeliła, oplotła mu tors i uniosła go do góry. Jego kark obrzydliwie trzasnął o sufit, a potem masywne ciało opadło na ziemię.

– Poddać się! – krzyknął Joe, gotów wypuścić strzałę.

Ansel, z miną ponurą, lecz ostrożną, powoli odłożył sierp, a potem podniósł ręce do góry.

– Słyszałaś, co mówił, Secho – powiedział.

Kobieta z uniesionymi dłońmi przysunęła się do Ansela.

– Wystarczy – zatrzymał ją Joe. – Na podłogę, twarzą do ziemi, oboje.

Wykonali polecenie bez sprzeciwu.

Za Joem i Jace'em weszli Drgawa i Mira. Cole nie mógł uwierzyć, że są tu wszyscy! Kiedy się obudził przywiązany do krzesła, był przekonany, że w najlepszym razie straci rękę i zostanie niewolnikiem. W najgorszym – będą go torturować, a potem zabiją. Nie śmiał marzyć o ratunku.

Mira podbiegła do niego i rozcięła mu pęta swoim mieczem skakania.

– Nic ci nie jest? – zapytała.

– Wszystko w porządku – odparł oszołomiony, że to prawda. – Myślałem, że już po mnie, że to koniec. Jak mnie znaleźliście?

– Dzięki Drgawie – powiedział Jace. – Kiedy przyszli po ciebie, uciekł przez okno. Śledził ich aż tutaj, a potem wrócił po nas. Żeby nam ułatwić życie, zabrali cię do Kartaginy Zachodniej. – Dla podkreślenia tych słów pomachał złotą liną.

Cole wstał, a potem roztarł ramiona w miejscach, gdzie sznury ograniczyły mu krążenie. Teraz rozumiał, dlaczego Mira już nie wygląda jak kobieta w średnim wieku. Gdy opuściła Elloweer, zdawa się rozwiąła. Ansel

gniewnie łypał z podłogi.

– Uważajcie na niego – powiedział Cole. – Jest niebezpieczny. I wie, że to nas szukają.

– Jak dużo wie? – zapytał Joe.

– Że zbiegliśmy z Nieboportu. I że nam pomagasz. Słyszał, że jedno z nas jest niewolnikiem, który uciekł najwyższemu królowi.

– Jesteście kryminalistami – wychrypiał Ansel. – Legalnie wziąłem Cole’a do niewoli. Zmienił sobie znak.

– Lepiej się módl, żebyśmy nie byli kryminalistami – odparł Joe. – Bo kryminaliści zabijają świadków.

– Nie zabijemy go? – spytał Jace.

Joe spojrział na chłopca.

– W ten sposób? Kiedy się poddał?

Jace wzruszył ramionami.

– Za łatwo?

– Będzie na nas polował – ostrzegł Cole.

– Rzadko bywam w niekorzystnej sytuacji – odezwał się Ansel. – Nie powiem, żeby mi się to podobało, ale tego nie zmienię. W każdym razie dopóki chłopak ma linę, a ty łuk. – Uśmiechnął się zdeglustowany, a potem zacisnął zęby. – Wiecie co? Jeśli puścicie wolno mnie i Sechę, odwdzięczymy się. Nie będę was ścigał. I już. Nigdy się nie widzieliśmy. – Secha spojrzała na niego oszołomiona. Ansel zauważył jej minę. – Co? Masz lepszy pomysł? – Potem znowu popatrzył na Joego. – Propozycja wciąż aktualna.

– Jeżeli kłamie, to może się źle skończyć – zauważył Drgawa.

Ansel zaśmiał się ze złością.

– Handlarze, którzy kłamią, szybko wylatują z interesu. Pojmałem Cole’a zgodnie z prawem. Nie możecie mieć mi za złe, że go wyśledziłem. Czuję się, jakbym złopał ocet, ale muszę przyznać, że mnie pokonaliście. Nie śpieszy mi się umierać. Pora zminimalizować straty i się wycofać. Tyle mam do powiedzenia w tej sprawie. Secho?

– Ja też. Darujcie nam życie, a o wszystkim zapomnimy.

– Jak mnie znalazłeś? – zapytał Cole.

– Czy to ma znaczenie?

– Teraz to nie ty zadajesz pytania.

Ansel zaśmiał się jadowicie.

– Nie dzięki magii. Narysowałem twój portret. Mam smykałkę do twarzy. Zapłaciliśmy paru artystom, żeby go skopowali, a potem zebrałem ludzi, którzy chodzili z obrazkami po mieście i oferowali nagrodę. Rozpoznał cię jeden z ochroniarzy przy wejściu na spektakl. Wiadomość dotarła do mnie w porę, więc kazałem swoim ludziom, żeby śledzili cię po przedstawieniu. Już myśleli, że cię przeoczyli, ale okazało się, że wyszedłeś później bocznymi drzwiami. Odkąd wiedzieliśmy, w której gospodzie mieszkasz i w którym pokoju, reszta była prosta.

Joe przykucnął obok Ansela.

– Nie jesteś dobrym człowiekiem. To, co robisz, może być legalne, ale jest nikczemne. Ponieważ jednak jesteś handlarzem, trzymam cię za słowo. Jeżeli was tu zostawimy, przestanieś polować na Cole’a i nie piśniesz władzom ani słowa, że widziałeś grupę, której szukają.

– To właśnie wam obiecuję – potwierdził Ansel. – Będę żył swoim życiem, a wy swoim. Układ korzystny dla obu stron. I już.

– Bezpieczniej byłoby go zabić – wtrącił Jace. – Załatwiliśmy jego ludzi. Może zmienić zdanie.

– Dotrzyma słowa – odparł Joe.

– Wszystkich was złapią – stwierdził Ansel. – Zwróciliście na siebie za dużo uwagi. To już tylko kwestia czasu. Ale nie przyczynię się do tego ani ja, ani moi ludzie. Zlikwidowaliście Balerona, a po drodze pewnie jeszcze innych. Można się tego było spodziewać. Ferwor walki, albo wy, albo oni. Było, minęło. Z takimi rzeczami trzeba się liczyć. Wy nie chcecie mnie zabić z zimną krwią, a ja nie chcę zginąć za to, że robię swoje. Daję wam wyjście. Wszyscy możemy żyć dalej.

– Dobry jest – stwierdził Jace.

Ansel splunął w bok.

– Lubię mówić bez ogródek.

Joe spojrział na Mirę, a ona na Cole'a. Chłopiec przyglądał się Anselowi rozciągniętemu na brudnej podłodze. Handlarz porwał jego przyjaciół. Gdyby nie on, Cole byłby teraz w domu, szedłby właśnie do szkoły, grał na konsoli albo wygłupiał się na dworze. Jenna i Dalton byliby bezpieczni, pozostali również.

Ale skoro niewolnictwo jest tu legalne, to czy Ansel miał rację? Czy po prostu robił swoje? To zły człowiek, jednak nie zabił żadnego z dzieci. Jeśli obiecał, że nie będzie ich więcej gonił, Cole nie mógł stać bezczynnie i pozwolić, żeby został zamordowany, mimo tych wszystkich okropnych rzeczy, które zrobił.

Kiwnął głową.

– Wierzę mu.

Mira również przytaknęła.

– W porządku – powiedział Joe. – Trzymamy cię za słowo. Nie chcę cię więcej widzieć.

– Wzajemnie – zapewnił go Ansel. – Stańmy się nieznajomymi. Zostawcie

nas tutaj i idźcie, dokądkolwiek chcecie. Odczekamy tutaj godzinę i nie będziemy was ścigać. Rozsądny układ?

Joe pozdrowił go szybkim ruchem dłoni.

– Do zobaczenia nigdy.

ROZDZIAŁ 12

KARAWANA

Załatwiłam nam przejazd z karawaną, która wyrusza jutro o świcie – powiedziała Skye. – Nic wcześniej nie udało się znaleźć.

Siedzieli w wynajętym pokoju nieopodal placu Trejażowego. Cole został odbity koło pierwszej nad ranem, więc mieli mnóstwo czasu, żeby dotrzeć na umówione spotkanie.

– Czy karawana to nasz najlepszy sposób podróżowania? – zapytał Joe.

– Zwrócimy na siebie znacznie mniej uwagi, niż gdybyśmy wyruszyli sami – odparła iluzjonistka. – Boczne drogi Elloweer nie są bezpieczne. Nie bez kozery większość osób mieszka tutaj w pobliżu jakiegoś zamku albo w miastach za murami. Po królestwie krążą dziwne istoty. Ludzie nie ufają obcym. Zważywszy na zagrożenie ze strony Błędnego Rycerza, głosuję za karawaną.

– Błędny Rycerz walczy z władzą, prawda? – wtrącił Cole. – Czy to nie znaczy, że jest po naszej stronie?

– Chciałabym – odparła Skye. – O ile wiem, niezbyt go interesuje, kogo okrada, byle ten ktoś miał pieniądze. Nie zapewnił przywództwa miastom,

które podbił. Za nikim się nie opowiedział. Jedyny jego jasny cel to pokonywanie czempionów i rozdawanie łupów. Ma nierozważne metody. Chyba dąży do anarchii.

– Anarchia wstrząsnęłaby najwyższym królem – zauważył Jace.

– Chaos w Mieście na Rozdrożu rzeczywiście by nam pomógł – przyznała Skye – ale tylko w Elloweer wojny rozstrzygają czempioni, więc Błędny Rycerz może wstrząsnąć wyłącznie elloweerskimi miastami. Pomyślcie o tym, co tak naprawdę oznacza brak podatków: brak straży, brak usług publicznych, brak prac na rzecz społeczności. Lepszy najwyższy król i jego zarządcy od zupełnego nieładu.

– Osoba, z którą rozmawiałem, uważała, że Błędnym Rycerzem może być księżę Laramii – powiedział Cole.

Skye przewróciła oczami.

– Każdy ma jakąś teorię. Wiem z dobrze poinformowanego źródła, że księżę Laramii nie żyje. Był bratankiem Callisty, naszej wielkiej formistki. Głośno sprzeciwiał się najwyższemu królowi jeszcze po tym, jak Callista musiała się ukryć. Próbowaliśmy zwerbować go do Niewidzialnych, ale oburzenie wolał wyrażać publicznie. Wkrótce zniknął. Utonął, o ile mi wiadomo.

– A Callista? – spytała Mira. – Czy wiemy, gdzie ją znaleźć? Pewnie by nam pomogła.

Skye zaśmiała się sceptycznie.

– Uwierz mi, Niewidzialni próbowali jej szukać. Nikt nie potrafi posługiwać się przemianstwem i iluzją tak jak ona. Bardzo by nam pomogła. Ale skoro chce się ukrywać, to nie mamy szans. Znalezienie jej byłoby cudem.

– Przecież Miraclea to znaczy cud – wtrącił Jace.

– Nie ma żadnych wskazówek? – spytała Mira, ignorując jego uwagę. – Może jakiś sygnał, żeby Callista wyszła z ukrycia?

Skye pokręciła głową.

– Callista opuściła swoją twierdzę kilkadziesiąt lat temu. Nie wzięła uczniów ani pomocników, nie zostawiła wiadomości innym zaklinaczom. Po prostu zniknęła. Nawet gdybyśmy ją znaleźli, kto wie, czego można po niej oczekiwać? Zawsze była ekscentryczna.

– Już załatwiłaś sprawy z karawaną? – zapytał Joe.

– Tak. Dostaniemy dwa powozy, każdy z czterema końmi i woźnicą. Jak na podróż, powinno być bardzo wygodnie. Posłużę się wcieleniem Madeline: rozgoryczonej asystentki szukającej nowego początku w innym mieście. Możecie udawać moich pomocników. Karawana, którą wybrałam, należy do Monroego Sinclaira, od dawna sympatyzującego z rebeliantami. Zawsze możemy się wycofać. Stracę zadatek, ale na brak kółkatów nie narzekam. Podróż karawaną jest nieco wolniejsza i bardziej uporządkowana niż w grupce jeźdźców, ale ogólnie raczej bezpieczniejsza.

– To ty jesteś tutejsza – rzekła Mira. – I już długo wymykasz się elloweerskim władzom. Zaufamy twojej ocenie.

– Brzmi sensownie – zgodził się Joe.

– Świetnie – rzekła Skye. – Muszę poczynić jeszcze inne przygotowania. Miro, przyjdź za godzinę do mojego pokoju, przywrócę twoją iluzję. Dziś wieczorem przygotuję nową tożsamość dla Cole'a. Wynajęliśmy tu pokoje na trzy noce, ale zamierzamy wyruszyć z karawaną jutro o świcie.

Kiedy wyszła, Cole zbliżył się do Drgawy. Nie wiedział, jakimi słowami wyrazić mu swą wdzięczność, ale musiał spróbować.

– Dziękuję, że za mną poszedłeś. Myślałem, że już po mnie. Nie wiem, co bym zrobił.

– Zostałbyś nadzwyczajnym praworęcznym niewolnikiem – stwierdził Jace.

– Mirze też podziękuj. To ona nalegała, żebyśmy ruszyli za tobą.

Dziewczynka szturchnęła go w ramię.

– Sam też byś poszedł.

Jace wzruszył ramionami.

– Może. Nigdy się tego nie dowiemy.

Cole był tak bardzo wdzięczny, że nie przejmował się słowami Jace'a.

– Wszystkim wam dziękuję – powiedział. – Będę waszym dłużnikiem do końca życia.

– Skoro Cole ma z głowy Ansel, to czy wciąż potrzebuje kamuflażu? – zapytał Jace.

– Lepiej być ostrożnym – odrzekł Joe. – Sądzę, że Ansel dotrzyma słowa, ale nie zaszkodzi się zabezpieczyć. Poza tym poszukiwani są trzej chłopcy i dziewczynka. Jeśli jeden z chłopców stanie się starszy, wszystkich nas będzie trudniej wykryć.

– Zgadzam się – powiedziała Mira.

– Skoro Drgawa uratował mi skórę – odezwał się Cole – to muszę wam coś powiedzieć, zanim zapomnę. Przydałaby się mu nasza pomoc. – Drgawa w panice szeroko otworzył oczy. Pośpiesznie pokręcił głową. – Boję się, że sam nigdy nie poprosisz – odparł Cole.

Drgawa zakrył oczy dłońmi.

– No dobrze – ustąpił. – Mów dalej.

– Jaka pomoc? – zapytała Mira.

Cole opowiedział o mieszkańcu bagien, który podbił rodzinne miasteczko Drgawy. Ten ostatni w miarę potrzeby dopowiadał imiona i inne szczegóły. Nawet Jace słuchał z szacunkiem.

– Na pewno znajdziemy najemnika, który ci pomoże – stwierdził Joe. – Sam stanąłbym do walki z Renfordem, ale raczej nie jestem z tych, co pojedynkują się z mieczem w dłoni. Obawiam się, że mógłbym przegrać. Potrafię się bić, ale zwykle polegam na gadżetach, elemencie zaskoczenia i szybkiej ucieczce.

Drgawa pomachał rękami na znak, że odrzuca ofertę.

– Nie chcę wam sprawiać dodatkowych kłopotów. I tak macie ich już dość. Ale przyda mi się pomoc w wynajęciu wojownika.

– Drgawo! – skarciła go Mira. – To oczywiste, że ci pomożemy!

– Czy to może poczekać, aż dotrzemy do Merriston? – zapytał Joe.

– Nawet dłużej – zapewnił Drgawa. – Najpierw chcę pomóc Mirze znaleźć Honoratę. I Cole’owi Daltona.

Joe podszedł do niego i uściśnął mu dłoń.

– Zatem postanowione. A teraz odpocznijcie. Wyruszamy wczesnym rankiem.

Karawana była gotowa do odjazdu już na długo przed wschodem słońca. W wilgotnym chłodzie przedświtę dwadzieścia cztery kryte wozy towarowe i pasażerskie powozy czekały na otwarcie Wschodniej Bramy. Konnym pojazdom miało towarzyszyć kilku jeźdźców, w tym Monroe Sinclair i pięciu prywatnych żołnierzy w lekkiej zbroi.

Monroe, krępy mężczyzna po pięćdziesiątce z krótkimi siwiejącymi włosami, ubrany był w długi skórzany płaszcz rozcięty z tyłu. Przy pasie nosił duży miecz w czarnej pochwie. Cole’owi, gdy patrzył na jego szeroką szczękę i toporne rysy, przypominały się stare fotografie amerykańskich pionierów. Wydawało się, że mężczyzna dobrze się czuje jako przywódca; jeździł wzdłuż sznura wozów, wydając ciche komendy.

Cole siedział w jednym z ośmiu powozów pasażerskich. Mocno owinał ramiona cienkim kocem dla ochrony przed chłodem. Przyglądał się swoim dłoniom. Wyglądały zwyczajnie, ale długa obserwacja przed lustrem potwierdziła, że inni widzą go jako niskiego, zwyczajnego mężczyznę z nierówną fryzurą.

Skye stworzyła tę zdawę zeszłego wieczoru. Cole przycupnął wtedy na niskim stołku. Procedura polegała głównie na tym, że zaklinaczka chodziła

wokół niego, a on się nie ruszał i tylko czasem, na komendę, unosił ramię albo obracał głowę. Raz po raz pochylała się tuż nad nim, zamykając jedno oko. Kiedy indziej przyglądała mu się z drugiego końca pokoju. On sam nie czuł nic niezwykłego, tylko raz czy dwa coś go lekko zamrowiło. Kiedy pokazał się pozostałym, Jace parsknął śmiechem i powiedział:

– A myślałem, że wcześniej byłeś brzydki.

Cole miał nadzieję, że to znaczy, iż kamuflaż działa.

Nadchodzący świt wlał trochę barwy w ponury poranek. Jace, Drgawa i Joe siedzieli razem z Cole'em, wszyscy przebrani za służących. Mira jechała ze Skye w elegantszym powozie.

Nieopodal pojazdu Cole'a do karawany zbliżyło się kilku jeźdźców. Na przedzie był mężczyzna w pełnej zbroi. Hełm i przyłbica zasłaniały mu twarz. Pozostali również mieli stroje gwardzistów. Za nimi toczył się okazały powóz z dwoma woźnicami w uniformach. Monroe ruszył na powitanie nowo przybyłych.

Cole patrzył na to z ciekawością. Gwardziści na pewno nie szukali Miry, ale i tak zaschło mu w ustach. Joe również bacznie ich obserwował.

– Czym mogę służyć?

– Dzień dobry, Monroe – odezwał się mężczyzna w ciężkiej zbroi. – Dołączamy do twojej karawany.

– Pierwsze słyszę – odparł Monroe, wyraźnie zły.

– Rozkaz włodarza – stwierdził rycerz. – Eskortujemy jego córkę Lucinę do Merriston. Włodarz Cronin uznał, że wygodniej będzie nam jechać z twoją karawaną, ale nie chciał, żeby wieść o jej podróży rozniosła się za wcześnie. Dostaniesz pełną zapłatę, a do tego będziesz miał podwójną eskortę, w tym najlepszego rycerza w Kartaginie.

Cole nie chciał sprawiać wrażenia zanadto zainteresowanego, więc odwrócił wzrok. Obecność rycerza i miejskich gwardzistów zwiększy ryzyko

rozpoznania. Słuchał niespokojnie, z nadzieją, że Monroe odmówi.

– Nie lubię niespodzianek – powiedział szef karawany. – Cronin powinien być mnie powiadomić. Potrafię dochować tajemnicy.

– Ja tylko wykonuję rozkazy – odparł rycerz. – Ty lepiej zrób to samo.

– Władza włodarza sięga murów Kartaginy. Nie dalej.

– Oficjalnie owszem. Ale obejmuje kontrolę nad ruchem przez bramę w obie strony.

– Zdaję sobie z tego sprawę – przyznał Monroe. – Nie chcę niepotrzebnych kłopotów. Nie zamierzam wchodzić w konflikt z Croninem. Tylko nie lubię, jak ktoś mną rozporządza.

– Rozumiem, że to zgoda, żebyśmy ci towarzyszyli? – upewnił się rycerz.

– Dzięki większej eskorcie wszyscy będą bezpieczniejsi. Ale to wciąż moja karawana.

– Wszystkie powozy poza jednym i cały personel oprócz mojego – sprecyzował tamten. – Jeszcze jedno: wolelibyśmy jechać w środku.

– Jedźcie, gdzie chcecie – mruknął Monroe.

Cole zerknął na Joego, który lekko wzruszył ramionami, jakby obecność gwardzistów wcale nie była taka zła. Chłopiec pomyślał, że dzięki temu inni gwardziści albo legioniści nie poświęcą karawanie więcej uwagi. Skye, Mira i on sam byli ucharakteryzowani zdawami, więc rycerz i jego żołnierze pewnie się nie zorientują, że to zbiegowie.

– Dziękuję – powiedział rycerz do Monroego. – Zatem ruszamy?

Odwrócił się w stronę muru i dał znak uniesioną dłonią. Po chwili brama zaczęła się otwierać.

Wkrótce wozy potoczyły się naprzód. Cole rozsiadł się na swoim miejscu. Jechali do Merriston – i do Daltona!

ROZDZIAŁ 13

NIEPOKOJĄCE WIEŚCI

Trzeciego dnia Cole przywykł do rutyny podróży z karawaną. W roli służącego o zwyczajnej twarzy mógł się poruszać wzdłuż sznura wozów, gdy zatrzymywali się na noc albo na posiłek. Wykonując polecenia – prawdziwe bądź udawane – miał oczy i uszy otwarte. Kiedy niósł drewno na opał albo wiadro z wodą, ludzie przeważnie traktowali go tak, jakby był niewidzialny.

Przez większość czasu jechał powozem razem z Jace'em, Drgawą i Joem. Oprócz chodzenia po wodę i drewno na opał jego jedynym obowiązkiem było noszenie posiłków lady Madeline oraz pomaganie jej we wsiadaniu i wysiadaniu. Miał zatem mnóstwo czasu, żeby marzyć o tym, jak bardzo Dalton zdziwi się na jego widok.

Kryte wozy załadowane były artykułami jadącymi do Merriston na handel. Mniej zamożni kupcy sami nimi kierowali, a kilku towarzyszyło swoim towarom w powozach pasażerskich. Inne należały do osób wracających do Merriston, przeprowadzających się tam lub podróżujących w interesach. Jeżeli Cole dobrze się orientował, jedyną turystką była Lucinda.

Konley, czyli rycerz, który jej towarzyszył, najwyraźniej uważał, że wszelka praca – oprócz jeżdżenia tam i z powrotem w zbroi – jest poniżej jego godności. Na noc zdejmował żelazną skorupę i spał w namiocie, którego strzegli jego ludzie. Cole zbierał drewno z Morym, giermkim rycerza. Chłopak był od niego kilka lat starszy i zachowywał się jak przewodniczący fan klubu Konleya. Ponoć jego pan doskonale się bił i należał do ulubieńców Henricka Stroopa, czempiona Kartaginy.

Lucinę Cole widywał rzadko. Była dość ładną dziewczyną dobiegającą

dwudziestki. Jej ciemne włosy układały się w mnóstwo loków. Chłopiec uważał, że przesadza z makijażem. Większość czasu spędzała w swoim powozie. Ilekroć ją widział, nosiła suknię oraz wymyślny kapelusz.

Trzeciego dnia po obiedzie, kiedy Cole pomagał Skye wsiąść do kabiny, ta zaprosiła go, żeby na resztę dnia dołączył do niej i Miry. Zgodził się z radością. Siedzenia w ich powozie były wygodniejsze, a poza tym liczył na to, że w innym towarzystwie czas będzie szybciej mijał. Do tej pory w obecności Skye i Miry zawsze odgrywał ich służącego, więc od wyjazdu z Kartaginy właściwie nie miał okazji z nimi porozmawiać.

– Wygodnie ci? – zapytała Skye, kiedy powóz ruszył.

– Tak, lady Madeline – odparł mimowolnie Cole.

Skye się roześmiała.

– Tutaj nie musisz udawać. Stworzyłam zdawę, która zagłusza dźwięki wydostające się z kabiny. Zresztą i bez tego woźnica raczej by nas nie usłyszał. Za dużo hałasu na drodze.

– Przepraszam. To odruchowe.

– I chyba dobrze – stwierdziła zaklinaczka.

Cole odwrócił się do Miry. Przywykł już do oglądania jej jako kobiety w średnim wieku.

– Jak się miewasz?

– Wcielanie się w Gayline jest proste – odrzekła. – Służącej lady Madeline prawie nikt nie zauważa.

– Mnie też! To świetny sposób podsłuchiwania plotek.

– Dowiedziałeś się czegoś przydatnego? – zainteresowała się Skye.

– Niczego wyjątkowego. A wy?

– Część gwardzistów Konleya zna mnie z czarodziejskiego widowiska. Trochę z nimi poflirtowałam i jeden wyjawiał, że ich misja wiąże się z Błędnym Rycerzem. Henrick chce dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Jeśli Konleyowi nadarzy się okazja, ma go zabić.

– Może to zrobić? – zapytał Cole.

– Potrafi się bić – stwierdziła Skye.

– Jego giermkowi wydaje się, że Konley gołymi rękami pokonałby niedźwiedzia, i to chodząc po wodzie – powiedział chłopiec.

Iluzjonistka się uśmiechnęła.

– Konley zajmuje wysokie miejsca w turniejach w Kartaginie. Tylko kilku innych rycerzy może się z nim równać. To były czempion miasta Rudberg. Niektórzy myśleli, że rzuci wyzwanie Henrickowi, ale potem oddał mu Rudberg i przyjął rolę jego rycerza.

– Myślisz, że Błędny Rycerz nas obrabuje? Czy to możliwe? – zapytała Mira.

– Prawie na to liczę. W pewnym sensie czuję to samo co Henrick. Chciałabym zobaczyć go z bliska, dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Nie zwykł robić krzywdy napadniętym ludziom. Większość naszej gotówki ukryłam w tajnych schowkach, a mój majątek to głównie czeki, które tylko ja mogę zrealizować.

– No, nie wiem – odparła Mira. – Wolałabym nie mieć kłopotów z Błędnym Rycerzem. Kto wie, co on zrobi? To zbyt duża niewiadoma.

– Największa niewiadoma w Elloweer – przyznała Skye. – A moja wiedza na jego temat to przeważnie pogłoski.

W tej kwestii Cole zdecydowanie zgadzał się z Mirą. Nie chciał wejść w drogę człowiekowi, który zabił mnóstwo czempionów i gustował w okradaniu niewinnych podróżnych. Tylko tego im brakowało – następne niebezpieczeństwa! Wsłuchiwał się w stukot kopyt koni, które ciągnęły powóz, i rozmyślał o tym, co zamierzają osiągnąć w Merriston.

– Jaka jest Honorata? – zapytał.

Mira się uśmiechnęła.

– Nori to moja starsza siostra, druga w kolejności. I najbardziej niezależna. Na Rozdrożach arystokratki noszą długie włosy, ale ona je ścinała. Spędzała czas głównie na dworze: jeździła konno, wspinała się, polowała, ćwiczyła szermierkę. To jej pasja, dobrze radzi sobie także z łukiem. Trenowała z elitarnymi gwardzistami mojego ojca. Już kiedy miała dwanaście, trzynaście lat, wielu pokonywała w pojedynkach.

– Serio?

Mira wzruszyła ramionami.

– Może trochę dawali jej fory. Kto wie? – Dziewczynka spoglądała gdzieś w dal. – Kiedy ojciec zamroził nasz wiek, Nori miała piętnaście lat. Moja siostra Elegancja jest wysoka, a Nori prawie dorównuje jej wzrostem, ale jest mocniej zbudowana. Czasami trudno się z nią dogadać, zwłaszcza jeśli ma inne zdanie niż ty. Zawsze uważa, że ma rację. Ale fajnie było patrzeć, jak stawia się ojcu. Opierała się mu częściej niż my wszystkie razem wzięte.

– Chyba bym ją polubiła – stwierdziła Skye.

– Myślę, że tak – zgodziła się Mira. – Honorata to bardzo lojalna przyjaciółka. Potrafi dawać świetne rady i wymyślać przeróżne gry. Umie słuchać i zawsze dochowuje tajemnicy. Bardzo ją kocham. Serce mi pęka na myśl, że wylądowała w więzieniu. Jej miejsce jest pod gołym niebem. Ciekawe, kto ją złapał. Nori to ostatnia z moich sióstr, którą podejrzewałabym o to, że trzeba ją będzie ratować.

– Wygląda na kogoś, kto lubi przygody – stwierdził z namysłem Cole. – Może przesadziła z ryzykiem.

– Możliwe. Nigdy nie boi się wyzwań i zawsze reaguje, gdy widzi niesprawiedliwość.

– Chyba pasuje do niej to imię – odezwała się Skye.

Mira miała dziwną minę.

– Jak nam wszystkim, w ten czy inny sposób. Kiedyś rozmawiałam o tym z Kostą.

– Z Konstancją? – upewniła się Skye.

– Tak. Uważała, że imiona ukształtowały naszą osobowość. Chyba mama wykorzystwała swój dar widzenia. Zawsze miała sposób, żeby wiedzieć różne rzeczy. Elegancja była z nas najbardziej zgrabna i kobieca. Honorata najszczęsza w słowach i czynach. Konstancja najbardziej zrównoważona i godna zaufania. A mała Destynea niespodziewanie zaskakiwała nas stwierdzeniami zbyt dojrzałymi na jej wiek.

– A ty? – spytał Cole.

Mira się zarumieniła.

– Zdarzają mi się dziwne wypadki, ale jak dotąd wszystkie przeżyłam.

– Na przykład?

– Oprócz tego, że utknęłam w zamku na niebie z cyklopem mordercą? Albo że wessałam mnie krańcowa pustka? Albo że jadąc autowozem, wpadłam do wąwozu?

Cole się roześmiał.

– Właśnie – odparł. – Choć oprócz tych rzeczy, o których już wiem.

– Moja matka i ja ledwo przeżyłyśmy moje narodziny. Przyszłam na świat przedwcześnie. Potem mama urodziła Destyneę tylko dlatego, że ojciec chciał w końcu mieć syna.

– Co jeszcze? – spytał Cole zaciekawiony.

Dziewczynka westchnęła z rezygnacją.

– Gdy miałam pięć lat, wyleciałam z okna na trzecim piętrze i spadłam na

wóz z sianem. Kiedy indziej przez pomyłkę zjadłam zatrute jagody, ale zdążyłam je wymiotować, zanim umarłam. Pewnego razu pies uratował mnie przed utonięciem. Jako trzylatka wyszłam na ulicę prosto pod nadjeżdżający wóz. Potknęłam się i przejechał mi nad głową. Kopyta i koła ledwie mnie minęły. To tylko te najważniejsze przypadki.

– Szaleństwo – stęknął Cole.

– Miejmy nadzieję, że cuda nie ustaną. – Mira zacisnęła mocno kciuki.

– I że są zaraźliwe – mruknęła Skye.

Cole patrzył, jak za oknem przesuwa się krajobraz. Przejeżdżali przez małe osady. Na niewysokim pagórku stała wieża z szarego kamienia o ciemnych, tajemniczych oknach. Pola i lasy przemykały i znikwały. Ze stukotem pokonali stary drewniany most.

Późnym popołudniem wozy się zatrzymały. Słońce nadal wisiało zbyt wysoko, żeby rozbić obóz, chyba że tym razem postój zarządzono znacznie wcześniej niż w poprzednich dniach. Może drogę zagradzała jakaś przeszkoda?

Ktoś zapukał do drzwi powozu. Gdy Skye otworzyła, zobaczyła Monroego z nieznanym.

– Ten człowiek twierdzi, że ma dla pani wiadomość – stwierdził Monroe.

– Pilną – dodał tamten. – Od Verilana.

Skye przewróciła oczami.

– Jak mnie namierzył?

Posłaniec wzruszył ramionami.

– Powiedziano mi, że tu was znajdzie.

– Przekaż mu, że do niego nie wrócę.

Tamten pokręcił głową i uniósł zwój papieru zapieczętowany czerwonym woskiem.

– Nie znam go. Nie mam pojęcia, o co prosi.

Skye wyrwała mu kartkę z ręki.

– Ja się domyślam. Dawniej myślałam, że coś nas łączy. Ale między nami wszystko skończone. Jeśli chciał, żebym była obecna w jego życiu, powinien mnie lepiej traktować, dopóki z nim byłam.

Posłaniec podniósł ręce w obronnym geście.

– Nie mam zdania na ten temat. Zapłacono mi, żeby doręczyć wiadomość.

Skye odgoniła go ruchem dłoni.

– Spowolniłeś karawanę bez ważnego powodu.

– Pędziłem co sił przez dwa dni – wyjaśnił tamten.

Kobieta wyjęła srebrnego kółkata.

– Dziękuję za spełnienie obowiązku. Na pewno jesteś cudowną osobą. – Spojrzała na Monroego. – Możemy jechać.

– Na pewno? – zapytał szef karawany.

– Absolutnie – odparła, zamykając drzwi.

Kilka chwil później powóz znów się potoczył. Skye złamała pieczęć i rozwinęła kartkę. Przemknęła wzrokiem po tekście.

– To prośba, żebym wróciła. Nie napisał jej Verilan, ale ktoś próbował podrobić jego pismo.

– Kto? – zapytał Cole.

Zaklinaczka machnęła dłonią nad pergaminem. Chłopiec zobaczył, jak

pojawiają się świecące słowa skreślone inną ręką, ale pod ostrym kątem nie mógł ich przeczytać. Skye jęknęła.

– Co się stało? – spytała Mira.

Zanim iluzjonistka odpowiedziała, przeczytała resztę tajnej wiadomości.

– Fałszywa wiadomość od Verilana została tu umieszczona na wszelki wypadek, gdyby list dostał się w niepowołane ręce. Ta prawdziwa pochodzi od innego członka Niewidzialnych, zaufanego przyjaciela. Dwa dni temu Verilan zaginął. W mieszkaniu nie było śladów walki, ale na ścianie znaleziono jego tajny znak zagrożenia. To oznacza, że ktoś w tym maczał palce. I może zwiastować, że czekają nas kłopoty.

– Jeśli ktoś go znalazł... – zaczęła Mira.

– To może być blisko odnalezienia nas – dokończyła Skye. – Nawet jeśli Verilan się nie ugnie, wkrótce pewnie zaczną szukać mnie.

– Co doprowadzi ich do naszej karawany – zrozumiał w lot Cole.

Tego właśnie im było trzeba, pościgu oddziału agentów, podczas gdy wloką się powoli w powozach. Trudno o łatwiejszą zdobycz!

– Nie od razu – odparła Skye. – Dodatkowo zapłaciłam Monroemu, żeby zarejestrował mnie pod fałszywym imieniem. Powiedziałam, że nie chcę, żeby Verilan wiedział, dokąd się udałam. Madeline nie łączy z tą karawaną żadne dokumenty. Moje plany znało tylko paru zaufanych członków Niewidzialnych.

– A jeśli Verilan się wygada? – spytał Cole.

– Wiedział, że wyjeżdżam z miasta. Nie podałam szczegółów i starałam się zagmatwać jego pojęcie o tym, dokąd się wybieram. Zawsze staram się zacierać ślady. Ale mimo fałszywych papierów wszyscy w tej karawanie znają mnie jako Madeline. Świadkowie mogli mnie rozpoznać, kiedy wyjeżdżałam. Niewykluczone, że ktoś nas znajdzie.

– Posłańcowi to się udało – zauważył Cole.

– Jemu pomogli Niewidzialni – odparła Skye. – Musieli posłużyć się kimś, kto nam sprzyja.

– To jeszcze nie musi oznaczać, że zniesie tortury – powiedziała Mira.

Zaklinaczka przytaknęła.

– Powrót do Kartaginy zajmie mu kilka dni.

– Czy to dlatego strzela się do posłańca? – zapytał Cole.

– Czasami – odrzekła Skye. – Żeby skojarzyć go z nami, trzeba by niebywałych zdolności detektywistycznych.

– Czy ten cały Łowca nie ma aby przerażającej reputacji? – przypomniał sobie Cole.

– Jest jednym z najlepszych. – Zaklinaczka westchnęła jadowicie. – Zdecydowane nie chcielibyśmy się z nim mierzyć. Mam nadzieję, że to nie on porwał Verilana.

– Może powinniśmy oddzielić się od karawany? – zastanawiał się Cole.

Skye zmarszczyła brwi.

– Monroe, Konley i reszta uznaliby to za podejrzane. Stanęłyby przed nami nowe zagrożenia. Omówię to z Joem, kiedy się zatrzymamy.

– Co powinniśmy robić tymczasem? – spytał chłopiec, któremu w powozie nagle zrobiło się ciasno.

Skye poklepała Mirę po ramieniu.

– Liczyć na następne cuda.

ROZDZIAŁ 14

BŁĘDNY RYCERZ

Po długiej dyskusji Joe i Skye postanowili zaryzykować dalszą podróż z karawaną, zamiast się oddzielić, robiąc z tego widowisko. Mira pochwałała tę decyzję, więc dalsza droga niewiele się różniła od dotychczasowej, tyle że częściej oglądali się wstecz.

Cole spędzał dużo czasu na obserwacji pustej drogi za karawaną. Nie był pewien, czy zobaczy legionistów, gwardzistów miejskich, czy agentów na dziwnych wierzchowcach. Nie chciał jednak żeby wrogowie podeszli ich niezauważeni.

O ile jego grupa koncentrowała uwagę na tyłach karawany, o tyle ekipa Konleya z każdym dniem coraz czujniej patrzyła na drogę przed nimi. Siódmego dnia podróży, zbierając drewno na opał, Cole zauważył, że Konley przemawia do swoich ludzi. Odwrócił wzrok i na tyle zbliżył się do ich ogniska, żeby wszystko słyszeć.

– Najbliższe dwa dni będą kluczowe – stwierdził Konley i dla podkreślenia tych słów uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Wszystkie napady miały miejsce w pobliżu Merriston, więc Błędnego Rycerza napotkamy albo dziś wieczorem, albo jutro, albo pojutrze. Potem dotrzemy do stolicy. W każdej chwili na patrolu ma być co najmniej trzech ludzi.

– Myślisz, że się pojawi? – spytał jeden z gwardzistów.

– Szczerze? – odparł Konley, kołysząc się na piętach. – Myślę, że kiedy ten łajdak zobaczy nie tylko Monrogo z pięcioma najemnikami, ale i rycerza w towarzystwie siedmiu umundurowanych gwardzistów, będzie się trzymał z dala i poczeka na łatwiejszą zdobycz. Ale gdyby się jednak ujawnił, chcę być gotowy.

Cole oddalił się, kiedy rycerz zaczął wydawać swoim ludziom szczegółowe

polecenia. Skoro znajdowali się dwa dni drogi od Merriston, to przyjaciołom brakowało już tylko tyle czasu, żeby byli bezpieczni. Kiedy opuszczą karawanę, ich trop się urwie i pościg stanie się znacznie trudniejszy.

Nazajutrz rano, niecałą godzinę po tym, jak karawana ruszyła, drogą z naprzeciwka nadjechało galopem dziesięciu ludzi w zbrojach. Czterech zostało na trakcie, żeby zmusić sznur powozów do zatrzymania, a sześciu pozostałych zjechało na bok, na pole, a potem zakreśliło, żeby zwrócić się do podróżnych. Jeden z rycerzy był drobny jak dziecko i chyba nie dosiadał konia, ale mocnego kuca. Pozostali jednak mieli imponujące postury. Jechali na potężnych wierzchowcach, również zakuty w zbroje.

Rycerz na czele grupy był największy, a jego koń wręcz olbrzymi. Misterna zbroja lśniła w słońcu. Na plecach mężczyzny wisiał ciężki miecz w pochwie. Z wypolerowanego hełmu sterczało jelenie poroże.

Cole'a skreśliło w żołądku. Niemożliwe, żeby po tym wszystkim, co już przeszli, mieli aż takiego pecha. Ale to musiał być on – człowiek, którego wszyscy tak bardzo bali się spotkać na drodze do Merriston.

Błądny Rycerz.

– To on, prawda? – zapytał Cole blady ze strachu. – To Błądny Rycerz.

– Na pewno – odparł Jace z lekkim drzeniem w głosie. – Czy są jeszcze inni zbóje, którzy napadają na karawanę w pełnej zbroi?

Cole miał dreszcze od samego patrzenia na tę grupę.

– Jak oni się mogą poruszać z takim obciążeniem? Wyglądają na kuloodpornych. Nie widać ani skrawka skóry.

– Na pewno są silni – stwierdził Drgawa. – Ich konie też.

– Po co te rogi? – zastanawiał się Cole.

– Taki facet może nosić, co chce – odparł Jace.

Monroe i jego najemnicy, na koniach, ustawili się w rzędzie wzdłuż

przedniego odcinka karawany, odgradzając dostęp do wozów. Konley oraz pięciu jego gwardzistów zajęło pozycje między rycerzami a powozem Lucindy. Dwóch kolejnych prowadziło pojazd.

– Witajcie, zacni podróżnicy – odezwał się rycerz grzmiącym głosem, nieco stłumionym przez hełm.

– Dlaczego zatrzymałeś moją karawanę? – zadał pytanie Monroe.

– Słuszne pytanie. Jestem czempionem znanym w tej krainie jako Błędny Rycerz.

Choć potwierdzenie przypuszczeń nie zaskoczyło Cole'a, to słysząc te słowa wypowiedziane na głos i tak poczuł dreszcz. Przeciwno temu człowiekowi spiskowali czempioni wielu miast. W promieniu wielu mil mówiono o nim ze strachem, a teraz stał tu przed nimi, ledwie sto metrów dalej.

– Zgodnie z ustalonym porządkiem – ciągnął Błędny Rycerz – rzuciłem wyzwanie Rustinowi Mądrymu, czempionowi Merriston, ale ten tchórz nie chce go uznać. Aby przymusić Rustina do spełnienia swego obowiązku, uwalniam od bogactw podróżników opuszczających stolicę lub tam zmierzających. W dniu, kiedy zgodnie z prawem Rustin stawi mi czoło, wszystkie te dobra zostaną zwrócone.

– Zamierzasz nas okraść? – upewnił się Monroe.

– Zgadza się. Zabieram kosztowności, których powinien strzec Rustin. Nie zamierzam wydać z nich ani miedzianego kółkacza. Po pojedynku oddam je z odsetkami.

– Zaraz zrobi się brzydko – mruknął Drgawa.

– A jeśli nie będziemy tylko widownią? – spytał Cole cały spięty.

Co zrobią, jeżeli zagrozi im przemoc? Tutaj miecze skakania nie działały. Złota lina również.

– Patrzcie na tego małego rycerza – odezwał się Jace. – Gdyby wybuchła walka, to ja zaklepuję sobie jego.

Ten żart bynajmniej nie uspokoił Cole'a. Myśl o stoczeniu tu walki była przerażająca.

– Mam cały wóz futer i dóbr luksusowych – odezwał się któryś z kupców. Trochę łamał mu się głos. – To większość mojego dobytku. Ich kradzież mnie zrujnuje.

– Poskarż się Rustinowi Mądrym – odparł Błędny Rycerz. – Wasze wozy chwilowo należą do mnie. Woźnice muszą w nich pozostać, żeby pomóc mi je przetransportować. Potem puszcę ich razem z końmi. Powozy pasażerskie oraz reszta koni mogą nie opuszczać karawany, żeby powieźć was do celu. Każdej osobie wolno zachować pieniądze stanowiące równowartość maksimum dwóch srebrnych kółkatów. Nie chcę zostawić was w nędzy. Nie zabiorę wam ubrań ani butów, chyba że mowa o towarach wiezionych na targ. Resztę jednak zachowam: kółkorony, biżuterię, skrypty dłużne, akty notarialne i temu podobne.

– A jeśli ich nie oddamy? – zapytał stanowczo Monroe.

– Nie bierz mojej uprzejmości za słabość – odparł Błędny Rycerz. – Nie chcę nikomu zrobić krzywdy, ale jeśli ktokolwiek będzie stawiał opór, natychmiast zginie.

– Nawet ich najgorsze zbroje są lepsze od tych Konleya – mruknął Jace do Cole'a. – A te konie to coś wspaniałego.

Monroe zerknął na swoich wojaków.

– Dobra, chłopcy. Pora zarobić na wypłatę.

Czterech z pięciu prywatnych żołnierzy spięło konie ostrogami i ruszyło naprzód. Jeden zsiadł i chwycił łuk.

Konley skierował dłoń na trzech ze swych gwardzistów, a potem gestem wskazał nieprzyjaciół. Podwładni rycerza dołączyli do najemników.

Błędny Rycerz dobył miecza. Jeden jego kompan zważył w dłoni buzdygan, inny uniósł topór bojowy, trzeci ścisnął włócznię, a czwarty sięgnął po

łańcuch zakończony kulą z kolcami. Mały rycerz wyciągnął nieduży miecz.

Cole skrzywił się, kiedy rycerze pognali konno na spotkanie najemnikom i gwardzistom. Powietrze wypełniło się trzaskiem niszczycielskich uderzeń. Rycerz uzbrojony we włócznię roztrzaskał drewnianą tarczę jednego z najemników, który bezwładnie runął z siodła. Rycerz z buzdyganem zadał gwardziście cios w tors, od którego tamten groteskowo złożył się wpół. Brzęczały miecze, trzeszczały kości, huczały kopyta, tryskała krew, krzyczeli ludzie i rżały konie. W powietrze bryzgały grudy ziemi.

Po chwili w siodłach pozostało już tylko sześciu napastników. O napierśnik Błędnego Rycerza brzęknęła strzała, odbijając się od niego niegroźnie. Błędny Rycerz ruchem głowy wskazał najemnika z łukiem, a wtedy jego malutki towarzysz pognął w tamtym kierunku.

Na jego widok wojak odrzucił łuk i dobył miecza. Zbliżywszy się, mały rycerz zeskoczył z kucyka w pełnym galopie, przekłuł przeciwnika, a potem wylądował i przetoczył się z brzękiem.

– Dalej chcesz walczyć z tym pokurczem? – spytał szeptem Cole Jace’a.

Z czterech najemników i trzech gwardzistów leżących na ziemi podnieśli się tylko dwaj prywatni żołnierze. Dyszeli, krwawili, ale wciąż trzymali miecze. Błędny Rycerz skinął głową na rycerza z toporem, który zsiadł z konia i podszedł do wojaków z nieubłaganą pewnością siebie, godną samej kostuchy. Cole nie chciał patrzeć, ale nie mógł się oprzeć.

Jeden z najemników skoczył naprzód i z całych sił zamachnął się mieczem. Rycerz chwycił za ostrze zbrojną dłonią, a potem powalił napastnika jednym strasliwym cięciem. Drugi najemnik zaczął się wycofywać. Odrzucił miecz drżącą dłonią.

– Na kolana, poddaj się – niskim tonem rozkazał rycerz z toporem.

Tamten rzucił rozpaczliwe spojrzenie w kierunku Monroego, a potem uklęknął.

– Czy to koniec waszego oporu? – zapytał głośno Błędny Rycerz.

Monroe skierował wzrok wzdłuż sznura wozów w stronę Konleya.

– Co powiesz, panie rycerzu?

Konley podniósł przyłbicę i odchrząknął.

– Błędny Rycerzu, wyzywam cię na pojedynek.

To posunięcie zaskoczyło Cole'a. Na podstawie wszystkiego, co zobaczył, wątpił w jego szanse w starciu z rycerzem z porożem na hełmie.

– Kim jesteś, żeby rzucać mi wyzwanie? – odparł Błędny Rycerz.

– Jestem Konley, drugi rycerz Henricka Stroopa, czempiona Kartaginy.

– A gdzie Henrick? Jego wyzwanie bym przyjął. Mój tytuł to Błędny Rycerz, ale jestem czempionem dziewięciu zacnych miasteczek i trzech dużych, szlacheckich miast. Nie masz prawa wyzywać mnie na pojedynek, ale każdy z moich ośmiu i pół rycerzy chętnie stanie z tobą do walki, jeśli tego sobie życzysz.

– Ośmiu i pół? – powtórzył Konley.

– Ośmiu rycerzy pełnych rozmiarów oraz Minimus Półrycerz, który właśnie zgładził łucznika.

Mały rycerz zdążył podnieść się z ziemi.

– Pozwól mi z nim walczyć, panie – prosił dość wysokim, blaszanym głosem.

– Nie zamierzam się zmagać z twoimi sługusami – odparł Konley. – W oczach królestwa jesteś wyjętym spod prawa kryminalistą, który nęka podróżnych. Złodziejskimi czynami zrzekłeś się praw przynależnych prawdziwemu czempionowi. A może boisz się stawić mi czoła.

Cole i Jace wymienili spojrzenia.

– Już po nim – powiedział Jace bezgłośnie.

– Słyszałem o tobie, Konleyu – rzekł Błędny Rycerz. – Zasięgnąłem informacji o wszystkich czempionach oraz ich rycerzach. Byłeś niegdyś czempionem Rudbergu.

– To prawda – potwierdził Konley.

– Zdobyłeś to stanowisko, kiedy zrzekł się go twój poprzednik.

– Byłem jego pierwszym rycerzem.

– Odziedziczyłeś czempionat. Dlaczego więc nadal nie jesteś czempionem Rudbergu?

– Henrick zaproponował mi miejsce wśród swych rycerzy. Ustąpiłem.

– Dlaczego zrzekłeś się czempionatu, żeby służyć innemu? – zapytał Błędny Rycerz, powoli zbliżając się na koniu.

– Rudberg jest poślednim miasteczkiem. Rola rycerza Henricka to lepsze stanowisko.

– Zatem to o lepsze stanowisko chodziło?

– Tak.

– Dlaczego więc nie odebrałeś czempionatu Henrickowi? Czy to nie byłoby szlachetniejsze?

– Ryzyko wydało mi się zbędne.

Błędny Rycerz był już blisko.

– Nie wiem, co o tobie myśleć, Konleyu. Czyż czempionowi nie powinno być wstyd zrzec się stanowiska z powodu innego niż przejście na emeryturę? Nie miałeś wątpliwości, porzucając czempionat, którego nie zdobyłeś w walce, na rzecz służby komu innemu?

Twarz Konleya nawet nie drgnęła.

- Może trochę. Ale to była dobra oferta.
- A ryzyko mniejsze niż w starciu z Henrickiem.
- Właśnie.

Błądny Rycerz zatrzymał konia kilka kroków od swego rozmówcy.

- Czy wiesz, w jaki sposób zdobyłem swoje czempionaty, Konleyu?
- Słyszałem co nieco.

Błądny Rycerz uniósł miecz.

– Najpierw zastraszyłem czempiona niewielkiego miasteczka, zmuszając go do opuszczenia stanowiska i mianowania mnie swoim następcą. To jedyny czempionat, który zdobyłem bez użycia siły. Od tamtej pory z mojej ręki zginęło jedenastu czempionów, w tym Gart Kosileb i Tirus z Wenley. Sam zainicjowałem wszystkie pojedynki, a nawet najlepsi przeciwnicy ledwo stawili mi opór. Po pierwsze więc pytam, na jakiej podstawie śmiesz sugerować, że się boję, a po drugie: dlaczego w ogóle chcesz ze mną walczyć?

– Chciałem cię sprowokować – odparł Konley nie do końca opanowanym głosem.

– Pozostaje drugie pytanie. Służysz Henrickowi. Tirus z Wenley bił się dużo lepiej niż on. Gart Kosileb przewyższał go jeszcze bardziej. Skoro ryzyko walki z Henrickiem było dla ciebie zbyt wielkie, to dlaczego chcesz wejść w drogę mnie?

Konley był błądny.

– Jestem tu z rozkazu. Mam swój honor.

– Pojedytkowałeś się dla rozrywki – rzekł Błądny Rycerz. – Czy kiedykolwiek zabiłeś kogoś w walce?

– Nie – przyznał cicho tamten.

– Jakie dokładnie otrzymałeś rozkazy?

Konley wahał się przez moment.

– Polecono mi ocenić niebezpieczeństwo, jakie stwarzasz. Jeśli pojawi się szansa, mam cię zgładzić.

– Ale przecież nie masz szans – odparł Błędny Rycerz bez ogródek. – Jesteś zdeklasowany. To zwalnia cię z obowiązku. Nie musisz dziś ginąć.

– Już rzuciłem wyzwanie.

Błędny Rycerz schował miecz do pochwy.

– Nie masz prawa wyzywać mnie na pojedynek. Ale jestem człowiekiem szlachetnym. Jeżeli naprawdę tego pragniesz, stanę z tobą do walki na śmierć i życie. Nie będę prosił o litość i sam jej nie okażę. Możesz także wskazać jednego ze swych ludzi, który będzie się ze mną bił, tak abyś mógł ocenić niebezpieczeństwo, jakie stwarzam, a potem zdać raport swojemu panu. Albo też zapomnę o twoim wyzwaniu, a ty się poddasz. Wybór należy teraz do ciebie.

– Nie ma szans, żeby się zdecydował – mruknął Jace. – Prędzej zmoczy się w zbroję.

– Na jego miejscu bym się nie zdecydował – szepnął Cole. – Czy jeśli przegra, to potraktują nas bardziej surowo?

– Przy moim pechu pewnie tak.

Konley patrzył na Błędnego Rycerza. Jego twarz lśniła od potu. Oblizął wargi i przełknął ślinę. Zerknął w bok, a potem zmusił się do cichego śmiechu.

– Danforcie, zawsze domagałeś się szansy na udowodnienie, że zasługujesz na awans.

Gwardzista szeroko otworzył oczy.

– Za przeproszeniem, Konleyu, nie w taki sposób!

Rycerz znowu się zaśmiał.

– Teraz masz szansę stanąć na wysokości zadania i dowieść swej wartości.

– Nikt z nas nie może się z nim równać – powiedział Danfort. – Sam widziałeś, co spotkało tych, którzy próbowali walczyć. Już mieliśmy nauzkę. Jeżeli jesteś gotów słuchać rad, to ja opowiadam się za kapitulacją.

Konley rozejrzał się wkoło.

– Czy są ochotnicy? – zapytał. Gwardziści stali aż nazbyt nieruchomo. Zatrzasnął przyłbicę. – Jakim byłbym rycerzem, gdybym się wycofał?

– Roztropnym – odparł Błędny Rycerz. – Odbieranie życia nie sprawia mi przyjemności. Rozumiem powinność, ale skoro nie otrzymałeś bezpośredniego rozkazu, żeby mnie zaatakować, to po co ginąć? Nie poświęcaj się tylko dlatego, że wstyd ci ze mną nie walczyć. Przeżyłeś całe życie, unikając prawdziwej walki. Stroniłeś od ryzyka. Dlaczego dziś miałbyś wybrać śmierć?

Konley podniósł przyłbicę.

– Nie zrobisz krzywdy nikomu z nas?

– Nie, pod warunkiem że wszyscy postąpią tak, jak proszę – obiecał Błędny Rycerz. Konley zerknął przez ramię w stronę powozu Lucindy. – Masz ludzi pod swoją opieką. Poddaj się i oddaj kosztowności, a nie stanie im się krzywda, dam ci moje słowo. Zabiorę twój miecz oraz zbroję. Twój ludzie również oddadzą swoje. Na większe niebezpieczeństwo narazisz pasażerów tego powozu, stawiając opór. Podczas walki zdarzają się wypadki.

– Dobrze – powiedział Konley. – Poddajemy się.

ROZDZIAŁ 15

PRAWDA

Błądny Rycerz upewnił się, że Monroe także zgadza się na kapitulację, a potem wyjechał na pole, żeby zwrócić się do całej karawany.

– Wasi opiekunowie przystali na moje warunki – oznajmił. – Wsiadźcie z powozów w spokoju. Dogonimy każdego, kto spróbuje ucieczki. Nie ukrywajcie kosztowności. Znamy wszystkie sztuczki. To nieuczciwe, żeby niektórzy uniknęli utraty dóbr tylko dlatego, że stać ich na ukryte skrytki albo wydrażone obcasy. Nic mnie nie obchodzi, że nie skorzystam z waszych skryptów dłużnych. I tak je zabiorę. Moim celem nie jest wydanie waszych pieniędzy. Skarżcie się swemu tchórzliwemu czempionowi tak długo, aż spełni swój obowiązek. To jego bezprawne zachowanie sprowokowało moje.

Cole spojrzał na Joego.

– Co robimy?

Mężczyzna z namysłem popatrzył na chłopców.

– Nigdy nie widziałem takiego gościa jak ten Błądny Rycerz. On ma wszystko: rozum, umiejętności, właściwych ludzi, właściwy sprzęt. Chyba musimy wykonać polecenia i cieszyć się, jeśli ujdziemy z życiem.

– Chodźcie – zachęcał Błądny Rycerz. – Biercie kosztowności i wsiadajcie z powozów. Nikomu nie stanie się krzywda. Ustawcie się po mojej stronie karawany. Absolutnie wszyscy: kobiety, dzieci, służący, woźnice, zamożni kupcy, urzędnicy.

– Co z pieniędzmi? – szepnął Cole.

– Nasze tajne schowki są zamaskowane iluzją – odpowiedział Joe równie cicho. – Nie ruszajmy ich i zobaczymy, co będzie.

Chłopiec wysiadł z powozu. Mira i Skye wyłoniły się z tego przed nimi. Mira wydawała się roztrzęsiona, ale na widok Cole'a spróbowała się uśmiechnąć.

– Polecenie dotyczy również pasażerów eleganckiego powozu, którego strzegł Konley – dodał Błędny Rycerz. – Nie zmuszajcie nas, żebyśmy was stamtąd wyciągnęli.

Nieopodal Cole'a otworzyły się drzwi luksusowego powozu. Z wnętrza wyłoniła się Lucinda, a za nią matronowata służąca, obie w sukniach. Lucinda miała na głowie zgrabny kapelusz o szerokim rondzie, ze zdobiącym go jedwabnym kwiatem.

Cole stanął między Drgawą a Jace'em, naprzeciw Błędnego Rycerza. Zbroja tego ostatniego tak lśniła, jakby ją wymyto i wypolerowano na godzinę przed zasadzką. Chłopiec robił, co mógł, żeby się nie wyróżniać. Dzięki obecności wielu uczestników karawany czuł, że mniej rzuca się w oczy.

Błędny Rycerz wycelował miecz w Lucinę.

– Jak się nazywasz?

– Lucinda.

– Kto jest twoim ojcem?

Dziewczyna wyprostowała się dzielnie.

– Włodarz Cronin.

– Interesujące – stwierdził rycerz.

– Nie ucieszy go to, co się tu wydarzyło – powiedziała Lucinda.

– Mam nadzieję. Rustinowi Mądrymu przydałaby się presja ze strony innych przywódców.

– Gniew mojego ojca nie będzie skierowany na Rustina Mądrego.

– Włodarz Cronin może reagować, jak mu się podoba – odparł Błędny

Rycerz. – Przekaż mu, żeby się śpieszył, ponieważ po pogrzebie Rustina Mądrego przybędę do Kartaginy, zabiję Henricka i usunę twojego ojca z urzędu.

Lucindzie drżały usta i nie odpowiedziała. Cole’owi było jej żal.

Błądny Rycerz uniósł miecz.

– Mój miecz nosi imię Prawda – oznajmił. – I ona, i ja nie lubimy fałszu. Dotyczy to również wszelkich form iluzji. Może zanim odbierzemy wasze kosztowności, usuniemy wszelkie zdawy?

Machnął mieczem, zataczając szeroki łuk. Cole przez moment poczuł mrowienie. Kiedy obrócił się w bok, zobaczył, że Mira znów ma prawdziwą postać, a Skye ma wygląd taki, jakiego jeszcze nie znał. Wciąż była atrakcyjna, ale trochę szczuplejsza, miała duże, niebieskie oczy i krótkie blond włosy, prawie białe, ostrzyżone na chłopaka. Oceniał ją na trzydzieści parę lat. Miała zszokowaną minę.

– Twoja zdawa zniknęła – szepnął Jace do Cole’a.

– Mamy kłopoty – odparł chłopiec, a potem spojrzał w kierunku Konleya.

Ku jego zaskoczeniu Lucinda, wciąż ubrana w suknię i kapelusz, tak naprawdę była chudą, starą kobietą o wątlých włosach i ze zmarszczkami na twarzy. Stojący obok gwardziści wyglądali na zdumionych.

– Konleyu – odezwał się Błądny Rycerz – mniemam, że to nie jest córka włodarza Cronina?

– Jestem jego służącą – odparła pomarszczona kobieta z werwą.

– Żądam wyjaśnienia.

– Potrzebowaliśmy pretekstu, żeby dołączyć do tej karawany – powiedział Konley. – Nie chcieliśmy narażać na niebezpieczeństwo prawdziwej Lucindy. Moja misja polegała na tym, żeby cię obserwować, gdybyś się pojawił.

– Moje gratulacje, misja wykonana. Teraz moi rycerze przejmą wasze kosztowności. Proszę, oszczędźcie czas, nie ukrywajcie niczego, co nas interesuje. I tak wam się to nie uda, a jeśli spróbujecie, odrę was z ostatniego kółkata. – Błądny Rycerz wskazał powozy Cole’a i Skye. – Na przykład w tych dwóch pojazdach znajdują się ukryte schowki, aż do tej pory zamaskowane zręcznymi zdawami. To wasza ostatnia szansa, żeby dobrowolnie oddać kosztowności.

Cole spojrzał na Joego, a ten skinął głową. Kiedy rycerze zsiadli z koni i ruszyli w stronę karawany, Cole i Drgawa pośpiesznie wrócili do powozu. Skye również wsiadła do swojego, podobnie jak kilku kupców.

– Myślisz, że Błądny Rycerz zauważył zniknięcie mojej zdawy? – spytał Cole, gdy tylko znaleźli się w kabinie.

– Chyba niewiele mu umknie – odparł Drgawa, otwierając tajne drzwiczki, żeby wyjąć worek z kółkatami. – Miejmy nadzieję, że to go nie interesuje.

– Martwię się o Mirę.

– Martw się o nas wszystkich. Jeśli Konley albo ktoś z jego ludzi zna nasz rysopis, po odejściu Błądnego Rycerza nie będzie dobrze.

Cole drżał z niepokoju o to, co będzie dalej. Był już tak blisko znalezienia Daltona – a teraz to! Przynajmniej niczego już nie ukrywał przed potężnym rycerzem. To odrobinę go pocieszyło. Wziął resztę kółkatów i wysiadł razem z Drgawą, żeby poczekać, aż zostanie obrabowany.

Błądny Rycerz zbliżył się do Skye.

– Ty i ta dziewczynka miałyście kamuflaż – powiedział.

W rękach trzymał duży, rozchylony worek z płótna. Skye wrzuciła do niego kółkaty i papiery.

– To dla naszego bezpieczeństwa – powiedziała pokornie.

Błądny Rycerz podetknął worek Mirze. Na jego zbroi odbijała się jej zniekształcona twarz.

– Mam wrażenie, że skądś cię znam – stwierdził.

Po plecach Cole'a przebiegł dreszcz.

– Często mi to mówią – odparła Mira, nie unosząc wzroku, kiedy oddawała mu swój majątek.

Błądny Rycerz wciąż stał przed nią.

– Powinnaś pójść ze mną, młoda damo.

– Co takiego? – Mira podniosła głowę.

– Pojedziesz z nami. I to już teraz. Moi rycerze poradzą sobie beze mnie. – Wyciągnął rękę i złapał ją mocno za nadgarstek.

Cole nie mógł w to uwierzyć. Skąd Błądny Rycerz znał Mirę? Chciał zareagować, ale czy mógł cokolwiek zmienić?

Skye chwyciła lśniący karwasz, który osłaniał przedramię rycerza.

– Weź zatem i mnie – powiedziała. – Dziewczynka i ja nie możemy się rozdzielić.

– Cofnij rękę, kobieto – odparł Błądny Rycerz. – Dziewczynka pójdzie ze mną sama. Nie stanie jej się żadna krzywda.

Skye z niepewną miną puściła go i cofnęła się o krok. Błądny Rycerz ruszył z Mirą w stronę swego konia. Spanikowany Cole zerkał na Joego, przestępując z nogi na nogę. Czy nikt nic nie zrobi?

Jace otworzył drzwi powozu, sięgnął do środka i wyciągnął miecz skakania. Wrzeszcząc na całe gardło, rzucił się za Błądnym Rycerzem.

Ten puścił Mirę, obrócił się i dobył miecza. Sparował jeden, dwa, trzy ciosy Jace'a, a potem kopnął go w tors spodem buta, powalając na ziemię.

Cole się skrzywił. Szarża na Błędnego Rycerza była lekkomyślna

i beznadziejna. To w zasadzie samobójstwo. Ale jeszcze nigdy nie uwielbiał Jace'a tak bardzo jak w tej chwili.

Pozostali rycerze przerwali zbieranie kosztowności, żeby popatrzeć, co się dzieje. Jace dźwignął się na nogi i spróbował pchnąć klingą nieprzyjaciela, ale tamten ją odtrącił, a potem powalił go mocnym klepnięciem.

– Nie podnoś się, chłopcze – rozkazał.

Jace, któremu z kącika ust ciekła krew, poderwał się natychmiast. Wykonał dwa zwody, a potem mocno się zamachnął. Błądny Rycerz odparł atak, zrobił krok naprzód i pchnął chłopca na ziemię. Postawił stopę na jego piersi, pochylił się, wyrwał mu z dłoni miecz skakania i odrzucił na bok.

– Phillipie – odezwał się, nie cofając buta. – Dopilnuj, żeby się nie podniósł.

Rycerz z toporem podszedł do nich i przygwoździł Jace'a stopą. Błądny Rycerz nachylił się, żeby coś Phillipowi powiedzieć, a potem wrócił do Miry i wziął ją za rękę. Jace szarpał się, ale nadaremnie.

Cole spojrzał na Joego.

– Co robimy?

– Jak będziemy martwi, to nic już nie poradzimy – szepnął tamten.

Cole gotował się ze strachu, patrząc, jak Błądny Rycerz prowadzi dziewczynkę do swego wielkiego wierzchowca. Na widok rzucającego się bezsilnie Jace'a łzy stanęły mu w oczach. Błądny Rycerz najwyraźniej znał tożsamość Miry. Czego od niej chciał? Czy robi z niej zakładniczkę? Kartę przetargową? Może odda ją za możliwość upragnionego pojedynku? Cole miał straszliwe przeczucie, że jeśli teraz Błądny Rycerz z nią odjedzie, to on już nigdy więcej jej nie zobaczy.

Wzrok chłopca powędrował w stronę miecza skakania, który leżał na ziemi bezużytecznie. Czy tylko Jace był gotów bronić Miry? Nikt inny nawet nie spróbuje?

Nie dając sobie czasu na zmianę zdania, Cole upuścił worek kółkatów

i pognął przed siebie. Nikt go nie powstrzymywał. Schylił się i podniósł miecz.

Błądny Rycerz właśnie dosiadł konia. Cole, zbyt wściekły, żeby się bać, biegł wprost na niego. Rycerz posadził Mirę przed sobą. Dopiero wtedy dziewczynka zobaczyła nadciągającego przyjaciela.

– Cole, nie! – krzyknęła. – Nic nie możesz zrobić.

Nie zważając na niego, Błądny Rycerz obrócił konia i strząsnął lejce. Doborowy wierzchowiec ruszył galopem.

Chłopiec, gnany desperacją, pędził ile sił. Brakowało mu już tylko pięciu kroków, ale dystans prędko wydłużył się do dziesięciu, potem dwudziestu. Wypełniły go gniew i rozpacz. Z całej siły ścisnął rękojeść miecza skakania.

I wtedy ta rękojeść zawibrowała. Wzdłuż główki błysnęły jasne płomienie. Chociaż widmowy ogień dawał blask, to Cole nie czuł żaru. Miał instynktowną pewność, że miecz skakania się przebudził.

Broń mruczała mu w dłoni. Wycelował ją w kierunku uciekającego rycerza i krzyknął:

– Naprzód!

Jego stopy oderwały się od ziemi i wystrzelił w powietrze wprost na oddalającego się konia. Kiedy znalazł się w zasięgu celu, miecz trochę zwolnił i Cole pchnął nim Błędnego Rycerza w plecy.

Ostrze nie przebiło pancerza, ale i rycerz, i Mira runęli do przodu z galopującego rumaka. Mężczyzna opiekuńczo objął dziewczynkę ramionami. Jego zbroja dzwoniła i brzęczała, kiedy toczyli się i podskakiwali, po drodze żłobiąc ziemię. Cole również zatrzymał się z poślizgiem, ale prędko stanął na nogi z mieczem w dłoni.

Za sobą usłyszał tętent kopyt. Dwaj inni rycerze wsiedli na konie i już jechali w jego stronę. Mira leżała na ziemi, z cierniami i błotem we włosach. Patrzyła na Cole'a szeroko otwartymi oczami.

Zbroja Błędnego Rycerza, otarta, wgnieciona i ubrudzona kurzem, straciła trochę dawnego blasku. Rycerz wstał, by stawić czoła chłopcu.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Uciekaj stąd, Cole! – krzyknęła Mira.

Pozbawiony jeźdźca wierzchowiec Błędnego Rycerza zawracał. Cole słyszał dudnienie kopyt dwóch pozostałych koni. Miecz pozwalał mu daleko skakać. Nie czynił go natomiast mistrzem szermierki, nie pozwalał przebić grubej zbroi.

– Cole, uciekaj!

Nadjeżdżający rycerze byli coraz bliżej. Błądny Rycerz osłaniał Mirę. Chłopiec raczej nie pokonałby go w walce, ale dzięki mieczowi pewnie mógł go śledzić. Najpierw jednak musiał się stąd zmyć.

Gdy galopujące konie były tuż-tuż, wycelował miecz skakania w stronę drzew na skraju pola i wymówił komendę. Poszybował w powietrzu, pod nim przemykały rozmyte zarośla. Kiedy wylądował pod drzewami, wszyscy patrzyli w jego stronę. Wymierzył broń w głąb lasu i skoczył ponownie, by pomknąć wśród potężnych pni. Zatrzymał się na tyle daleko, że nie widział już rycerzy ani karawany. Przykucnął i czekał, kto ruszy za nim.

ROZDZIAŁ 16

ROZBIEŻNE DROGI

Cole czekał spięty, aż konni rycerze zaczną się z trzaskiem przebijać przez zarośla. Układał w myślach plany kolejnych skoków. Jeśli zaciągnie pościg dostatecznie daleko w głąb lasu, może zdoła zatoczyć łuk i dogoni Błędnego

Rycerza. Dzięki mieczowi skakania miał naprawdę dużą szansę go śledzić. Zresztą nawet gdyby tamten się wymknął, to zapewne każdy z jego rycerzy doprowadzi Cole'a z powrotem do Miry.

Ale nikt nie nadszedł.

Cole przez mniej więcej minutę chował się za powalonym pniem, gdzie stopniowo uspokajał mu się puls, zanim uświadomił sobie, że nikt go nie ściga. Nagle poczuł się tak, jakby ciągle bawił się w chowanego, kiedy reszta dzieci już dawno poszła do domu.

Skulony ruszył z powrotem w stronę pola, aż wreszcie mógł wyrzeć poza drzewa. Rycerze wrócili do zbierania kosztowności od uczestników karawany. Jace zdążył podnieść się z ziemi. Dwaj rycerze szykowali woźniców. Błędnego Rycerza i Miry już nie było widać.

Cole wcześniej zobaczył, w którym kierunku się udali. Jeśli go nie zmienili, powinien ich dogonić i ruszyć ich tropem. W przeciwnym razie zawsze może zawrócić, żeby śledzić resztę rycerzy. Ci przy wozach będą zajęci jeszcze przez jakiś czas.

Chłopiec podbiegł do skraju drzew, wycelował miecz i cicho powiedział:

– Naprzód.

Nic się nie stało.

– Naprzód! – powtórzył nieco głośniejszym głosem, ale nie poczuł nawet lekkiego szarpnięcia.

Przyjrzał się głowni. Nie było ognia, który wcześniej tam się pojawił. Płomienie zgasły, gdy tylko zaczął skakać. Dlaczego miecz skakania znowu przestał działać?

Kiedy Cole rzucił się za Mirą, był naprawdę zdesperowany. Może miecz odpowiedział na jego potrzebę. Chłopiec wyobraził sobie, jak Błędny Rycerz odjeżdża z jego przyjaciółką. Musiał jej pomóc! W Sambrii na ostrzu nigdy nie pojawiały się widmowe płomienie. Wpatrywał się w broń, chcąc

przywołać je siłą woli.

Nie zapłonęły. Rękojeść nie wibrowała ani nie mruzczała.

Cole wstrzymał oddech, ścisnął mięśnie brzucha. W myślach nakazywał mieczowi działać.

– No dalej – wymamrotał. – Naprzód! Naprzód!

Dalej nic. Klepnął klingę w taki sam sposób, w jaki uderza się niedziałającego pilota do telewizora. Nic. Sfrustrowany i dezorientowany, skierował miecz w stronę pola i wywarczał komendę z takim uczuciem, na jakie tylko było go stać.

I tym razem nic nie wskazywało na to, że miecz to coś więcej niż kawałek zaostrego metalu. Cole'owi zrobiło się głupio. Skoro to nie on sprawił, że magiczny przedmiot zadziałał, to co się stało? Czy to tylko czysty przypadek?

Nie. Pamiętał, co czuł, kiedy miecz ożył w jego dłoni. Energia, pasja albo coś takiego przelało się z niego w tę broń. Teraz jednak wrażenie zupełnie minęło. Nadal tliły się w nim te same uczucia, ale już nie łączyły się z mieczem skakania.

Cole wycofał się między drzewa. Bał się, że za bardzo rzucił się w oczy i za głośno mówił, usiłując zmusić broń do działania. Gdyby rycerze ruszyli po niego teraz, złapaliby go z łatwością.

Przycupnął za krzakiem, patrzył, jak skonfiskowane wozy zaczęły się toczyć, i musiał pogodzić się z myślą, że Mira zniknęła. Próbował jej pomóc, lecz to nie wystarczyło. Nie tylko stracił przyjaciół z ojczystych stron, ale zaczynał tracić również tych nowych. Było mu niedobrze, czuł się pusty, chciał paść na ziemię i się poddać.

Ale nie mógł tego zrobić. Musiał wytrzymać. Mira nie potrzebowała, żeby się nad nią użalał. Potrzebowała jego pomocy. Jenna, Dalton i pozostali także.

Jeżeli Błędny Rycerz rozpoznał wartość Miry jako zakładniczki, to można mieć nadzieję, że potraktuje ją łagodnie. Przynajmniej nie sprawiał wrażenia człowieka niesprawiedliwego ani złośliwego. Mógł zabić Jace'a, ale tylko go unieruchomił. Musiał mieć w sobie trochę przyzwoitości.

Sześciu rycerzy odjechało, eskortując wozy z towarami. Trzej pozostali, w tym ten mały, oddalili się galopem w tym samym kierunku, który obrał Błędny Rycerz. Cole jeszcze jeden, ostatni raz spróbował użyć miecza skakania i znowu się rozczarował. Gdyby tylko mógł ruszyć za nimi!

Kiedy wozy zniknęły z pola widzenia, wyłonił się z lasu. Pasażerskie powozy stały nieruchomo. Pognał przez pole do przyjaciół. Skye ruszyła do niego i chwyciła go za ramiona.

– Nic ci nie jest?

– Wszystko w porządku.

– Jak to zrobiłeś?

Cole zaśmiał się skrzepowany.

– Nie mam pojęcia. Nawet nie wiem, czy to moja zasługa.

– Twoja, twoja – potwierdziła Skye. – Do tej pory nie wyczuwałam w tobie zdolności zaklinania, aż tu nagle zacząłeś emanować olbrzymią mocą.

– Już jej nie ma. – Chłopiec westchnął. – Z mieczem znowu po staremu.

– Z tobą też, z tego, co widzę – stwierdziła kobieta, mierzwiąc mu włosy. – Czy już wcześniej zdarzyło ci się coś takiego?

– Nigdy. Declan mówił, że kiedyś pewnie ujawni się u mnie moc formistyczna.

– Nie wiem, co się w tobie ujawniło – odparła Skye – ale to nie był żaden zwyczajny rodzaj formowania. Ten miecz nie powinien tu działać. Co zrobiłeś?

– Po prostu chciałem pomóc Mirze. Nie rozumiem, co się stało.

– A teraz nic? – zapytał Joe, podchodząc.

– Zero. Kiedy uciekłem do lasu, chciałem ruszyć za Mirą, ale miecz zamarł. Próbowałem różnych rzeczy, ale nie chciałem znów zadziałać.

Joe pogładził się po szczęce, wpatrując się w drzewa.

– Ruszę za nią – postanowił. – Rycerze nie zabrali dodatkowych koni. Martwym najemnikom nie będą potrzebne.

– Idę z tobą – oznajmił Jace.

– Nie. Doceniam propozycję, ale spowalniałbyś mnie.

Jace miał taką minę, jakby chciał zaprotestować, a potem spuścił wzrok.

– Ja pójdę – odezwał się Drgawa, prostując skrzydła. – I tak zamierzałem ruszyć za Błędnym Rycerzem. Będę ci potrzebny.

Joe milczał przez chwilę, po czym skinął głową.

– Jasne, twoja pomoc mi się przyda.

– Możemy iść wszyscy – powiedział Cole. – Wystarczy nam koni.

– Nie – sprzeciwił się Joe. Spojrzał na Skye. – Przeciwno tym rycerzom nie przydadzą się nam zdawy. – Zerknął znowu na Cole'a. – Oni naprawdę potrafią się bić. Nie sprostalbym im, a co dopiero wy. Muszę poruszać się niepostrzeżenie, a tylko z Drgawą łatwiej mi się skradać. To jeszcze nie koniec. Skye, weź Jace'a i Cole'a, spróbuj potwierdzić, czy tajemniczym więźniem zamku Blackmont rzeczywiście jest Honorata. Cole chce uratować przyjaciela, który pracuje w salonie dyskrecji w Merriston. Może on coś będzie wiedział.

– W którym salonie? – spytała zaklinaczka.

– Srebrne coś tam – odparł Cole.

Kobieta gwizdnęła z uznaniem.

– Srebrna Podszewka, najstarszy salon dyskrecji w Merriston. I najbardziej prestiżowy w całym Elloweer. Czy twój przyjaciel nam pomoże?

– Z całą pewnością. Muszę go uwolnić.

Skye uniosła brwi.

– Pomyślmy o tym, kiedy przyjdzie czas.

– Drgawa i ja powinniśmy już ruszać – powiedział Joe. – Nie chcemy podążać tuż za nimi, ale nie możemy zostać za bardzo w tyle. Odszukamy was po odbiciu Miry. Gdzie się spotkamy?

– Pod Wzdętym Wymieniem – zaproponowała Skye. – To gospoda w Harfowym Brodzie, niedaleko Edgemontu.

Joe chwycił ją za rękę.

– Jeśli nie wrócę, to wy będziecie ostatnią nadzieją Honoraty. – Spojrzał na Cole'a i Jace'a. – Znajdźcie ją. Pomóżcie jej.

Jace skinął głową.

– Ratuj Mirę – powiedział Cole.

– Dogonimy ją – odparł Drgawa. – Jestem szybszy niż ich konie.

Po tych słowach odskoczył, trzepocząc skrzydłami. Joe pognał do Monroego. Cole nie słyszał, co mu powiedział. Monroe podrapał się w głowę, a potem wskazał kilka koni. Joe podbiegł do jednego, wskoczył mu na grzbiet i odjechał pędem. Drgawa zdążył już zniknąć wśród drzew.

– Dokąd on jedzie? – usłyszeli głos za plecami.

Cole odwrócił się i zobaczył Konleya wodzącego wzrokiem za odjeżdżającym Joem. Nie miał zbroi ani miecza.

– Błędny Rycerz porwał moją córkę – powiedziała Skye.

– Twoją córkę? A kim ty jesteś?

– Kimś, kto chciał podróżować dyskretnie.

– To już zauważyłem. Kryłyście się za misternymi zdawami. Dlaczego Błędny Rycerz nie interesowała córka włodarza Cronina ani nikt inny z nim związany, ale zabrał twoją córkę?

– Wiedział, że to wcale nie jest córka włodarza – odparła Skye. – Nie mam pojęcia, dlaczego wpadło mu w oko moje biedne dziecko. Czemu Rustin Mądry nie zbierze się na odwagę i nie stawi mu czoła?

– To jego sprawa. Kim jesteś?

– Nazywam się Edna Vine. Mam sklep z elegancką ceramiką i zastawą stołową w Kartaginie.

Konley patrzył w las, trzymając się pod boki. Potem znowu odwrócił się do Skye.

– Chyba go kojarzę. Nazywa się Vinnica. Nie moja stylistyka. Nie znam właściciela. Może to rzeczywiście ty. Czy w okupie za twoją córkę Błędny Rycerz zażąda talerzy?

Twarz iluzjonistki stężała. Łzy zalśniły w jej oczach.

– To miało być śmieszne?

Konley zaśmiał się pod nosem.

– A to miało być aktorstwo? – Odwrócił się do Cole'a. – A tyś co za jeden, mały? Dlaczego umiesz latać?

– Nie wiem. Może dlatego, że nie bałem się spróbować.

Jace odwrócił wzrok. Aż się zatrząsł, tłumiąc śmiech. Konley się skrzywił.

– Nazywasz mnie tchórzem?

– A liczyłeś, że nazwę cię bohaterem? – odparł Cole. – Oddałeś swój miecz! Dziwne, że nie wypolerowałeś mu jeszcze zbroi!

Tym razem szczerze ubawiony Jace nie mógł się powstrzymać i głośno parsknął.

– Chłopiec ma rację – stwierdziła Skye. – Tych dwóch malców zaatakowało Błędny Rycerz. A gdzie ty byłeś?

– Nie w tym rzecz – odpowiedział Konley skrzepowany. – Wykonałem swoją powinność tak, jak uważałem za stosowne.

– Każdy tchórz ma swoje wymówki – mruknął Cole.

– Co takiego?

– Coś, co kiedyś usłyszałem od prawdziwego żołnierza.

Konley wziął się pod boki.

– Grupy pasującej do waszego opisu szukają ważni ludzie. Szczególnie interesują się dziewczynką. Zbiegłą niewolnicą.

– Nie wiem, o czym mówisz – odrzekła Skye. – Nikt z nas nie jest niewolnikiem. Błędny Rycerz zmasakrował nasze zdawy. Czy widzisz u nas jarzmoznaki? Czy nie dostrzegłeś wolnoznaku na ręce mojej córki? Ja tu przeżywam koszmar, a ty oskarżasz nas... o co?

Do rozmawiających podszedł Monroe z dłonią na rękojeści miecza. Najwidoczniej rycerze pozwolili mu go zatrzymać.

– Jakiś problem? – zapytał.

– Ci ludzie używali kamuflażu – powiedział Konley.

– Wiele osób woli podróżować incognito – odrzekł Monroe. – Dwaj kupcy również używali zdaw. Oraz jedna osoba z twojej grupy. Ci ludzie zapłacili

za przejazd pod moją ochroną.

Konley parsknął.

– Ładnieś ich ochronił.

– Moi ludzie zginęli w naszej obronie. Ten, który przeżył, poddał się dopiero po nieudanym ataku. Spójrz na swoich. Oto, co zostało z mojej karawany. Nie nękać moich klientów.

– Pytałem o dziewczynkę, którą zabrał Błędny Rycerz – powiedział Konley.
– Nie pomogę, nie mając informacji.

– Jeśli chcesz pomóc małej – odparł Monroe – ty i twoi ludzie możecie ruszyć za nią na ratunek.

– W tej chwili nie mamy zasobów, które pozwoliłyby zagrozić tym kryminalistom – tłumaczył się Konley. – Zanim rozpocznę polowanie, potrzebuję wzmocnień. – Spojrzał na Skye. – Nie dosłyszałem imienia twojej córki.

– Eleanor – odrzekła spokojnie kobieta. – Po babce.

Rycerz skinął głową.

– W porządku. Zatem do roboty. – Klepnął Monroego w ramię. – Powozy muszą ruszać w dalszą drogę.

Po tych słowach odszedł. Skye zbliżyła się do Monroego.

– Trochę angażowałam się w ruch oporu. On chyba o tym wie.

Mężczyzna przytaknął.

– Owszem. Narobi kłopotów, jeśli mu na to pozwolimy. Co zamierzasz w sprawie córki?

– Wysłałam za nią dwóch moich służących, żeby spróbowali jej pomóc. Chwilowo tylko tyle mogę zrobić. Musimy dotrzeć do Merriston.

– Potrzebujecie czegoś z powozu? – zapytał Monroe.

– Już nie.

– W takim razie pojedźcie moim. Każę woźnicy gnać ile sił, jeszcze dziś w nocy będziecie w stolicy. Tam już musicie radzić sobie sami.

– Dziękuję – powiedziała Skye.

– Chociaż tyle mogę zrobić – odparł Monroe, rozglądając się dokoła. – To najgorsza katastrofa w mojej karierze. Oby urzędnicy w Merriston wszystko naprawili.

Zaprowadził ich do swego powozu na czele karawany. Cole i Jace wsiedli do środka, a Skye z Monroem poszli porozmawiać z woźnicą.

– Odważny byłeś – powiedział Cole.

Jace założył ręce na piersiach.

– Przestań.

– No co? Naprawdę!

– Byłem nie lepszy niż ten cały Konley.

– Przecież on nawet nie spróbował.

– Po co próbować, kiedy nic nie można zrobić? Ciebie Błędny Rycerz przynajmniej zapamięta.

– Też mi się nie udało – przypomniał Cole.

Jace odwrócił wzrok.

– Zauważyłem.

– To jeszcze nie koniec.

– Dla mnie w zasadzie tak – stwierdził Jace. – Słyszałeś, co mówił Joe. Tylko bym go spowalniał. Zmniejszyłbym jego szansę, żeby pomóc Mirze. Miał rację. Dlatego się nie sprzeciwiłem.

– Po prostu uznał, że bardziej pomożesz Honoracie – pocieszał go Cole.

– Jasne – fuknął Jace. – Na pewno jej strażnicy przestraszą się chłopaka, który nawet nie umie władać mieczem. Bez mojej liny jestem do niczego.

– Wcale nie. Mira potrzebowała kogoś i ty ruszyłeś na pomoc.

– Potrzebowała kogoś, kto ją uratuje. A nie kogoś, kto da się przygnieść do ziemi jak jakiś mięczak. Wiesz, co powiedział Błędny Rycerz do tego drugiego, który mnie trzymał? „To żaden honor skrzywdzić dziecko”. I miał rację. Nawet nie byłem dla niego zagrożeniem, tylko takim wściekającym się maluchem. Gdybym miał linę, rozgniótłbym tego rycerza jak muchę. Nie przygwoździliby mnie i nie okazali litości. Byliby zbyt zajęci umieraniem, żeby zastanawiać się, ile mam lat.

– Mira doceniła to, co zrobiłeś.

– Niepotrzebnie. Dobre zamiary nie wystarczą, Cole. Pamiętasz zamki na niebie? Jak myślisz, ilu zwiadowców zamierzało zginąć? Podpowiem ci: żaden. A ilu przeżyło? Tylko paru. Intencje nie mają znaczenia. Liczy się tylko to, co robisz.

– Znajdziemy sposób, żeby jej pomóc.

– Będę próbował. Zrobię wszystko, nawet jeśli w moim przypadku to tylko ponury żart. Nie poddam się. Tylko na niej mi zależy. Ale to nie mnie ona potrzebuje. Zasługuje na znacznie więcej.

– Potrzebuje właśnie kogoś takiego jak ty – odparł Cole.

– Daruj sobie! Nie próbuj mnie pocieszać. Wiem, co się stało. Wiem, co to znaczy. – Jace’a zaczęło coś dławić w gardle. – Miry nie ma, a ja nie potrafiłem temu zapobiec. – Zacisnął zęby i odzyskał panowanie nad sobą. Miał żalostną minę. – Jeśli chcesz pomóc, to przestań zawracać mi głowę

i wykombinuj, jak naładowałeś miecz. To może się naprawdę przydać.

ROZDZIAŁ 17

LADY MADELINE

Kiedy Merriston, pod trzema księżycami różnej wielkości, pojawiło się w oddali, Cole nie był ani o krok bliższy zrozumienia, jakim cudem uruchomił miecz skakania. Przez większość podróży próbował odtworzyć to, co stało się na polu, ale choćby nie wiadomo jak się skupiał i próbował różnych mentalnych sztuczek, miecz nadal nie chciał ożyć.

Jace przez cały dzień milczał naburmuszony. Odpowiadał na pytania, ale sam nie inicjował rozmów ani nie żartował. Również Skye wydawała się nadzwyczaj posępna i zamyślona.

Ogniska wartowników rozświetlały drogę, kiedy zbliżyli się do gigantycznego muru. Olbrzymia brama była zamknięta. Gdy powóz stanął, usłyszeli, jak woźnica informuje strażnika, że zaatakował ich Błędny Rycerz. Po kilku minutach brama otworzyła się z jękiem.

– Jaki mamy plan? – zapytał Cole.

– Poprosiłam woźnicę, żeby wysadził nas w pobliżu Ogrodów Pięknovidnych – odparła Skye. – To przyjemna część miasta. Próbuję wymyślić sposób na dostanie się do twojego przyjaciela Daltona.

Jej słowa sprawiły, że dla Cole'a była to pierwsza przyjemna chwila, odkąd stracili Mirę. Znajdowali się już tak blisko! Układali plan spotkania z Daltonem!

– Kończą nam się fundusze – przypomniał Jace.

– Mój główny zapas był w powozie – powiedział Cole. – Zostało mi jeszcze trochę pieniędzy w kieszeni. Tylko drobne, ale łączy się z tego złoty kółkat albo dwa. No i mam klejnot z zamku na niebie.

– Są miejsca, do których mogę się zwrócić po pieniądze – powiedziała Skye.

– Ile kosztuje wstęp do Srebrnej Podszewki? – zapytał chłopiec.

– Sześć złotych kółkatów od osoby, z tego co słyszałam. Ale nie w tym tkwi największy szkopał. Nie każdy może tam wejść. To wymaga zaproszenia.

– Czy mógłby nam pomóc ktoś z Niewidzialnych?

– Znam ludzi, którzy załatwiliby nam wstęp głównym wejściem, ale ono raczej nas nie interesuje. Jeżeli chcemy odnaleźć twojego przyjaciela, musimy skorzystać z tylnego.

– Jeśli Dalton mnie zobaczy, spróbuje nawiązać kontakt.

– Właśnie: jeśli cię zobaczy. Srebrna Podszewka jest ogromna i zbudowana niczym labirynt. Ponieważ to największy i najlepszy salon dyskrecji w Merriston, pracuje tam bardzo liczny personel. Moglibyśmy wiele razy odwiedzić to miejsce, a twój przyjaciel nawet by tego nie zauważył.

– To jak dostaniemy się tylnym wejściem? – zapytał Cole.

Skye zmarszczyła czoło.

– Jestem wysoką rangą członkinią Niewidzialnych. I uzdolnioną zaklinaczką. Musi istnieć jakieś inne rozwiązanie.

– Inne rozwiązanie?

– Srebrna Podszewka ma bardzo szczelną ochronę. Dostanie się tam tylnym wejściem dla personelu jest znacznie trudniejsze niż głównym wejściem. Mają tam bodaj najlepsze zmywacze w Elloweer.

– Co to są zmywacze? – zainteresował się Cole.

- Usuwają iluzje. Prawda, miecz Błędnego Rycerza, to w zasadzie silny zmywacz. Zanim personel salonu dyskrecji nałoży na kogoś zdawę, chce wiedzieć, z kim ma do czynienia.
- Czyli nie możemy użyć kamuflażu.
- Nie zdaw. Nie po to, żeby dostać się do środka. W punktach kontrolnych nie ominiemy zmywaczy.
- Czy bez pomocy zmywacza zaklinacz potrafi stwierdzić, że ktoś używa zdawy?
- Jeśli ten, kto ją nałożył, wiedział, co robi, to nie. Nie jestem przecież nowicjuską, a mimo to wprawny zaklinacz z łatwością oszuka mój wzrok. Jeżeli wiem, że patrzę na zdawę, to znaczy, że zaklinacz sknocił robotę. Właśnie dlatego dobre zmywacze są takie cenne.
- Czy ktoś mógłby nas przemycić tylnym wejściem?

Skye przygryzła wargę.

- Spośród wszystkich moich kontaktów przychodzi mi do głowy tylko jedna osoba, której mogłoby się to udać. Nie należy do Niewidzialnych, nie będzie chętna do pomocy i jest bardzo nieprzyjemna we współpracy.
- Kto to? – spytał Cole.

Zaklinaczka westchnęła z rezygnacją.

- Moja matka.

Kiedy wysiedli z powozu niedaleko bujnego ogrodu pełnego świetlistych kwiatów, Skye poprowadziła Cole'a i Jace'a szerokimi, pustymi ulicami, wzdłuż których ciągnęły się ładne domy i zadbane podwórka. W oknach nie paliły się żadne światła.

- Mówić będę ja – uprzedziła zaklinaczka. – Wiem, że obaj lubicie żarty, ale moja matka urodziła się bez poczucia humoru. Przedstawię was jako sieroty, które przygarnęłam.

– W zasadzie się zgadza – stwierdził Jace.

Cole spojrział na niego. Może w przypadku Jace’a była to prawda, ale on miał rodziców, którzy go kochali. Nawet jeśli go nie pamiętali i żyli w innym świecie, to istnieli.

Dziwnie czuł się z myślą, że w tej chwili jego mama, tata i siostra żyją sobie w Mesie zwyczajnym życiem. Czy nie zauważali rzeczy w jego pokoju? Nie zastanawiali się, kim jest chłopak na wspólnych zdjęciach? Na pewno znajdzie sposób, żeby do nich wrócić i wszystko im przypomnieć. Musiała być jakaś możliwość.

– Odzywajcie się, tylko jeśli matka się do was zwróci – ciągnęła Skye. – Mówcie krótko i uprzejmie. Nie wspominajcie o moich przedstawieniach. Ani o rebelii. Postarajcie się sprawiać wrażenie niewiniątek.

– Brzmisz tak, jakbyś się jej bała – stwierdził Cole.

– Bo to prawda. Wcale nie zdziwiłabym się, gdyby na nas doniosła.

– A mimo to myślisz, że pomoże nam zakraść się do Srebrnej Podszewki? – zdziwił się Jace.

– Tylko o ile nie dowie się, że chcemy się tam zakraść. Mam plan.

Skye zatrzymała się przed bramą i podniosła wzrok na okazałą miejską rezydencję. Otworzyła furtkę, a potem zaprowadziła chłopców przed drzwi frontowe. Podobnie jak w innych domach, tu też nie paliły się światła.

– Nie jest trochę za późno? – szepnął Cole.

– Uwierz mi, to będzie równie przykre o każdej porze. Biorąc ją nieco z zaskoczenia, możemy zapewnić sobie przewagę.

Skye głośno zapukała do drzwi. Wkrótce zapaliło się światło i otworzył im lokaj w ciemnym fraku. W ręku trzymał kruchą latarnię. Cole zastanawiał się, czy ten facet śpi w ubraniu, wyglądało jednak na starannie wyprasowane. Łysiejący mężczyzna o szlachetnych rysach spojrział na nich ze wzgardą.

– Czy panienka wie, która godzina?

– Owszem, Jepsonie – odparła Skye. – Przyszłam odwiedzić matkę.

– Lady Madeline udała się już na spoczynek. – Jepson wytknął głowę przez drzwi i rozejrzał się po cichej ulicy. – Podobnie jak wszyscy w sąsiedztwie.

Skye przeszła przez niego, jakby był tylko hologramem. Poirytowany lokaj zamrugnął, a potem się do niej odwrócił. Cole usłyszał gardłowe warczenie.

– Cicho bądź, Kimber – powiedziała Skye, pochylając się, żeby pies mógł ją powąchać, a potem pomasowała luźne fałdy skóry na jego karku.

– Nieuprzejmie naruszać moją przestrzeń – zganił ją Jepson.

– Nie tak nieuprzejmie jak przeganiać jedyne dziecko twojej pracodawczyni – zripostowała. – Myślisz, że byłabym tutaj, gdybym nie przyszła w ważnej sprawie? Obudź ją.

– Jak sobie panienka życzy. – Lokaj skłonił się nisko. Potem odwrócił się do drzwi. – Czy mam rozumieć, że te gagatki to jej świta?

– Owszem, są ze mną. Chodźcie, chłopcy.

– Jest panienka pewna, że z ich strony nic nie grozi? – spytał Jepson, nieufnie mierząc ich wzrokiem.

– Absolutnie – odparła Skye.

Cole przeszedł przez próg, uważając, żeby nie dotknąć lokaja. Jace ruszył za nim.

– Kimber, drzwi – powiedział Jepson.

Pies zostawił Skye, począpiał w stronę drzwi i trącił je pyskiem, żeby się zamknęły.

Lokaj chłodno spojrzał na Skye.

– Może panienska poczekać w salonie. Proszę przekonać tych młodzieńców, żeby nie dotykali mebli.

Następnie wszedł po schodach, zabierając ze sobą latarenkę. Aby ją zastąpić, Skye stworzyła w dłoni świetlistą kulę. Poprowadziła chłopców korytarzem wyłożonym połyskującym czerwonym drewnem. Cole minął jaskrawą kompozycję kwiatową stojącą w delikatnym bladozielonym wazonie. Do salonu wchodziło się przez rozsuwane drewniane drzwi.

Pomieszczenie miało wysoki kasetonowy sufit i olbrzymi kominiek z marmuru, a ułożone w zygzaki deski podłogowe tworzyły skomplikowane wzory. Pod jedną ze ścian stał wysoki zegar z bujającym się wahadłem. Wszystkie meble wyglądały na zbyt drogie, żeby ich używać.

Skye rzuciła kulę w górę, gdzie ta rozerwała się na części, które wystrzeliły ku różnym szklanym przedmiotom w salonie i wypełniły je światłem. Przedmioty zadziały jak lampy, równo oświetlając pokój.

– Jak przeszłaś przez Jepsona? – zapytał Cole.

– To wytwór – odparła kobieta. – Autonomiczna zdawa, która naśladuje życie. Coś jakby niematerialny pozór, stworzony z czystej iluzji.

– Czy jest ich dużo?

– Nie są zbyt częste. Bardzo trudno je stworzyć. Ja w kwestii zdaw bynajmniej nie jestem nowicjuską, a mimo to nie potrafię. Moja matka jako zaklinaczka posiada pewne zdolności, ale wykonanie wytworu przekracza również jej możliwości. Nie jestem pewna, czy obecnie w Elloweer ktokolwiek oprócz wielkiej formistki byłby w stanie stworzyć wytwór na tyle skomplikowany, żeby imitował człowieka. Matka odziedziczyła Jepsona po rodzicach. Towarzyszy naszej rodzinie od pokoleń.

– To nie on otworzył drzwi – zrozumiał Cole.

– Zgadza się. Zrobiła to Kimber. Jepson zawsze ma do współpracy tresowane psy. Sam je szkoli, co stanowi nie lada wyczyn, skoro nie może ich pogłaskać ani własnoręcznie karmić. Każdy pies wabi się Kimber. Obecna Kimber

wygląda staro. Chyba widziałam ją wcześniej ze dwa razy. Pewnie Jepson pracuje już z jej następcą.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Zegar wybił godzinę. Cole odczytał na nim, że jest wpół do siódmej. Wskazał na tarczę.

– Czy to znaczy, że minęło sześć i pół godziny od zachodu słońca? – spytał.

– Tak. Czasami zapominam, że nie jesteś stąd. Posiadacze zegarów przestawiają je na dwunastą o świcie i o zachodzie. Czasami noce trwają osiem godzin. Czasami czternaście. Typowe mają około jedenastu.

– Dlaczego twoja mama jest taka dziana? – zapytał Jace.

– Większość fortuny odziedziczyła. Mój ojciec pracował w miejscowym banku. Zmarł ponad dziesięć lat temu. Mój pradziadek był szanowanym włodarzem. Uczynił dużo dobrego dla Merriston i Elloweer. Matka zawsze ma bardzo napięty kalendarz, ale tak naprawdę niewiele robi. Za to zna wszystkich.

– Myślisz, że nam pomoże?

– Jest taka szansa, inaczej byśmy tu nie przyszli. To zależy. Każe nam czekać, zanim wreszcie się pojawi. To element gierki towarzyskich, którym się oddaje. Lepiej się rozgościć.

Cole usiadł w miękkim fotelu. Jace położył się na kanapie. Cole wytrzymał tylko pięć minut, a potem oczy zaczęły mu się zamykać.

Obudził się, kiedy Skye szarpnęła go za ramię.

– Idzie – powiedziała. – Więcej życia.

Chłopiec wstał i potarł twarz, żeby zetrzeć ślady snu. W ustach miał niewyraźny smak, a wzrok nie do końca chciał się skupić. Według zegara czekali prawie godzinę.

Lady Madeline powoli wpłynęła do pokoju i chłodno spojrzała na córkę. Była stara, trochę pulchna, miała namalowane brwi oraz burzę siwych

włosów upiętych na szczycie głowy. Nosiła czarny kaftan z rękawami oraz długą spódnicę, która szeleściła przy każdym ruchu. Na jej palcach skrzyły się liczne pierścienie, a z uszu zwisały kamienie szlachetne. W dłoni trzymała czarną laskę, choć chyba wcale jej nie potrzebowała.

– Jakże stosowna godzina na wizytę szpiega – odezwała się głosem oschłym i stanowczym, wyraźnie wymawiając słowa. – Przynajmniej jest szansa, że nie widzieli cię sąsiedzi. Dziecko, co cię opętało?

– Właśnie przybyłam do miasta – powiedziała Skye. – Moją karawanę zaatakował Błędny Rycerz.

– Ach tak. Wszystko jasne. Odnosisz same sukcesy i przyjechałaś tutaj, żeby zacząć od nowa, ale Błędny Rycerz zabrał ci wszystkie pieniądze, więc teraz potrzebujesz olbrzymiej pożyczki, żeby przeżyć. Nie odkryłaś przypadkiem jego tożsamości?

– Nie, mammo.

Lady Madeline pokręciła głową.

– Skoro chcesz być szpiegiem, dziecko, to przynajmniej naucz się fachu.

– Nie jestem szpiegiem – powiedziała Skye.

– Oczywiście, że nie – odparła protekcjonalnie jej matka. – Jesteś rewolucjonistką. Jednym z tych niewidzialnych ludzi. Uznałam, że „szpieg” to bardziej życzliwe określenie niż „kryminalista” albo „zdrajca”. Jak sobie życzysz, żebym cię określała?

– Zaczniemy od tego, że jestem twoją córką.

Lady Madeline ze smutkiem pokręciła głową.

– Zbyt dosłownie traktuję życie, żeby bawić się w udawanie. Jeśli chcesz, żebym widziała w tobie córkę, to zachowuj się, jak na nią przystało. Ja już dawno porzuciłam nadzieję.

Cole rzucił Jace’owi ukradkowe spojrzenie. Jego przyjaciel szeroko otworzył

oczy na znak zdziwienia. Ta kobieta zachowywała się jak najsurowsza matka na świecie! Dlaczego Skye sądziła, że im pomoże?

Lady Madeline spojrzała w stronę Cole'a.

– Widzę, że przyprowadziłaś ze sobą paru kolegów anarchistów? Tylko mi się wydaje, czy twoi kamraci robią się coraz młodszy? Co powiedziałyby ich biedne matki, gdyby usłyszały, że każesz im się włączyć o tej godzinie, choć już dawno powinni być w łóżku?

– To Cole i Jace – powiedziała Skye. – Nie mają rodziców. Zatrudniłam ich jako służących. Podróżowali ze mną karawaną, na którą napadnięto.

– Wynajęte sieroty? – zawołała lady Madeline, unosząc brwi. – Co za szczęście! Rodzice, jak sądzę, okazują się niewygodni, kiedy dzieciom płaci się za podsłuchiwanie rozmów i zaglądanie do okien. Ale przecież krewni nie muszą być przeszkodą. Córka lady Fink, Emilia, spodziewa się dziecka. Czy mam je powiadomić, że prowadzisz rekrutację?

– Dziękuję za zrozumienie. Twoje szyderstwa to właśnie to, czego nam trzeba, kiedy nas okradziono.

– Ja tylko komentuję twoje życie, moja droga. Skoro okazuje się ono przedmiotem drwin, to może powinnaś przemyśleć podejmowane decyzje.

Skye westchnęła ciężko.

– Zaangażowanie w ruch oporu przyniosło mi wyłącznie cierpienie. Przyjechałam tutaj w poszukiwaniu uczciwego zatrudnienia. Chcę znaleźć pracę w Srebrnej Podszewce.

Lady Madeline położyła dłoń na piersi, odchyliła głowę i zaśmiała się długo, lecz bez humoru.

– Jeśli twoim wyobrażeniem uczciwego zajęcia stała się praca w salonie dyskrecji, to zapłaczmy nad tym, jak nisko upadłaś.

– Srebrna Podszewka działa za zgodą czempiona, włodarza i najwyższego króla – odparła Skye. – Nigdy tam nie byłaś? Ilu twoich przyjaciół

powstrzymało się od wizyty? Srebrna Podszewka potrzebuje uzdolnionych iluzjonistów, a ja należę do najlepszych.

– Masz talent – przyznała ze smutkiem lady Madeline. – To tylko dowodzi, jak bardzo zmarnowałaś swój potencjał. Mogłaś mieć po swojej stronie właściwych ludzi. Zamiast tego świadomie uczyniłaś z nich wrogów. Czy jestem skłonna uwierzyć, że się zmieniłaś? Obie wiemy, że w Srebrnej Podszewce rewolucjoniści umierają. Żądza tajemnic ściąga ich tam jak ćmy do ognia i zawsze czeka ich zguba. Jeżeli pójdziesz tam pracować, to jeszcze przed końcem tygodnia wylądujesz w zamku Blackmont.

Jej surowa ocena Srebrnej Podszewki wprawiła Cole'a w niepokój, ale starał się go nie okazywać. Skye uważała, że bez pomocy matki nie dotrą do Daltona, ta jednak nie wydawała się skłonna do pomocy. Byli już tak blisko! Czy właśnie tutaj spotka ich klęska, w napuszonym salonie w środku nocy?

– Chcę tam pójść na rozmowę o pracę – powiedziała Skye. – W Wenley miałam złą reputację, w Kartaginie też nie najlepszą, ale tu mogę się posługiwać prawdziwym nazwiskiem i prawdziwą twarzą.

– Innymi słowy, w Merriston nie jesteś ścigana listem gończym – zadrwiła lady Madeline. – Nikt nie ogłosił nagrody za twoją głowę. W każdym razie do tej pory. Nikt ci nie ufa, Skye. Źle o tobie mówią.

– Nie wszyscy – odezwał się Cole, nie mogąc się powstrzymać.

Kobieta spojrzała na niego chłodno.

– Twoja opinia nie ma znaczenia, skoro ci za nią płacą. Nie zapominaj, że płacą ci także za milczenie w obecności wyżej postawionych.

– W porządku, Cole – powiedziała Skye. – Nie musisz mnie bronić. Mamo, czy chcesz powiedzieć, że Gustus w ogóle nie rozważy mojej kandydatury?

– Mogłabym umówić ci rozmowę z Gustusem, kiedy tylko zechcę. Może nawet by cię przyjął. Ale tylko po to, żebyś znalazła się pod stałą obserwacją. Wejdiesz tam jako szpieg, ale skutek będzie wręcz przeciwny. Przejrzą

wszystkie twoje intrygi. To będzie twój koniec.

Skye podeszła do matki i wzięła oburącz jej dłoń.

– Mamo, posłuchaj. Potrzebuję twojej pomocy. W tej chwili spotkanie z Gustusem jest dla mnie bardzo ważne. Nie jestem nowicjuską. Nie myślę o tym, żeby pokonać właścicieli Srebrnej Podszewki w ich własnej grze. Ale poważnie rozważam powrót do Merriston. Rozmowa z Gustusem dużo mi powie o mojej tutejszej pozycji.

– W tym celu nie potrzebujesz rozmowy – odparła Lady Madeline. – Wcale nie przesadzam, mówiąc, że twoja reputacja jest nie do naprawienia. Posługując się prawdziwą tożsamością, byłabyś obserwowana o każdej porze dnia i nocy. Może nawet natychmiast by cię zatrzymano. Naprawdę napadł cię Błędny Rycerz? Masz coś na potwierdzenie tej skandalicznej historii?

– Naprawdę. Ci dwaj chłopcy stawili mu czoła z bronią w ręku. Darował im życie. Pozbawił mnie skryptów dłużnych oraz gotówki o łącznej wartości ponad trzystu platynowych kółkatów. Nadal mam duże zasoby w Kartaginie, ale pod przybranymi nazwiskami.

– Trzysta platynowych kółkatów! – wykrzyknęła lady Madeline. – Czyś ty złupiła skarbiec pirackiego króla?

– Jeśli musisz wiedzieć, prowadziłam bardzo popularne czarodziejskie widowisko.

Lady Madeline jęknęła i zasłoniła oczy.

– Skowronku! Wolałabym już tuzin szpiegów od artystki scenicznej.

– Jest bardzo dobra – odezwał się Cole. – Najlepsza. Szkoda, że pani nie słyszała, jak ludzie wiwatują!

– Przynajmniej popiera cię opłacony sierota – stęknęła lady Madeline. Przyłożyła rękę do czoła. – Skowronku, więcej już chyba nie zniosę.

– Posługiwałam się fałszywą tożsamością – zapewniła pośpiesznie Skye.

– Niewątpliwie, inaczej byłabym już pośmiewiskiem całego Elloweer. Dziecko, jak mogłaś?

– Czasami robimy to, co musimy, żeby przeżyć. A czasami ze względu na nasze przekonania. Czy naprawdę kochasz najwyższego króla, mamó?

– Jakie to ma znaczenie?! – zakrzyknęła lady Madeline. – Słońce świeci. Czasem trochę parzy, czasem razi w oczy, ale tak już jest, więc żyjemy w jego blasku, w miarę potrzeby znajdując cień i schronienie. Najwyższy król rządzi. Nie jest idealny, nieraz do wysokich godności wynosi błaznów, bywa, że dogadza własnej próżności, ale w takim już świecie żyjemy. Czemu nie mielibyśmy sobie dobrze radzić pomimo króla? Czy musi się on stać pretekstem do autodestrukcji?

– Niektórzy potrafią przymknąć oko na zło tego świata – odparła Skye. – Inni nie. Mam swoje wady, mamó, ale mogę ci szczerze powiedzieć, że staram się robić to, co uważam za właściwe.

– Uciążliwe z ciebie dziecko. Zamiast opinii na każdy temat przydałoby ci się więcej praktycznego myślenia.

– Potrzebuję spotkać się z Gustusem. Chcę wziąć ze sobą moich dwóch młodych służących. Mogą pomagać za kulisami w Srebrnej Podszewce.

– Daleko za kulisami, mam nadzieję. I z kneblem na ustach.

– Przecież my wszystko słyszymy – odezwał się Cole.

Lady Madeline go zignorowała. Odłożyła na bok laskę i pogłaskała córkę po dłoni.

– Obawiam się, że Gustus chętnie da ci linę, żebyś mogła się na niej powiesić.

– To, jak ją wykorzystam, może go zaskoczyć – odparła z mocą Skye.

– Jak mniemam, nie zaznam spokoju, dopóki nie spełnię twojej prośby.

– Absolutnie. Muszę odbyć tę rozmowę.

– Przynajmniej nie zebrzesz o pieniądze – stwierdziła lady Madeline. – I nie chcesz zadawać się z moimi przyjaciółmi. – Wzdrygnęła się teatralnie.

– Dziękuję, mamó – powiedziała Skye.

– My też dziękujemy – dodał Cole z przekonaniem.

Był przygotowany na to, że kobieta odrzuci ich prośbę. A teraz znajdą Daltona! To się naprawdę stanie! Ile czasu minie, zanim Cole znajdzie się z przyjacielem oko w oko?

– Podziękuj mi milczeniem – skarciła go lady Madeline, wachlując się. Potem znowu zwróciła się do córki. – Czy mam rozumieć, że ty i twoi wierni pachołkowie chcecie tu dziś nocować?

– Jeśli to nie kłopot – odparła Skye.

– Zdecydowanie nie jest to idealny układ, ale przecież was nie wyrzucę. Wiesz, gdzie znaleźć pokoje gościnne. Postarajcie się nie afiszować swoją obecnością. Wiadomość do Gustusa wyślę rano. Zwykle na jego odpowiedź trzeba czekać miesiącami. Ty możesz spodziewać się spotkania po południu. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Skowronku.

Skye pocałowała matkę w policzek.

– Ja też.

ROZDZIAŁ 18

SREBRNA PODSZEWKA

Nazajutrz późnym rankiem Cole, Jace i Skye wysiedli z wynajętego powozu

na rogu zaniedbanej ulicy. Wszyscy włożyli nowe ubrania, które rano przywieziono do rezydencji. Skye miała przy sobie pisemne zaproszenie. Wyglądała schludnie w białej bluzce i tweedowej spódnicy. Cole i Jace mieli na sobie koszule na guziki, spodnie wyprasowane w kant oraz brązowe skórzane buty.

Skye zaprowadziła ich w kierunku zaułka między zaniedbanym lombardem a kantorem lichwiarza. Okna obu lokali zabezpieczono żelaznymi kratami. Brukowana uliczka była okropnie nierówna. Cole bał się, że skręci kostkę.

Kiedy dotarli do jej wlotu, od ściany odlepiło się dwóch twardzieli, żeby przeciąć im drogę. Jeden miał kaszkiet na głowie oraz mocno wystającą szczękę, a drugi – łukowatą bliznę, która biegła spod jednego ucha aż do górnej wargi.

– Porządni ludzie tędy nie chadzają – powiedział ten z wystającą szczęką. Obie ręce trzymał w kieszeniach.

– My nie jesteśmy porządni – odparła Skye.

Oprychy rozstąpiły się, żeby ich przepuścić. Cole pognał za iluzjonistką, cały czas wpatrzony w nierówny bruk.

Pierwszy odcinek uliczki zakręcał. Gdy się wyprostowała, okazało się, że biegnie naprzód na nieprawdopodobną odległość i niknie w oddali, choć nie widać końca. Merriston to duże miasto, ale Cole wątpił, czy aż tak duże, żeby zmieścić tę uliczkę.

– Niemożliwe – odezwał się Jace.

– To iluzja – odparła Skye. – Jeśli zajdziemy za daleko, wpadniemy przez fałszywą ziemię do rowu z kolcami. Albo czeka nas coś równie przyjemnego.

Cole zauważył, że Jace wyraźnie zwolnił i puścił ich przodem. Nie przetrwałby tylu misji u Łupieżców Niebios, gdyby był głupi.

Nierówne ściany zaułka, zbudowane z przylegających do siebie kamiennych bloków, wznosiły się na niesamowitą wysokość. Nie było w nich drzwi ani

okien. Tu i ówdzie z góry zwieszał się bluszcz. Skye trzymała w ręku zaproszenie, na które zerkała, idąc.

– Masz tam mapę? – zapytał Cole.

– Nie, ale kiedy podeszliśmy do uliczki, na karcie pojawiło się to, co powinnam powiedzieć, kiedy zbiry zażądają hasła. Matka sugerowała, żebym miała je na podorędziu.

– Czego szukamy?

– Ten zaułek prowadzi do wejścia dla personelu. Na pewno niektóre fragmenty muru są fałszywe. Musi tu być wiele ukrytych zabezpieczeń. Minęliśmy już kilka zmywaczy. Niemal na pewno jesteśmy obserwowani.

Skoro ktoś mógł ich podsłuchiwać, Cole postanowił nie mówić zbyt wiele. Większość tej misji będzie wymagała improwizacji. Srebrną Podszewkę otwierano dopiero wieczorem i działała przez całą noc. Ponieważ teraz była zamknięta, pracownicy spali, odpoczywali, uczyli się albo wykonywali zakulisowe prace. Cole, Jace i Skye zamierzali zajrzeć w jak najwięcej miejsc z nadzieją, że natkną się na Daltona.

Cole nie mógł uwierzyć, że niedługo zobaczy swojego najlepszego przyjaciela. Ale się chłopak zdziwi! Ciekawe, co sam by czuł, gdyby to Dalton pojawił się pewnego dnia, żeby uwolnić go z niewoli u Łupieżców Niebios. To było zbyt niewyobrażalne, żeby się nad tym zastanawiać.

Skye przystanąła.

– Widzicie? – Podniosła zaproszenie. Widniała na nim wyłącznie strzałka w lewo. – Właśnie się pojawiła.

Kobieta obróciła się we wskazanym kierunku i na próbę włożyła rękę w ścianę. Przeszli przez zdawę i znaleźli się na ciemnych, wąskich schodach wiodących w dół do żelaznych drzwi. Cole zauważył, że strzałka zniknęła. Zastąpiło ją zdanie: „Nikt inny na mnie nie zasługuje”.

Z małego otworu w drzwiach zwisał sznurek. Skye pociągnęła go, a wtedy

zabrząca dzwonek. Po chwili otworzył się wizjer.

– Niby dlaczego mamy cię wpuścić? – zapytał jakiś mężczyzna.

– Nikt inny na mnie nie zasługuje – odparła Skye.

Drzwi się otworzyły. Minęli kilku uzbrojonych strażników i stanęli przed kolejnymi drzwiami, również żelaznymi. Stojący tam wartownik wystukał skomplikowany rytm niewielkim młoteczką. Otworzyły się i ruszyli dalej.

Weszli po schodach na przepiękny dziedziniec. W ciemnym, płytkim stawie brodziły flamingi. Wkoło rosły wymyślnie poskręcane drzewa o głęboko żłobionej korze. Piękne kobiety i przystojni mężczyźni w togach wędrowali po krętych ścieżkach, grając na różnych instrumentach. Pachniało mchem i wilgotną trawą.

Podeszła do nich kobieta o metalicznej, złotej skórze i jaskrawopomarańczowych oczach.

– Skye Roland? – zapytała.

– Tak – odparła Skye, pokazując zaproszenie. – Z dwoma młodymi przyjaciółmi.

– Proszę za mną.

Przemierzyli dziedziniec w kierunku ciężkich drewnianych drzwi, a potem weszli do olbrzymiego holu pełnego dużych portretów. Przechadzało się tam kilka osób, wszystkie w szarych szatach. Jedna była w wieku Cole'a.

Żadna nie była Daltonem.

Przeniknęli przez niewielki kominek pełen płonących polan, żeby skręcić w inny korytarz. Zostawili za sobą kilka kolejnych drzwi, a wreszcie kobieta przeprowadziła ich przez lustro na jego końcu.

Cole zobaczył, że znaleźli się w przestronnym biurze. Całą tylną ścianę tworzył bok gigantycznego akwarium, w którym pływały trzy białe narwale. Kieł każdego z nich połyskiwał jak srebro. Przy biurku przed akwarium

siedział pulchny mężczyzna. Na czubku głowy był łysy, ale po bokach zwisały długie siwe włosy. Wyglądałby jak zwyczajny człowiek, gdyby nie oczy – bulwiaste wzgórki z maleńkimi dziurkami na czubkach. Obracały się jak u kameleona.

Kiedy weszli, mężczyzna wstał.

– Skye Ryland – odezwał się z uśmiechem, szeroko rozchylając ramiona. – Nigdy się nie spodziewałem, że cię tu zobaczę.

– Witaj, Gustusie – powiedziała. – To Cole i Jace.

– Wspaniali chłopcy, nie wątpię – odparł Gustus bez cienia szczerości. – Jeżeli dobrze pamiętam, to kiedy cię ostatnio widziałem, wygoniono cię z przyjęcia, w którym uczestniczyłem.

– Masz dobrą pamięć.

– Rozumiem, że szukasz pracy? – spytał, obchodząc biurko, żeby przed nim stanąć.

– Zgadza się.

– Wyobraź sobie moje zdziwienie, kiedy dziś rano skontaktowała się ze mną lady Madeline. Nieraz sugerowałem, że powinnaś dla mnie pracować. Nigdy jednak nie doczekałem się reakcji.

– Niektóre decyzje wymagają właściwej chwili – powiedziała Skye.

Gustus oparł się o biurko.

– Ciekawa myśl. Dlaczego teraz się do mnie zwracasz? Powszechnie wiadomo, że zbratałaś się z rewolucjonistami.

– Trochę przeżyłam. Parę razy dostałam solidną nauczkę. Pragnę czegoś stabilnego. Chcę popracować nad zaklinaniem. Mogę się tu przydać. Moje zdolności się rozwinęły.

Gustus pogroził jej palcem.

– W to nie wątpię. Nie martwię się o twój talent. Bardziej interesują mnie twoje motywacje. Nie chciałbym, żeby twoja matka przeżyła kolejny wstrząs. Jeżeli myślisz, że tę pracę możesz wykorzystać, aby pomóc ruchowi oporu, zjemy cię tu żywcem. Zostanie tylko szkielet.

– Nie przyszedłem do ciebie, kiedy zadawałaś się z tamtymi ludźmi.

– Z tamtymi ludźmi? – Gustus zachichotał. – Mam wierzyć, że zerwałaś wszelkie więzi, spaliłaś mosty?

– Poczyłaś w swoim życiu wielkie zmiany – powiedziała Skye. – Musiałabym być niemądra, żeby tu przyjść z ukrytym celem.

– Przyjście tu w ogóle było niemądre – odparł Gustus. – Kiedy powiadomiłem włodarza Camposa o wiadomości od twojej matki, niewiele brakowało, a przysłałby gwardzistów, żeby cię aresztować. Debatowaliśmy przez niemal godzinę. Ostatecznie stwierdził, że woli cię obserwować. Bynajmniej nie dlatego, że wierzy, jakoby wróciłaś na dobrą drogę. Uznał twoje posunięcie za tak niedorzeczne, iż musi się za nim kryć ogromna potrzeba. Potrzeba, której nikt z nas się nie domyśla. W co ty grasz, Skye?

– Może mnie obserwować, ile chce. Ty też. Zobaczycie tylko pierwszorzędną iluzjonistkę, która doskonali warsztat.

Gustus potarł dłonią łysinę.

– Tak, tak, możliwe... Nie potrafię sobie wyobrazić, co chcesz uzyskać. Campos też nie. Nic dziwnego, że zżera nas ciekawość. Do tej pory praktykowałaś szpiegostwo z wielkim rozmachem. Zniknęłaś. Stałaś się doprawdy niewidzialna. A teraz pojawiaasz się tutaj. Neutralny obserwator nazwałby to okropnym głupstwem.

– Chyba że mówię serio – odparła Skye. – I nie mam ukrytego motywu.

– Ależ byłoby zabawnie! A ci chłopcy? – Wyłupiaste oczy obróciły się, żeby spojrzeć na Cole'a i Jace'a. – Są utalentowani?

– Nie. To moi służący. Polubiłam ich. Są ze mną w komplecie.

- Który z was to Cole? – zapytał Gustus entuzjastycznie.
- Ja. – Ze względu na to przyjazne nastawienie chłopiec zrobił się jeszcze bardziej ostrożny.
- Co ona knuje? – zapytał go mężczyzna jak starego kumpla.
- Chce dostać tu pracę.
- Co porabiała?
- Niewiele.
- A co ty dla niej robisz?
- Pomagam. Podaję posiłki. Otwieram drzwi.

Gustus podszedł do Cole'a, a potem się nachylił. Jego kameleonowe oczy obracały się niezależnie od siebie.

- Masz w sobie ślad zdolności formistycznej – powiedział. – Coś... dziwnego. Nie umiem tego rozpoznać.
- Ja też nie – odparł chłopiec szczerze.

Gustus odwrócił się do Jace'a.

- Powiedz, po co Skye naprawdę tu przyszła, a uczynię cię bogatszym, niż potrafisz to sobie wyobrazić.
- Pracowałem już dla paru bogatych ludzi – oparł Jace. – I mam całkiem niezłą wyobraźnię.
- Dam ci tyle pieniędzy, żebyś żył wygodnie do końca swych dni. Tutaj ona cię nie ukarze. Powiedz mi to, co chcę wiedzieć, a będziesz ustawiony na resztę życia.
- Serio?

– Tak.

Jace wzruszył ramionami.

– Najłatwiejsza forsa, jaką w życiu zarobiłem. Przyszła tu po pracę.

Gustus wpatrywał się w niego przebiegle.

– Zaświadczasz, że nie ma innego motywu?

– Tak.

– Poczekajmy pięć lat. Jeżeli Skye nie zdradzi, będę twoim dłużnikiem. Uczciwy układ?

– To wielka obietnica, na tak proste pytanie. Nie mogę się doczekać.

– Możesz także odwiedzić mnie prywatnie. Jeśli dysponujesz dobrymi informacjami, moja oferta pozostaje aktualna. Twój wybór. – Gustus podszedł do Skye. – Twoi słudzy wcale nie są bezużyteczni. Żaden nie był ze mną całkiem szczery, to nie ulega wątpliwości, ale nie wiem, co ukrywają. Nieźle jak na takich młodzieńców.

– Dopatrujesz się oszustwa, gdziekolwiek spojrzysz – stwierdziła Skye.

– Tylko kiedy patrzę na ludzi. Z pewnością sama rozumiesz, dlaczego niektórzy mogą kwestionować twoje motywy. Gdybyś najpierw trafiła do niewoli, a dopiero potem złożyła mi tę propozycję, prędzej bym ci uwierzył, choć wtedy byłbym mniej skłonny się zgodzić.

– Czy to znaczy, że dostanę tę pracę?

– Oczywiście, że cię zatrudnię. Masz doskonałe kwalifikacje, a ja jestem niezmiernie ciekaw, o co tu naprawdę chodzi. – Gustus oblizał wargi. Oczy rozbiegły mu się na boki. – Trudno się oprzeć dobrej intrydze.

– Zanim się zgodzę, chcę zobaczyć, gdzie będę pracowała, poznać wynagrodzenie i spotkać się z innymi zaklinaczami. Mniemam, że zapewniasz zakwaterowanie?

– Cały personel mieszka tutaj – powiedział Gustus. – Tworzymy zwartą rodzinę.

– Kiedy mogę zacząć?

– Najlepiej natychmiast.

– Nie dzisiaj – stwierdziła Skye. – Muszę pożegnać się z kilkoma osobami i załatwić parę spraw. Może być jutro, jeśli spodoba mi się zakwaterowanie i zaakceptuję twoje warunki.

– Uważaj, jakie sprawy załatwiasz – ostrzegł Gustus. – Będzie cię obserwować wiele oczu.

– Co z chłopcami? – zapytała kobieta.

Gustus stanął między Jace'em a Cole'em.

– Chcecie tu mieszkać i pracować?

– Jeśli Skye, to my też – powiedział Cole.

– Byłbym waszym szefem – wyjaśnił mężczyzna. – Przyjmowalibyście polecenia od części moich podwładnych. Nie od niej.

– Muszę się więc upewnić, że mi się tu podoba – stwierdził Jace.

– Rozejrzyjcie się razem ze Skye. To uczciwe rozwiązanie. Nawiasem mówiąc, osoby bez talentu do zaklinania czeka tu olbrzymia rywalizacja, żeby zostać choćby najniższym postawionym sługą. Zatrudniamy wyłącznie najbliżskotliwszych ludzi z najlepszych rodzin w Elloweer.

– Nie zawiodą cię – obiecała Skye.

– Zrozumcie to dobrze – powiedział Gustus, patrząc raz na Cole'a, raz na Jace'a. – Skye jest waszym biletem wstępu. Tylko od was zależy, czy tu zostanieie. Wykonujcie polecenia, ciężko pracujcie i bądźcie uprzejmi, a wszystko dobrze się ułoży.

– Dziękujemy – odrzekł Cole, a w duszy miał nadzieję, że to już prawie koniec.

Czuł się idiotycznie, tak bardzo się płaszcząc, chociaż wiedział, że nie zamierzają tu zostać ani chwili dłużej, niż potrzeba, żeby znaleźć Daltona. Od tak dawna czekał na spotkanie z przyjacielem, że teraz, gdy znajdowali się już bardzo blisko, każda chwila opóźnienia była torturą.

Gustus wrócił za biurko i usiadł.

– Rozejrzyj się, Skye, a potem wróć do mnie na rozmowę. Ale tym razem zostaw chłopców na zewnątrz. – Machnął ręką.

Do pomieszczenia weszła kobieta o złotej skórze.

– Tak, Gustusie?

– Leono, oprowadź tych troje po terenie. Pokaż im, gdzie zamieszkają, jeżeli do nas dołączą. Przedstaw ich tak, jak uważasz za stosowne. A potem przyprowadź z powrotem.

– Jak sobie życzysz. – Leona dotknęła ramienia Skye. – Chodźcie.

Wyszli przez lustro i wrócili na korytarz. Leona prowadziła.

– Skąd wiedziałaś, że Gustus cię wzywa? – zapytał ją zaciekawiony Cole.

– W holu błysnęło światło – wyjaśniła. – To prosta zdawa.

Przedostali się przez kominiek, po czym Leona rozpoczęła oprowadzanie. Mijali fontanny ciekłej lawy, gobeliny, które poruszały się jak ekrany telewizyjne, a także parę kamiennych posągów, które stękały, zwarte w niekończącym się zapaśniczym pojedynku. Cole nie potrafił docenić imponujących zdaw ani pięknego terenu. Wypatrywał przyjaciela.

Kwatery służby urządzone były jak w internacie. Starsi służący mieli własne pokoje. Młodszy mieszkali po dwóch albo i czterech.

Cole widział mnóstwo osób, starych i młodych. Żadna z nich nie miał

jarzmoznaku. Żadna nie była Daltonem.

Powoli przeszli przez bufet, a potem przecięli strefę rekreacyjną, gdzie grupki ludzi toczyły drewniane kule po starannie przystrzyżonej trawie. Cole nie rozszyfrował zasad tej gry. Wśród jej uczestników również nie dostrzegł przyjaciela.

Kwatery zaklinaczy były znacznie ładniejsze od tych dla służby. Wszyscy mieli do dyspozycji po kilka pokoi. Zaklinacze nosili szare szaty i pantofle. Leona przedstawiła Skye kilku osobom. Generalnie wszyscy byli serdeczni.

– Zobaczycie większość miejsc, w których możecie zamieszkać – powiedziała Leona, kiedy z kwater zaklinaczy przeszli do strefy pełnej bujnych drzew i krzewów. – Nie mogę wam pokazać samego salonu. Jego tajemnice są przeznaczone wyłącznie dla personelu.

– W tym salonie dyskrecji byłam wielokrotnie – zapewniła ją Skye.

– Ale nie za murami – wyjaśniła Leona. – Wracamy do Gustusa?

– Co z niewolnikami, którzy potrafią zaklinać? O ile mi wiadomo, do Srebrnej Podszewki trafiają ci najlepsi.

– To prawda. Ich osobne kwatery są tam. – Wskazała niski kamienny budynek częściowo zasłonięty przez roślinność. – Nie ma powodu, żebyśmy zawracali im głowę.

– Chętnie zobaczyłabym pokaz ich zdolności – stwierdziła Skye.

Leona ostrożnie zmierzyła ją wzrokiem.

– Dość już widzieliśmy. Będzie mnóstwo czasu, żeby wszystkich poznać, kiedy już podpiszesz umowę.

Skye westchnęła.

– W porządku. Prowadź.

Gdy tylko Leona odwróciła się, żeby ruszyć przodem, Skye założyła jej

mocny chwyt za gardło, a drugą ręką zakryła usta. Ułamek sekundy później stały kilka kroków od siebie i cicho rozmawiały.

– Co się... – zaczął Cole.

– Iluzja – odparł Jace. – Stój tutaj i zachowuj się spokojnie i normalnie.

Po długiej chwili rozmowy Skye i Leona weszły za krzak. Obie przykucnęły, tak że nie było ich widać. Potem wyłoniła się tylko Leona.

– W porządku – odezwała się głosem Skye. Jej złota skóra połyskiwała. – Wkrótce zostanę poszukiwaną kryminalistką również w Merriston. Ależ matka będzie ze mnie dumna. Musimy znaleźć Daltona teraz albo nigdy.

– Ogłuszyłaś ją? – zapytał Jace.

– Nie wiem, na jak długo – odparła Skye, ruszając w stronę niskiego budynku.

– Myślałem, że tu jest pełno zmywaczy – zdziwił się Cole. Z nerwów ścisnęło go w żołądku.

– To prawda. Muszę odnawiać tę iluzję po każdym zmyciu. Z tymczasowymi zdawami radzę sobie szybko, ale nie ma ludzi doskonałych. Lepiej, żeby nikt nas nie zauważył, kiedy mój kamuflaż zamigocze.

Zatrzymali się przed drzwiami budyneczku.

– Wejścia to najbardziej oczywiste punkty rozmieszczenia zmywaczy – powiedziała Skye. – Sprawdźcie, czy nikt nie patrzy.

Cole otworzył drzwi. Zobaczył pusty korytarz.

– Droga wolna – oznajmił.

Skye weszła do środka. Na moment jej złota skóra i pomarańczowe oczy całkiem zniknęły. Znowu była sobą. Po niecałej sekundzie kamuflaż powrócił.

Przeszli korytarzem do świetlicy. Kilku nastolatków w szarych szatach grało w bilard. Kobieta w takim samym stroju siedziała i czytała. Cole nadal nie widział Daltona.

Na widok Skye nastolatki przerwali grę.

– Możemy coś dla ciebie zrobić, Leono? – zapytał jeden, który na jej widok wyraźnie czuł się nieswojo.

– Szukam Daltona – oznajmiła Skye głosem Leony.

– Chyba jest w swoim pokoju – odparł inny chłopak.

– Zapomniałam który to.

– Numer dwadzieścia trzy – powiedział ten pierwszy, wskazując jeden z korytarzy odchodzących od części wspólnej.

– Dziękuję – odrzekła Skye, po czym ruszyła z Cole’em i Jace’em we wskazanym kierunku.

Oglądając numery na kolejnych drzwiach, Cole czuł, że wszystko wibruje w nim z napięcia. Czy naprawdę zaraz odnajdzie przyjaciela? Zawsze chciał tego dokonać, ale dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo w to wątpił.

Stanęli przed dwudziestką trójką. Skye dała mu znak, żeby zapukał. Zrobił to. Czekali. Zapukał jeszcze raz, głośniejszym głosem. Usłyszeli zgrzyt zamka, a potem drzwi się otworzyły, ukazując Daltona z zamglonym wzrokiem i zmierzwioną fryzurą.

Kiedy Cole widział go po raz ostatni, jego przyjaciel wyglądał jak zakurzony, smutny klaun. Teraz miał na sobie szare szaty, ale poza tym chyba wszystko było w normie.

W pierwszej chwili Dalton spojrzał na Skye. Potem jego wzrok padł na Cole’a. Szeroko otworzył oczy, zakrył usta dłońmi.

– Niemożliwe – wyszeptał. – To naprawdę ty?

Cole rozkoszował się zszokowaną miną na znajomej twarzy. Przez chwilę nie mógł się odezwać. Co miał powiedzieć? Jak podsumować wszystko, co czuł?

– Niespodzianka – wydusił z siebie. – Możemy wejść? – Spojrzenie Daltona znowu skierowało się na Leonę. – To nie jest naprawdę ona – wyjaśnił Cole.

Dalton ze łzami w oczach cofnął się od drzwi.

– Wejdźcie.

ROZDZIAŁ 19

DALTON

Cole zatrzymał się w progu. Wszystko w jego życiu zostało mu odebrane – dom, rodzina, szkoła, osiedle, przyjaciele. Stracił nawet resztę pechowych dzieci, które przybyły tu z nim z Arizony. Obrzeża to ogromne miejsce. Mógłby nigdy nie znaleźć nikogo ze swego dawnego życia.

Ale oto Dalton! Absolutnie autentyczna część rodzinnych stron! Na widok najlepszego przyjaciela Cole uświadomił sobie, jak samotny czuł się do tej pory. Był obcym człowiekiem w obcej krainie, ale spotkanie z Daltonem sprawiło, że to wszystko odsunęło się w cień.

Wszedł do pokoju. Za nim ruszyli Skye oraz Jace, który zamknął drzwi.

Dalton próbował coś powiedzieć, urwał, a potem spróbował raz jeszcze.

– Czy to naprawdę ty? – Zerknął niepewnie na Skye. – To nie podstęp?

Skye pośpiesznie pozbyła się kamuflażu. Znowu wyglądała jak ona sama.

– Żadnych podstępów – zapewniła.

Uśmiech Daltona promieniał radością.

– Wiedziałem! – zawołał chłopiec i zacisnął pięść. – Wiedziałem, że przyjdiesz, a teraz nie mogę w to uwierzyć! To się wydawało niemożliwe, a mimo to ciągle miałem nadzieję. – Podbiegł do Cole’a i mocno go uściskał.

Cole odpowiedział tym samym. Zalewało go poczucie ulgi. Nieważne, co się jeszcze zdarzy, przynajmniej odnalazł Daltona. Pod wieloma względami to więcej, niż tak naprawdę wierzył, że osiągnie.

Przerwał uścisk jako pierwszy. Uświadomił sobie, że jeszcze nigdy nie obejmował swojego przyjaciela, ale wcale nie było dziwnie. Tak daleko od domu Dalton wydawał mu się raczej zaginionym bratem, a nie kumplem. Wydawał się członkiem rodziny.

– Bałem się, że nie żyjesz – przyznał Dalton. – Pojechałeś do Łupieżców Niebios. Wszyscy mówili, że to bardzo niebezpieczne.

– To prawda – przyznał Cole. – Ale się uwolniłem. Teraz należę do ruchu oporu. Wyciągniemy cię stąd.

– Jak się tutaj dostaliście? W Podszewce mają niesamowite zabezpieczenia.

– Skye ma koneksje.

– Chyba bardzo dobre – stwierdził Dalton. Spojrzał wprost na przyjaciela. – Naprawdę po mnie przyszedłeś. Wiedziałem, że spróbujesz.

– Musisz szybko zdecydować, czy idziesz z nami – powiedział Cole. – Prawdziwą Leonę zostawiliśmy nieprzytomną.

Dalton syknął z przerażeniem.

– Serio? O rany, będzie wściekła.

– Nie ona jedna – odparł Cole. – Musimy się śpieszyć. Teraz albo nigdy. Idziesz z nami, prawda?

Dalton się zawahał.

– To wszystko takie nagłe... – powiedział.

– Wiem – przyznał jego przyjaciel. A jeśli Dalton zachowa się jak Jill? Jeśli będzie chciał tu zostać? Cole starał się nie panikować. Nie, to po prostu niemożliwe. Przecież mowa o Daltonie. – Pewnie ci tu całkiem dobrze. Ale pracujesz dla złych ludzi.

– Rozumiem. Tylko że ci źli wszystkim kierują. Jeżeli jesteś po ich stronie, traktują cię w porządku. Jestem niewolnikiem, Cole. Naznaczonym.

– Ja też nim byłem – odparł chłopiec, pokazując swój wolnoznak.

– Jak to zrobiłeś?! – zawołał Dalton. – Zdawy nie trzymają się na jarzmoznakach. Przynajmniej na tych wzmacnianych w Elloweer.

– Ruch oporu jest silniejszy, niż myślisz. Dużo się dzieje. Wszystko ci opowiem. Ale musimy już iść.

Dalton odetchnął głęboko, żeby się uspokoić. Zerknął na Jace'a.

– Jestem Dalton.

– A ja Jace. Czas ucieka.

– Daltonie – odezwała się Skye. – Należę do tajnej organizacji ruchu oporu. Pomogliśmy setkom niewolników odzyskać wolność. Tobie też pomożemy.

– Jesteś z Niewidzialnych?

– Tak.

– Dobra, Cole – stwierdził Dalton. – Idę z wami. To jaki jest plan?

Cole uśmiechnął się szeroko, a potem spojrzał na Skye.

– Czy potrafisz sprawić, że będziesz wyglądał tak jak ja? – zapytała kobieta.

– Potrzebuję chwili – odparł Dalton. – Nie robię tu praktycznie nic innego, tylko cały dzień sprawiam, że ludzie wyglądają inaczej niż w rzeczywistości. To niezła praktyka.

Skye wycelowała w niego palec i nagle Dalton mógłby być jej bliźniakiem. Spojrzał w lustro na ścianie.

– To było szybkie – stwierdził. Dziwnie brzmiał jego głos dobiegający z ust Skye. – Świetna robota. Dobra jesteś.

– Potrafisz to powtórzyć? Rozumiesz, jak to zrobiłam?

– Chyba potrafię – odparł Dalton.

Zaklinaczka machnęła ręką i chłopiec znów był sobą. Zamknął jedno oko i wykrzywił twarz. Po kilku sekundach znowu zmienił się w Skye.

– Ojacie! – zawołał Cole. – Ty to zrobiłeś?

– Nieźle – pochwaliła kobieta. – Umiesz szybciej?

– Może w dwie sekundy. – Co prawda wyglądał jak ona, ale wciąż miał własny głos. – Chcesz, żebym przywracał kamuflaż po każdym zmywaczu?

– Właśnie.

– Jak się stąd wydostaniemy? – zapytał Dalton.

– Znam tylko jeden sposób: tak samo, jak weszliśmy.

– Chyba nie tunelem obok flamingów.

– Dlaczego nie?

Dalton zaśmiał się nerwowo i pokręcił głową.

– Zabezpieczenia są tam nie do zdarcia. Cały odcinek korytarza działa jak jeden wielki zmywacz. Uliczka też jest koszmarem. Na pewno nas złapią.

– Znasz inną drogę? – zapytała Skye.

– Srebrna Podszewka ma mnóstwo wejść i wyjść. Szefostwo nie chce przechodzić przez wszystkie zabezpieczenia. Jeszcze w zeszłym tygodniu była jedna niezła droga, ale przyłapali tam kilku niewolników, więc ją zamknęli. Znam jeszcze inną, z której korzysta czasem paru znajomych.

– Ty też jej używałeś?

– Nie. Znam kilku niewolników, którzy lubią się wymknąć na miasto. Ja uznałem, że dla wygłupów nie warto ryzykować.

– To niestrzeżone przejście?

– Jest tylko jedna stróżówka. Ktoś majstrował przy zmywaczu. Dalej działa, ale go osłabili. Jeśli się mocno skoncentrować, da się utrzymać zdawę. Wystarczy wyglądać jak ktoś, kto ma prawo tamtędy przejść, i gotowe.

– Zdołamy tam dojść? – zapytała Skye. – Czy po drodze jest dużo zmywaczy?

– Niewiele. Jeden przy wyjściu z tego budynku, a drugi przy drzwiach do muzeum. Potem zostaje już tylko ten uszkodzony przy stróżówce.

– Kto ma uprawnienia?

– Po pierwsze Leona. Pokażę wam, czyich wizerunków jeszcze używają niewolnicy.

Dalton zmienił się w łysiejącego mężczyznę w średnim wieku. Potem stał się kobietą o niebieskawej skórze i kozich rogach, a wreszcie starszą kobietą z kręconymi włosami.

– W porządku – stwierdziła Skye. – Mogę ich odtworzyć. Umiesz mówić jak ktoś z nich?

– Z głosami jeszcze sobie nie radzę.

– Masz preferencje?

– Będę tym facetem.

– W takim razie wy zostaniecie kobietami – powiedziała Skye do Cole’a i Jace’a. – Opanowałam głos Leony, więc wcielę się w nią. Ja będę mówić. Chodźmy.

Dalton uwijał się po pokoju, chowając różne rzeczy do plecaka.

– Dobra – powiedział. – Wyprowadzę was najlepszą drogą.

Nie używając zdaw, uniknęli powrotu do świetlicy. Skręcili za róg i wyszli z budynku. Na dworze Skye stała się Leoną, Dalton łysiejącym facetem, Jace starszą panią o kręconych włosach, a Cole domyślił się, że jest teraz rogatą kobietą.

– Dobra robota – pochwaliła Daltona Skye głosem Leony. – Zajmiesz się sobą?

– Chyba tak. Wobec tego tobie zostają trzy zdawy. Przedostaniesz się przez strzeżony zmywacz?

– Skoro jest na tyle słaby, że większość zaklinaczy radzi sobie z utrzymaniem iluzji, to ja poradzę sobie z trzema.

– Tędy – wskazał Dalton.

Kiedy szli przez otwartą przestrzeń, odwróciło się za nimi parę osób. Jeden z mężczyzn w szarych szatach pomachał. Cole nieśmiało odpowiedział tym samym. Najwyraźniej ich zdawy przedstawiały rozpoznawalnych ludzi.

– Idźcie zdecydowanym krokiem – mruknęła Skye.

Cole czuł się nieznośnie odsłonięty. Widział iluzje ukrywające przyjaciół, żałował jednak, że nie widzi własnej. Co będzie, jeśli ktoś zechce porozmawiać z kimś innym niż Skye? Albo jeśli natkną się na którąś z udawanych przez nich osób? Jeśli ktokolwiek się zorientuje, będzie po wszystkim.

Dalton powiodł ich krętą zwirową ścieżką w cieniu drzew. Wkrótce inni

ludzie znikli im z oczu.

– Rzadko kto korzysta z muzeum – powiedział. – Przede wszystkim oprowadzają tu czasem ważniaków. Nie powinno być tłumów. Przy głównych drzwiach jest strażnik. Nie znam innej drogi.

– Zmywacz przy wejściu? – upewniła się Skye.

– Zgadza się.

– Ty otwórz drzwi. A potem wejdź za mną do środka. Odtwórz swoją zdawę najszybciej, jak potrafisz.

Zobaczyli muzeum. Przypominało uproszczony, przysadzisty zamek, miało blanki i dwie skromne wieże. Ogromne przednie wrota wykonano z ciemnego drewna nabijanego żelaznymi ćwiekami. Nikt nie wchodził do gmachu ani z niego nie wychodził, a okoliczne drzewa odgradzały go od innych budynków.

Kiedy się zbliżali, Cole'a dręczył niepokój. Co się stanie, jeśli strażnik podniesie alarm? Domyślił się, że wtedy trzeba go będzie wyeliminować, zanim ich zdradzi. Pewnie dlatego Skye musiała iść przodem.

Dalton podbiegł do drzwi, oparł na nich dłoń, a potem przystanął.

– Otwierają się do środka – uprzedził.

Skye skinęła głową.

– Wszyscy za mną – poleciała, a potem pchnęła drzwi i weszła.

W tej samej chwili gdzieś w głębi budynku Cole usłyszał niskie dudnienie. Przekroczył próg w samą porę, żeby zobaczyć, jak rozżarzona kula ognia wielkości piłki lekarskiej odbija się od ściany do ściany w jednym z korytarzy, a za nią ciągną się ciemne kłęby dymu.

Zdawa Skye zniknęła na niecałą sekundę, a potem znowu się pojawiła. Kamuflaż Jace'a także prędko wrócił, więc Cole domyślił się, że jego również. Gdy tylko Dalton odtworzył swoją zdawę, kula ognia zniknęła, nie

pozostawiając dymu ani zniszczeń.

Skye, ponownie we wcieleniu Leony, żwawo ruszyła w stronę strażnika.

– Dlaczego patrzyłeś w tamten korytarz?

Zdenerwowany zaczął się jąkać:

– No bo, tego, słyszałem hałas i, no...

– To ja stworzyłam tę iluzję, stojąc w progu. A gdyby to nieprzyjaciele próbowali odwrócić twoją uwagę? W tej chwili już tkwiłaby w tobie strzała.

– Przepraszam, Leono.

– Czy jest ci na tyle przykro, że od tej pory zaczniesz skuteczniej strzec muzeum? Wszystkich strażników rozmieszczono na tym terenie w konkretnych celach.

– Mam nauczkę – zapewnił mężczyzna. – Będę bardziej uważał. Jeszcze raz przepraszam.

– W porządku. Tym razem pozostanie to między nami. Ale nie zdziw się, jeżeli znowu wystawię cię na próbę.

– Zrozumiano. – Strażnik zmieszany spojrzął w stronę Cole'a i pozostałych.

Dalej przodem poszedł Dalton. Gdy weszli do następnego pomieszczenia, zaczęły ze sobą walczyć różne zbroje. Cole w pierwszej chwili zamarł, a potem zrozumiał, że to część ekspozycji.

Dalton przeciął salę, a potem ruszył przez galerię sztuki, w której poruszały się obrazy i wiły rzeźby. Skręcili w boczny korytarz. Chłopiec przeszedł przez duże malowidło przedstawiające lagunę ze statkiem w tle.

Cole ruszył za nim. Znalazł się na szczycie ciasnych schodów, na których śmierdziało stęchlizną. Zeszli do mrocznego korytarza pełnego drzwi. Dalton wybrał jedno z ostatnich po lewej, a potem poczekał na pozostałych.

Stali teraz razem w niewielkim zagraconym gabinecie.

– Dobra – powiedział. – Tędy dojdziemy do zwyczajnych drzwi. To te z osłabionym zmywaczem. Tuż za nimi są metalowe ze strażnikiem, a potem jeszcze jedno. Później idzie się długo prosto i wreszcie wychodzi przez kryptę na Cmentarzu Merristońskim. Kryptę otwiera się od wewnątrz, ale na zewnątrz sama się zatrzaskuje. Chłopaki zawsze czymś podpierają drzwi, żeby mogli wrócić.

– To nie będzie konieczne – stwierdziła Skye. – My nie wracamy.

Dalton odsunął na bok biurko, a potem przykucnął, żeby przejść za nim przez ścianę. Cole wymacał rozmiar otworu. Dziura była położona nisko i okazała się ciasna. Przepchnął się przez nią.

Brudny korytarz oświetlały pojedyncze świece rozmieszczone wzdłuż ścian. Dalton prowadził. W wąskim przejściu dało się iść tylko gęsiego. Cole zauważył, że świece w ogóle nie ociekają woskiem. Wszystkie były dokładnie równej długości. To na pewno zdawy.

Dalton zatrzymał się przed drewnianymi drzwiami i obejrzał się na Skye.

– Nie chcesz iść pierwsza? – szepnął.

– Rzeczywiście. Będę rozmawiała ze strażnikiem.

Chłopiec oparł się o ścianę, by mogła się precyzyjnie otworzyć. Otworzyła drzwi i przeszła przez próg. Dalej Cole widział strażnika, który patrzył zza żelaznych prętów. Zdawa Skye nie zamigotała. Dalton ruszył za nią, stęknął cicho, ale jego fałszywe wcielenie również wytrzymało. Następny był Cole, a na końcu Jace, który zamknął drzwi.

– Leona? – odezwał się strażnik.

– Wychodzimy – oznajmiła Skye.

W górze i z tyłu zaczęły wściekle brzęczeć dzwony. Płomienie świec na ścianach zmieniły kolor na czerwony. Cole starał się nie reagować, ale wiedział, że właśnie oni muszą być przyczyną tego rabanu. Albo Leona się

ocknęła, albo ją znaleziono.

– Ojej – mruknął strażnik zza krat. – Alarm generalny. Nikt nie może wejść ani wyjść, póki nie będzie zezwolenia.

– Ale my musimy wyjść – odparła spokojnie Skye. – Szukamy zbiegłego niewolnika. Prawdopodobnie dysponuje poufnymi informacjami.

– Możliwe. Tylko że ja dostaję rozkazy z samej góry. Pełna blokada to najlepszy sposób, żeby nikt się nie wydostał. Muszę otrzymać pozwolenie, zanim kogokolwiek przepuszczę.

Drewniane drzwi za ich plecami nagle się otworzyły. Cole’owi serce podskoczyło do gardła, kiedy zobaczył w nich Gustusa. Mężczyzna o oczach kameleona wydawał się zaskoczony.

– Co to znaczy? Leono, przecież posłałem cię przodem!

– Alarm generalny, proszę pana – poinformował strażnik. – Przejście zamknięte. Przez ostatnie kilka godzin nikt tędy nie szedł.

– Dobra robota – pochwalił Gustus. – Ale musimy dyskretnie zrobić wyjątek. Mamy powody wierzyć, że zbiegły niewolnik zdążył wydostać się poza teren. Wychodzimy, żeby go pojmać. Nie ma czasu do stracenia, liczy się każda chwila. Otwórz na moją odpowiedzialność.

– Tak jest, pan tu rządzi – odparł strażnik, wykonując polecenie.

Skye ruszyła przodem. Mężczyzna podszedł z nią do solidnych żelaznych drzwi, które otworzył kluczem. Cole minął go w milczeniu.

Idący za nim Gustus zatrzymał się przed strażnikiem.

– Czasami to konieczne, ale naginając protokół, dajemy zły przykład – powiedział. – Nikomu o tym nie wspominaj.

– Oczywiście, proszę pana.

– I nie pozwól nikomu innemu tędy przejść. Nasze wyjście wcale się nie

wydarzyło. Ja nigdy się do tego nie przyznam. Zrozumiano?

– Oczywiście, proszę pana.

– Doskonale. Trwaj na służbie.

Poszli dalej korytarzem. Gustus zamykał pochód. Kiedy wreszcie skręcili za róg, Skye oparła się o ścianę, ciężko dysząc. Jej zdawa zniknęła, Jace'a również. Gustus wyparował. Kobieta była złana potem.

– Ty to zaimprovizowałaś? – zapytał Dalton oszołomiony. – Przeprowadziłaś niezakotwiczoną zdawę przez zmywacz? To...

– To była wyższa szkoła jazdy – przyznała Skye z zamkniętymi oczami. – Na samym końcu o mały włos nie straciłam nad wszystkim kontroli.

– Nie wiem, czy któryś z tutejszych zaklinaczy potrafiłby zrobić coś takiego. Może sam szef, kiedy ma dobry dzień. Dopilnowałaś nawet tego, by wydawało się, że drzwi się otworzyły.

– Strażnik musiał zobaczyć, że Gustus przechodzi przez zmywacz. Dzięki temu jego autentyczność była niekwestionowana.

– Nie mogę uwierzyć, że się nam udało – powiedział Dalton.

– To jeszcze nie koniec – odparła Skye. – Podnieśli alarm. Nie chcą, żebyśmy uciekli. – Ruszyła naprzód. – Chodźmy!

ROZDZIAŁ 20

KRYJÓWKA

Wyszli przez kryptę bez trudu. Cmentarz, pełen podniszczonych nagrobków i przeróżnych posągów, przypominał raczej zapomniany ogród rzeźb niż miejsce pochówku. W oddali nadal biły dzwony Srebrnej Podszewki. Skye oblekła wszystkich w iluzje, tym razem przedstawiające brudnych ludzi w znoszonych łachach.

– Poradzę sobie – zapewnił Dalton.

– Już ja się tym zajmę – odparła. – Chciałabym wierzyć, że kiedy nie ma zmywaczy, to nawet na łożu śmierci dam radę utrzymać cztery tymczasowe zdawy.

– Dokąd teraz? – spytał Cole.

– Rano zrobiłam rozpoznanie. Jedna z moich starych kryjówek pozostała nietknięta. Od lat nikt jej nie używał. Pójdziemy tam. Ale musimy się rozproszyć. Będą szukać grupy.

Jace został z tyłu, a Cole odbił na bok. Dalton trzymał się blisko Skye i Cole musiał oprzeć się pokusie, żeby do nich dołączyć. Mógł poczekać jeszcze trochę dłużej, zanim dowie się o wszystkim, co spotkało przyjaciela, odkąd widzieli się po raz ostatni. Na razie główne zadanie to nie dać się złapać.

Na cmentarzu był niewielki ruch. Kilka starszych osób stało w zamyśleniu przed grobami. Jakaś staruszka człapała alejką, podpierając się laską. Cole zastanawiał się, dlaczego widzi tu tylko ludzi w takim wieku. Czy dlatego, że nie muszą pracować? A może mają więcej zmarłych przyjaciół i krewnych. Albo to po prostu zbieg okoliczności.

Skye i Dalton opuścili cmentarz przez niedużą furtkę. Cole wątpił, czy może to być główne wejście. Ruszył tą samą drogą, najpierw przez bramkę, a potem ścieżką dla pieszych. Gdy zerknął za siebie, zobaczył, że Jace idzie sporo za nimi.

Zmierzali dalej w kierunku miasta. Cole szedł po przeciwnej stronie ulicy niż Skye. Jace nadal trzymał się z tyłu. Z każdą pokonaną przecznicą Cole nieco się odpręzał. Wyglądało na to, że naprawdę im się uda.

Nieco przed nim Skye i Dalton przystanęli na rogu ulicy. Gdy zaklinaczka rzuciła mu spojrzenie, Cole zrozumiał, że na niego czeka. Przeszedł na drugą stronę i dołączył do nich. Kilka chwil później dogonił ich również Jace.

– Jesteśmy prawie na miejscu – powiedziała Skye. – Chyba nikt nas nie śledzi. Trzymajcie się mnie.

Ruszyła dalej ulicą, a potem skręciła w ciemny zaułek. Po kilku krokach Cole dostrzegł, że droga jest ślepa. W kącie pod najdalszą ścianą leżał duży czarny pies. Gdy Skye się zbliżyła, zwierzę podniosło łeb i zawarczało. Szła dalej, a pies warczał coraz groźniej, obnażając zęby.

– Skye? – odezwał się Cole niepewnie.

– Zaufaj mi – odparła, po czym przeszła na wylot przez ciało psa.

Wysoko podniosła rękę, która zniknęła w murze, a potem wyłoniła się z kluczem. Skye pomacała ścianę nieco niżej. Jej dłoń zagłębiła się w ceglach na kilka centymetrów. Przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi, do tej pory zamaskowane iluzją.

– Pies dobrze wygląda – stwierdził Dalton, gdy przez niego przenikał.

– To robota przyjaciela – odparła Skye. – Jest trwały. Nie da się otworzyć drzwi tak, żeby go nie zbudzić, i dowiem się, gdy zrobi to ktoś oprócz mnie. Nadal nikt go nie zbudził.

– No bo kto chciałby zadzierać z warczącym psem? – rzucił Jace.

– Zwłaszcza w zaułku bez wejść do domów albo sklepów – dodała Skye.

– A te cienie? – spytał Dalton.

– Masz dobre oko – pochwaliła. – Nałożyłam trochę sztucznych, trwałych cieni, żeby z wlotu uliczki nie było widać jej końca. Dzięki temu zawsze wejdziemy i wyjdziemy niezauważeni.

Za progiem znaleźli się w długim, wąskim korytarzu bez drzwi i okien. Skye przywołała kulę światła i niosła ją w dłoni. W połowie holu przystanęła.

– W ścianę jest wbudowana drabina ukryta pod zdawą – wyjaśniła. – Wejdźcie na górę i czujcie się jak w domu.

Cole sięgnął w kierunku gipsowej ściany, zagłębił w niej dłonie i znalazł szczeble. Wspiął się przez sztuczny sufit i wreszcie trafił do przestronnego pokoju oświetlonego przez wiele różnych lamp. Wśród wygodnych mebli były między innymi niski stolik, dwie kanapy oraz kilka miękkich foteli. Na ścianach wisały dzieła sztuki, a większość drewnianej podłogi przykrywały dywany.

Skye weszła po drabinie jako ostatnia.

– Usiądźcie wszyscy – poprosiła. – Pora poznać naszego nowego przyjaciela.

Rozpłynęły się maskujące ich zdawy. Znowu wyglądali tak jak w rzeczywistości. Już sam widok Daltona sprawił, że Cole uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Dziękuję, że mnie odbiliście – powiedział Dalton trochę skrępowany.

– Podziękuj Cole’owi – odparł Jace i opadł na jedną z kanap. – Teraz mamy nadzieję, że wiesz coś przydatnego.

Wszyscy usiedli.

Cole nie wahał się, o co spytać najpierw:

– Wiesz coś o Jennie?

Dalton ze smutkiem pokręcił głową.

– Przyjechała z nami do Miasta na Rozdrożu. Nie widziałem jej, odkąd przydzielili mnie do grupy przeznaczonej do Elloweer. Nie wiem, do której ona trafiła. Ale wtedy była cała i zdrowa. Niewolników traktują całkiem nieźle, w każdym razie tych, którzy potrafią formować.

– Znasz lokalne wieści? – spytał Jace.

– Pracowałem w Srebrnej Podszewce – odparł Dalton. – Słyszałem przeróżne

rzeczy. Co chcecie wiedzieć?

– Interesuje nas tajny więzień z zamku Blackmont – powiedziała Skye.

– O rany, wy naprawdę walcicie z grubej rury. To duża sprawa. Mało kto o tym mówi. Nikt nie wie, o kogo chodzi.

– Czy krążą o niej pogłoski? – zapytał Cole.

– Więc to jakaś ona?

– Tak przypuszczamy. Słyszałeś inną wersję?

– Nie mam pojęcia. Osobiście nigdy nie słyszałem, żeby ktoś wspominał o więźniu. To nadal ściśle strzeżony sekret. Podłapałem trochę plotek od innych niewolników. Żadnych konkretów. Jako grupa wiele słyszymy. Sądzicie, że to ktoś, kogo znacie?

– Tak – odparł Cole. – Co wiesz o córkach najwyższego formisty?

– Czy to bezpieczny temat? – wtrącił Jace.

– Daltonowi możemy ufać. Teraz jest z nami. Musi być na bieżąco.

– Właśnie zostałem zbiegiem – zwrócił się Dalton do Jace’a. –

Zdecydowałem się na to, bo ślepo ufam mojemu najlepszemu przyjacielowi. Wiele osób będzie chciało mnie znaleźć. Jestemznaczony jako niewolnik. Bez was zginę. Jestem po waszej stronie, stary. Im więcej się dowiem, tym bardziej będę mógł pomóc.

– Czy słyszałeś o córkach najwyższego króla? – zapytał przyjaciela Cole.

– Niewiele. Umarły dawno temu, prawda? Król nie ma następców.

– Upozorował śmierć córek, żeby skraść im moce formistyczne. Utrata mocy sprawiła, że dziewczęta przestały się starzeć.

– Co? – zdziwił się Dalton. – Gdzie to słyszałeś?

– Znam jedną z nich. Sądzymy, że druga to ten tajny więzień na zamku Blackmont.

Cole opowiedział o tym, jak poznał Mirę, o walce ze Spustoszą oraz o odzyskaniu przez dziewczynkę mocy. A także o formownictwie i o planowanych przez najwyższego króla eksperymentach na uzdolnionych niewolnikach kupionych od Anseła.

– On umie formować samą moc formistyczną? – Dalton nie mógł w to uwierzyć.

– Jeśli nie on, to ma ludzi, którzy to potrafią – odparł Cole. – Dowodem jest Spustosz. Spotkaliśmy jedną formowniczkę. Ty i pozostali, których kupił najwyższy król, byliście mu potrzebni tylko po to, żeby mógł rozwinąć wasze moce, a potem w nich majstrować.

– Chce je ukraść?

– Nie wiemy. Może. Tamta formowniczką nie zdradziła szczegółów.

– Gdzie jest teraz Mira? – spytał Dalton.

Cole opowiedział o tym, jak zabrał ją Błądny Rycerz. I o tym, że Joe i Drgawa ruszyli za nią.

– I myślicie, że wielkie niebezpieczeństwo na północnym zachodzie to naprawdę moc Honoraty?

– Prawdopodobnie tak.

Skye nachyliła się do nich.

– Wszystko tak dobrze pasuje, że jeśli nie zidentyfikujemy tożsamości więźnia, będziemy działać dalej w założeniu, że jest nim Honorata.

– I co zrobicie?

– Uwolnimy ją.

Dalton gwizdnął i pokręcił głową.

– Powodzenia. – Spojrzał na Cole'a. – Wkręciłeś się w niezłe wariactwo.

Cole lekko wzruszył ramionami.

– Odkąd poznałem Mirę i razem uciekliśmy, wszystko właściwie działało się samo. To dzięki jej kontaktom znalazłem Jill Davis, a ona wskazała mi drogę do ciebie.

– Widziałeś się z Jill?

– Jest w Kartaginie. Nie chciała iść ze mną. Za bardzo się bała.

– Rozumiem ją. Skoro wybieracie się do zamku Blackmont, sami prosicie się o kłopoty. To najcięższe więzienie w Elloweer.

– Wiem – odparła Skye. – Wychowałam się tam.

– Mówimy o tamtejszym najpilniej strzeżonym więźniu – podkreślił Dalton.

– Nikt go nawet nie widział na oczy.

– Ktoś owszem – powiedziała Skye.

– Ktoś, kto umie dotrzymać tajemnicy – przyznał chłopiec. – Czempionem Edgemontu jest Rycerz Groza. Osobiście pilnuje zamku Blackmont.

– Rycerz Groza? – powtórzył Cole.

– To najpotężniejszy czempion w Elloweer – wyjaśnił Dalton. – Nikt nie wie, jak się nazywa. Pozostaje niepokonany od prawie dwudziestu lat.

– Wszystko prawda – zgodziła się Skye – ale to nas nie może powstrzymać. Najwyższy król traci moce, które ukradł. Lud poparłby jego skrzywdzone córki. Z ich pomocą wreszcie możemy obalić władcę i przywrócić utracone wolności. Ale najpierw trzeba uwolnić Honoratę i pomóc jej w odzyskaniu mocy. Do tego czasu potwór na północy będzie nadal szalał.

– Co o nim wiesz? – spytał Jace.

Dalton wzruszył ramionami.

– Zaczyna wzbudzać prawdziwą panikę. Chyba kieruje się w tę stronę. W miarę jak się zbliża, pustoszeją miasta i wioski. Kto nie ucieknie, ten znika. Ale wy powinniście wiedzieć na ten temat więcej niż ja.

– Dlaczego? – spytała Skye.

– No wiesz – odparł Dalton. – Od tego żołnierza.

– Jakiego żołnierza?

– Tego strażnika z Tumaniewa, który widział potwora. – Chłopiec powiedział to takim tonem, jakby mówił o czymś powszechnie znanym.

– Nic o tym nie słyszałam.

– Nie należysz do Niewidzialnych?

– Należę, ale od wielu dni nie miałam z nikim kontaktu.

– Przepraszam, myślałem, że o wszystkim wiecie. Jest jeden gwardzista, który widział potwora i zdołał uciec. Chyba jako jedyny. Nie wiem, co dokładnie zobaczył, ale podobno część czempionów i włodarzy bała się, że jego opowieści wywołają panikę. Wysłali go do zamku Blackmont.

– Wszystkich tam pakują? – odezwał się Jace.

– Tylko najważniejszych więźniów. Tych, którzy nie dostali wyroku śmierci. W każdym razie po drodze do Edgemontu więźnia przechwycili i uwolnili członkowie ruchu oporu. Rustin Mądry i włodarz Campos wpadli w szal. Nikt nie wie, gdzie się podział.

– Kiedy to się stało? – zapytała Skye. – Niedawno?

– Zaledwie parę dni temu.

Kobieta wstała.

– To bardzo przydatna informacja – stwierdziła. – Uważny z ciebie młody człowiek.

– Dziękuję.

Cole nie mógł uwierzyć, że Dalton tyle już wiedział o życiu w Elloweer. Ale z drugiej strony innych pewnie też by zdumiało, ile on sam nauczył się o Obrzeżach przez tak krótki czas. Nie ma się czemu dziwić – przecież Dalton pracował w salonie dyskrecji, gdzie ludzie codziennie dzielą się tajemnicami, a poza tym miał głowę na karku. Uwięziony w innym świecie, bacznie nadstawiał ucha.

– Będziecie tu bezpieczni – powiedziała Skye, ruszając do wyjścia. – Wiem dokładnie, z kim porozmawiać o tym strażniku. Może to kluczowa poszlaka. Im więcej dowiemy się o formie, jaką przybrała moc Honoraty, tym większa szansa, że pomożemy jej odzyskać utracone zdolności.

– Co mamy robić? – zapytał Cole.

– Czekajcie cierpliwie. Niedługo wrócę.

ROZDZIAŁ 21

MORGASSA

Czuję się trochę tak, jakbym rozmawiał z trupem – powiedział Dalton. – Już po tobie płakałem. Myślałem, że straciłem cię tak samo jak wszystko inne. Zresztą wiedziałem, że nawet gdybyś przeżył, to szanse ponownego spotkania były praktycznie zerowe.

Dalton i Cole siedzieli razem na kanapie. Na drugiej spał Jace z twarzą wciśniętą w poduszki. Skye jeszcze nie wróciła.

– Mogłem zginąć – przyznał Cole. – Zamki na niebie prawie mnie wykończyły. A kiedy walczyliśmy ze Spustoszą, myślałem, że już po mnie.

– Nie do wiary, że miałeś tyle przygód. Z tego, co mówisz, Sambria to jakieś szaleństwo! Myślałem, że ja mam źle, ale w porównaniu z tobą moje życie było całkiem spokojne. Od przydziału w Mieście na Rozdrożu cały czas pracowałem w Srebrnej Podszewce i ćwiczyłem tworzenie zdaw. W głębi duszy wciąż nie wierzę, że mnie znalazłeś.

– Przecież obiecałem – przypomniał Cole.

– Wiem. Wierzyłem, że spróbujesz. Ale to się wydawało niemożliwe. Mimo wszystko nie straciłem nadziei, że pewnego dnia się pojawisz. Obiecałem sobie, że jeśli mnie znajdziesz, to ucieknę. Między innymi dlatego interesowałem się tajnymi przejściami.

– Nic nie słyszałeś o Jennie od czasu wyjazdu z Miasta na Rozdrożu?

– Od tamtej pory nie spotkałem prawie nikogo z naszego świata. Nie wiem, dokąd ją przydzielili. Widywałem się tylko z czwórką pozostałych dzieci, które wysłali do Elloweer. Zresztą rozdzielili nas wiele tygodni temu. W Merriston jestem tylko ja.

– W Kartaginie spotkałem Jill Davis. Powiedziała mi, gdzie cię znaleźć.

– Serio? Co u niej?

– Żyje. Mniej więcej tak jak ty, jest niewolnicą w salonie dyskrecji. Nie chciała, żebym ją uwolnił. Bała się, że ruch oporu jej nie ochroni.

– Może miała rację. Pewnie jest tam bezpieczniejsza.

– Wolałbyś, żebym po ciebie nie przyszedł?

– No coś ty! – odparł Dalton z pasją. – Pracując w salonie dyskrecji, Jill jest pewnie bezpieczniejsza, ale to nie znaczy, że ma lepiej. Życie to nie tylko bezpieczeństwo. Dużo ryzykuję, ale gdybym nie chciał, tobym nie uciekł. Poza tym czy miałem alternatywę? Być niewolnikiem do końca życia?

– Sam nie wiem. – Cole ciężko westchnął. – Już wcześniej wciągnąłem cię w kłopoty. Słuchaj... Przepraszam, że zaprowadziłem nas do tego nawiedzonego domu. I że chciałem obejrzeć piwnicę. Kiedy schodziliśmy po schodach, usłyszałeś, że zamknęli drzwi. Próbowaleś mnie ostrzec. Powinienem być posłuchać.

– To nie twoja wina. Zejście do piwnicy obcych ludzi to głupota, ale nie ty jeden miałeś ochotę. Też byłem ciekaw. Mogliśmy się zorientować, że coś jest nie tak, bo w ogóle mieli piwnicę.

– Jak to?

– No bo kto w naszej okolicy ma piwnicę? Ty nie. Ja też. Znasz kogoś takiego?

– Nie przyszło mi to do głowy – przyznał Cole. – Kiedy mieszkałem w Boise, to mieliśmy.

– Nie mówię, że piwnice to zło. Po prostu w Mesie raczej ich nie ma. Zwróciłem na to uwagę, no i wiedziałem, że wycieczka do cudzej piwnicy to głupota, ale szło z nami dużo dzieci, więc pomyślałem, że nic się nie stanie. Kiedy usłyszałem zatraskujący się zamek, było już za późno. Wpadliśmy, gdy tylko zeszliśmy po schodach. Gdybyśmy spróbowali otworzyć drzwi, po prostu wcześniej by nas capnęli.

– Może. Ale wyprawa do uliczki strachów to był mój pomysł. Ja cię namówiłem. Jennę też.

– Poszła z koleżankami. Może trafiłaby tam, nawet gdybyś jej nie zaprosił. Nie martw się, pewnie ma przyjemną robotę. Potrafi formować. Będą ją dobrze traktowali.

– Dopóki nie zaczną eksperymentować. Z tego, co mówiła ta formowniczka, Quima, chyba planują coś więcej, niż tylko pozbawić was mocy. Co prawda była rozgoryczona, bo zepsuliśmy jej plany. Może chciała mnie tylko nastraszyć.

– Nie mogę uwierzyć, że bierzemy udział w rewolucji – powiedział Dalton. –

Najwyższy formista jest bardzo potężny. Ruch oporu będzie potrzebował mnóstwo wsparcia, żeby go pokonać.

– Zdobędą je, kiedy tylko ludzie usłyszą o Mirze i jej siostrach. Jeżeli uda nam się obalić najwyższego króla, uwolnimy niewolników. Czyli także ciebie i wszystkich naszych przyjaciół.

– Nawet gdyby rewolucja się udała, pewnie nie damy rady wrócić do domu. Stróż Drogi wyśle nas do Arizony, ale i tak zostaniemy z powrotem przyciągnięci na Obrzeża. Poza tym nikt nas tam nie pozna. Rodziny będą na nas patrzeć jak na obcych ludzi.

– Też to słyszałem. A może to tylko podstęp, żeby nikt nie próbował uciec?

– Myślisz, że kłamią?

– Nie wiem. Mira chyba też uważa, że tak to działa. Nawet jeśli rzeczywiście, na pewno da się to jakoś obejść. Porozmawiamy z najlepszymi Stróżami Drogi. Znajdziemy ich wielkiego formistę. Może nawet formownictwo się tu przyda. Skoro pozwala majstrować w samej mocy formowania, to niewykluczone, że dzięki niemu wrócimy do domu i już tam zostaniemy.

Dalton pokręcił głową.

– Byłoby super – powiedział. – Chyba już porzuciłem nadzieję, że tak się stanie. Dom wydawał się bardzo daleko. Ale teraz, kiedy cię widzę, znowu myślę, że to możliwe.

Cole dokładnie rozumiał, co jego przyjaciel ma na myśli. Odkąd znów byli razem, trudno było nie koncentrować się w stu procentach na odnalezieniu pozostałych osób z Ziemi i ucieczce. Ale przecież na Mirę zawsze mógł liczyć – nie wolno mu tak po prostu odejść, skoro więzi ją Błędny Rycerz. Poza tym kto wie, czy daleko zaszliby z Daltonem bez jej pomocy i koneksji? Brak Miry to także brak Skye i Joego. Bez nich Cole nadal nie wiedziałby, gdzie szukać swojego przyjaciela, a co dopiero, jak go uwolnić.

– Przynajmniej tutaj nie jest tak najgorzej – powiedział Dalton. – Nie, żebym chciał tu zostać – dodał pośpiesznie. – Ale fajnie tworzyć zdawy. W domu

nie robiłem takich czadowych rzeczy.

– Ty masz dobrze, bo jesteś czarodziejem – odparł Cole.

– A ty sprawiłeś, że miecz skakania ożył. To nie powinno być możliwe. Ty też masz moc.

– No, nie wiem. Ten wybuch mocy to wszystko, co mi się udało. Nie umiem go powtórzyć. Declan, wielki formista Sambrii, uważał, że kiedyś obudzą się we mnie jakieś zdolności. Myślałem, że kiedy tak się stanie, będę o tym wiedział. Jak było u ciebie? Przyszło wszystko naraz?

– Trudno to wytłumaczyć. Nigdy nie stworzyłem zdawy, zanim nie zaczęli mnie szkolić. Moja moc to taka aktywna wyobraźnia. W myślach możemy przywoływać różne obrazy.

– Na przykład obraz cheeseburgera – powiedział Cole. – Tęsknię za burgerami. – Na stoliku pojawiła się wielka, soczysta kanapka. Spod góry bułki wyciekał keczup i stopiony ser. Danie wyglądało zupełnie autentycznie. Cole niemalże czuł jego smak. – To już jest podłość – stwierdził.

Cheeseburger zniknął.

– Kazali mi coś sobie wyobrazić – wyjaśnił Dalton. – Zmuszali, żebym zobaczył to naprawdę wyraźnie, w najdrobniejszych szczegółach. A potem miałem wyobrazić sobie to samo poza własnym umysłem.

– I po prostu zadziało?

– Na początku nie. Ale coś migotało przez moment, więc wiedzieli, że mam potencjał. Trzeba to sobie odpowiednio wyobrazić, a potem w określony sposób wypchnąć z głowy, tak jakbyś w myślach napinał mięśnie. To wymaga dużego skupienia. Kiedy już stworzysz zdawę, nadal musisz się koncentrować, bo inaczej zniknie. Chyba że jest to trwała zdawa, ale do tego jeszcze nie doszedłem.

Cole wyobraził sobie gołego niemowlaka w pieluszce tańczącego breakdance. W myślach widział, jak maluch kręci się na plecach, wije niczym robak, wiruje na głowie. Cole czuł, że widzi go całkiem wyraźnie. Nie miał za to pojęcia, od czego zacząć, żeby dzieciak pojawił się na stoliku.

– Próbuję to zrobić – powiedział. – Skąd trzeba wypchnąć tę wizję?

– Trudno to wyjaśnić. Pomyśl o tym tak, jakbyś widział to na własne oczy. Ja tak zaczynałem. Potem, kiedy już trochę zadziała, zaczniesz rozumieć, w jaki sposób naprawdę trzeba wypychać. A wtedy potrzeba wielu ćwiczeń, żeby nabrać siły i pchać jeszcze silniej. Ja chyba nigdy nie będę umiał tego robić tak dobrze jak Skye.

– Jesteś tu od niedawna – odparł Cole. – Będziesz coraz lepszy.

– Nie mogłem uwierzyć w to, co zrobiła z Gustusem. Bardzo trudno sprawić, żeby iluzja człowieka prawidłowo się poruszała, o ile na kimś jej się nie zakotwiczy. Zdawa powiązana z prawdziwą osobą uśmiecha się albo chodzi wtedy, kiedy ona. A jeśli próbujesz robić wszystko samodzielnie, to masz ruch, ale on zwykle nie wygląda dobrze. Zapominasz, że zdawa musi oddychać. Stawy zginają się nie do końca dobrze. Stopy zapadają się w podłogę albo lekko unoszą. Zaczynasz czuć się jak niezdarny lalkarz.

Natomiast Skye nie tylko obsługiwała trzy iluzje jednocześnie, ale stworzyła jeszcze czwartą, niezakotwiczoną, która przeszła przez zmywacz i wyglądała naturalnie.

– Dobra jest – przyznał Cole. – Szkoda, że nie widziałeś jej przedstawienia.

Dalton nieśmiało zerknął na przyjaciela.

– I niebrzydka.

– Może i tak. Ale trochę stara. Jak ciocia albo coś w tym stylu. Nie mów, że się zakochałeś.

Dalton odwrócił wzrok.

– Jest po prostu, no wiesz, miła, ładna i utalentowana.

– To zupełnie jak z panią Montgomery! – zawołał Cole. Dalton mocno podkochiwał się w ich nauczycielce z trzeciej klasy. – Napiszesz dla niej wiersz?

– Tamten wiersz wcale nie był dla pani Montgomery.

– Jasne. Użyłeś nawet jej imienia, Linda.

– Tylko ćwiczyłem. Imię to zbieg okoliczności.

– I tylko przez zbieg okoliczności ciągle zostawałeś po lekcji, bo miałeś masę pytań?

– Miałem prawdziwe pytania z matematyki.

– Skye mógłbyś poprosić o korki z formowania.

Dalton fuknął i pokręcił głową.

– Kobieta może być ładna i wcale nie muszę się w niej zakochiwać. Masz rację, jest jak ciocia.

– Ładna ciocia – zadrwił Cole.

– Zapomnij, że w ogóle coś mówiłem.

Cole zorientował się, że jego przyjaciel naprawdę czuje się niezręcznie.

– Dobra – powiedział. – Zmieniamy temat. Chyba trudno robić głosy, prawda? No wiesz, kiedy tworzysz zdawę.

– Dźwięki są wredne. – Dalton uchwycił się nowego wątku niczym koła ratunkowego. – Na razie jeszcze ich nie potrafię. To samo z zapachami. Powinny działać tak samo jak wygląd, ale dla większości z nas są trudniejsze.

Cole znowu się skoncentrował. Próbował zmusić swojego niemowlaka tańczącego breakdance, żeby zaistniał. Usiłował naprawdę go zobaczyć, a nie tylko wyobrazić go sobie w myślach. Skupiał się na detalach: na szeleszczącej pieluszce, kosmykach włosów, różowej skórze i wałeczkach tłuszczu. Nic się nie pojawiło.

– Robisz się czerwony – powiedział Dalton.

Cole się zaśmiał.

– Zdawę to chyba nie moja bajka.

– Ja wolałbym mieć miecz skakania. To brzmi super. Chciałbym jakiś zobaczyć.

– Są świetne, pod warunkiem że działają. Dziś rano Skye gdzieś je schowała. Nie chciała, żeby skonfiskowano je w Srebrnej Podszewce, a wolała nie zostawiać ich u matki.

Dalton rozciągnął się i rozejrzał.

– Jeżeli muszę na zawsze zostać na Obrzeżach, to cieszę się, że jesteś ze mną. To znaczy wcale się nie cieszę, że ty też tu utknąłeś, ale... no wiesz...

– Wiem – uspokoił go Cole. – Czuję to samo. Nie poddałem się właśnie dzięki myśli, że ty i Jenna gdzieś tam jesteście. Nie wiem, jaki bym był,

gdybym trafił tu sam. Pewnie mniej odważny.

Jace obrócił się na kanapie.

– Jeszcze mniej? I tak już biłeś rekordy!

– Myślałem, że śpisz – powiedział Cole.

Jace jęknął.

– Jak mam spać, skoro bez przerwy nawijacie? Opowiedzcie o jedzeniu, za którym najbardziej tęsknicie. Za masłem orzechowym? Czy płatkami kukurydzianymi?

– Przestałbyś drwić, gdybyś ich spróbował – odparł Dalton.

– Możliwe – zgodził się chłopak. – A co to są burgery? – Dalton sprawił, że na stoliku pojawił się idealny cheeseburger. Jace nachylił się w jego stronę. – Co jest w środku? Mielona wołowina?

– Zgadza się – potwierdził Cole.

– No dobra – przyznał Jace. – Rzeczywiście wygląda smacznie.

Cole usłyszał w dole jakiś hałas.

– Czy to Skye? – zapytał.

Cheeseburger zniknął.

Jace uśmiechnął się szeroko.

– Lepiej trochę popraw fryzurę, Dalton – powiedział. Dalton rzucił mu wściekłe spojrzenie. – No co? – szepnął niewinnie Jace. – Nie chcesz zostać ulubionym bratankiem cioci Skye?

Z dołu dobiegły ciche kroki. Dalton prędko przeczesał włosy palcami.

Jace stoczył się z kanapy, wziął ciężką lampę i cichaczem zbliżył się do

miejsca, w którym z podłogi wystawała drabina. Przyłożył palec do ust, a potem uniósł lampę tak, by być gotowym do ciosu.

– I właśnie dlatego warto mieć Jace’a pod ręką – szepnął do przyjaciela Cole.

Z fałszywej podłogi wyłoniła się głowa Skye. W pierwszej chwili kobieta była zaskoczona widokiem chłopca, ale potem się do niego uśmiechnęła.

– Kogoś się spodziewasz?

Jace opuścił lampę.

– Jestem prawie rozczarowany – powiedział. – Rzadko trafia się szansa, żeby komuś tak łatwo przyłożyć.

– Mam doskonałe wieści – oznajmiła Skye, nie wchodząc do końca na górę.

– Znam ludzi, którzy przechwycili tego gwardzistę. Idziemy się z nim spotkać. Weźcie wszystko ze sobą, możemy tu już nie wrócić.

Kluczyli ulicami Merriston zmienieni w zwyczajnych ludzi. Skye wprowadziła ich przez cichą piwnicę dużej gospody do labiryntu podziemnych korytarzy. Minawszy wiele sprytnych zdaw, w końcu dotarli przed ciężkie drewniane drzwi ukryte za iluzoryczną ścianą z cegły.

Skye zrzuciła kamuflaż i uderzyła w nie otwartą dłoń.

– Wpuście nas!

Otworzył się wizjer, ukazując parę ciemnych oczu.

– Skye! Dobrze cię widzieć! Co się wznosi, w końcu...

– Będzie wyżej – dokończyła.

– Kółkat do kółkata, a będzie...

– Większy dług.

– Zobaczyć to...

– Się zdziwić.

– Słowo dnia?

– Cytryna.

Drzwi się otworzyły. Wysoki mężczyzna o brązowej skórze i szerokim uśmiechu przyciągnął Skye i mocno ją uściskał.

– Ostatnio byłeś aż nazbyt niewidzialna – stwierdził. – Kim są twoi przyjaciele?

Skye przedstawiła Cole'a, Jace'a i Daltona.

– To Sułtan – powiedziała. – Jeden z najlepszych.

– Ben uprzedził, że bym cię wypatrywał – rzekł Sułtan. – Chodźcie ze mną.

Przeszli przez dwoje kolejnych drzwi i znaleźli się w zagmatwanym gąszczu komnat i korytarzy. W mijanych pomieszczeniach Cole widział różnych ludzi, mężczyzn i kobiety jedzących posiłek przy długim stole, starego faceta, który głaskał wielkiego psa, pochyloną nad mapą kobietę z przepaską na oku. Część przejść było zamkniętych.

Zatrzymali się przed umięśnionym mężczyzną, który strzegł ciężkich drzwi. Kiedy ustąpił na bok, Sułtan je otworzył. Wewnątrz zastali młodego, szczupłego mężczyznę z niechlujnymi włosami i bardzo krótką fryzurą. Kiedy weszli, wstał.

– Następnii goście? – zapytał.

– Mówiłeś, że trzeba rozgłosić to, co wiesz – odparł Sułtan.

– Ale nie każdemu z osobna. Wszyscy muszą się o tym dowiedzieć. Ludzie nie rozumieją, co się zbliża. Miasta, które nie decydują się na ewakuację, tylko dodają jej siły. Nasi przywódcy muszą stawić czoło prawdzie.

Cole nie był pewien, czy ten facet jest całkiem normalny. Jego przejęcie wydawało się niemal fanatyczne.

- Jej? – powtórzyła Skye. – Potwór jest płci żeńskiej?
- Nazywa się Morgassa – odparł mężczyzna.
- Czy jest duża?
- Twojego wzrostu. Mniej więcej.
- To kobieta?
- Tak wygląda.
- Widziałeś ją?
- A jak! I słyszałem. I widziałem jej horde. Mijała mnie ze wszystkich stron.
- Zerknął na Sułtana. – Co to za dzieci?
- To jest Skye – wyjaśnił Sułtan. – Jedna z naszych najlepszych agentek. Dzieci są pod jej opieką. Pomoże nagłośnić twój przekaz.
- Ja pracowałem w Srebrnej Podszewce – odezwał się Dalton. – To najlepsze miejsce do rozpuszczania plotek w całym Elloweer.
- Dzieci mają tu zostać – powiedziała Skye. – Nie usłyszałam twojego imienia.
- Jestem Russell. Słuchajcie, nie chcę być niemiły, ale rozprowadanie tej wiadomości to teraz wasze zadanie. Ja zrobiłem swoje. Sułtan wie już wszystko, co miałem do powiedzenia. Przekaze wam to samo, co ja.
- Zrób nam tę przyjemność – odrzekł Sułtan. – Chciałbym, żeby Skye usłyszała to z twoich ust.

Russell westchnął rozdrażniony.

- Od czego mam zacząć? Nikt nie może jej powstrzymać. Nie przyjdzie tu jeszcze jutro ani pojutrze, ale się zbliża, a Merriston to duże miasto. Jeśli nie zaczną ewakuować ludzi już teraz, rozpęta się piekło.

– Opowiedz nam swoją historię – poprosiła Skye. – Przysięgam, że pomogę ją rozpowszechnić. Jak to się stało, że tyle zobaczyłeś i zdołałeś uciec? Myślałam, że nikomu się to nie udaje.

Russell zaśmiał się przez nos.

– Nie zawdzięczam tego własnym umiejętnościom. Pomógł mi jeden z agentów. Tych facetów w czerni. Nadciągała horda. Mój oddział wycofywał się za wolno. Horda dopadła nas, gdy próbowaliśmy ratować maruderów.

– W jaki sposób pomógł ci ten agent? – zapytała Skye.

– Zamienił mnie w kamień. Stałem się posągiem. Kazał mi czekać... zupełnie jakbym miał wybór! Zachowałem przytomność. Wszystko widziałem i słyszałem. Ale nie mogłem się ruszyć. Nie mogłem oddychać. Zresztą nie musiałem. Byli wszędzie dokoła. Patrzyłem, gdy brali żołnierzy z mojego oddziału.

– Jak to możliwe, że widział pan coś zamieniony w posąg? – zdziwił się Cole.

– Zapytaj tamtego agenta – odparł Russell. – Ja nie jestem zaklinaczem. To było przemienstwo, a nie iluzja. W ogóle nie mogłem się ruszyć, a mimo to nadal wszystko widziałem.

– Widziałeś, jak zabierała ludzi? – spytała Skye.

– Morgassa nie jest sama. Przemieszcza się z tymi wszystkimi ludźmi, których przechwyciła, i z armią swoich wytworów.

– To znaczy żywych zdaw? – upewniła się kobieta.

– Raczej takich pustych. Ma nad nimi władzę. Wyglądają jak ludzie, ale tacy rozmazani, pozbawieni rysów twarzy. Trochę przeźroczyści. Nie widać, żeby się śpieszyli, ale są szybcy. Właściwie suną nad ziemią. Kiedy doganiają ludzi, zlewają się z nimi, a wtedy Morgassa przejmuje kontrolę.

– Jej wytwory zlewają się z ludźmi?

– Żeby to do końca zrozumieć, trzeba to zobaczyć. Ludzie, którymi zawładnęła, biegną dalej. Walczą z każdym, kto stawia opór. Są silniejsi, niż być powinni. Przytrzymują ofiarę, a wtedy wytwory nadlatują i ją opanowują. Ten sam człowiek, który przed chwilą uciekał, zaczyna pomagać Morgassie, jakby zupełnie postradał rozum. Zostaje przemieniony. Każdy, kogo ona przejmie, zasila jej szeregi.

– Ile jest tych wytworów? – zapytał Cole.

Nie wiedział, czy powinien uczestniczyć w tej rozmowie, ale nie mógł się powstrzymać.

– Nieprzebrana horda – odpowiedział Russell. – Ile tylko zechce Morgassa. Tworzy kolejne, jakby nic jej to nie kosztowało. Wystarczy, że machnie ręką, i już pojawia się dwadzieścia kolejnych. Machnie drugą i wyrasta jeszcze trzydzieści. Pochwyciła już tysiące ludzi. Wszyscy są bezwolni. To przemienie. A wytworów ciągle przybywa. Morgassa opanuje każdy skrawek Elloweer. Długo to nie potrwa. I nawet się nie zmęczy.

– Nie zaczepiali cię? – spytała Skye.

– W ogóle. Horda oblała mnie jak rzeka kamień. Nie zwracali na mnie uwagi. Wzięli wszystkich innych. Miasteczko zostało puste. Jakby nikt nigdy w nim nie mieszkał. Kiedy było już po wszystkim, nikt nie wyjrzał przez okno. Nikt nie wyszedł z piwnicy. Tumaniewo wymarło. Zmieniło się w cmentarz bez ciał. Bo wszystkie ciała poszły razem z Morgassą.

– Co było potem?

– Mijał czas. Nie męczyłem się staniem w miejscu. Nie chciało mi się pić. Nie mogłem poruszyć głową ani oczami. Ale widziałem. Słyszałem. Martwiłem się, że zostanę w takiej postaci już na zawsze.

– Jak pan odzyskał swoją normalną postać? – zainteresował się Cole.

– Przybył następny agent. Inny. Tamten, który zmienił mnie w kamień, chyba się nie uratował. Ten nowy mnie odczarował.

– Mówił coś? – zapytała Skye.

– Zapytał, co widziałem. Opowiedziałem mu. Dał mi konia. Powiedział, że Morgassa i jej horda zbliża się do Glinburga. Kazał jechać na południowy wschód do Ambrage, żeby ostrzec mieszkańców. Zrobiłem to. Ostrzegłem ich. Opowiedziałem o Morgassie, o ludziach, którymi steruje, i o wytworach. Wysłali mnie do Westridge, żebym powiadomił tamtejszy garnizon. Rozmawiałem z czempionem i włodarzem. I wtedy wszyscy rzucili się na mnie. Aresztowali mnie. Bali się, że wywołam panikę. Odparłem, że Elloweer właśnie tego potrzebuje. Horda Morgassy stale rośnie.

– To brzmi strasznie – stwierdziła Skye.

– Siostro, nawet sobie nie wyobrażasz. Wręcz nie potrafię dostatecznie tego opisać. Nigdy nie miałem uznania dla ruchu oporu. Ot, banda świrów ciągle prowadzących dawno skończoną wojnę. Ale to ruch oporu uwolnił mnie po drodze do zamku Blackmont. Będąc więźniem, powtórzyłem tę historię wysoko postawionym ludziom w legionie i we władzach miast. Jak mi podziękowano? Wysłano mnie do Blackmont. Chcieli zamknąć mi usta. Nie interesują mnie wasze przekonania polityczne, ale trzeba ostrzec Elloweer. Nie ma czasu na snucie intryg. Nie ma czasu na roztrząsanie możliwych rozwiązań. Teraz możemy już tylko ograniczyć straty. Elloweerczycy muszą uciekać. Jeśli członkowie ruchu oporu rozgłoszą tę wiadomość, właśnie oni będą prawdziwymi czempionami Elloweer.

– Wprawiliśmy plany w ruch – powiedział Sułtan.

– Plany to za mało – nie ustępował Russell. – Nazywacie się Niewidzialnymi? Czas, żeby was zobaczono. Musicie wysłać jeźdźców tam, skąd przybyłem. Niech ogłoszą wszem wobec, że ludzie mają zostawić wszystko, co ich spowolni, i uciekać. Dla wielu i tak już będzie za późno.

– Już zaczęliśmy to robić – rzekł Sułtan.

– A ty? – spytała Russella Skye. – Co zamierzasz?

Mężczyzna przycisnął pięści do skroni.

– To znaczy: kiedy moi wybawcy uznają, że już wystarczająco wielu ludzi poznało moją historię? Jak tylko mnie wypuszczą, to zwiewam. Cieszę się, że mnie uwolnili. Nie chciałbym tkwić w Blackmont, bo Morgassa jest coraz bliżej. Ale spłaciłem swój dług. Powiedziałem wszystko, co wiem. Przekazuję ten problem im. Jestem teraz uciekinierem. Ale nie ja jeden. Wszyscy nimi jesteśmy.

– Witaj w klubie – mruknął Jace.

– Jemu chodzi o całe królestwo – stwierdziła Skye. – Każdy jest uciekinierem.

Russell mrugnął oczami.

– Większość ludzi po prostu jeszcze o tym nie wie. Ucieknę ze strachu, ale nie przed czempionami, włodarzami ani legionem. Jak tylko dostanę zdawę, która uczyni mnie nierozpoznawalnym, opuszczę Elloweer na dobre. Każdy, kto ma trochę oleju w głowie, powinien zrobić to samo. Stawić czoło Morgassie to znaczy do niej dołączyć. Jediną obroną jest odwrót. Pragnie Elloweer? A niech sobie weźmie! To już koniec tej krainy. Teraz liczy się tylko jeden czempion. Czempion, którego stronnicy powtarzają bezmyślnie jego imię jak mantrę. Morgassa.

ROZDZIAŁ 22

WYZWANIE

Czarny wąż piął się po nodze stołu, jego ciało precyzyjnie wiło się i napinało. Głowa odchyliła się do tyłu i wpełzła na blat, a za nią reszta falującego ciała. Wąż z płynną gracją sunął po stole w stronę Cole'a, który z szeroko otwartymi oczami patrzył, jak gad unosi się i obnaża smukłe kły.

– Bardzo realistyczne – stwierdził.

– Dzięki – odparł Dalton.

Nagle wąż miał głowę kury. Jego ciało zmieniło się w podłużny różowy balon. Kurza głowa dziobnęła to balonowe ciało, które pękło, nie wydając dźwięku.

– Teraz już trochę mniej.

Zdawa zniknęła.

Cole i Dalton siedzieli na pryczach w małym, wilgotnym pokoju. Wystrój uzupełniały liche stolik, hamak oraz kilka drewnianych skrzyń. Przynajmniej były drzwi. W niektórych pomieszczeniach kryjówki Niewidzialnych prywatność zapewniały tylko sfatygowane kotary. Na razie przespali na pryczach jedną noc. Skye planowała spędzić tu jeszcze jedną, a następnie wyruszyć Pod Wzdęte Wymię po Joego i Drgawę.

– Nie zastanawiasz się, dlaczego Niewidzialni jeszcze nie uciekają? – zapytał Dalton.

– Może uciekną.

– Wygląda na to, że niedługo zrobi się tu paskudnie.

– W Sambrii też było wrednie.

Dalton skrzyżował ręce na piersiach.

– Czy Skye będzie chciała ruszyć na Morgassę?

– Niewykluczone – odparł Cole. – Jeśli Morgassa jest mocą Honoraty, to może trzeba znaleźć Honoratę, żeby ją pokonać. – Dalton wpatrywał się w niego z zaciśniętymi wargami. – No co?

– Nie zastanawiasz się czasem, czy trzymanie się Skye to na pewno najlepszy sposób, żeby pomóc Jennie? Czy nie znaleźlibyśmy jej szybciej, gdybyśmy odeszli i robili swoje?

– Możliwe. Już o tym myślałem. Ale Błędny Rycerz zabrał Mirę. Nie mogę

jej zostawić. Jest świetna. To prawdziwa przyjaciółka.

– Nie szukają jej ci pozostali? – spytał Dalton.

– Joe i Drgawa. Są na jej tropie, ale nie odejdę stąd, dopóki się nie dowiem, że nic jej nie jest. Ciebie też bym nie zostawił. Dużo o tym rozmyślałem. Poza wszystkim innym naprawdę uważam, że pozostając z Mirą, mamy największe szanse pomóc Jennie i pozostałym. Nie zrozum mnie źle. Kiedy słucham o Morgassie, mam ochotę zwiewać.

Dalton kiwnął głową.

– To chyba niezły moment, żeby chwilowo skupić się na poszukiwaniach w innych królestwach.

– Dobrze mówisz – zgodził się Cole. – Ale z Mirą możemy liczyć na pomoc ruchu oporu, gdziekolwiek trafimy. A jeśli pokona ojca, to pewnie uwolnimy wszystkich. Bez niej raczej nam się to nie uda.

– Albo nas złapią przy próbie włamania się do Blackmont – stwierdził Dalton. – Lub zabije nas jakiś straszny potwór.

– Nie mówiłem, że będzie bezpiecznie. Ale jeśli chcemy pomóc Jennie, to lepiej zostać z Mirą, niż włóczyć się po omacku bez niczyjej pomocy. Nie zapominaj, że właśnie w ten sposób trafiłem na ludzi, dzięki którym cię znalazłem.

Bez ostrzeżenia otworzyły się drzwi. Do pokoju wpadł Jace. Wzrok płonął mu z podniecenia.

– Słyszeliście nowinę?

– Chyba nie – odparł Cole.

– Błędny Rycerz wyzwiał Rycerza Grozę na pojedynek. A ten się zgodził. Jutro będą walczyć o władzę nad Edgemontem.

– O rany! Serio?

– Wszyscy o tym mówią. Zdaje się, że wiadomość już rozeszła się po mieście. Walkę wolno oglądać tylko mieszkańcom Edgemontu.

– Rozmawiałeś ze Skye? – spytał Dalton.

– Nie mogę jej znaleźć. Może poszła dowiedzieć się czegoś więcej. Chyba rozumiecie, co to oznacza.

– Błądny Rycerz dowiedział się od Miry o Honoracie – stwierdził Cole. – Myślicie, że celowo mu powiedziała?

– Możliwe – ocenił Jace. – Może uznała, że Błądny Rycerz to idealne narzędzie, które pozwoli się wdrzeć do zamku Blackmont. Albo to on wyciągnął z niej informację, a teraz chce dodać następną królową do swojej kolekcji. Tak czy inaczej jest spora szansa, że Mira będzie przy tym pojedynku.

– Oraz spora szansa, że to pułapka – orzekł Dalton.

– Jak to?

– Rustin Mądry chce się pozbyć Błędnego Rycerza. Ale sam nie ma ochoty ryzykować. Skoro wie, gdzie on jutro będzie, trafia mu się idealna okazja.

– My też musimy tam być – powiedział Cole. – To najlepsza szansa, żeby pomóc Mirze.

– Miejmy nadzieję, że Skye już nad tym pracuje – powiedział Jace.

Skye wróciła późnym popołudniem. Weszła do pokoju Cole'a wraz z Sułtanem. Dla zabicia czasu Jace nauczył pozostałych chłopców grać w kości.

– Słyszeliście o pojedynku jutro o świcie? – upewniła się.

– Idziemy tam, prawda? – spytał Jace.

– Sułtan nam pomoże. To będzie skomplikowane. Mamy informacje od naszych kontaktów w szeregach merristońskiej straży.

– Jutro podczas pojedynku Rustin Mądry zamierza otoczyć Edgemont – poinformował Sułtan. – Pozwoli im się bić, bo jeśli ktokolwiek jest w stanie pokonać Błędnego Rycerza, to właśnie Rycerz Groza. Jeśli ten pierwszy przegra, to po kłopotcie. A gdyby wygrał, Rustin i jego rycerze ruszą na niego wraz z gwardzistami i batalionem legionistów.

– Czy to nie jest wbrew regułom? – zapytał Cole.

– Mają pretekst. Z powodu napadów okrzyknęli Błędnego Rycerza kryminalistą. Odmówią mu praw czempiona i pojmagą go siłą. Zarządca oraz władarz Campos popierają ten plan.

– Musimy tam być – powiedziała Skye. – Jeżeli Błędny Rycerz przegra, uratujemy Mirę i uciekniemy. A jeśli wygra, pojawi się szansa na odbicie Honoraty. Po porażce Rycerza Grozy Błędny Rycerz chwilowo zostanie panem na zamku Blackmont.

– Dopóki nie załatwią go merristońscy gwardziści i legioniści – rzucił Dalton.

– Będzie niebezpiecznie – przyznała Skye – ale lepsza okazja już się chyba nie trafi. Odpocznijcie. Wyruszamy nocą. Chcę być na miejscu grubo przed świtem.

Kiedy niebo rozświetlały pierwsze ślady brzasku, Cole siedział skulony pod kocem na edgemonckiej arenie. Miejsca w rzędach ławek okalających pole bitwy zajęło już wiele osób. Skye i Sułtan zakamuflowali siebie oraz trzech chłopców. Wyglądali teraz jak pewna rodzina, która mieszka w tym mieście. Prawdziwa rodzina, życzliwa rebeliantom, zgodziła się nie iść na pojedynek.

Gdy Cole i jego towarzysze przybyli na arenę, porządkowi spisali ich nazwiska oraz zawód ojca, a następnie przepytali o miejsce zamieszkania. Sułtan udzielił prawidłowych odpowiedzi, więc wpuszczono ich bez utrudnień.

Cole miał przy pasie miecz skakania. Jace wziął ten Miry. Dalton zabrał nóż. Sułtan i Skye również byli uzbrojeni. Zamaskowali cały oręż zdawami.

Wczesny poranek był tak zimny, że Cole widział parę swojego oddechu. Mocno otulił się kocem i pilnie wypatrywał Miry.

Z braku czasu nie spróbowali się spotkać z Joem i Drgawą. Skye domyślała się, że Joe przyjdzie na pojedynek. Jak dotąd Cole nie zauważył ich w tłumie.

Kolor powoli rozlewał się po niebie. Mury zamku Blackmont górowały nad areną, a ostre, graniaste wieże wznosiły się jeszcze wyżej. Cały zamek, surowy i wyszczerbiony, wyglądał na wykonany z ciemnego żelaza, ale Cole domyślał się, że przynajmniej częściowo jest to iluzja.

Wraz z nadchodzącym świtem arena zapełniła się widzami. Na ławce Cole'a usiadło tylu ludzi, że musiał się ścisnąć między Daltonem a Jace'em. Kto przyszedł późno, ten stał na schodach albo gdziekolwiek znalazł skrawek miejsca.

Właśnie miało wzejść słońce, kiedy na arenę wmaszerował Błędny Rycerz w nienagannie czystej zbroi. Dobył Prawdy i pozdrowił tłum. Większość wiwatowała, ale niektórzy głośno buczeli. Za nim wyszło ośmiu rycerzy, a na końcu Półrycerz. Pod adresem tego ostatniego poleciały niewybredne drwiny.

Rycerze ustawili się po jednej stronie areny. Wprost nad nimi, w pierwszym rzędzie widowni, Cole zobaczył Mirę. Miała na sobie szkarłatną pelerynę i, sądząc po wyglądzie, nic jej się nie stało.

– Widzisz ją? – Cole spytał Jace'a.

– Gdzie?

– Tuż nad rycerzami.

– Racja! Wygląda... w porządku.

Cole odniósł wrażenie, że Jace ugryzł się w język, aby nie powiedzieć „ładnie” albo „pięknie”. Rzeczywiście bardzo ładnie wyglądała. Na jej widok Cole poczuł taką ulgę, że nie dokuczał przyjacielowi.

Jace przekazał wiadomość Skye, która skinęła głową, kiedy wskazał jej Mirę.

Cole wyjaśnił Daltonowi, gdzie szukać dziewczynki. Dzięki szkarłatnej pelerynie łatwo było ją znaleźć.

– Nie wygląda na więźnia – zauważył Cole.

– Istotnie – zgodziła się Skye. – Ale pozory mogą mylić.

Wokół areny zapadła cisza, kiedy z drugiej strony wyłonił się Rycerz Groza. Jego ciemna zbroja pasowała wyglądem do poszarpanych rantów zamku Blackmont. Na hełmie i szerokich ramionach jeżyły się kolce. Z karwaszy i nagolenników sterczały straszliwe krawędzie. Już Błędny Rycerz był imponującej postury, ale Rycerz Groza przerastał go co najmniej o głowę. W ręku miał ogromny miecz, prawie rozmiarów dorosłego mężczyzny. Klinga wydawała się tak gruba, że mogłaby ściąć drzewo.

Jego dwunastu rycerzy wyszło na arenę i ustawiło się za swoim panem. Żaden nie wyglądał równie groźnie.

Błędny Rycerz schował broń do pochwy, a potem ruszył na środek pola walki, żeby poczekać tam na przeciwnika. Rycerz Groza trzymał olbrzymi miecz w jednej ręce. Cole domyślał się, że przeciętny człowiek potrzebowałby w tym celu obu i musiałby ciągnąć go po ziemi.

Z hełmu Rycerza Grozy buchnęły płomienie. Wielu widzów wzdrygnęło się i jęknęło. Ponad nim wzbił się dym czarny niczym atrament.

– Czy to się dzieje naprawdę? – zastanawiał się Dalton, kręcąc głową.

Cole spojrział na przyjaciela. Ulżyło mu, że wreszcie ktoś rozumie, jak szalone są te wszystkie doświadczenia.

– Wyglądają jak uczestnicy walki na kopie na średniowiecznym festynie – powiedział. – Tyle że tutaj będzie chyba trochę ostrzej.

Błędny Rycerz ponownie dobył miecza.

– Po co ten cały teatr? – zawołał, po czym machnął Prawdą w powietrzu.

Płomienie i dym znikły, podobnie jak część kolców na zbroi Rycerza Grozy,

a on sam nieco zmalął, choć nadal o pół głowy przewyższał Błędnego Rycerza. Jego miecz pozostał olbrzymi.

Rycerz Groza zatrzymał się dziesięć kroków od przeciwnika.

– Śmiesz wyzwąć mnie na pojedynek o kontrolę nad Edgemontem? – zapytał dudniącym basem.

– Wolałbym, żebyś ustąpił dobrowolnie – odparł Błędny Rycerz. – Mam uznanie dla twojej wieloletniej służby jako tutejszego czempiona. Doceniam twoją sprawność w walce. Najlepsze lata masz już za sobą. Nie musisz dziś ginąć. Dlaczego nie odsuniesz się w cień, żeby cieszyć się owocami swej pracy?

– Za tę zniewagę wykończę cię powoli! – huknął Rycerz Groza.

– Wybacz, jeśli to potrwa jeszcze dłużej, niż myślisz. Zaczynamy?

Rycerz Groza potoczył się naprzód z mieczem uniesionym oburącz, a potem zamachnął się nim w dół, zupełnie jakby dzierżył młot kowalski. Błędny Rycerz uchylił się, robiąc krok w bok, a potem rzucił się do kontrataku, ale broń nieprzyjaciela wcale nie uderzyła w ziemię, chociaż sądząc po sile ciosu, zdawało się to nieuniknione. Rycerz Groza wstrzymał spadającą klingę i szarpnął ją w bok, trafiając Błędnego Rycerza w żebra i powalając go na ziemię.

Cole przygryzł wargę niemal do krwi. Jeśli chcieli się dostać na zamek Blackmont, to Błędny Rycerz musiał wygrać pojedynek! Inaczej trzeba będzie biec po Mirę i zwiewać.

Cios wgniótł zbroję Błędnego Rycerza. Nie było widać krwi, ale takie uderzenie mogło złamać mu kręgosłup.

Rycerz Groza ruszył na przewróconego przeciwnika i zamachnął się znad głowy. Błędny Rycerz, leżąc na plecach, odbił ten gwałtowny cios. Nie podnosząc się, obunóż kopnął Rycerza Grozę. Tamten uchylił się przed kopniakiem, obrócił miecz i pchnął nim w głowę Błędnego Rycerza.

Cole prawie zamknął oczy, kiedy czubek olbrzymiego ostrza zgrzytnął o hełm i wbił się w ziemię. Błędny Rycerz drgnął o tyle, że cios nie padł czysto. Przetoczył się na bok, a potem dźwignął na kolana. Rycerz Groza z całej siły kopnął go w bok. Prawda wypadła Błędnemu Rycerzowi z ręki, a on sam wyciągnął się jak długi.

Bezbronny i rozchwiany podniósł się na klęczki, a tymczasem Rycerz Groza zamierzał się mieczem, celując w jego kark. Cole skrzywił się, nie wiedząc, czy Błędny Rycerz w ogóle zauważy sunące z wizgiem zabójcze ostrze, ale on uchylił się i zamiast głowy stracił tylko jeden z rogów na hełmie. Potem rzucił się na nogi przeciwnika. Oplótł je ramionami jak rasowy obrońca w meczu futbolu amerykańskiego. Rycerz Groza runął na ziemię, lądując płasko na plecach.

Błędny Rycerz, w zdeformowanej, wgniecionej zbroi i asymetrycznym hełmie z jednym rogiem, powstał, a potem podniósł Prawdę. Z bronią w dłoni odwrócił się do Rycerza Grozy, który również dźwignął się z ziemi, podpierając się wielkim mieczem jak kulą.

– Chcę, abyś wiedział – powiedział Błędny Rycerz – że stawiałem mi większy opór niż którykolwiek z dotychczasowych czempionów.

Rycerz Groza stanął pewnie i uniósł miecz.

– Masz serce – rzekł. – To ci przyznam.

Błędny Rycerz szedł w jego stronę opanowanym krokiem.

– Daruję ci życie, jeśli się do mnie przyłączysz. Rzadko składam taką propozycję. Zostań jednym z moich rycerzy. Pomóż mi naprawić krzywdy w Elloweer.

Rycerz Groza ruszył naprzód z wściekłym rykiem. Błędny Rycerz, całkiem zepchnięty do defensywy, sparował jedno silne uderzenie, a potem następne i następne. Przeciwnik napierał niezmordowanie – z prawej, z lewej, z prawej, z lewej. Chociaż Błędny Rycerz odbijał każdy cios, to nie miał czasu na kontratak. Rycerz Groza nieustraszenie spychał nieprzyjaciela. Ilekroć miecze zderzały się z głośnym brzękiem, Cole zastanawiał się, jakim

cudem obaj jeszcze ich nie wypuścili.

Błądny Rycerz, zagoniony pod ścianę areny, zmienił uchwyt. Jedną rękę wciąż trzymał na rękojeści Prawdy, ale przesunął drugą dłoń na płaz miecza. Zamiast odbić kolejny cios, całkowicie go zatrzymał. Na moment obaj zastygli i mocowali się, kto silniejszy. Wreszcie Rycerz Groza spróbował kopnąć przeciwnika. Ten upuścił miecz i oburącz złapał go za wymierzoną w siebie nogę.

Cole pochylił się na skraju ławki. To nowe zdarzenie spowodowało przerwę w walce. Błądny Rycerz nie miał broni, ale jego rywal znalazł się w trudnej sytuacji.

– Równowaga jest bardzo ważna, kiedy ktoś nosi zbroję – powiedział Błądny Rycerz, nie puszczając przeciwnika i pchając go do tyłu. Olbrzymi mężczyzna musiał podskakiwać na jednej nodze, żeby się nie przewrócić. – Spróbuj się teraz zamachnąć.

Gdy tylko Rycerz Groza podniósł ramię, Błądny Rycerz obrócił mu nogę tak, że tamten niebezpiecznie się zachwiał. Cały czas musiał skakać jak szalony i nie był w stanie zrobić zamachu.

– To koniec – oznajmił Błądny Rycerz. – Ostatnia szansa. Dołącz do mnie, a nasza wrogość pójdzie w niepamięć.

– Straciłeś miecz.

– A ty przegrałeś walkę.

– Jest co najwyżej remis.

– Dobrze więc. Ostrzegałem.

Cole myślał, że Błądny Rycerz wykorzysta pozycję, żeby pchnąć rywala do tyłu. Zamiast tego zmienił uchwyt, uniósł tamtego w powietrze, a potem uderzył nim o ziemię. Widownia jęknęła jak jeden mąż, zszokowana i oszołomiona.

Błądny Rycerz dźwignął olbrzymi miecz Rycerza Grozy, obrócił go

czubkiem do dołu, uniósł oburącz wysoko, a potem wbił między hełm a górną krawędź napierśnika rywala. Rycerz Groza leżał nieruchomo, kiedy zwycięzca wolnym krokiem ruszył podnieść Prawdę. Miecz sterczał z ciała pokonanego czempiona jak pomnik nagrobny.

ROZDZIAŁ 23

WIĘZIEŃ

Wstrząśnięta publiczność patrzyła w milczeniu, jak Błędny Rycerz przykuca po swój miecz. Zamaszystym gestem podniósł go do góry, a wtedy widownia eksplodowała aplauzem.

Cole zerwał się na równe nogi. Wszyscy inni także wstali.

– Niemożliwe! – wołał Jace zdumiony. – To się działo naprawdę! Widziałeś?

Cole widział. Rycerz Groza przegrał, i to sromotnie.

Błędny Rycerz przeszedł na środek areny. Przez długą chwilę chłonał te owacje, a potem schował miecz do pochwy i uniósł dłonie, żeby uciszyć tłum. Widzowie zaczęli milknąć i siadać na swoich miejscach.

Dwunastu ludzi Rycerza Grozy zebrało się wokół nieruchomych zwłok. Wyciągnęli z nich olbrzymi miecz, a potem zdjęli hełm. Wokół areny zapadło milczenie. Ze względu na sporą odległość oraz otaczający tłum Cole słabo widział pokonanego. Dostrzegł tylko, że miał siwe włosy. Kiedy napięcie opadło, zrozumiał, że właśnie zobaczył, jak ginie człowiek. To nie był jakiś film akcji – to wydarzyło się naprawdę, na jego oczach. Prędko zerknął na Daltona i zobaczył, że jego przyjacielowi chyba jest niedobrze.

– Teraz to tylko Rycerz Zgroza – mruknął Jace.

Błądny Rycerz uniósł rękę na znak, że chce przemówić.

– Rycerze Rycerza Grozy – odezwał się. – Czy potwierdzacie, że wygrałem pojedynek?

Jeden z zapytanych sam zdjął hełm. Miał dość długie brązowe włosy i przystryżoną brodę.

– Jestem Desmond Engle, pierwszy rycerz Edgemontu. Rycerz Groza poległ. Ty jesteś nowym czempionem Edgemontu, Błądny Rycerzu. Czy masz jakieś imię?

– Lud nadał mi tytuł Błędnego Rycerza. Chwilowo mi on odpowiada. Włodarza Edgemontu oraz wszystkich, którzy mu służą, niniejszym zwalniam ze stanowisk. Chcę spotkać się z byłymi rycerzami Edgemontu, aby omówić możliwość dalszej służby. Gwardziści są teraz pod moją kontrolą i obronią miasto przed jakimkolwiek najazdem z zewnątrz. Aż do odwołania ludność Edgemontu nie będzie obciążona żadnym podatkiem. – To ostatnie stwierdzenie przywiłały entuzjastyczne okrzyki. Błądny Rycerz poczekał, aż ucichną. – Nie uszło mojej uwagi, że nocą gwardziści z sąsiednich miast, zwłaszcza z Merriston, w towarzystwie dużej grupy legionistów zajęli pozycje na obrzeżach miasta. Ten tchórz Rustin Mądry chce mnie aresztować jako kryminalistę, zamiast przyjąć wyzwanie, które rzuciłem mu ponad półtora miesiąca temu. Wszystkie moje czempionaty zdobyłem legalnie, kiedy jednak próbowałem wyrzucić presję na Rustinie, żeby czynił swą powinność i stawił mi czoła, okrzyknął mnie przestępcą. Rustin Mądry chce uniknąć sprawiedliwości, a przy tym może unicestwić nasz system władzy. – Po widowni przebiegł pomruk. Niektórzy najwidoczniej popierali Błędnego Rycerza. Inni na niego utyskiwali. – Kto nie jest wojownikiem, niech wraca do domu. Rycerze, gwardziści i mieszkańcy Edgemontu zdolni do walki, proszę, abyście zrobili, co do was należy, i obronili miasto przed agresorami. Merriston tutaj nie rządzi. Nawet najwyższy król nie miałby prawa tu przyjść, żeby obalić waszego czempiona.

Tłum zareagował pewnym oburzeniem, ale Cole'owi nie wydawało się ono wystarczające. Wielu ludzi mamrotało między sobą niepewnie. Niektórzy kręcili głowami. Część osób kierowała się do wyjścia.

– Mam nadzieję, że sąsiednie miasta blefują – stwierdził Błędny Rycerz. – Jeśli ich wojska naprawdę przybyły tutaj, żeby złamać prawa tej krainy i pozbawić mnie czempionatu, stawimy im opór. Teraz udam się na zamek Blackmont z moimi rycerzami oraz ludźmi Rycerza Grozy, żeby poczynić przygotowania.

– Czy możemy zabrać stąd zwłoki Rycerza Grozy, zanim do ciebie dołączymy? – zapytał Desmond.

– Zgoda. Ale muszę dostać się na zamek.

– Zrozumiano. Wyślę z tobą Oстера, żeby zapoznał cię z obiektem i fortyfikacjami. Dobrze dziś walczyłeś, Błędny Rycerzu. Zwyciężyłeś w uczciwym starciu.

To stwierdzenie powitały rozproszone brawa. Większość ludzi już wychodziła. Cole zastanawiał się, na jak duże wsparcie może liczyć Błędny Rycerz przeciwko żołnierzom, którzy chcą go pojmać.

Nowy czempion zbliżył się do swoich ludzi. Wykonał gest w stronę Miry, a wtedy ona zeszła po drabinie, żeby przyłączyć się do nich na placu boju. Wyglądało na to, że robi to z własnej woli.

– Musimy tam zejść – powiedział Cole. – Może to jedyna szansa, żeby się z nimi spotkać.

– Właśnie – zgodził się Jace. – Chodźmy.

Podczas gdy strumień ludzi płynął ku wyjściom, Cole, Jace, Dalton, Skye i Sułtan przeciskali się w stronę centrum areny. Mira stała teraz obok Błędnego Rycerza. Podeszło do niego kilku gwardzistów, być może po to, żeby prosić o rozkazy. Czterej rycerze wspólnie wynieśli ciało Rycerza Grozy. Piąty z czcigłównie niośł jego miecz.

– Zrzucimy zdawy – oznajmiła Skye. – Teraz nikt nas już nie zaczepi. Miejmy nadzieję, że jeśli Mira nas zobaczy, pomoże nam dostać się do środka.

Nagle wszyscy znowu byli sobą, więc Cole uznał, że on również. Błędny Rycerz i Mira kierowali się ku drzwiom areny, przez które przechodziło się pod trybunami. Cole starał się śpieszyć, ale tłum na widowni bardzo to utrudniał. Chłopiec widział, że Mira się rozgląda, ale ani na moment nie zatrzymała wzroku w jego okolicy. Jeśli teraz odejdzie z Błędnym Rycerzem, ciężko ich będzie dogonić! Dla ochrony przed intruzami zaryglują zamek.

Kątem oka Cole dostrzegł jakiś ruch po prawej stronie. Ponad tłumem przefrunęła skrzydlata postać, kierując się w stronę centrum areny. Kilku rycerzy sięgnęło po broń, kiedy wylądowała, migocząc owadzimi skrzydełkami, ale Mira powstrzymała ich i podbiegła do Drgawy.

Ten obrócił się i wskazał na trybuny. Kiedy Cole popatrzył w tamtą stronę, zobaczył Joego, który zmierzał w dół ku Mirze. Dotarł do najniższego rzędu w tej samej chwili co Cole i jego towarzysze. Mira wreszcie spojrzała w stronę chłopca. Rozpromieniła się na jego widok i dała znak, żeby do niej zszedł.

Cole znalazł drabinę. On, Dalton, Jace, Skye i Sułtan dołączyli do dziewczynki razem z Joem. Mira uśmiechała się od ucha do ucha.

– Tak się cieszę, że mnie wszyscy znaleźliście! – zawołała. – Rozglądałam się za wami!

– Wszystko w porządku? – zapytał Cole, wciąż niepewny, czy nie powinni rzucić się do ucieczki, podczas gdy tłum nadal wylewał się z areny.

Mira zerknęła w stronę Błędnego Rycerza.

– W zasadzie tak. Przynajmniej mamy jak się dostać na zamek Blackmont.

– Nie jesteś więźniem? – upewnił się Cole.

– Jestem – odparła dziewczynka z wahaniem. – Ale Błędny Rycerz nie jest taki zły. Chwilowo w zasadzie współpracujemy. Czy to... Ty jesteś Dalton?

Dalton uśmiechnął się do niej.

– Zgadza się.

Cole promieniał z podniecenia.

– Znaleźliśmy go w tamtym salonie dyskrecji, a teraz pójdzie z nami odszukać Honoratę.

– Później wszystko wyjaśnimy – wtrącił Jace. – Gdzie byliście? – zapytał Drgawę.

– Mnie i Joego nie wpuszczono na pojedynek. Ale kiedy ludzie zaczęli wychodzić, nikt już nie sprawdzał wchodzących.

Podszedł do nich Błędny Rycerz.

– Miro, musimy iść.

– To moi przyjaciele – powiedziała dziewczynka.

– Pamiętam wszystkich poza tymi dwoma. – Wskazał Sułtana i Daltona.

– Przyszedłem, żeby pomóc – zapewnił Sułtan.

– Pomoc nam się przyda – przyznał Błędny Rycerz. – Spodziewam się ataku w ciągu godziny. Niektórzy z was mają w sobie coś więcej, niż wydaje się na pierwszy rzut oka. – Wykonał gest w stronę Cole'a. – Miro, czy chcesz, żeby poszli z nami?

– Tak – odpowiedziała.

– W porządku, dołączcie do nas na zamku. Jest wiele do zrobienia.

Cole w otoczeniu rycerzy opuścił arenę tunelem pod trybunami. Zrównał krok z Mirą.

– Naprawdę nic ci nie jest? – spytał cicho.

– Teraz mi lepiej – odparła. – Martwiłam się, że nigdy was nie znajdę.

– Czy on wie, kim jesteś? – szepnął Cole, spoglądając przed siebie na

Błędnego Rycerza.

– Tak. Wiedział, kiedy mnie zabrał. Nie zaprzeczyłam.

– Jaki jest?

– Oprócz tego, że mnie porwał, to wspaniały człowiek. Rozważny i opiekuńczy. Rozsądny i sprawiedliwy. To był mój pomysł, żeby tu przyjść.

– Wie o twojej siostrze?

Mira skinęła głową.

– Właśnie tym go przekonałam. Głównie dlatego tu jesteśmy. On też chce ją znaleźć.

– Co będzie, jeśli weźmie do niewoli was obie?

– Jest taka możliwość – przyznała dziewczynka. – Lepsza niewola u niego niż na zamku Blackmont. On jest wrogiem najwyższego króla. Będziemy musieli improwizować. Bardzo się cieszę, że znalazłeś Daltona!

Cole dał znak przyjacielowi, żeby się do nich zbliżył. Dalton lekko pomachał.

– Dużo o tobie słyszałem – powiedział.

– Wzajemnie. Świetnie, że cię odszukał. To był jego główny cel.

Dalton uśmiechnął się szeroko.

– Odkąd Cole się pojawił, zrobiło się dużo ciekawiej.

– Trzymaj się mocno – odparła Mira. – Zanim będzie lepiej, najpierw będzie gorzej.

Cole nie mógł się nie uśmiechnąć. Dziwnie było patrzeć na zderzenie dwóch światów – jego najlepsza przyjaciółka w Elloweer rozmawiała z jego najlepszym przyjacielem z domu.

Opuścili arenę i ruszyli szeroką, utwardzoną drogą w kierunku zamku Blackmont. Cole dostrzegł, że Jace trzyma się z tyłu. Chciał go zawołać, ale chłopak celowo unikał kontaktu wzrokowego.

Błądny Rycerz rozmawiał z rycerzem, którego wysłał z nim Desmond. Cole zbliżył się, żeby lepiej słyszeć.

– Większość z nich nie chce mieć z tobą nic wspólnego – mówił Oster. – Wczoraj przyszli do nas ludzie reprezentujący Rustina Mądrego. Obiecali, że w przypadku porażki Rycerza Grozy wszyscy zachowamy stanowiska jako rycerze nowego czempiona, jeżeli pomożemy cię pokonać. Rycerz Groza ich przegnał. Powiedział, że jeśli polegnie, mamy służyć tobie. Ale większość spotkała się z tymi posłańcami na osobności. Prawie wszystkich już więcej nie zobaczysz, chyba że cię zaatakują. Ze strony gwardzistów spodziewam się podobnej lojalności. Desmond pozostanie wierny, ja też. To dlatego wysłał mnie z tobą. Raul również nie zdradzi. I to już pewnie wszyscy.

– To mniej, niżbym chciał, ale więcej, niż oczekiwałem – stwierdził Błądny Rycerz. – Doceniam twoją szczerą oraz lojalność. Zostaną nagrodzone. W pierwszej kolejności musimy odwiedzić tajnego więźnia.

– Jest więcej niż jeden – odparł Oster.

– Ale tylko jeden bardziej tajny niż reszta.

– Możliwe, ale ten więzień...

– Jest teraz pod moją kontrolą – dokończył Błądny Rycerz. – Nadchodzącej bitwy nie wygramy siłą. Może trzeba będzie się targować.

Oster postukał się w skroń.

– Sprytna myśl. Nie jesteś głupcem.

– Rzadko kto przypisuje mi taką wadę. Czy możesz potwierdzić tożsamość więźnia?

– Nie mam pojęcia, kto to jest. Wiedział to tylko Rycerz Groza oraz paru agentów, którzy przyjeżdżają i odjeżdżają. My, pozostali, nigdy go nawet nie

widzieliśmy. Ale to prawda. Teraz masz prawo to sprawdzić.

– Udajmy się tam w pierwszej kolejności – powiedział Błędny Rycerz.

Przekroczyli ziejącą bramę zamku Blackmont i znaleźli się na dziedzińcu zbudowanym tak, żeby budził strach. Jace wskazał rząd brązowych czaszek zatkniętych na kolcach. Cole spostrzegł kolekcję żółtawych żeber. Błędny Rycerz kazał zamknąć wrota. Wysłał trzech ze swych rycerzy, którzy mieli dopilnować, że pozostaną zamknięte.

Oster zaprowadził wszystkich do samego zamku. Pięli się po schodach i przemierzali korytarze. Mijani strażnicy salutowali. Wreszcie dotarli do solidnych drzwi z żelaza strzeżonych przez dwóch ludzi w zbrojach.

– Oto Błędny Rycerz – odezwał się do nich Oster. – Nowy czempion Edgemontu.

– Otwórzcie drzwi – polecił Błędny Rycerz.

Strażnicy wymienili niepewne spojrzenia. Jeden odchrząknął.

– Nie możemy cię przepuścić.

– Jestem czempionem tego miasta i panem tego zamku – powiedział rycerz, opierając dłoń na rękojeści miecza. – Zejdźcie z drogi albo zostaniecie straceni za zdradę.

– Otrzymaliśmy rozkazy od wyższej instancji – wyjaśnił strażnik.

Cole spostrzegł, że Dalton się cofa. Sam zrobił to samo. Szykowała się walka.

Błędny Rycerz dobył miecza.

– W moim mieście i na moim zamku nie istnieje wyższa instancja – stwierdził głosem cichym, lecz stanowczym. – Ostatnie ostrzeżenie.

Rycerze za jego plecami również sięgnęli po broń.

– Właśnie zgładził w pojedynku Rycerza Grozę – podkreślił Oster. – Czy chcecie sprzeciwić się jego rozkazom?

– Pozostanie czempionem tylko przez kilka minut – stwierdził jeden z gwardzistów. – Jesteś pewien, że warto stawać po jego stronie, a potem zginąć z ręki agentów?

– Zgodnie z prawem i tradycją Błądny Rycerz jest naszym prawdziwym czempionem – oznajmił Oster. – Czemu prosicie się o natychmiastową śmierć? Czy jesteście aż tak lojalni wobec napastliwych psów najwyższego króla?

– Znamy swoje obowiązki – odparł drugi strażnik. – Prawo dostępu do więźnia miał Rycerz Groza. Poza nim nie upoważniono nikogo oprócz agentów.

– Doceniam wasze oddanie służbie – rzekł Błądny Rycerz. – Niestety opowiedzieliście się po niewłaściwej stronie. Uznaję was winnymi zdrady. – Wykonał gest dwoma palcami.

Cole odwrócił wzrok, kiedy naprzód wystąpiło dwóch rycerzy. Usłyszał kilkakrotny brzęk broni. Gdy znów się obejrzał, gwardziści leżeli na ziemi. Oster schylił się po klucze.

Dalton gapił się na powalonych strażników szeroko otwartymi oczami. Cole napotkał jego wzrok i zobaczył w nim odbicie własnej odrazy. Jace wyglądał z kolei na zupełnie niewzruszonego przemocą. Cole zastanawiał się, na ile to tylko poza.

– Ilu jeszcze jest strażników? – zapytał Błądny Rycerz.

– Chyba dziesięciu – odpowiedział Oster.

Przekręcił klucz w zamku i szarpnięciem otworzył żelazne drzwi.

– Poddadzą się?

– Wątpię. Mają takie same rozkazy jak ci dwaj.

Błądny Rycerz odwrócił się do swoich ludzi.

– Idźcie przodem. Wszystkim napotkanym strażnikom dajcie szansę poddania się. Opowiedzcie o moim zwycięstwie i moich zamiarach. Gdyby upierali się przy zdradzie, przeprowadźcie egzekucję.

– Pójdę z twoimi rycerzami – zaproponował Oster. – Gwardziści mnie znają. Jako drugi rycerz byłem tu na trzecim miejscu w hierarchii przywództwa. Jeśli informację o twoim triumfie usłyszą z moich ust, przynajmniej będą wiedzieć, że jest prawdziwa.

– Niech tak będzie – zgodził się Błądny Rycerz.

– Więźnia znajdziesz na samym szczycie schodów. Będę tam na ciebie czekał.

Oster z sześcioma rycerzami przekroczyli próg drzwi i prędko ruszyli w górę po kamiennych schodach, zostawiając Błędnego Rycerza samego z Mirą, Cole'em, Daltonem, Jace'em, Drgawą, Joem, Skye i Sułtanem. Czempion odwrócił się do nich.

– Niektórzy z was, zdaje się, mają zdolności zaklania – powiedział.

– Ja – odrzekła Skye. – Oraz Sułtan. Ten chłopiec, Dalton, również trochę potrafi.

– To tylko kwestia czasu, zanim zostaniemy zaatakowani z zewnątrz i od wewnątrz – stwierdził Błądny Rycerz. – Jeżeli zajdzie taka potrzeba, z bronią w ręku wyrwę się stąd z moimi rycerzami, ale nie zdołam ochronić Miry i Honoraty przed siłami, z jakimi zapewne przyjdzie nam się zmierzyć. Żeby zabrać królową w bezpieczne miejsce, wasze talenty mogą być niezbędne.

– Puścisz nas wolno? – zapytała Mira.

– Nigdy nie zamierzałem zrobić wam krzywdy. Liczyłem, że dzięki waszemu towarzystwu łatwiej mi będzie o pojedynki, na których mi zależy. Ale dziś, trzymając was przy sobie, naraziłbym was na niebezpieczeństwo.

– Co chcesz osiągnąć pojedynkami?

Przez moment Błędny Rycerz milczał.

– Odzyskać Elloweer. Twój ojciec nie tylko was źle potraktował. To samo zrobił z królestwami pod swoim zarządem. Godność najwyższego formisty nie powstała z myślą o dyktatorze. Twój ojciec zmusił do ucieczki czworo z pięciu wielkich formistów i ogłosił się właścicielem królestw, które powinny czerpać korzyści z jego ochrony. Sięga po wątpliwe, tajemne moce, żeby umocnić własną pozycję i osiągnąć swoje cele. Oglądamy dopiero początki zniszczeń wywołanych jego chciwością. Ktoś musi go powstrzymać.

– Dlaczego nie zaczniesz współpracować z ruchem oporu? – zapytała Skye. – Z Niewidzialnymi?

– Wy macie swoje metody, a ja swoje. Będę współpracował z wami dzisiaj, jeżeli ochronicie królową.

– Jesteśmy tu po to, żeby im służyć – zapewniła kobieta.

– Mam nadzieję. Jeśli powierzę wam ich bezpieczeństwo, będziecie osobiście odpowiedzialni za ich los.

– Co wiesz o zagrożeniu, które nadciąga z północnego zachodu? O potworze zwanym Morgassą?

– Nie znałem tego imienia – odparł Błędny Rycerz. – Ale o potworze słyszałem. Chociaż monstrum przemieszcza się w tę stronę, to o ile mi wiadomo, jest jeszcze wiele dni stąd.

Cole usłyszał głosy ze szczytu schodów, a później ostry brzęk metalu o metal. Potem zapadła cisza.

– Tędy – powiedział Błędny Rycerz.

Po łuku schodów weszli do dużego pomieszczenia, w którym leżało paru martwych strażników. Otwarte żelazne drzwi ukazywały kolejną klatkę schodową. Z góry znowu było słycać głosy. Kilka chwil później rozległy się pośpieszne kroki. Po schodach zbiegł Półrycerz.

– Do najwyższej celi droga wolna – oznajmił. – Trzej strażnicy na samej górze poddali się i zostali aresztowani.

– Dobra robota – pochwalił Błędny Rycerz. – Prowadź, Minimusie.

Weszli za małym rycerzem po krętych schodach, mijając kilkoro żelaznych drzwi z wizjerami otwieranymi od zewnątrz. Cole zastanawiał się, kogo jeszcze trzymają w tej wieży pod specjalnym nadzorem. Czy są tu inni potencjalni sprzymierzeńcy, którzy mogliby im pomóc? Czy mogły tu trafić dzieci z Arizony?

Gdy wreszcie wspięli się na sam szczyt, uda piekły go z wysiłku. Czekali tam na nich Oster i reszta drużyny.

– Teraz moi rycerze wrócą na dół wieży i nie pozwolą, żeby ktoś tu wszedł. Wkrótce do nich dołączę, żeby przygotować obronę. – Ludzie Błędnego Rycerza ruszyli po schodach, a on sam spojrzął na Ostera. – Masz klucz?

Oster otworzył żelazne drzwi na szczycie wieży. Cole stanął tak, żeby zajrzeć do środka. Czy zastaną tam Honoratę skutą łańcuchami? Czy słyszała odgłosy walki? Czy wiedziała, że nadszedł ratunek?

Kiedy Oster pchnął ciężkie drzwi, Błędny Rycerz stanął przed Cole'em, zasłaniając mu widok. Kazał Osterowi odsunąć się na bok, po czym zwrócił się do Miry:

– Ty pierwsza.

Mira przestąpiła próg, potem on, a Cole za nimi.

Cela okazała się zupełnie inna, niż myślał. Na podłodze leżały dywany, na ścianach wisały gobeliny, a pośrodku stało łóżko z baldachimem. Półki na jednej ze ścian pełne były kolorowych książek. Wkoło leżało mnóstwo rozrzuconych zabawek: drewniany koń na biegunach, atrapa miecza, kilka marionetek, dziesiątki szklanych kulek, całe plutony żołnierzyków, bębenek oraz kilka pluszowych zwierząt. W licznych skrzyniach i kufrach na pewno kryły się inne tajemnice.

Po drugiej stronie pokoju, przy niskim stoliku, siedział chłopiec. Miał sześć, może siedem lat i kawałkiem kredy rysował na niedużej tablicy. Podniósł głowę, żeby popatrzeć na Mirę i resztę intruzów, raczej z ciekawością niż ze zdziwieniem.

Cole i Dalton wymienili zdezorientowane spojrzenia. Więźniem jest małe dziecko?

– Dzień dobry – powiedziała Mira życzliwym głosem.

– Cześć. Kim jesteś?

– Nazywam się Mira. Mieszkasz tu sam?

– Głównie tak. Zola przynosi mi jedzenie. Zagląda do mnie Vince. I czasami ci inni. Idziemy gdzieś?

– Może. Czemu pytasz?

– Bo tu jest tylu nowych ludzi. – Chłopiec wskazał Błędnego Rycerza. – Tamten jest wojownikiem tak jak Vince.

– To prawda – potwierdziła Mira.

– Zabijasz ludzi? – spytał mały rycerza.

– Czasami – odparł tamten.

– Bok masz wgnieciony. Ktoś próbował cię zabić.

– Rzeczywiście – przyznał Błędny Rycerz.

– Jesteś dobry czy zły?

– Zwykle jest dobry – zapewniła Mira.

– Vince dzisiaj miał z kimś walczyć – powiedział chłopiec. – Czasami dobrzy też muszą się bić.

Cole zrozumiał, że Vince to na pewno Rycerz Groza. Miał nadzieję, że nikt nie powiedział małemu, co się stało.

– Od dawna tu jesteś? – spytała Mira miłym głosem.

– Od wielu dni – odparł chłopiec. Znowu zaczął rysować.

– Podoba ci się tu?

Wzruszył ramionami.

– Jest lepiej niż tam, gdzie byłem wcześniej. Myślałem, że wrócę do domu, ale jeszcze nie.

– A gdzie jest twój dom?

– W Ohio. Moje miasteczko nazywa się Springboro.

Cole gwałtownie uniósł brwi. Znowu spojrzeli na siebie z Daltonem. Jeszcze jeden dzieciak z ich świata!

– A gdzie byłeś poprzednio? – zapytała Mira. – Co to za gorsze miejsce?

– Kraina Snów. Strasznie się tam bałem. Szkielety chciały mnie zjeść.

Mira przez chwilę milczała.

– Jak masz na imię?

– Brady.

ROZDZIAŁ 24

OSADZENI

Cole nie wierzył własnym uszom. Czy to naprawdę ten chłopak, który stworzył pustkowie pełne morderczych szkieletów i gigantycznych serników? Pozór opiekunki Brady'ego powiedział im, że mały nie żyje, bo potwory w końcu go dopadły.

– Czy była tu kiedyś dziewczyna o imieniu Honorata? – zapytał Błędny Rycerz.

– Albo Nori – dodała Mira.

Brady zmarszczył nos.

– Nie. Tu jest tylko jedna pani, nazywa się Zola.

– Ile ma lat? – spytała Mira.

– Wygląda jak jakaś mamusia.

– Jak tu trafiłeś?

– Przyszli po mnie do Krainy Snów. Najpierw myślałem, że to ślepcy. Byli ubrani i zachowywali się jak ślepcy. Ale mnie nie zabili. Zabrali mnie z Krainy Snów.

– My też tam byliśmy – włączył się Cole. – W Krainie Snów. Ludzie mówią na nią Odludzie Brady'ego. Spotkaliśmy Amandę.

– Widzieliście ją?! – wykrzyknął Brady uradowany.

– Pomogła nam.

– Nic jej nie jest?

– Ma się dobrze.

– Nie chciałem odchodzić bez niej. Ale ci, co mnie wzięli, powiedzieli, że już nie zawrócą.

– Z Krainy Snów przywieźli cię tutaj? – zapytała Mira.

– Nie od razu. Mówili, że jak im pozwolę, to zrobią tak, że sen się skończy. Już nie chciałem tamtych snów. Zrezygnowałem z nich. Myślałem, że się obudzę i będę w domu.

– Sprawili, że sny zniknęły?

– Udało im się. Już nie ma wielkich ciastek. Ani magicznych zabawek. Ale złych ludzi też nie ma. Wszystko się skończyło.

– Odebrali mu moc – mruknął Drgawa.

– Czy kiedy zabrali ci sny, przyprowadzili cię tutaj? – zapytała Mira.

– Tak. Na razie nie mogą mnie zabrać do domu. Mówią, że to za daleko. – Brady pochylił się i szepnął: – Myślę, że to chyba porywacze.

– Rzeczywiście – potwierdziła dziewczynka. – Ale nie martw się. Przyszliśmy ci pomóc. – Odwróciła się i zniżyła głos. – Czy ktoś może go czymś zająć?

Dalton podszedł do stolika, przyklęknął i zaczął wypytywać Brady'ego o jego rysunek. Mały przyjął to zainteresowanie z radością.

Tymczasem Mira zwróciła się do pozostałych:

– Chłopiec ma wielką moc. Mogli stworzyć w Sambrii drugą Spustosz.

– Raczej byśmy o tym słyszeli – odparł Drgawa.

– Mogło do tego dojść niedawno. Jak długo jest tu Brady?

– Kilka tygodni – poinformował Oster. – Wcześniej mogli go trzymać gdzie indziej. Nie znam tej historii.

– Może tym razem kontrolują potwora – spekulował Joe. – Może nie sieje zniszczenia.

– Ale po co przywieźli Brady’ego tutaj? – spytał Jace.

– Cokolwiek zrobili z jego mocą, nie dosięgnie go w Elloweer – stwierdziła Mira. – Działa tylko w Sambrii. Może chcieli trzymać Brady’ego z dala od niej.

– Pewnie odebrali mu wszystkie zdolności formistyczne – dodał Cole. – Wiesz, Miro, tak jak Spustosz chciała je zabrać tobie. Skoro Brady sam się na to zgodził, mogli go całkowicie odciąć od jego mocy.

– To dlaczego był im potrzebny? – zastanawiał się Jace. – Co im po chłopaku, skoro już nie ma mocy?

– Nie wiem – odparła Mira. – Na pewno jest jakiś powód. Musimy dowiedzieć się czegoś więcej o działaniu formownictwa.

Usłyszeli głośne kroki na schodach. Do komnaty wpadł zdyszany Minimus.

– Atakują nas – oznajmił. – Miasto prawie się nie broniło. Gwardziści usiłują otworzyć bramy zamku z obu stron.

– Do licha! – zawołał Błędny Rycerz. Obrócił się do Oстера. – Czy wiesz, kto jeszcze jest tu osadzony?

– Tylko kilka osób – odpowiedział tamten. – Wieża jest przeznaczona dla nienazwanych więźniów. Nie znam żadnego z nich.

– Czy pomożesz w ucieczce Mirze i jej przyjaciółom? Jesteś w stanie wprowadzić ich ukradkiem z Edgemontu?

– Znam trzy tajne wyjścia z zamku – poinformował Oster.

– Pomożemy – powiedziała Skye. – Sułtan i ja zamaskujemy nas zdawami.

– W takim razie może nam się udać.

Błędny Rycerz oparł dłoń na ramieniu Półrycerza.

– Minimusie, zostań z Mirą, dopóki nie spotkamy się ponownie. Służ jej

wiernie. Chroń za wszelką cenę. Osterze, pomóż im uciec, a potem wróć do mnie, kiedy się oddalą.

– Musimy zobaczyć innych osadzonych – wtrąciła nerwowo Mira. – Na wszelki wypadek.

– Dobrze – zgodził się Błądny Rycerz. – Tylko szybko. Wrogowie znacznie przewyższają nas liczebnie. Wkrótce opanują zamek.

– Będziemy się śpieszyć – obiecała.

Błądny Rycerz dobył miecza.

– Muszę dołączyć do moich rycerzy – oznajmił, a potem opuścił komnatę i prędko pognał w dół po stopniach wieży.

Cole przypuszczał, że każdy inny człowiek, który spróbowałby biec w takiej zbroi, skończyłby jako kupa złomu u stóp schodów.

– Chodź, Brady! – zawołała Mira.

Chłopiec podniósł głowę znad rysunku, przy którym siedział z Daltonem.

– Wyjeżdżamy? – zapytał.

– Tak.

– Zakładnik może być przydatny – zamyślił się Oster.

– Nie zakładnik – odparła Mira. – Uwalniamy go.

– Jesteś pewna? – wtrąciła Skye. – Dla małego podróz z nami może być trudna.

– Widać, że dla naszych wrogów jest bardzo cenny – stwierdził Sułtan. – Nie jest ich własnością.

– Nie możemy go zostawić – nie ustępowała Mira. – Kto wie, co mu zrobią?

– Zgoda – powiedział mężczyzna. – Ja go będę pilnował.

Brady wyszedł za nimi z komnaty, trzymając Daltona za rękę. Ruszyli w dół po schodach i zatrzymali się przy kolejnych żelaznych drzwiach. Oster wypróbował kilka kluczy, zanim znalazł pasujący. Cella była pusta.

Za następnymi drzwiami znajdował się mężczyzna skuty łańcuchami – zakneblowany i z zawiązanymi oczami. Włosy miał długie i w nieładzie.

– Znam go – stwierdził Oster. – Kiedyś był agentem i potężnym zaklinaczem. Postradał rozum. Nie chcemy mieć z nim do czynienia.

Zatrzasnęli drzwi i ruszyli dalej. Z oddali, przez zakratowane okna, Cole słyszał odgłosy bitwy. Ktoś wrzeszczał z bólu. Inne głosy wykrzykiwały rozkazy.

Chłopiec rozumiał, dlaczego Mira chce sprawdzić cele, ale zamek upadał. Co będzie, jeśli nie dadzą rady się wydostać? Starał się nie zważać na nerwowe wiercenie w brzuchu.

Oster otworzył następne drzwi do pustej celi. W kolejnej za to przy drewnianym stole siedziała ogorzała kobieta. Spojrzała na Cole'a spode łba i warknęła:

– Ty?

– Secha?! – zawołał chłopiec. – Co tu robisz?

Odgarnęła włosy z twarzy.

– Gdzie agenci?

– To ty! Byłaś w Kartaginie z Anselem – przypomniała sobie Mira.

– Owszem, panienko, dopóki po nas agenci nie przyszli. Gdzie oni są?

– Nie ma ich – odparł Joe. – Teraz to my tu rządzymy. Obiecałaś, że nie będziesz nas śledzić.

– Możem i obiecała. Ale nie myślałam, że nas zrujnujecie. Kilku agentów dopadło nas parę dni po was. Urocza banda. Taki jeden, na którego mówią Łowca, chciał zabić Ansel, jak nie wygada, co wie o Miraclei Pemberton. I Ansel był gotowy umrzeć, żeby dotrzymać obietnicy. Więc ja się wtrąciłam. Zgodziłam się iść z nimi i pomóc was znaleźć.

– Czy Łowca tu jest? – zapytał Joe z niepokojem.

– Teraz nie. Ten to się sporo przemieszcza. Dorobiliście się nie lada wroga. I zniszczyliście mi życie.

– To Ansel zniszczył ci życie – odparł Cole. – Powinien był dać mi spokój.

– Pewnie też mu to przyszło do głowy, odkąd gnije w kartagińskim lochu – stwierdziła ponuro Secha. Spojrzała na chłopca, mrużąc powieki. – Trochę się zmieniłeś. Teraz masz w sobie ciupkę mocy. – Następnie popatrzyła na Mirę. – Więc to ty jesteś to królewskie nasienie, którego szukają?

– Jak długo tu jesteś? – zapytała dziewczynka.

– Dopiero od wczoraj.

– Brzmi prawdopodobnie – stwierdził Oster. – W każdym razie wczoraj w nocy przywieźli nowego więźnia.

– Jak cię chcieli wykorzystać? – spytała Mira.

– Znam wasze twarze. Miałam im pomóc was wypatrzyć. Całego planu mi nie zdradzili. W końcu jestem więźniem.

– Czas nas goni – przypomniał wszystkim Oster.

– Sprawdźmy pozostałych – rzuciła dziewczynka. – Zostawcie ją. Nie jest ważna.

Wyszli z celi, a rycerz zamknął drzwi.

– Złamała przyrzeczenie – zwrócił uwagę Joe. – Jeszcze może narobić kłopotów.

– W tej chwili mamy większe problemy – odparła Mira, zbiegając po schodach.

– W następnej celi zamknęliśmy strażników, którzy się poddali – powiedział Oster. – Została już tylko jedna.

Wypróbował kilka kluczy, zanim udało mu się otworzyć ostatnie żelazne drzwi. Za nimi był starszy mężczyzna z siwymi włosami w nieładzie. Siedział na skraju prostej pryczy. Jednej nogi nie miał od połowy uda. Druga kończyła się tuż poniżej kolana.

– Bunt? – zapytał ciekawie.

– Nie znam tego człowieka – oznajmił Oster.

Mira podeszła bliżej.

– Kim jesteś?

Więzień pochylił się naprzód, mrużąc oczy.

– Niemożliwe – wymamrotał.

– Słucham?

– Miraclea?

– Skąd mnie znasz?

– Gdy się znaliśmy, byłem chłopcem. Trochę młodszym od ciebie. Jestem Reginald Waters.

– Reggie? – jęknęła. – Rzeczywiście, teraz cię poznaję. Co ci się stało?

– Przez lata opiekowałem się Honoratą. Nie od początku. Była pod moją pieczę przez ostatnie pięćdziesiąt lat. A potem ją zawiodłem.

– Kiedy? – zapytała Mira. – Jak?

– Niedawno. Minęły tygodnie, a nie miesiące.

– Jej gwiazda była na niebie.

– Pojawiła się tego dnia, gdy mi ją zabrano – odparł Reginald. – Znałem sposób, żeby skontaktować się z twoją matką. Dałem jej znać, że straciłem moją Honoratę.

– Czy Nori nic się nie stało? – zapytała Mira. – Gdzie teraz jest? Pomożemy jej.

– Nie wiem, czy jeszcze w ogóle ktoś jej może pomóc. Zabrali ją ludzie lojalni wobec Trilliana.

– Tego torivora?! – wykrzyknął Dalton, z przerażenia wybałuszając oczy.

– Kogo? – zdziwił się Cole.

Jego przyjaciel najwyraźniej dostatecznie dużo wiedział o tym Trillianie, żeby się go bać, on natomiast nigdy w życiu nie słyszał tego imienia.

– To uwięziony demon – odparł Oster ponuro. – Przekleństwo Elloweer. Torivor Trillian.

– Jego ludzie porąbali mnie mieczami – powiedział Reginald. – Zostawili mnie, żebym skonał, a ją zabrali do niego. Śledzili nas wtedy agenci. Znaleźli mnie i opatrzyli mi rany. Potem przywieźli tutaj. Kilka dni później jej gwiazda zgasła.

Cole starał się nie patrzeć na jego okaleczone nogi. Mężczyzna nie wydawał się słaby, ale na pewno był stary. Może za młodu wygrałby tę walkę.

Oster podszedł do okna. Wyciągnął szyję i przycisnął twarz do krat.

– Sforsowali bramy – oznajmił.

– Chodź z nami – powiedziała Mira do Reginalda. – Atakują zamek. Mamy szansę uciec.

– Umiem pleść dobre zdawy – przyznał mężczyzna. – Ale zmiana tych kikutów w nogi wykracza poza moje możliwości. Idź. Rozgłoś wiadomość o siostrze.

– Czy możemy go ponieść? – zapytała.

– Idźcie! – warknął Reginald. – Zostawcie drzwi otwarte, jakoś sobie poradzę. Zawiodłem już jedną królową. Nie zaryzykuję, że spowolnię ciebie. Bez dyskusji. Pędźcie!

– Czas ucieka – ostrzegł Oster.

– W porządku – ustąpiła Mira. – Dziękuję, Reggie. Uważaj na siebie.

– Zostawię otwarte drzwi na dole wieży – obiecał Oster.

Wyszedł z celi i pobiegł po schodach. Pozostali ruszyli za nim.

ROZDZIAŁ 25

UCIECZKA

Cole koncentrował się na tym, żeby biec po schodach jak najszybciej i nie przewrócić się. Przed nim Sułtan zeskakiwał po dwa stopnie, niosąc Brady'ego na ramieniu.

– Dlaczego biegniemy? – zapytał Brady, patrząc z dołu na Cole'a.

– Bo ruch to zdrowie.

Mały chyba mu nie uwierzył.

– Myślę, że znaleźli mnie ci źli.

– Nic nam się nie stanie – zapewnił go Sułtan, wciąż gnając na dół. –
Uciekniemy.

Dopadli do żelaznych drzwi u podstawy wieży. Strzegł ich zwałisty rycerz uzbrojony w wielki buzdygan. Na podłodze korytarza leżało kilka wygiętych ciał.

– Którędy? – zapytał Minimus.

Rycerz dwoma palcami wskazał w głąb korytarza. Z przeciwnej strony Cole słyszał odgłosy walki.

– Może być – stwierdził pośpiesznie Oster. – Za mną.

W przeciwieństwie do towarzyszy Błędnego Rycerza on nie nosił pełnej zbroi. Miał na sobie długą kolczugę, hełm oraz skórzane ochraniacze na ramionach i nogach. Oster prowadził, i Cole widział, że zbroja ciąży mu na tyle, że bieg stanowi wysiłek. Obok dreptał Minimus, ale mimo pełnego pancerza poruszał się tak, jakby nic mu nie wadziło.

Pognali na wprost, skręcili za róg, przeszli przez drzwi, a potem zbiegli po schodach. Na dole ruszyli pędem kolejnym korytarzem, który doprowadził ich do skrzyżowania w kształcie litery T. Wszystkie korytarze, zbudowane z ciemnych kamiennych bloków, wydawały się Cole'owi identyczne. Wiedział, że znajdują się kilka pięter nad ziemią, ale poza tym był zupełnie dezorientowany.

Gdy mijali okno, dostrzegł na dziedzińcu dwóch rycerzy otoczonych ze wszystkich stron przez napastników. Wokół nich piętrzyły się ciała. Większość agresorów miała na sobie uniformy merristońskich gwardzistów.

Oster skręcił w lewo, a potem stanął jak wryty i ruszył w przeciwnym kierunku. Kiedy Cole dotarł do skrzyżowania, zorientował się, że natknęli się na dużą grupę legionistów. Popędził przed siebie ile sił w nogach, a tamci ruszyli w pogoń.

Od strony gdzie korytarz zakręcał, nadbiegł Błędny Rycerz w towarzystwie trzech swoich ludzi. Pędem minęli Cole'a i ruszyli wprost na legionistów. Ci wyhamowali. Chłopiec obejrzał się i zobaczył, że czterej rycerze stoją ramię w ramię z bronią w ręku, wypełniają korytarz i blokują drogę. Potem w ślad za Osterem skręcił za róg i stracił ich z oczu.

– Dobra robota – odezwał się Sułtan do Skye.

– Na długo ich nie powstrzyma – odparła.

Dopiero wtedy Cole zrozumiał, że Błędny Rycerz i jego trzech kompani byli iluzją. To miało więcej sensu. Ależ byłby fart, gdyby pojawili się akurat teraz!

Oster prowadził towarzyszy rozwidlającymi się korytarzami, raz wąskimi, raz szerokimi. Wszyscy pędzili, Drgawa podskakiwał, furkocząc skrzydłami. Przemknęli przez jadalnię zastawioną długimi stołami i wpadli do holu po przeciwnej stronie. Za kolejnym zakrętem natrafili na kilku gwardzistów z kuszami. Ci wzięli ich na cel, ale przed nimi pojawił się kamienny mur, który zasłonił widok. Cole zawrócił, przykucnął i biegł zygzakiem. Bełty z brzękiem odbijały się od ściany za plecami uciekających. Na szczęście kusznicy nie widzieli celów.

Gdy przyjaciele gnali korytarzami i zakręcali za kolejne węgły, za nimi pojawiały się ściany, które zlewały się z tymi prawdziwymi, utrudniając pościg. Cole tracił oddech, ale wciąż nie zwalniał.

– Trafili cię – zauważył Brady przewieszony przez ramię Sułtana.

Cole spostrzegł, że mały wpatruje się w bełt wbity głęboko w drugie ramię mężczyzny.

– Bywało gorzej – odparł Sułtan.

Brady niepewnie wyciągnął rękę w kierunku sterczącego pocisku.

– Nie rusz – powstrzymał go Cole. – Tylko zaszkożysz.

Skręcili za kolejny róg i za nimi znowu pojawiła się fałszywa ściana.

- Potrzebujemy kamuflażu – wydyszała Skye. – Nie miałam pojęcia, że napotkamy tak wielu żołnierzy.
- Może legioniści? – zaproponował Sułtan.
- Wszystko jedno, bylebyśmy przestali być celem.
- Będę musiał odpuścić kilka ścian.
- Zostaw tylko ostatnią. Jeżeli tamci nie znają zamku na pamięć, powinna wystarczyć.

Cole patrzył, jak wszyscy stają się legionistami. Dzieci oraz Minimus wydawali się teraz znacznie wyżsi. Brady nie zmienił się w legionistę, tylko zlał z fałszywą postacią Sułtana.

- Myślałem, że spróbujemy wydostać się przez loch – powiedział Oster z przodu grupy – ale tę drogę już nam odcięli. Musimy uciec przez kwaterę czempiona. Przed wejściem będzie straż.
- Nie przed wszystkimi wrogami musimy uciekać – stwierdził Minimus cienkim głosem, który nie pasował do jego pełnowymiarowej zdawy. – Ja się nimi zajmę.
- Kwatery czempiona strzegą nasi najlepsi gwardziści – wyjaśnił Oster. – Nie wpuszczą nikogo poza samym czempionem, to ich powinność. Nie chciałbym robić im krzywdy.
- Czyli tylko obezwładniamy – odparł Minimus. – Zrozumiano.
- Mogę jakoś pomóc? – zapytał legionista głosem Daltona.
- Jeżeli będą kłopoty – powiedziała Skye – mogę być zmuszona odpuścić kilka kamuflaży na rzecz zdaw obronnych. Pomożesz je odtworzyć.
- Dlaczego pozmienialiście się w żołnierzy? – chciał wiedzieć Brady.

Dziwnie było go słyszeć, ale nie widzieć.

- To tak na niby – odrzekł Cole. – Zupełnie jak tęcza.
- Tęcza nie jest na niby – nie zgodził się chłopiec.
- Chodzi mi o to, że nie jej można dotknąć. – Cole ledwo dyszał od ciągłego biegu. – Mamy magiczne kostiumy.
- Dalej jesteście w Krainie Snów? – zapytał Brady.
- W pewnym sensie. Ale nie tak jak wcześniej. Tu nie ma dinozaurów.

Na progu pewnych drzwi nagle znikł cały kamuflaż.

- Zmywacz! – zawołała Skye.
- Ja się tym zajmę – odparł Sułtan.

Zdawy legionistów prędko powróciły.

Wbiegli po schodach do przedsionka zakończonego dużymi podwójnymi drzwiami. Strzegli go dwaj gwardziści z halabardami.

- Poprzedni czempion nie żyje – oznajmił Oster. – A nowy zbiegł. Mamy rozkaz zabezpieczyć kwaterę.
- Stać! – Jeden ze strażników wycelował w niego czubek ostrza halabardy. – Kwatera już jest zabezpieczona. Zostanie otwarta tylko przed czempionem.
- W tej chwili nie mamy czempiona – odparł Oster.
- Dopóki sytuacja się nie wyjaśni, nikt tu nie wejdzie.
- Zrzućcie mój kamuflaż – poprosił Oster.

Zdawa natychmiast zniknęła.

- Oster? – zdziwił się strażnik. – Co się dzieje?
- Jestem tutaj z rozkazu. Rycerz Groza zginął, a Błędny Rycerz uciekł, więc

panem Edgemontu jest teraz Desmond. Kazał mi ochronić nasze wrażliwe dokumenty przed intruzami z Merriston.

– Kim są ci pozostali? – zapytał gwardzista.

– Używamy pozorów. – Oster odwrócił się i skinął głową. Niektóre iluzje przysły, a trzy się zmieniły. Minimus był teraz chorowitym dzieckiem, Joe nastoletnią dziewczyną, a Sułtan starszą, garbatą kobietą. Cole domyślał się, że ten garb to Brady. – Ci ludzie są pod moją opieką. Kobiety i dzieci. Desmondowi zależy na ich bezpieczeństwie.

Strażnicy wymienili spojrzenia.

– W porządku, Osterze. Potwierdź jeszcze swoją tożsamość dzisiejszym hasłem.

– Spływ.

– A twoje motto?

– Nie lekceważ niczego.

Gwardziści rozstąpili się. Oster dał znać pozostałym, żeby ruszyli przodem.

– Nie wpuszczajcie nikogo z wyjątkiem Desmonda – uprzedził strażników. – I nikomu oprócz niego nie mówcie, że mnie widzieliście.

– Zrozumiano.

Oster wszedł do środka, zatrzasnął drzwi i zamknął je na klucz. W przeciwieństwie do wszystkich miejsc na zamku Blackmont, które Cole dotąd widział, kwatera czempiona była przestronna i pięknie urządzona. Niedźwiedzie skóry na podłodze oraz głowy zwierząt na ścianach wskazywały na to, że Rycerz Groza lubił polować.

Oster przeprowadził wszystkich przez kilka ładnych komnat do sypialni. Podszedł do dużego łoża z lakierowanych bali i zaczął je przesuwac.

– Może ktoś by mi pomógł? – poprosił.

Minimus doskoczył do niego i razem przesunęli łoże na bok. Zdawy Minimusa i Sułtana prysły. Joe nie wyglądał już jak nastolatek.

– Podłoga pod łóżkiem to iluzja – poinformował Oster. – Są tam schody w dół.

– Idźcie – polecił Minimus. – Przepchnę łóżko z powrotem na miejsce, żeby utrudnić pościg. Potem wczłogam się pod nie i do was dołączę.

– Jest ciężkie – ostrzegł Oster.

– Już wiem, ile waży. Jestem może i mały, ale silny. Poradzę sobie.

– Wziąć od ciebie chłopca? – zaproponował Oster Sułtanowi.

– Nie trzeba – odparł tamten. Twarz lśniła mu od potu. – Możesz być nam potrzebny z mieczem w dłoni.

– Wiecie, że umiem chodzić, co nie? – odezwał się Brady.

– Musimy poruszać się szybko – wyjaśnił mu Sułtan.

– Jesteś ranny – włączył się Joe. – Ja go wezmę.

Sułtan przekazał mu małego, a on przewiesił go sobie przez ramię.

Cole zszedł za Jace'em i Drgawą przez fałszywą podłogę. Z każdym krokiem niematerialna posadzka była coraz wyżej, aż w końcu zanurzył w niej głowę. Kule światła w ścianach dawały przyćmiony blask. U stóp długich schodów Cole zatrzymał się obok Daltona.

– Dobrze się bawisz? – zapytał.

– Pierwszy raz w życiu ktoś do mnie strzelał. Żał mi Sułtana. To musiało boleć.

– Chodźcie – ponaglił ich Oster.

Gdy Cole poszedł za nim, w górze usłyszał szuranie przesuwanego łóżka.

Raz po raz oglądał się za siebie, aż wreszcie zobaczył doganiającego ich Minimusa.

– Teraz powinno już być łatwo – powiedział Oster. – O tym przejściu wie tylko paru innych rycerzy, a oni mają ręce pełne roboty przy Błędnym Rycerzu. Gdy tylko wydostaniemy się z zamku, skierujmy się do dolnych stajni. Jeśli znajdziemy wam dobre konie, to chyba uciekniecie stąd bezpiecznie. Czy wiecie, dokąd chcielibyście się udać?

– Będziemy szukać torivora Trilliana – odparła Mira.

Cole rzucił prędkie, nerwowe spojrzenie na Daltona. Nadal był ciekaw, co jego przyjaciel wie o Trillianie. Dalton nachylił się w jego stronę i szepnął:

– To uwięziony potwór. Takie elloweerskie straszdyło.

Oster się zatrzymał.

– Dziś usłyszałem rzeczy nieprzeznaczone dla moich uszu – powiedział. Wyciągnął dłoń w stronę Miry. – Rozumiem, że jesteś Miracleą Pemberton. A Trillian chyba pojmał twoją siostrę Honoratę. Ale jeśli tak, to na tym historia się kończy. Torivora nie bez kozery uwięziono w Zaginionym Pałacu. To jedna z najpotężniejszych istot w Pięciu Królestwach. Może wręcz najpotężniejsza. Potrafi wysyłać sługi poza swoje włości, ale sam nie może ich opuścić. Jeśli tam jednak wkroczycie, będziecie zdani na jego łaskę.

– Doceniam radę – odparła Mira – ale wybierzemy się w tamtą stronę. Resztę wymyślimy po drodze.

Oster pokręcił głową, a potem znowu ruszył przed siebie.

– Pod warunkiem że ominiecie Zaginiony Pałac, podróż w tym kierunku ma pewne zalety. Mało kto zechce was gonić na północny wschód. Chcę mieć spokojną głowę, więc bardzo was proszę: dobrze się zastanówcie, zanim zbliżycie się do pałacu. Pomówcie z miejscowymi. Zasięgnijcie języka, żeby wiedzieć, jakie czekają was niebezpieczeństwa. Rozważcie inne rozwiązania.

– Opowiem Mirze o Trillianie – obiecała Skye. – Nie podejmiemy

pochopnych decyzji.

Szli dalej. Oster obejrzał się na dziewczynkę.

– Czy naprawdę jesteś córką najwyższego króla? Myślałem, że wszystkie zginęły.

– Ojciec upozorował naszą śmierć i skradł nam umiejętności formistyczne. Wtedy nasz wiek się zatrzymał.

Oster nie zadawał już więcej pytań.

Cole zrównał krok z Daltonem. Po chwili odezwał się do niego cicho.

– O co dokładnie chodzi z tym Trillianem? – zapytał.

Dalton nabrał powietrza.

– Wszystko, co najważniejsze, powiedział już Oster. Wiem niewiele więcej, tylko to, co słyszałem w Srebrnej Podszewce. W Elloweer ludzie uwielbiają tajemnice: kryją się za iluzjami, używają haseł, dzielą się pogłoskami. Ale o torivorze wcale nie chcą więcej wiedzieć. Pragną tylko, żeby był zamknięty. Mało do mnie dotarło, ale ten facet to chyba jakiś chodzący horror.

– A my ładujemy się do niego z wizytą? – odparł Cole. – Super, nie ma co.

Co zrobią, kiedy już tam dotrą? Czy nie mogli na dobre wybrnąć z jednego kryzysu, zanim wpakują się w kolejny? Myśląc o czekającej ich drodze, Cole czuł niepokojąco znajome napięcie.

– Chcę iść sam – poskarżył się wkrótce Brady.

– Bardzo nam się śpieszy – odpowiedział Joe.

– Ja też się umiem śpieszyć! Nie jestem małym dzieckiem! Puść mnie!

Mężczyzna postawił go na ziemi.

– Jak będziesz szedł wolno, to znowu wezmę cię na ręce – zapowiedział.

Brady podreptał do przodu i znalazł się tuż za Osterem. Podłóże pochylało się w dół. Kawałki uszkodzonego muru i zaschnięte błoto w korytarzu wskazywały na to, że ten odcinek był rzadko używany. Coś czmychnęło w cieniu.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Oster. Stanęli przed olbrzymimi drzwiami ze skorodowanego żelaza, osadzonymi w zardzewiałej ramie. Rycerz odsunął trzy rygle. – Nie wiadomo, kto jest po drugiej stronie. Gotowi? – Na te słowa wszyscy zmienili się w legionistów. – Może być.

Naprężył mięśnie, żeby szarpnąć masywne drzwi. Pomógł mu Minimus i w końcu otworzyły się z jękiem.

Za progiem Cole widział tylko ciemność. Skye wyprostowała dłoń, a wtedy do pomieszczenia wpłynęła kula bladego światła. Zobaczyli klepisko oraz mnóstwo starych pługów i narzędzi rolniczych.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała Skye.

– W piwnicy wędzarni – odparł Oster. – Te drzwi są ukryte za zdawą, właz w wędzarni również.

Wszyscy weszli do środka. Cuchnęło tam kurzem, sadzą i starym metalem. Oster wszedł po skrzypiących schodach, przesunął zasuwkę i otworzył klapę.

– Droga wolna – oznajmił.

Wspięli się do wędzarni. Było tam pusto. Cole czuł w powietrzu woń wędzonego mięsa. Oster wyjrzał przez frontowe drzwi.

– Nikogo nie widać – stwierdził. – Nie przyszli tu po to, żeby złupić miasto. Chcą Błędnego Rycerza, więc są zajęci na zamku.

Sułtan padł na ziemię. Nagle połowa grupy, w tym on sam, przestała wyglądać jak legioniści. Leżał bez ruchu, twarzą w dół.

Joe przykucnął przy nim i obejrzał ranę pod łopatką nieprzytomnego

iluzjonisty. Bełt sterczał mu spod pachy.

– Stracił dużo krwi – ocenił Joe. – Ma przesiąkniętą koszulę. Przez pozór nie widzieliśmy, że to poważna sprawa. – Nożem rozciął materiał wokół drzewca. Jace przysunął się jak najbliżej i zajrzał przez ramię Joego. Drgawa trzymał się z dala. – Trafili w naczynie krwionośne. Na szczęście nie w główną tętnicę, ale i tak jest w złym stanie.

– Potrzebny mu plaster – orzekł Brady.

– Chodź – odezwał się do chłopca Cole i zabrał go od Sułtana.

– Nie podoba mi się tutaj – szepnął mały. – Ciągłe ktoś umiera.

– Spróbujemy mu pomóc – odparł Cole, oglądając się z niepokojem.

Joe nachylił się nad leżącym i pogrzebał przy ranie. Sułtan się wzdrygnął i warknął z bólu. Podparł się na łokciu, a potem rozejrzał szeroko otwartymi oczami.

– Co się stało?

– Zemdlałeś – wyjaśnił Joe. – Straciłeś dużo krwi.

– Idźcie dalej. Nie ma czasu.

– Jeśli cię zostawimy, to umrzesz. – Z woreczka przy pasie Joe wyjął bandażę i opatrzył nimi ranę. – Na razie nie chcę wyciągać bełtu. Złamałbym drzewce, ale jest za krótkie i za grube, nie pęknie tak łatwo. Paskudna strzałka. Postaraj się jej nie poruszyć. – Obwiązał bandażę sznurkiem. – Mam nadzieję, że ucisk spowolni krwawienie.

– Dziękuję – powiedział Sułtan.

Joe pomógł mu wstać.

– Chodź. Doprowadzimy cię do koni.

– Potrafisz zmienić się w legionistę? – zapytała Skye Daltona.

– Tak – odparł chłopiec i po chwili wysiłku stworzył taką zdawę. – Chyba mogę to zrobić dla kogoś jeszcze.

– Dobrze, zatem dla siebie i Cole’a – zdecydowała iluzjonistka. – Ja zajmę się resztą.

– To jest dziewięć osób! – zawołał Dalton.

– Osiem – sprostowała. – Brady’ego wezmę na ręce i stopię go z moim żołnierzem.

Podniosła chłopca. Po chwili wszyscy byli legionistami.

– Mnie też zrobiłeś? – zapytał Cole Daltona.

– Wszystko w porządku – padła odpowiedź. – Idziemy?

– Za bardzo się nie śpieszcie – poradził Oster. – Chcemy wyglądać jak patrol, który bada teren. To nic, że Sułtan jest ranny. Mogliśmy uczestniczyć w walkach. Mundury przekonają większość legionistów, żeby nie zwracać na nas uwagi, może z wyjątkiem ich dowódcy. W okolicy nikogo nie widziałem. Za mną.

Wyszli z wędzarni. Mijali kolejne budynki, kierując się w stronę kompleksu stajni przylegających do dużych zagród. Zamek Blackmont stał za nimi na wzniesieniu. Odległość tłumiała odgłosy walki.

Cole musiał się powstrzymać, żeby nie przyśpieszyć kroku. Celowo rozglądał się po okolicznych budynkach, jakby kogoś szukał. Iluzoryczni legioniści wyglądali inaczej niż poprzednio. Ponieważ nikt się nie odzywał, trudno było stwierdzić, kto jest kim, oprócz tego jednego żołnierza, który podtrzymywał rannego towarzysza.

Stajnie były coraz bliżej. Okolica wyglądała na opuszczoną. Cole pomyślał, że większość ludzi postanowiła się ukryć aż do końca walk.

W najbliższej stajni znaleźli dwa długie rzędy boksów z końmi. Skye zrzuciła zdawę legionistów. Oster podbiegł do magazynu i zaczął wyjmować stamtąd siodła.

– Kto potrafi, niech mi pomoże – polecił.

Cole nauczył się zajmować mułami, kiedy opuścił karawanę handlarzy niewolników. Uznał, że osiodłanie konia będzie podobne, i miał rację.

Wszyscy pomagali przygotować konie oprócz Daltona i Brady’ego, którzy zostali z Sułtanem. Ranny iluzjonista siedział na ziemi, ramieniem opierał się o ścianę, zwiesił głowę. Cole’owi nie podobała się jego niewyraźna mina. Chyba stracił przytomność.

Kiedy wierzchowce były gotowe, wszyscy wsiedli. Skye posadziła Brady’ego przed sobą i opiekuńczo objęła ramionami. Joe pomógł Sułtanowi wdrapać się na konia. Ranny zaklinacz zgarbił się i musiał się podtrzymać wolną ręką, ale chwycił lejce i utrzymał się w siodle. Minimus wybrał najmniejsze zwierzę, jakie znalazł. Oster wsiadł na konia.

– Otrzymałem rozkaz powrotu do Błędnego Rycerza, kiedy odjedziecie – powiedział. – Nie ma on zbyt wielkich szans na przeżycie, ale póki żyje, będę stał u jego boku. Jedźcie galopem.

– Nie wiem, czy Sułtan da radę – stwierdził Joe. – I martwię się o Brady’ego. Nie powinniśmy narażać go na niebezpieczeństwo.

– Chciałam go odesłać razem z Sułtanem – odrzekła Skye. – Teraz to już niemożliwe.

– Ktoś powinien zabrać ich obu. Dasz radę? – zapytał.

– Mira potrzebuje moich rad w sprawie torivora. A ty chyba masz trochę wiedzy medycznej.

– Odrobinę. Dokąd się udać?

Skye zastanowiła się przez chwilę.

– Jedź prosto na północ do wioski Rygelowa Kuźnia. A potem na północny zachód do Sutnerowej Przeprawy. Zatrzymajcie się Pod Żółtą Gęsią. Tę gospodę prowadzą nasi stronnicy. Tam was będziemy szukać. Bądź czujny.

Kiedy agenci odkryją, że Brady zniknął, zaczną pościg.

Joe podjechał do Skye i wziął od niej chłopca. Mały nie wyglądał na zadowolonego, ale nic nie mówił.

– Nigdy wcześniej nie jechałem konno – odezwał się zdenerwowany Dalton.

– Trzymaj się blisko nas – poradziła mu Skye. – Luźniej lejce. Zaprzyj się nogami. Nie spadnij.

Wszyscy oprócz Oстера zmienili się w legionistów.

– Dam radę zrobić własną zdawę – zapewnił Dalton.

– Lepiej myśl o tym, żeby utrzymać się w siodle – odparła iluzjonistka.

– Nie galopujcie – poradził Oster. – Nie śpiesząc się, zwróćcie na siebie mniej uwagi. Będę was stąd obserwował, dopóki się nie oddalicie.

Zostawili go w tyle, opuścili stajnię i powoli odjechali od zamku. Cole podążał za Skye i cały czas miał oko na Daltona, który wydawał się przerażony nawet jako legionista. Joe i Sułtan odbili w bok.

Przed sobą Cole widział drogę, ku której kierowała się Skye. Kiedy obejrzał się na Joego, zobaczył, że Sułtan leży na ziemi. Joe zsiadł z konia, żeby mu pomóc. Rosły mężczyzna był jednak nieprzytomny i stanowczo zbyt ciężki, żeby go podnieść.

– Skye? – odezwał się Cole.

– Widzę – odparła zaklinaczka.

Zamroczony Sułtan dźwignął się na nogi, a wtedy Joe przerzucił go przez siodło, tak że nogi zwisały z jednej strony, a głowa z drugiej. Potem wsiadł na swojego wierzchowca, a konia iluzjonisty prowadził za lejce. Sułtan nie wyglądał za dobrze. Cole miał nadzieję, że Joe prędko zapewni mu opiekę medyczną. Czy w Elloweer byli lekarze? Poziom rozwoju technologii wydawał się tu dość prymitywny.

Do drogi dotarli bez trudu. Wkrótce Joe, Brady i Sułtan zniknęli im z oczu.

Cole podjechał do Miry. Wyglądała na zmartwioną.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Myślisz, że Błądny Rycerz ma szansę uciec? Tam kręciło się tylu legionistów i strażników. Wiem, że świetnie się bije, ale nie może przecież walczyć w pojedynkę z całym królestwem.

– Jeśli ktoś potrafi tego dokonać, to właśnie on – odparł Cole. – Wcale nie musi wygrać bitwy. Wystarczy, że się stamtąd wydostanie.

– Oprócz tego, że mnie porwał, nie traktował mnie źle. Mam nadzieję, że mu się uda.

Jadąc przed siebie, Cole stale zerkał wstecz, w stronę zamku Blackmont. Nie wiedział, czy walki ustały, czy też po prostu znaleźli się już tak daleko, że nie było ich słychać. Wciąż spodziewał się zobaczyć goniącą za nimi grupę jeźdźców. Może strażników. Może legionistów. A może ludzi Rycerza Grozy.

Ale czas mijał i nikt się nie pojawił.

ROZDZIAŁ 26

CZERWONY TRAKT

Wkrótce, kiedy Mira powiedziała, że chce jej się pić, uświadomili sobie, że nie zabrali prowiantu. Skye razem z siodłami wzięła koce, ale nie mieli nic do jedzenia i picia. Minimus zaoferował, że poszuka wody oraz pożywienia, a potem odjechał w pojedynkę.

Z upływem dnia droga skurczyła się do wąskiej ścieżki. Nie minęli nikogo z naprzeciwka, nikt też nie nadjechał z tyłu. O zachodzie słońca szlak trudno już było dostrzec.

Minimus dogonił ich, kiedy rozbijali obóz na poboczu, w pobliżu kępy drzew. Na widok małego rycerza Cole poczuł ulgę. Nic nie jadł od czasu szybkiej przekąski jeszcze przed świtem, zanim rozpoczął się pojedynek. Po długim dniu w siodle miał sucho w ustach, a w żołądku tak mu bulgotało, jakby sam siebie zaczął trawić.

Półrycerz wiódł drugiego konia objuczonego zapasami. Przywiózł bułki, kiełbasy, ser, orzechy i pojemniki z wodą. Skye, Cole, Mira, Jace, Drgawa, Dalton i Minimus usiedli w kręgu, żeby podzielić się żywnością.

– Czy powinniśmy rozpalić ognisko? – zapytał Jace.

– Nie wiem – odrzekła Skye. – Bradym zajmowali się agenci. Wyślą ekipy poszukiwawcze. Nie chcemy ściągać na siebie uwagi.

– Noc nie jest zimna – dodał Minimus. – Jedzenia nie trzeba podgrzewać. Bezpieczniej nie rozpalać ognia.

– Gdzie to wszystko znalazłeś? – spytał Cole. – Nie spodziewaliśmy się uczyty!

– Musiałem się cofnąć prawie pod zamek Blackmont. Nikt tu po drodze nie mieszka.

– To prawda – potwierdziła Skye. – Mam nadzieję, że tutaj nie będą nas szukać. Każdy wie, że należy trzymać się z dala od torivora.

– On ma sługi, prawda? – chciał wiedzieć Cole.

– Tak, Czerwoną Gwardię. To na pewno oni porwali Honoratę. Jeżeli członek Czerwonej Gwardii złapią legionistów albo miejską straż, czeka go kara śmierci. Nawet jeśli nie popełnił żadnej zbrodni. Niewidzialni traktują ich tak samo. Ci ludzie służą przedwiecznemu złu. Rzadko się ich spotyka. W pobliżu Zaginionego Pałacu są na to większe szanse.

– Słyszałem o Trillianie – włączył się Dalton. – Ludzie tak o nim mówią, jakby to była najstraszniejsza istota na świecie. Ale nigdy nie słyszałem, kim właściwie jest.

Skye pokręciła głową.

– To dlatego, że sami tego za dobrze nie wiemy. Kto trafia do Zaginionego Pałacu, rzadko stamtąd wraca. A jeśli nawet, to jako oddany sługa Trilliana, który wstąpił do Czerwonej Gwardii.

– Nigdy nie przesłuchiwaliście członków Gwardii? – zapytał Jace.

– Ja widziałam tylko jednego, kiedy jeszcze byłam nowa w strukturach Niewidzialnych. Nie rozmawiałam z nim, ale podobno nie odpowiadał na żadne pytania, nawet na torturach. Szczerze mówiąc, większość ludzi chyba woli zostawić torivora w spokoju. Dopóki nie rusza się z miejsca, nie musimy go rozumieć. To potwór, którym straszili nas rodzice, żebyśmy byli grzeczni.

– Idź do łóżka albo przyjdzie po ciebie torivor – zażartował Cole.

– Właśnie. Trillian symbolizował strach dla wielu pokoleń elloweerskich dzieci. Ponieważ nie może opuścić Zaginionego Pałacu, mieszkańcy Elloweer trzymają się z dala i nie zwracają na niego uwagi.

– A teraz my musimy się tam udać – podsumował Drgawa.

– To ja, nie wy, muszę się tam udać – poprawiła go Mira. – Nikt inny nie ma obowiązku mi towarzyszyć. Muszę pomóc siostrze.

Cole znał tę jej postawę. Przypomniała mu się determinacja Miry, żeby znaleźć Spustosza. Wiedział, że jeśli to będzie koniecznie, dziewczynka pójdzie sama.

Ale czy to mądre? Wiadomo, że chciała pomóc siostrze, tylko co to za korzyść dla Honoraty, jeśli i Mira zostanie pojmana? Skoro ludzie bali się nawet zbliżyć do miejsca, w którym mieszkał torivor, musiało to być coś okropnego. Oster zachowywał się tak, jakby zamierzali popełnić

samobójstwo.

Chłopiec się zasepił. Skoro to niedorzecznie ryzykowna misja, może powinien z niej zrezygnować? Jeżeli trafi do niewoli albo zginie, kto pomoże Jennie? Zerknął na Daltona, chyba pogrążonego w myślach.

Zastanawiał się, jak sam by zareagował, gdyby torivor porwał jego siostrę, rodziców albo Jennę. Z niechęcią przyznał, że pewnie zrobiłby wszystko, aby ich ratować, nawet gdyby to było niebezpieczne.

– Nie zostawię cię – zapewnił Mirę Minimus. – Mam swoje rozkazy.

– Może do niczego się nie nadaję – stwierdził Jace – ale jestem lojalny.

– Do niczego?! – wykrzyknęła Mira. – A kiedy zaatakowałeś Błędnego Rycerza? To chyba najodważniejsze, co ktoś dla mnie zrobił!

– Jasne. – Jace zaśmiał się ponuro. – Dałem mu popalić. Więcej ze mną nie zadrze. Ten atak to był dowód mojej lojalności. A porażka to dowód, że jestem do niczego.

– Przegrana z Błędnym Rycerzem nie przynosi wstydu – włączył się Minimus. – Wątpię, czy w Pięciu Królestwach jest choć jeden wojownik, który mógłby mu sprostać.

– Ale ja nie przegrałem tak po prostu. Uznał, że nawet nie warto ze mną walczyć.

– Powinieneś się cieszyć. Podjąłeś śmiałą próbę, ale starcie nie byłoby uczciwe. On jest zaprawionym wojownikiem w pełnej zbroi, a ty chłopcem z krótkim mieczem. Masz mężne serce. To bywa ważniejsze niż siła czy postura.

– Łatwo ci mówić – stwierdził Jace. – Ty jesteś bardzo silny.

– Nikt z nas nie rodzi się silny – odparł Minimus. – I nie wszyscy mają jednakowe zalety.

– Tobie też dziękuję, Cole – powiedziała Mira. – Nie mogłam uwierzyć,

kiedy za nami poleciałeś. Jak wprawileś miecz skakania w ruch?

– Nie wiem – odrzekł chłopiec, szczęśliwy, że został wyróżniony razem z Jace'em, ale i trochę zmieszany. – Byłem strasznie zdesperowany i to się stało samo. Nie dałem rady tego powtórzyć.

– Znalazłeś Daltona. Wiem, że jest tu więcej waszych przyjaciół. Nie czujcie się do mnie przywiązani.

Cole spojrzał na swego najlepszego przyjaciela. Czy chciał go narażać na to nowe niebezpieczeństwo?

– Znalazł mnie dlatego, że był z tobą – powiedział Dalton. – Spróbujemy ci pomóc.

Cole zastanawiał się, czy przyjaciel zauważył jego wahanie. Miał rację – skoro zostali z Mirą, musieli być z nią na dobre i na złe.

– Nie zostawimy cię – obiecał.

– Razem zaszliśmy już tak daleko – dodał Drgawa.

– Ale to nie znaczy, że dalej nam się będzie udawać – zaznaczyła Mira.

– Nie zrozum mnie źle. Gdy przyjdzie co do czego, jestem gotów uciekać.

– Ja też zostanę przy tobie – zadeklarowała Skye. – Miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli wejść do Zaginionego Pałacu. Może porozumiemy się z torivorem przez Czerwoną Gwardię. Kto wie, czy Honorata nie jest naszą jedyną nadzieją na powstrzymanie Morgassy. Oby Trillian posłuchał głosu rozsądku.

– Morgassy? – zdziwiła się Mira.

– Musicie nam wszystko dokładnie opowiedzieć – stwierdził Drgawa.

Skye wyjaśniła, czego dowiedzieli się o Morgassie i jej hordzie. Mira i Drgawa słuchali, szeroko otwierając oczy.

– Ile czasu zajmie jej dotarcie do stolicy? – zapytała dziewczynka, gdy iluzjonistka skończyła.

– Błądny Rycerz szacuje, że jakieś dziewięć lub dziesięć dni – odrzekł Minimus. – Nie porusza się po linii prostej. Zbacza z drogi, żeby zahaczyć o pobliskie miasta.

– Błądny Rycerz śledzi Morgassę? – spytała Skye.

– Jest świadom zagrożenia. Wie, że Morgassa posługuje się wytworami, żeby przemieniać ludzi. W zeszłym tygodniu wysłał rycerzy, by to zbadali.

– Wrócili?

– On jeszcze nigdy nie stracił rycerza – odparł Minimus. – Niełatwo nas pokonać. Każdy z jego ludzi jest zdolny zwyciężyć nawet największych czempionów w Elloweer.

– Jak udało mu się zgromadzić taki potencjał?

– To wyjątkowy człowiek. Dlatego poszli za nim inni wyjątkowi ludzie.

– Dużo o nim wiesz? – naciskała Skye.

– Więcej, niż mogę powiedzieć.

– A co możesz? – zapytał Cole.

– Błądny Rycerz to najuczciwszy człowiek, jakiego znam. Jestem dumny, że mogę mu służyć.

– Ile masz lat? – zainteresował się Jace.

Minimus się zaśmiał.

– A co? Ciekawi cię, bo jesteś ode mnie wyższy? Nie martw się, często mnie o to pytają. Niektórzy biorą mnie za dziecko. Jestem ponad dwa razy starszy niż każdy z was, nie licząc Skye. Nigdy nie cieszyłem się pokazną posturą. Ale nie wstydzę się skromnego wzrostu. Stąd moje imię, Minimus, i mój

tytuł, Półrycerz.

– Nazwałeś sam siebie? – zdziwił się Dalton.

– Kiedy się urodziłem, nikt nie wiedział, że będę mały. Takie imię byłoby wielkim zbiegiem okoliczności. Moi rodzice byli normalnego wzrostu. Po mnie urodził się jeszcze mój brat. On również okazał się karłem.

– Też jest rycerzem? – zapytał Jace.

Minimus zaśmiał się pod nosem.

– Na swój sposób. Jak wspomniałem, różni ludzie mają różne zalety. Ale mój wzrost ma swoje dobre strony. Wrogowie zwykle mnie nie doceniają.

– Nic nie jesz? – wtrącił Cole. – Wszyscy objadamy się tym, co przywiozłeś.

– Najadłem się po drodze. Wystarczy mi. Częścią przysięgi, którą złożyłem przed Błędnym Rycerzem, jest to, że nigdy nie pokażę się publicznie bez zbroi. Moja prawdziwa tożsamość musi pozostać tajemnicą. Żaden z nas nie posługuje się prawdziwym imieniem.

– Dałbyś mi parę lekcji szermierki? – poprosił Jace. – Może przestałbym być taki do niczego.

– Tak długo, jak podróżujemy razem, zrobię to z przyjemnością. – Minimus wstał. – A nocą stanę na warcie.

– Przecież nie możesz czuwać przez całą noc – odparł Drgawa. – Kiedy wreszcie odpoczniesz?

– Zawsze potrafiłem oszukać sen, kiedy to potrzebne. Dam wam znać, gdybym tracił czujność. Ale dzisiaj śpijcie dobrze. Obudzę was, gdyby zbliżało się niebezpieczeństwo.

– Rzucę na nas zdawę, która utrzyma się przez całą noc – powiedziała Skye.

– Będzie tu widać tylko krzewy i niskie drzewa.

– Potrafisz utrzymać iluzję przez sen? – spytał Dalton.

- Wykorzystam te same zasady, co w przypadku długotrwałej zdawy – wyjaśniła. – Bez wzmacniania wytrzyma do świtu.
- Przyda nam się odpoczynek – stwierdził Drgawa i ziewnął. – To była długa jazda.
- Jutro czeka nas jeszcze dłuższa – odparła Skye.
- Skoro nikt nie odwiedza Zaginionego Pałacu, to skąd wiemy, dokąd jechać? – zapytał Cole.
- Nikt tam nie bywa, ale wszyscy znają kierunek. Musimy tylko znaleźć Czerwony Trakt.
- Że co?

Skye uśmiechnęła się półgębkiem.

- Sam zobaczysz.

Nazajutrz rano słońce zdawało się wschodzić z każdej strony, za to w ogóle nie wyłoniło się nad horyzont. Zamiast tego przez cały dzień utrzymywał się ciepły półmrok.

Do Czerwonego Traktu dotarli po dwóch godzinach jazdy. Ścieżka, którą jechali, zdążyła już niemal całkiem zniknąć, aż tu nagle znaleźli się na początku szerokiej, gładkiej drogi o jednolitej czerwonej nawierzchni pozbawionej pęknięć. Wzdłuż jej brzegów biegły rdzawoczerwone krawężniki. Całość wyglądała tak, jakby położono ją wczoraj.

Zatrzymali konie tuż przed wjazdem na trakt, który ciągnął się aż po horyzont.

- Już wiesz, dlaczego nie bałam się, że go przegapimy? – spytała Skye.
- Wiedziałaś, że ścieżka zmieni się w drogę?
- Tak myślałam. Gdyby to była niewłaściwa ścieżka, wystarczyłoby jeździć po okolicy tam i z powrotem. Czerwony Trakt jest tak długi, że trudno go

przegapić.

– Dlaczego tu jest? – zapytał Dalton.

– Nikt tego nie wie. Dominuje teoria, że utrzymuje go wpływ torivora. Trakt biegnie idealnie prosto przez wiele mil i wiedzie wprost do Zaginionego Pałacu.

– Będziemy jechać drogą czy obok drogi? – spytał Drgawa.

– Chyba drogą – rzucił Jace.

– Wzrok Triliana nie sięga poza jego włości – wyjaśniła Skye – ale niektórzy uważają, że trakt do nich należy.

– W takim razie jedziemy obok – stwierdziła Mira.

Skye skierowała konia na pobocze i ruszyła równolegle do traktu. Pozostali udali się za nią.

Podczas jazdy Cole nie mógł oderwać wzroku od drogi. Na tym dzikim odludziu wydawała się zupełnie nie na miejscu.

– Co będzie, jeśli natkniemy się na Czerwoną Gwardię? – zapytał Drgawa. – Czy mamy plan?

– Będziemy negocjować – powiedziała Skye. – Chcemy wykorzystać członków Czerwonej Gwardii, żeby skontaktować się z Trillianem.

– Mogą spróbować nas schwytać albo, co gorsza, zabić – stwierdził Jace.

– Jeśli będą się prosić o walkę, ja im ją zapewnię – odparł Minimus. – Wy użyjcie zdaw i uciekajcie.

W Czerwonym Trakcie było coś takiego, co nie pozwalało na swobodne rozmowy, jakie prowadzili dzień wcześniej. Cole czuł, że tutaj obecność torivora Trilliana wydaje się bardziej realna. Przecież na końcu drogi czekał jego pałac.

Czasem drzewa i duże krzewy sprawiały, że musieli oddalić się od traktu. Chociaż łatwiej byłoby jechać po jego gładkiej powierzchni, nikt tego nie proponował.

Kilka razy zatrzymywali się na posiłek. Wreszcie jasność zaczęła gasnąć na wszystkich horyzontach. Skye odjechała spory kawałek od drogi i zapowiedziała, że rozbijają obóz. Minimus ponownie zgłosił się na samotnego wartownika.

Cole leżał na plecach, patrzył w gwiazdy i myślał o Jennie. A jeśli już ją minął? Jeżeli była w Sambrii? Może mijał wioskę, w której ją trzymali, chociaż wcale o tym nie wiedział. Jeśli tak, to może objechać wszystkie królestwa i nigdy jej nie znaleźć.

Odszukał jednak Daltona. To znaczy, że jest nadzieja. Wiercił się na ziemi, szukając wygodnej pozycji. Z pomocą Miry i Niewidzialnych wcześniej czy później znajdzie Jennę – nawet jeśli konieczne będzie kilka wizyt w wielu królestwach.

Gdzie się teraz znajdowała? Czy się bała? Czy cierpiała? Było jej wygodnie? Nudziła się? Jak potrafiła formować? A może sama się już uwolniła? Może uciekała?

Cole obiecał sobie i jej, że ją znajdzie. Czy wciąż czekała, aż się pojawi?

Wyobraził sobie taki scenariusz: znajduje się daleko stąd, może w Creonie albo Necronum. Podli handlarze niewolników uwięzili Jennę w płonącym budynku. Miecz skakania ożywa w jego dłoni, Cole skacze jej na ratunek i zabiera ją w bezpieczne miejsce na ułamek sekundy przed zawaleniem się całej budowli.

Ależ Jenna byłaby oszołomiona! A on wypadłby jak superbohater!

Ten sen na jawie sprawił, że Cole aż się wzdrygnął. Czy naprawdę wciąż chciał uratować Jennę po to, żeby bardziej go lubiła? Może troszeczkę. Takie sny na jawie sprawiały więcej przyjemności w czasach, kiedy nie istniało prawdziwe zagrożenie. Ulżyłoby mu, gdyby okazało się, że Jenna jest bezpieczna, lub gdyby odnalazł kolejnego przyjaciela z rodzinnych stron.

Czy nadal się w niej kochał? Jasne, ale tak naprawdę nie to się liczyło. Najważniejsza była ich przyjaźń. Przypomniawszy sobie coś, co Jace powiedział o Mirze: to, że jest dzieckiem, wcale nie znaczy, że jego uczucia nie są prawdziwe.

Następny dzień zaczął się od zwyczajnego wschodu słońca. Około południa gęsty zagajnik zmusił ich, żeby znacznie się oddalili od Czerwonego Traktu. Kiedy objeżdżali drzewa, ich oczom ukazał się Zaginiony Pałac.

– O nie – mruknął Dalton.

Waląca się budowla przypominała szkielet zamku, krzywy i wiotki, jakby po długim ostrzale artyleryjskim. Wysoki żelazny płot, który wieńczyły szpice z zadziornymi, otaczał teren znacznie większy niż sam pałac. Białe opary snuły się tuż nad nierównym, kamienistym gruntem i wirowały w nieregularnych zagłębieniach. Na przekór słonecznemu dniu nad całą okolicą wisiała szara mgiełka, spowijając groźne wieże w niezdrowym mroku.

– Wygląda na opuszczony – stwierdził Dalton.

– Nie – odparł Jace. – Wygląda, jakby ktoś wyciął w pień wszystkich mieszkańców, a potem całość podpalił.

– Poczyszczająca myśl – wymamrotał Drgawa.

– Nie widzę Czerwonej Gwardii – powiedziała Mira.

– Nie widzę nikogo – dodał Cole.

– Niech was to nie zmyli – rzekła Skye. – Trillian tu jest.

Czerwony Trakt prowadził aż do bramy z czarnego żelaza. Po drugiej stronie biegła ciemna, zniszczona droga w kolorze starych strupów.

– Co powinniśmy zrobić? – zapytał Dalton.

– Przyjrzeć się dokładniej – odparł Cole.

Podjechali do miejsca, w którym Czerwony Trakt kończył się przed zewnętrzną bramą Zaginionego Pałacu, a potem zsiadli z koni. Cole patrzył między kratami na chmurę oparów wpływającą do zagłębienia w skałach i wypływającą z powrotem, jakby w środku oddychał wielki potwór. Z pęknięć i zmarszczek wyrastały rzadkie, niedożywione chwasty desperacko uczezione kamieni. Mętny kożuch unosił się brązowymi plamami w nielicznych, skąpych kałużach.

– Halo! – zawołała głośno Mira, przykładając ręce do ust. – Halo!

Cole wzdrygnął się na dźwięk tak nagłego hałasu w tym cichym, martwym miejscu. Głos dziewczynki nie poniósł się echem. Słowa zabrzmiały płasko, jakby połknęła je przepastna pustka. Od strony Zaginionego Pałacu nie nadeszła żadna odpowiedź.

Mijały jałowe minuty.

– Chyba nikt nie przyjdzie – odezwał się w końcu Cole.

– Nie będzie się łatwo wspiąć – powiedział Dalton, patrząc na płot. – Te zadziory wyglądają na bardzo ostre.

– Pewnie dałbym radę przeskoczyć – stwierdził Drgawa bez entuzjazmu.

– Spróbuję wyjść na drogę – postanowił Jace. – A wy się cofnijcie.

– Jesteś pewien? – zapytała Skye.

– Skoro chcemy pertraktować z tym gościem, to musi się dowiedzieć, że tu jesteśmy. Ale tylko jedno z nas powinno zaryzykować.

Jace stanął na trakcie. Natychmiast upadł na kolana, cały się trząsł. Obrócił się powoli, wyciągając drżącą dłoń.

– Zabijcie mnie – wychrypiał. Zaraz potem zaczął się śmiać.

– Ależ z ciebie idiota – powiedziała ze złością Mira.

Jace wstał.

- Nie mogłem się powstrzymać.
- E... słuchajcie – odezwał się Cole.
- Co? – zapytał Jace.
- Brama jest otwarta.

ROZDZIAŁ 27

ZAGINIONY PAŁAC

Widziałeś, jak brama się otwierała? – spytała Skye.

- Nie – odparł Cole. – Patrzyłem na Jace’a. Nic też nie słyszałem.
- Jeszcze minutę temu z całą pewnością była zamknięta – stwierdził Drgawa.
- Czy ktoś zauważył, jak się otwierała? – spytała Skye.

Nikt nie odpowiedział.

- Poczekajmy – zaproponował Jace. – Zobaczymy, kto przyjdzie. Wy lepiej się schowajcie.
- Mamy zostawić cię samego? – odparła Mira.
- Torivor wie, że tu jestem. O was może nie wiedzieć.
- Czy jesteśmy pewni, że cię widział? – zapytał Dalton. – Może ktoś będzie wyjeżdżał.

– Brama otworzyła się, gdy tylko stanąłem na Czerwonym Trakcie – powiedział Jace. Rozejrzał się wzdłuż drogi w obu kierunkach. – Nie widzę nikogo innego.

– Poczekamy z tobą – postanowiła Skye. – Nie ma sensu się chować. Przyjechaliśmy tu na negocjacje. Nie chcemy zrobić wrażenia słabeuszy.

– Nie martwcie się – powiedział Minimus, dobywając miecza. – Nie pozwolę, żeby stała wam się krzywda.

Cole w duszy żałował, że Półrycerz nie jest choć trochę wyższy.

Czekali. Chłopiec patrzył przez otwartą bramę na macki mgły pełzające po strupowatej drodze niczym ospałe węże. Odwrócił się, ale Czerwonym Traktem nikt się nie zbliżał.

– Wchodzę – postanowił Jace i ruchem głowy wskazał bramę.

– Nie ma mowy – sprzeciwiła się Mira.

– A co innego nam zostało? Torivor nikogo nie przysłał.

– Przecież nie władujemy się tak po prostu na jego teren.

– Otworzył bramę. To zaproszenie.

– Podobno Trillian to potężny zaklinacz – odezwała się Skye. – Nie bez powodu go zamknięto. Jeżeli wkroczymy do więzienia torivora, będziemy zdani na jego łaskę.

– My? My nigdzie nie wejdziemy – odparł Jace. – Tylko ja. Sam to sprawdzę. Trillian otworzył bramę. Wie, że tu jestem. Chcemy z nim rozmawiać. To dla nas okazja, aby dowiedzieć się czegoś o Honoracie. Wrócę i opowiem, jak się sprawy mają. A jeśli nie wrócę, to będziecie wiedzieć, że szykują się trudne negocjacje.

– To ja powinienem pójść – wypalił Drgawa. – Jeśli zamkną bramę, mam szansę przeskoczyć płot.

– Nie – sprzeciwił się Jace. – Jeżeli torivor jest choć w połowie tak potężny, jak mówią, to nie uciekniesz mu tylko dlatego, że masz skrzydła. Albo pozwoli mi wrócić, albo nie. Z każdym z nas byłoby tak samo. To ja stanąłem na drodze. I dlatego to ja powinienem iść dalej.

– Nie rób tego, Jace – poprosiła Mira. – Honorata jest moją siostrą. Ja powinnam zaryzykować.

– Jeśli ona pójdzie, to ja też – oznajmił głosem nieznoszącym sprzeciwu Minimus.

Jace uśmiechnął się krzywo do dziewczynki.

– Jesteś zbyt cenna, żeby ryzykować. Torivor porwał twoją siostrę, więc na tobie pewnie też by mu zależało. Ja go raczej nie interesuję, więc może mnie nie zatrzyma.

– A może cię zabije – wtrącił Cole.

– To nic – odparł Jace spokojnie. – Odkąd opuściliśmy Sambrię, czuję się bezużyteczny. Teraz przynajmniej mogę coś zrobić. To dla mnie po prostu kolejny zamek na niebie, który trzeba przetrwać.

– Nie masz swojej liny – przypomniała Mira.

– W pierwszych kilku misjach jakoś poradziłem sobie bez niej. – Chłopiec ruszył w stronę otwartej bramy.

– Uważaj – powiedziała Skye drżącym głosem.

Jace zatrzymał się w miejscu, gdzie Czerwony Trakt za linią płotu stawał się czarny. Cole wstrzymał oddech. Było mu niedobrze, bo wiedział, że dla jego przyjaciela następny krok może być ostatnim. Chciał krzyknąć, żeby się zatrzymał. Mira zasłoniła usta i odwróciła wzrok, ale nie mogła wytrzymać i zaraz znowu tam popatrzyła.

Jace spojrział na nią i pozdrowił ją od niechcienia, a potem zrobił krok naprzód.

I zniknął.

Cole odwrócił się do Skye.

– Co się stało?

– Trudno powiedzieć – odrzekła. – Działają tu silne zaklęcia. Wyczuwam ich energię. Możliwe, że wszystko, co widzimy, jest zdawą. Albo wyczuwam zaklęcia więżące torivora. Możemy tylko czekać, czy Jace wróci.

– To było naprawdę odważne – powiedział Dalton.

– Odwagi Jace’owi zdecydowanie nie brakuje – powiedziała Mira.

Cole podniósł jakiś kamyk. Podeszedł do płotu tak, by nie stanąć na Czerwonym Trakcie, a potem rzucił nim przez otwartą bramę. Kamień zniknął, gdy tylko przeciął linię wyznaczaną przez ogrodzenie.

– Myślę, że to iluzja – stwierdził. – Sądzę, że nic mu nie jest. Po prostu go nie widzimy.

– Albo masz rację, albo wszystko za bramą zostaje unicestwione – wtrącił Drgawa.

Mira spiorunowała go wzrokiem.

– No co?! – zawołał Drgawa. – Albo jedno, albo drugie. Przecież wszyscy o tym pomyśleliśmy.

– Jaki będzie nasz następny krok, jeżeli Jace nie wróci? – zapytał Dalton.

– Pójdę za nim – odparła Mira.

– Nie możesz się zdać na pastwę Trilliana – odezwała się Skye. – Bez córki najwyższego króla rewolucja upadnie. Pójdę przed tobą.

Jace wyszedł z otwartej bramy na Czerwony Trakt i wyglądało to tak, jakby zmaterializował się znikąd.

– Hej – powiedział.

– Co się stało? – zapytała Mira.

– Torivor chce, żebyście wszyscy stanęli na Czerwonym Trakcie. Inaczej negocjacji nie będzie.

– Rozmawiałeś z nim? – spytała Skye.

– Nie, z jego sługą. Nie wolno mi tłumaczyć. – Odwrócił się, znowu przestąpił bramę i zniknął.

Mira weszła na drogę.

– Chodźcie – ponagliła pozostałych. – Przecież dlatego tu przyszliśmy.

– Albo dlatego torivor zabije nas wszystkich razem – mruknął Drgawa.

– Jego sługi pewnie i tak mogą nas zaatakować, gdzie tylko zechcą – odparła dziewczynka.

– Przynajmniej Trillian jest gotów rozmawiać – stwierdziła Skye. – Nie byłam pewna, czy możemy na to liczyć.

Cole stanął na Czerwonym Trakcie, pozostali zrobili to samo. Nie poczuł nic, co wskazywałoby na to, że droga jest magiczna albo że wywiera na nich jakiś wpływ. Zauważył, że Drgawa został blisko krawędzi, jest lekko skulony, jedną nogę opiera na krawężniku gotów do skoku. Czekali w napięciu.

Jace powrócił.

– Torivor chce, żeby Cole i Mira weszli ze mną.

– Myślisz, że powinni? – zapytała Skye.

– Nie wolno mi zdradzać szczegółów – powiedział powoli Jace. – Ale co tam! Moim zdaniem, gdyby Mira weszła, zrobiłaby głupio. Po drugiej stronie jest pięknie. Może to wszystko iluzja i absolutnie niewykłuczone, że to pułapka.

– Idę – postanowiła Mira i ruszyła ku otwartej bramie.

– Nie. – Cole złapał ją za nadgarstek. – Nie musimy dawać temu gościowi wszystkiego, co chce. Ja pójdę. Ty zostań.

– Ale... – Dziewczynka chciała zaprotestować.

– Musisz tu zostać – nie ustępował Cole. – A jeśli jemu zależy tylko na tym, żeby cię złapać? Zostawmy sobie pole do negocjacji.

– Nie wiadomo, czego zażyczy sobie torivor w zamian za Honoratę – rzekła Skye. – Ale Cole ma rację, Miro. Zdając się na jego łaskę, tylko osłabiłabyś naszą pozycję.

Przez chwilę Mira milczała. Argumenty chyba do niej przemawiały.

– Może macie rację.

Jace założył ręce na piersiach.

– Cole, skoro ty idziesz, to się pośpieszmy. Czekają tam na nas.

Cole podszedł do krawędzi Czerwonego Traktu. Z nerwów skręcało go w brzuchu.

– Dlaczego ja?

– Nie powiedzieli – odparł Jace. Zrobił krok do przodu i znikł.

Cole obejrzał się na Mirę i kiwnął głową. Pomachał do Drgawy, a potem wymienił spojrzenia z Daltonem. Później postąpił naprzód.

Poczuł się tak, jakby przeszedł przez powłokę energii elektrostatycznej. Ledwie ją wyczuł, ale sprawiła, że włoski na rękach stanęły mu dęba.

Widok zmienił się gwałtownie. Przed Cole'em ciągnął się Czerwony Trakt, a jego barwa była tak żywa i jaskrawa, że miał wrażenie, jakby po raz pierwszy w życiu widział prawdziwą czerwień. Teren wokół budowli pokrywały teraz olbrzymie kryształy pręgowane żyłkami światła. Wokół

przejrzystych stawów rosły gustowne zagajniki. W górze fruwały zsynchronizowane stada ptaków dużych i jasnych niczym latawce. Zamek zmienił się w lśniąca konstrukcję z pereł i platyny.

Naprzeciw chłopca wyszły trzy postaci. Na kasztanowym ogierze, roslým i tęgim niczym byk, siedziała kobieta. Włosy miała jak ciekłe srebro, a jej piękno było tak nieskazitelne, jakby stanowiła dzieło sztuki, a nie prawdziwą osobę. Obok stali dwaj mężczyźni ubrani w obcisłe zbroje wykonane z nachodzących na siebie pierścieni różnej wielkości. Trzymali długie halabardy o kunsztownych głowicach, a kobieta przy smukłej talii przypasała sztylet.

– Gdzie jest Mira? – zapytała kobieta głosem czystym i dźwięcznym.

– Nie przyjdzie – oświadczył Cole.

Kobieta na moment zamknęła oczy.

– To nam się nie podoba – powiedziała.

– Przysłała mnie, żebym się dowiedział, czego chce od niej torivor.

Kobieta odchyliła głowę i roześmiała się. Zabrzmiało to tak szczerze i radośnie, że Cole musiał się powstrzymać, by się nie dołączyć.

– Czy myślisz, że tam, gdzie teraz stoi, jest bezpieczniejsza niż ty?

– Tak – odparł Cole. – A kim ty jesteś, żeby mówić jej, co ma robić?

– Jestem upoważniona do występowania w imieniu samego Trilliana.

– A ja w imieniu Miry.

– Czyżby?

– Dlatego mnie wysłała.

Kobieta na chwilę zamknęła oczy.

– Może i rzeczywiście. W porządku, chodź za mną. Mój pan cię przyjmie.

Zawróciła konia i ruszyła Czerwonym Traktem w kierunku połyskującej fortecy. Mężczyźni podążyli za nią.

Cole zerknął na Jace'a, a ten wzruszył ramionami. Obejrżeli się w stronę ogrodzenia. Po drugiej stronie widzieli tylko nieprzeniknioną ciemność.

– Jace też musi iść?

– Macie iść obaj – odparła kobieta, nie odwracając się.

Cole stanął na skraju drogi i spróbował podnieść jeden z mniejszych kryształów. Większość była ze sobą połączona, ale po chwili znalazł taki, który mógł wziąć w rękę. Odwrócił się i zamierzał go rzucić przez otwartą bramę.

– Nie rzucaj – uprzedziła kobieta. – I nie ociągaj się.

Chłopiec spojrzał na Jace'a, ten popatrzył w kierunku ogrodzenia, a potem skinął głową. Cole wziął zamach i cisnął kryształem. W ostatniej chwili, zanim pocisk doleciał do czerni za bramą, pojawił się jeden ze strażników i go złapał.

– Czy on się teleportował? – wymamrotał Cole do Jace'a.

– Gość ma talent – odpowiedział równie cicho jego przyjaciel.

Strażnik ruchem halabardy nakazał ruszać za kobietą i drugim z mężczyzn. Cole i Jace posłuchali.

Kobieta jechała przed nimi na swym umięśnionym wierzchowcu, a strażnik maszerował obok niej. Drugi szedł za nimi. Cole przechylił głowę do tyłu – niebo przypominało wirującą chmurę opalizującego blasku. Nie widział słońca, księżyca ani innego konkretnego źródła światła, a mimo to w całej okolicy było dosyć jasno. Światłość sączyła się z góry, z kryształów i z samego powietrza.

– Jak się nazywasz? – odezwał się Cole do kobiety.

– Hina – odparła, nie odwracając się.

– Długo tu mieszkasz?

– Zachowajcie pytania dla Trilliana.

Czerwony Trakt kończył się kaskadą schodów wiodących do lustrzanych wrót pałacu. Hina zsiadła z konia, a strażnik wziął od niej lejce.

– Za mną – zarządziła.

Wmaszerowała po stopniach do drzwi, które otworzyły się pod jej dotykiem. Cole śpieszył się, żeby nie zostać w tyle. Wewnątrz zamek lśnił tak samo jak na zewnątrz. Mijali minimalistycznie urządzone komnaty z bielutkiego marmuru i chromu. Wszystkie powierzchnie wyglądały na gładkie i wypolerowane na wysoki połysk. Za dekoracje służyły świecące kryształy o dziwnych rozmiarach i kształtach. Wszystko było tu tak białe i czyste, że Cole nie mógł się zdecydować, czy bardziej kojarzy mu się z niebem, czy z luksusowym domem wariatów.

Po wspinaczce po długich schodach Hina wskazała mu drzwi.

– Tutaj możesz poczekać na mojego pana – powiedziała stanowczo. – Nie opuścisz tego pomieszczenia, chyba że on na to pozwoli.

Cole wyciągnął rękę do klamki, a Jace stanął za nim, ale Hina położyła mu dłoń na ramieniu.

– Dla ciebie mam oddzielny pokój.

Chłopcy wymienili niepewne spojrzenia.

– Nie możemy zostać razem? – zapytał Cole.

– Nie możecie.

– Oni tu rządzą – stwierdził Jace.

Cole wszedł przez drzwi, które prędko się za nim zamknęły. Gładka, biała

podłoga płynnym łukiem przechodziła w gładkie, białe ściany, a te z kolei w gładki, biały sufit. W pokoju nie było żadnych rogów czy kantów. Zamiast krzesel, niski kryształowy stolik otaczały poduszki. Po jednej stronie pomieszczenia stało duże okrągłe łóżko. Jedwabną, białą pościel wieńczyły puchate poduchy.

Cole podszedł do niewielkiego okna na drugim końcu pokoju. Miał stąd widok z lotu ptaka na kryształowy teren wokół zamku i na niebotyczny mur czerni niepozwalający wyjrzeć poza ogrodzenie. Wyglądało to tak, jakby ktoś wykroił lśniąca królestwo z ciemnej nicości.

Cole usiadł na poduszce przy stole. Pod dotykiem kryształowa powierzchnia blatu była chłodna. Zastanawiał się, jak długo torivor każe mu czekać. Przyjdzie do tego pokoju, czy wezwie go do siebie? I co to w ogóle jest torivor? A jeśli przypomina wielkiego pajaka? Albo oślizgłego ślimaka? Czy mówi w języku Cole'a? Czy już teraz rozmawia z Jace'em?

Z upływem czasu chłopiec stawał się senny. W pustym pokoju niewiele było do roboty. Przyczłapał do łóżka i postanowił je wypróbować. Nie do wiary, było tak miękkie! Położył się i utonął w chłodnym komforcie, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczył. Chociaż materac bardzo się uginał, wcale nie poskutkowało to niezręczną pozycją, od której potem boli kark. Cole czuł się, jakby unosił się w powietrzu.

Wygodne łóżko dopraszało się, żeby na nim zasnąć. Chłopcu ciążyły powieki. Jak zareaguje torivor, jeśli tak go zastanie? Tylko co jeszcze można tutaj robić? Siedzieć przy pustym stole? Trillian dał mu pokój z łóżkiem, więc dlaczego się nie zdrzemnąć? Ostatnio Cole sypiał tylko na ziemi albo na rachitycznych pryczach. W tym łóżku mógł się odprężyć jak w żadnym innym. Grzechem byłoby z tego nie skorzystać.

Mała cząstka jego jaźni ostrzegała, że nie powinien tracić czujności we wrogim zamku. Ale ten sprzeciw pozostał gdzieś w tle. To było zmartwienie świata na jawie. Cole bezwolnie pogrzył się w objęciach snu.

ROZDZIAŁ 28

TRILLIAN

Cole stał w eleganckiej komnacie. Była pełna ciepła i barw, mniej sterylna niż pozostałe pomieszczenia w zamku. Podłogę zdobiły skomplikowane wzory ułożone z cennych metali i granatowych kamieni. Grube drewniane belki dodawały charakteru ścianom i sufitowi. Pośrodku sali była pusta przestrzeń, ale wzdłuż ścian stały meble o niezwykłych kształtach, wykonane z egzotycznych materiałów.

Cole nie zauważył mężczyzny, dopóki ten się nie poruszył. Trudno było ocenić jego wiek – równie dobrze mógł być młodzieńcem, jak i dziadkiem. Nosił luźną złotą szatę z kołnierzem i mankietami obszytymi futrem. Jego wygląd kojarzył się z wieloetniczną mieszanką, w której najwyraźniejsze były rysy azjatyckie. Skórę nieznajomego wypełniało światło, jakby całe jego ciało lekko świeciło od wewnątrz. Szedł powoli, niemal ostrożnie, przenikliwym wzrokiem cały czas przyglądając się Cole'owi z enigmatycznym uśmiechem.

– Dzień dobry – powiedział Cole. – Skąd się tu wziąłem?

– Wróć myślami do przyjazdu do zamku – zasugerował mężczyzna.

Co prawda Cole usłyszał jego słowa, ale rozbrzmiały również w jego umyśle, tak jakby mogły do niego dotrzeć, nawet gdyby zatkał uszy.

– Ja śpię – stwierdził Cole, przypomniawszy sobie łóżko.

– Czekalem – odparł zwyczajnie mężczyzna.

– To ty jesteś Trillian – zrozumiał chłopiec.

Tamten skłonił się lekko.

– Mam ten zaszczyt. A ty jesteś Cole Randolph.

Cole'owi trochę ulżyło, że Trillian nie wygląda jak wielki pająk. Cieszył się również, że jest uprzejmy.

– Wcale nie czuję, że to sen – powiedział. – Mam wrażenie, że nie śpię. Ten pokój wydaje mi się chyba nawet prawdziwszy niż tamten poprzedni.

– Bo może jest prawdziwszy.

– Ale to przecież sen.

– Czy sny muszą być mniej prawdziwe niż jawa?

– Sny znikają po przebudzeniu – odparł Cole, pewien swej odpowiedzi.

– Czy to, co trwałe, musi być prawdziwe? – spytał Trillian. – Żyjesz w tymczasowej rzeczywistości. Wszystko, co ci znajome, pewnego dnia się skończy: twoje ciało, twój dobytek, cały świat, w którym się urodziłeś, kiedyś przestanie istnieć w dzisiejszej postaci. Czy to oznacza, że twoje życie nie jest realne?

– Chyba rzeczywiście wszystko kiedyś się skończy – zgodził się Cole. – Ale trwa dłużej niż sen.

– Czyżby? Wiele osób sny podtrzymują na duchu przez całe życie. Dla niektórych są najtrwalszą i najbardziej osobistą rzeczą pod słońcem. Mój świat dużo bardziej przypomina sen niż to, co ty uważasz za rzeczywistość. Istniał na długo przed twoim, Cole'u, i przetrwa długo po tym, gdy twój legnie w gruzach. Mój świat jest wieczny, a ja jestem wieczną istotą.

– Żyjesz od zawsze? – zapytał Cole z niedowierzaniem.

– Tam, skąd pochodzę, czas nie ma znaczenia. Zawsze istniałem, co oznacza, że istnieję naprawdę.

– Chcesz powiedzieć, że ja nie istnieję? – Cole był gotów do sprzeczki.

– Wręcz przeciwnie. Twoja obecna postać znajdzie swój kres, ale częśćka ciebie jest wieczna i po śmierci ciała przejdzie w inny stan egzystencji. Ta częśćka istnieje tak samo jak ja istnieję.

– To znaczy, że pójdę do nieba?

– Te szczegóły wykraczają poza moje postrzeganie. Ale rzeczywistość to coś więcej, niż obecnie możesz zrozumieć. Istnieją okoliczności, w których rozmowa prowadzona we śnie może odcisnąć silniejszy ślad niż ta prowadzona na jawie. To właśnie jeden z takich przypadków.

Trillian machnął ręką, a wtedy ściany i sufit opadły. Komnata zmieniła się w nieduży statek. Żeglowali po spokojnych turkusowych wodach, po jednej stronie mieli górzysty brzeg porośnięty dżunglą, a po drugiej, w oddali, majaczyły wyspy.

– No właśnie – powiedział Cole. – Sny zbyt łatwo się zmieniają.

– Czy nie słyszysz wody, która chlupie o dziób? – spytał Trillian. – Nie czujesz wiatru na twarzy? Ani słonej woni w powietrzu? Czy masz zamglony umysł? Czy twoje doświadczenie jest czymkolwiek stępione?

– Wszystko wydaje się bardzo autentyczne i mam wrażenie, że wcale nie śpię – przyznał Cole. – Ale iluzje zaklinaczy też są bardzo rzeczywiste.

– Kto powiedział, że nie są prawdziwe?

– Ja. Kiedy przez nie przechodziłem.

– Rozumiem. Coś musi być namacalne, żeby było prawdziwe. Zatem nie jest prawdziwe światło. Ani wiedza. Ani miłość.

Cole westchnął rozdrażniony.

– Chcesz powiedzieć, że sny i iluzje są prawdziwe?

– Nic nie liczy się bardziej niż to, co dzieje się w naszych umysłach – odparł Trillian. – Twoje doświadczenia, które ty nazywasz prawdziwym życiem w prawdziwym świecie, istnieją wyłącznie w umyśle twoim oraz innych osób. Umysł jest wszystkim. A sny są placem zabaw umysłu.

– Czy twój świat jest snem? – zapytał Cole z powątpiewaniem.

– To najlepsze porównanie, jakie mogę ci przedstawić. Kiedy ty chcesz coś zmienić w świecie, który nazywasz prawdziwym, musisz to najpierw przemyśleć, podjąć decyzję, a potem wykonać fizyczne działanie. A kiedy ja chcę coś zmienić w moim świecie, wystarczy moja wola. Tutejsze formowanie jest jakby bladym cieniem tego, czego mogłem dokonać tam, skąd pochodzę.

– Słyszałem, że jesteś formistą – powiedział Cole.

Trillian machnął ręką. Statek zniknął. Stali w ciepłej, wilgotnej szklarni. Powietrze pachniało świeżymi liśćmi i kwiatami. Za szybami rozciągał się bezmiar śnieżnej tundry.

– Jestem formistą w pełnym tego słowa znaczeniu. Tam, skąd pochodzę, formowanie to sposób życia, równie intuicyjny i naturalny jak dla ciebie oddychanie.

– Gdzie jest Jace?

– Dołączy później. Chwilowo wolałbym zachować tę rozmowę między nami.

– Jestem trochę zdziwiony, że mówisz po angielsku – stwierdził Cole.

Trillian się roześmiał.

– Nie powinno cię to dziwić. Czy na Obrzeżach spotkałeś kogokolwiek, kto nie mówiłby w twoim języku?

– Nie – przyznał chłopiec. Niektórzy mówili z akcentem, ale rzeczywiście wszyscy posługiwali się angielskim.

– Na Obrzeżach wszyscy słyszymy swoje ojczyste języki – wyjaśnił Trillian.

– Trzeba się bardzo wysilić, żeby nie być tu zrozumianym. Wiem, dlaczego do mnie przyszedłeś.

– Naprawdę?

– Chcesz stąd zabrać Honoratę.

– Jace ci to powiedział?

– Szukasz w głowie najlepszych argumentów, żeby się nimi posłużyć. Nie kłopotz się, dziecko. Załóż, że wiem wszystko to, co ty. Wiem o Morgassie i o zagrożeniu, jakie stwarza. Wiem, co Stafford zrobił swoim córkom. Wiem o formownikach, o Jennie i o twojej rodzinie w Mesie.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytał Cole zbity z tropu.

Trillian się uśmiechnął.

– To jest spotkanie umysłów. Twój umysł jest przede mną otwarty. Otworzył się, gdy tylko wkroczyłeś w me włości.

– Czytasz mi w myślach?

– Bez trudu. Tam, skąd pochodzę, nie używamy słów. Nie to, co tutaj. Tam całe porozumienie odbywa się między umysłami. Nie ma tajemnic. Nie ma kłamstw. Cole’u, znam szczegóły, o których ty dawno już zapomniałeś: miejsca, zdarzenia, osoby. Wiem też o rzeczach, których nie rozpoznałeś albo do których nie chcesz się przyznać. Nie krępuj się, mów otwarcie. Niczego przede mną nie ukryjesz.

Cole’owi strasznie się nie podobało, że ktoś mógł penetrować jego umysł. Jakie wstydlive rzeczy zobaczył Trillian? Wszystkie egoistyczne i tchórzliwe myśli. Wszystkie strachy. Każde marzenie o Jennie. Wszystko na widoku.

– Ale również te dzielne myśli – powiedział Trillian. – Miłe wspomnienia. Dobre intencje. Nie wspominając o ukrytej mocy.

– Co możesz o niej powiedzieć? – zapytał Cole szczerze zaciekawiony. Zaczynał już wątpić, że w ogóle ją ma.

– Masz ją – zapewnił Trillian. – I jest znaczna. Dużo ciekawsza niż moc Miry czy Honoraty. Ich zdolności są niebagatelne, ale twoja jest wyjątkowa. W innych okolicznościach starałbym się uwolnić twój potencjał.

– Jak to?

– Przez ostatnie stulecia szkoliłem wszystkich znaczących elloweerskich zaklinaczy, włącznie z wielką formistką Callistą. Byłbyś fascynującym uczniem.

Cole przypomniał sobie, jak Skye ostrzegła go przed Trillianem. Torivor jest zły i uwięziono go tu przed laty. Dlaczego miałby pomagać w szkoleniu formistów? Czy mówił prawdę? A może tylko zgrywał uprzejmego i rozsądnego, żeby zastawić pułapkę?

– Proszę bardzo – odezwał się Trillian, patrząc na chłopca poważnie. – Zapytaj mnie.

Cole nie za bardzo wiedział, jak to ująć.

– Po co? Przecież wiesz, co myślę.

– Prowadzimy rozmowę. Zapytaj.

– Jesteś tu więźniem. Czy nie jesteś niebezpieczny? Dlaczego ktoś miałby pozwolić, żebyś go szkolił.

– Jestem niezwykle potężny – odparł Trillian. – Czy niebezpieczny? To chyba wiąże się z mocą. Gdybym pojawił się na Obrzeżach dzisiaj, rządziłbym niepodzielnie. Ale trafiłbym, że kiedy przybyłem, zastałem tu formistów o nadzwyczajnej mocy, w tym tych, którzy przyczynili się do powstania poszczególnych królestw. Dysponowałem wielką potęgą, ale to miejsce różni się od mojego świata, więc zanim nauczyłem się w pełni korzystać tutaj ze swoich zdolności, pojмали mnie.

– Czy są inni tacy jak ty?

– Wielu. Jest nas cały świat. Ale ze mną przybył tu tylko jeden torivor. Ramarro. On również musiał trafić do niewoli, inaczej by tu rządził. Odkąd mnie pojmano, nie mogłem śledzić jego losów. Mój wzrok sięga tylko do granic tego więzienia, widzę też, choć niewyraźnie, na Czerwonym Trakcie. Wiedzę czerpię od podróżujących sług oraz osób, które tu przybywają, tak jak ty dzisiaj.

– Dlaczego nie dotarli tutaj inni torivorowie?

– Formiści, którzy mnie tu zamknęli, zagrodzili drogę do mojego świata. Wątpię, żeby moi pobratymcy trafili tutaj w przewidywalnej przyszłości.

– Dlaczego cię uwięzili? Zaatakowałeś ich?

– Nawiązałem z nimi kontakt. Niektórzy chcieli się ze mną skonfrontować. Bali się mojej mocy. Wybuchła wrogość. Próbowali zrobić mi krzywdę. Bronilem się. Nie mogli mnie zabić, ale zdołali uwięzić.

– Nie możesz się wydostać?

– Bynajmniej nie dlatego, że nie próbowałem. Formiści znali się na swym fachu. Nie tylko uformowali dla mnie więzienie, przeformowali także mnie samego. Nie jestem taki, jakiego teraz widzisz przed sobą. Przebywam spętany głęboko pod tym zamkiem. Ale wewnątrz moich włości moja moc pozostaje aktywna.

Cole zastanawiał się, ile z tego, co mówi torivor, jest prawdą.

– Nie mogę kłamać – powiedział Trillian. – Mogę wprowadzać w błąd albo unikać odpowiedzi, ale jestem w stanie mówić wyłącznie prawdę. To więcej niż tylko kwestia honoru. To zasadnicza część tego, czym jestem, tego, skąd płynie moja moc. Gdybym skłamał, przestałbym istnieć. Jeśli zobaczyłbyś moją prawdziwą naturę, pojąłbyś, że tak właśnie jest.

– Czy gdyby cię nie uwięzili, przejąłbyś władzę na Obrzeżach? – zapytał Cole, wystawiając szczerą Trilliana na próbę.

– Tak. Zniewoliłbym tego drugiego torivora i władał niezagrożony aż po kres tego miejsca lub dopóki nie postanowiłbym stąd odejść. Całe to królestwo zmieniałbym w raj. Pod moimi rządami wszyscy mieliby się doskonale. Podejrzewasz, że mówię ci to dlatego, bo chcę, abyś mnie uwolnił. Nie lękaj się, nie jesteś do tego zdolny.

– Co byś zrobił, gdybyś odzyskał wolność?

– Rządziłbym jako najwyższy formista, jakiego dotąd nie znały Obrzeża.

Każdego, kto by mi się sprzeciwił, czekałaby klęska. Zmieniłbym granice między królestwami. Uwolniłbym prawdziwy potencjał tej krainy pośród krain.

– Czy granice między królestwami nie są stałe? – zdziwił się Cole.

– Sam tego doświadczyłeś, kiedy użyłeś miecza skakania przeciwko Błędnemu Rycerzowi. Przed tobą inni również badali te możliwości. Nie od zawsze istniało Pięć Królestw i nie od zawsze mieszkali tu śmiertelnicy. Pięć Królestw stworzono. Można to odmienić.

Cole próbował sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby Trillian odzyskała wolność. Czy ludzie zaakceptowałyby go jako króla? Czy stałoby się coś dobrego? Dysponując mocą, jaką opisał, zostałby dyktatorem. Wszystko zależałoby od tego, czy tak naprawdę jest dobry, czy nie.

– Byłbym wymagający, ale pod wieloma względami ułatwiłbym wszystkim życie – powiedział torivor. – Przyznaję, że nie darzę śmiertelników szczególną miłością. Wszyscy jesteście tak przelotni, ale część z was mnie intryguje. Nie zostałbym waszym sługą. Waszym dżinem. To wy służylibyście mnie i pracowali nad uczynieniem Obrzeży rajem na miarę moich wyobrażeń. Władaliby wami wyższy umysł. Niektórzy mieliby do mnie żal i może bym z nimi igrał. Poniekąd pragnę zemsty za moją niewolę. Nie potrafię przewidzieć z całą pewnością, jak bardzo spodobałyby się wam moje rządy. Pochodzę z wiecznej krainy, w której żyłem pośród równych sobie. Tu, w doczesnym świecie, władałbym niższymi istotami.

– Po co tu przybyłeś?

– W mniejszym lub większym stopniu każdy torivor czuje pragnienie, żeby wyprawić się poza rodzimy świat. Życie tam jest idealne, ale odznacza się pewną... monotonią. Nie ja pierwszy go opuściłem. Porzucenie wieczności, żeby wkroczyć w czas, zmieniło istotę mojego jestestwa. Zaczęła mieć znaczenie kolejność: wczoraj, dzisiaj i jutro. W świecie początków i końców mogę umrzeć. Co się stanie z wieczną istotą, która umrze w czasowej rzeczywistości? Czy zostałbym wtedy wymazany? A może jakaś część mnie nadal by trwała?

- Powiedziałaś, że ja żyłbym dalej – przypomniał Cole.
- Owszem, cząstka ciebie. Ja widzę to wyraźnie. Ale czy ty rozpoznajesz to w sobie?
- Niespecjalnie. Mam nadzieję, że to prawda.
- Widzę w tobie ten wieczny czynnik, ale w sobie nie dostrzegam niczego poza tym, czym jestem tu i teraz. Nie chciałbym ryzykować śmierci tutaj. Gdyby mojemu życiu groziło niebezpieczeństwo, wolałbym wrócić do domu.
- Ale chwilowo tu utknąłeś.
- W rzeczy samej – odrzekł Trillian. – Ty też.
- Chcę odnaleźć moich przyjaciół i wrócić do domu – przyznał Cole. – Wcale nie zamierzaliśmy tutaj trafić.
- Wiem.
- Czy wiesz, gdzie znajdę Jennę?
- Nie.
- Mógłbyś się dowiedzieć?
- Zapewne. Wymagałoby to czasu. Ale miejsce jej pobytu mnie nie interesuje. Tę kwestię musisz rozwikłać sam.
- Czy jest... – zaczął Cole, ale słowa utknęły mu w gardle. Pytanie było zbyt ważne, żeby potrafił je dokończyć.
- ...sposób, żebyś wrócił do domu? – dopowiedział Trillian. – Nie, jeśli chcesz tam zostać. Nie w obecnym układzie.
- Czy ten układ można zmienić?
- Ktoś o dostatecznej mocy zdołałby to zrobić.

– Ty?

– Z pewnością, gdybym był wolny. Może ktoś inny także.

– Kto?

Trillian lekceważąco machnął ręką.

– Dość tych nieistotnych pytań.

Cole chciał wyciągnąć z niego więcej informacji, ale rozumiał, że torivor zakończył temat. Przynajmniej okazało się, że istnieje jakiś sposób! Chłopiec nie mógł się doczekać, aż powtórzy to Daltonowi.

– Wiesz, po co tu przyszedłem – powiedział. – Nie mam już o czym mówić. Pomożesz nam?

Trillian się uśmiechnął.

– To pytanie paliło cię, odkąd zaczęliśmy rozmowę. Chociaż czytam w twym umyśle, Cole'u, jest w tobie pewien element tajemnicy. To właśnie dlatego wy, śmiertelnicy, nie przestajecie być interesujący. Twoja przeszłość jest dla mnie jasna, podobnie jak twe obecne myśli, ale nie wiem, co zdecydujesz jutro. Nie wiem, bo sam tego nie wiesz. Mogę zgadywać, ale nie mogę mieć pewności. Wy, doczesne istoty, jesteście zdolne do wstrząsających przemian. Wasze opinie i postawy ewoluują. Okłamujecie sami siebie. Wasze uczucia są chwiejne. To dla mnie obce wyobrażenia. W twojej pamięci widzę niezliczone przykłady, ale nie oczekuję, że prawdziwie zrozumieć fundamenty twojej natury.

– Ty się nie zmieniasz?

– Właściwie nie, przynajmniej w rodzimym świecie. Być może tu, w tej doczesnej postaci, tkwią niezbadane możliwości. Jednakże bez względu na stan nie potrafię zwodzić sam siebie. To, kim jestem, i to, czego chcę, zawsze pozostaje w zgodzie.

– Co próbujesz we mnie odgadnąć? – zapytał Cole. – Czy masz jakąś propozycję?

– Pięć Królestw mnie interesuje. Nie pozostanę przecież uwięziony na zawsze. Ten świat miał początek, a zatem będzie również miał koniec. Ale mój pobyt tutaj jest nużący. Cieszy mnie wpływanie na tę krainę poprzez ludzi, których szkolę i wysyłam poza granice mojego więzienia.

– Chcesz, żebym coś zrobił?

Trillian machnął ręką i oto stali na okrągłej platformie wysoko na niebie. Świecił im duży biały księżyc. W górze migotały gwiazdy. Owiewało ich chłodne powietrze.

Kiedy platforma zaczęła się zniżać, Trillian podszedł do krawędzi. Nie było tam barierki. Cole ostrożnie ruszył za nim i spojrzał w dół.

W oddali, daleko w dole, trwał atak na jakieś miasto. Małeńcy ludzie uciekali przed niezliczonym tłumem innych, równie małych.

– Zagrożenie stwarzane przez Morgassę i jej hordę jest realne – powiedział Trillian ciężkim głosem. – Te obrazy przyniósł mi w zeszłym tygodniu jeden z moich skrzydlatych sług.

– Honorata może nam pomóc powstrzymać Morgassę – odparł Cole.

Torivor przyglądał mu się w milczeniu. Machnął ręką i oto znowu byli w ciepłym pokoju z wymyślną podłogą i egzotycznymi meblami.

– Jeśli nikt jej nie powstrzyma, Morgassa opanuje Elloweer w ciągu miesiąca – stwierdził. – Nie chcę patrzeć na zniszczenie tej krainy. Żywe królestwo to ciekawsze miejsce niewoli niż martwe.

– Co by było, gdyby Morgassa przyszła tutaj?

Trillian postukał palcem w policzek.

– Nie jestem pewien. Jej atuty różnią się od moich. Nawet tutaj mogłaby mi zagrozić. Z całą pewnością nie byłoby to nudne starcie.

– To może oddasz nam Honoratę, żebyśmy mogli walczyć z Morgassą? –

zapropował Cole.

Trillian przechylił głowę.

– Czy mielibyście szansę powodzenia? Możliwe. Pora wprowadzić twojego przyjaciela. – Torivor klasnął w dłonie.

Pojawił się Jace. Spojrzał na Cole'a zaskoczony.

– To jest Trillian – powiedział Cole. – Śnimy.

– Wiem. Już z nim rozmawiałem.

– Rozmawiałem z wami osobno – rzekł Trillian. – Czas naradzić się wspólnie. Obu wam zależy na Honoracie. Podobnie jak Mirze. Honoratę sprowadziłem tu ze znanych sobie powodów. Zważywszy na zagrożenie, jakie stwarza Morgassa, nie jestem całkowicie przeciwny wypuszczeniu jej. Ale nie będzie to darmowy prezent. Na taką nagrodę trzeba zasłużyć, a ja kocham rywalizację.

– Dlaczego nam po prostu nie pomożesz? – jęknął Cole.

– Daję wam szansę. To już wystarczająca pomoc. Ty, Jace i Mira musicie wziąć udział w tych zawodach wspólnie, w przeciwnym razie nie dobijemy targu. Jeśli wygracie, Honorata odejdzie z wami. Jeśli przegracie, wszyscy będziecie należeć do mnie.

– Miry do tego nie mieszaj – odparł Jace.

– Cole po nią pójdzie. Jeżeli wróci bez niej, to niech w ogóle nie wraca. Życzyłem sobie rozmawiać z całą waszą trójką, lecz zlekceważyliście moją prośbę. Pora, abyście mnie posłuchali. Boicie się, że zwycięstwo będzie niemożliwe. Będzie trudne, ale realne. Bez szans powodzenia nie byłoby uczciwie.

– Dlaczego sprowadziłeś tu Honoratę? – zapytał Cole.

– Przyprowadź Mirę – polecił Trillian. – To wszystko.

Machnął ręką i Cole otworzył oczy. Znowu leżał na kolistym białym łóżku w niewielkim pokoju bez kantów. Nie czuł już senności. Drzwi się otworzyły. Czekala na niego Hina.

ROZDZIAŁ 29

KONKURS

Cole zastał Mirę, Daltona, Drgawę, Skye i Minimusa czekających na Czerwonym Trakcie tuż za bramą. Mira i Dalton podbiegli do niego, gdy tylko się pojawił. W ich oczach chłopiec zobaczył niepokój i ulgę.

– Nic ci nie jest? – spytała Mira.

– Wszystko w porządku – zapewnił.

Czuł opór przed dostarczeniem wiadomości od Trilliana.

– Nie było cię przez wiele godzin – powiedział Drgawa.

– Gdzie Jace? – zastanawiała się Mira.

– Zatrzymał go torivor. Rozmawialiśmy z nim.

– Jaki jest? – zapytała Skye.

– Nie wiem. Odwiedził mnie we śnie. Pochodzi z innego świata, ale we śnie miał postać człowieka. Ma o sobie bardzo wysokie mniemanie. Czytał mi w myślach. – Cole obejrzał się przez ogrodzenie na pustkowie i szkielet zamku. – Wewnątrz to wygląda zupełnie inaczej. Może stąd widzimy tylko pozór. A może właśnie wszystko po tamtej stronie jest jednym wielkim pozorem.

– Czy Trillian jest bardzo straszny? – zapytał Dalton.

– Nie tak jak olbrzymi skorpionóg. Straszny jest dlatego, że jest mądry i bardzo potężny. Potrafi się dostać do naszych umysłów. Dużo wie. Powiedział, że jest szansa, żebyśmy wrócili do domu. Może ta nadzieja nie jest taka do końca szalona!

– Serio? – Daltonowi zaświeciły się oczy. – Dokąd mamy iść? Co mamy zrobić?

– Teraz tego nie wytłumaczył, ale mówił, że ktoś o dostatecznej mocy byłby w stanie zmienić działanie tego wszystkiego. Tak to naprawić, żebyśmy wrócili do domu i już tam zostali.

– To wspaniała wiadomość, Cole – odezwała się Mira. – Czy widziałeś Honoratę? – zapytała i nie potrafiła przy tym opanować drżenia w głosie.

– Niestety nie, przykro mi. – Z chłopca trochę uszło powietrze. – Ale Trillian ją ma, to na pewno. Zapowiedział, że ją odda, jeśli wygramy konkurs.

– Jaki konkurs? – zapytał Dalton.

– Jeszcze tego nie wytłumaczył. Jace, Mira i ja musimy wziąć w nim udział razem. Trillian obiecał tylko tyle, że mamy szansę na wygraną.

– A jeśli przegramy? – odparła Mira.

– To nas zatrzyma. Tak jak trzyma Honoratę.

– A tymczasem Jace jest jego zakładnikiem?

– Mniej więcej.

Mira uniosła rękę.

– Muszę spróbować – powiedziała.

Skye zrobiła krok naprzód.

– Jesteś pewna? Bez córek najwyższego króla rewolucja nie ma szans.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Mam trzy inne siostry. Bez Honoraty Elloweer czeka pewna zguba. Nie opuszczę siostry, skoro jest szansa, żeby ją uratować.

– W takim razie muszę ci towarzyszyć – oznajmił Minimus. – Błędny Rycerz powierzył cię mojej opiece.

– Chyba nie jesteś zaproszony – odparł Cole. – Trillian jasno dał do zrozumienia, że konkurs jest przeznaczony tylko dla mnie, Jace’a i Miry.

– Najlepsze, co możesz zrobić, żeby mnie ochronić, to puścić mnie z Cole’em – powiedziała Mira do rycerza. – Nie chcemy rozzłościć Trilliana. Mamy szczęście, że jest gotów dać nam szansę.

– Może to wcale nie szansa – stwierdził Drgawa. – Skąd wiadomo, że torivor nie skłamał z tym konkursem tylko po to, żeby cię zwabić? Może was już nie wypuści.

– Twierdził, że nigdy nie kłamie – powiedział Cole. – Oczywiście to też może być kłamstwo.

– Jestem skłonna zaryzykować – postanowiła Mira. – A ty? – zwróciła się do Cole’a.

Chłopiec zamknął oczy i stuknął w czoło pięściami. Nie był pewien, co należy zrobić, ale Mira powinna przynajmniej poznać jego zdanie.

– Nie wiem – odparł, otwierając oczy. – Wydaje mi się, że chodzi o prawdziwy konkurs. Oczywiście torivorowi mogło właśnie na tym zależeć, żebym tak pomyślał. Wydaje się bardzo mądry. Był niemal uprzejmy. Chyba się nudzi. Powiedział, że da nam uczciwą szansę. Myślę, że mówił serio, ale nie mam pojęcia, czy nie będzie strasznie trudno. Może czeka nas jakiś koszmar. Ale nie możemy zostawić tam Jace’a. Ani Honoraty. Twój wybór, Miro. Jeżeli ty jesteś gotowa, to ja też.

– Chodźmy – zdecydowała dziewczynka.

– Jeżeli nie wrócić w ciągu doby, pójdę po was – obiecał Minimus.

– To już twoja decyzja – odparła. – Nikt nie musi iść za nami. Zresztą wątpię, czy na coś by się to zdało. Mam nadzieję, że zobaczymy się wkrótce.

Cole i Dalton przybili zółwika.

– Uważaj na siebie – powiedział Dalton. Miał zmartwioną minę.

Cole objął przyjaciela ramieniem.

– Obiecuj mi coś – poprosił.

– Jasne.

– Jeżeli nie wrócę, znajdź Jennę. Pomóż jej. Nie poddawaj się, dopóki nie wrócicie do domu.

– Dobrze – wymamrotał Dalton.

Cole spojrzał na Drgawę.

– A ty uratuj swoją wioskę – powiedział.

– Tak jest!

– Jesteś gotowy? – zapytała Mira, stając tam, gdzie kończył się Czerwony Trakt.

Cole klepnął miecz skakania przypasany do boku.

– Nie. Ale chodźmy.

Podszedł do niej i razem przekroczyli bramę. Hina i dwaj strażnicy czekali na nich po drugiej stronie, obok szynkownego powozu, który lśnił od drogich kamieni. Ciągnęło go sześć białych koni w uprzęży z czerwonej skóry i złota.

– Witaj, Miracleo Pemberton – odezwała się Hina.

Dała znak, a wtedy jeden ze strażników otworzył drzwi karocy.

– Mnie tak nie witaliście – poskarżył się Cole.

– Ty nie należysz do rodziny królewskiej – odparła Hina.

Chłopiec zerknął na Mirę, która, oszołomiona, rozglądała się po zachwycającej okolicy.

– Ta kobieta jest piękna – szepnęła.

– No – zgodził się Cole. – A poprzednio musieliśmy iść piechotą.

Mira wsiadła pierwsza, a on szybko ruszył za nią, trochę się bojąc, że nie pozwolą mu do niej dołączyć. Hina jechała na swoim tęgim koniu, a strażnicy prowadzili karocę. Kryształowy krajobraz śmigał za oknami powozu, który mknął po drodze czerwiejszej niż czerwień.

Zatrzymali się przed eterycznym pałacem. Hina zaprowadziła ich do środka. Powiodła ich po lśniących schodach, a potem stanęła przed ozdobnymi drzwiami.

– To twój pokój, Miracleo – oznajmiła z lekkim ukłonem.

– Niech zgadnę – odezwał się Cole. – Jest ładniejszy niż mój. – Mira puściła do niego oko. Hina go zignorowała. – Idź spać – zwrócił się do przyjaciółki.

– Zobaczymy się w Krainie Snów.

Mira weszła do środka, a Hina zamknęła drzwi.

– Powinieneś traktować królową z większym szacunkiem – powiedziała.

– Na przykład więząc ją w zamku? – odparł Cole.

Kobieta niewzruszona wskazała mu inne drzwi.

– Możesz poczekać tutaj.

Pokój był podobny do tego poprzedniego. Kiedy drzwi się zamknęły, Cole od

razu poszedł do łóżka. Zastanawiał się, ile czasu minie, zanim zaśnie. Okazało się cudownie wygodne, ale on nie czuł się zmęczony, dlatego wpatrywał się w sufit.

Ciekawiło go, jaki konkurs ich czeka. Czy będą z kimś walczyć? A może to wyzwanie umysłowe, na przykład zagadki albo sprawdzian wiedzy? Albo gra losowa, coś w stylu pokera? Uśmiechnął się do swoich myśli, kiedy wyobraził sobie, jak on i Jace ścigają się z Trillianem i Mirą związani nogami.

Po pewnym czasie ogarnęła go silna senność. To uczucie było zbyt nagłe, żeby mogło być naturalne, ale nie starał się mu opierać. Zamknął oczy i odpłynął w sen.

Znowu znajdował się w sali z wymyślną podłogą i egzotycznymi meblami. Trillian stał, trzymając ręce za plecami. Przywitał go skinieniem głowy. Mira i Jace również tam byli.

– Witajcie, Cole i Jace – powiedział torivor.

– Nic ci nie jest? – zapytał Mirę Jace.

– Bywało lepiej – odparła.

– Pewnego dnia Miraclea Pemberton może zostać najwyższą królową Obrzeży – rzekł Trillian. – Oczywiście ma na swej drodze przeszkody. Trzy z nich to jej starsze siostry, Elegancja, Honorata i Konstancja. Kolejną jest ojciec, który upozorował śmierć jej i pozostałych sióstr, a teraz zapewne naprawdę pragnie ją zabić, ponieważ nie dysponuje już ani cząstką jej mocy formistycznej.

– Nigdy nie chciałam być najwyższą królową – odparła Mira. – Może nią zostać Elegancja.

– To prawda. Królewska spuścizna to dla ciebie niepożądany ciężar, źródło większości zgryzot w twoim życiu.

– Przez całe życie uciekam. Patrzę, jak wokół mnie umierają ludzie. Nawet

w Mieście na Rozdrożu nigdy nie było łatwo.

– Nikt nie ma łatwego życia – odrzekł Trillian. – Przyznam, że twoje było dotąd niezwykłym wyzwaniem. Po części sama to sobie zgotowałaś. Rozumiem, że przybyłaś tutaj, żeby uwolnić jedną ze swych rywalek do tronu.

– Honorata nie jest moją rywalką.

– Gdyby nie ojciec, najwyższą królową byłaby Elegancja. A bez Stafforda i Elegancji tytuł przypadłby Honoracie. I jakąż ona by była królową! Jest niezwykle silna duchem.

– Z pewnością spędziłeś wiele czasu w jej umyśle – odparła Mira.

– Proponowałem, że będę ją szkolił, ale odmówiła. Jeśli odzyska swoją moc, może zostać potężną zaklinaczką.

– Chcę ją zobaczyć.

– Zaraz stworzę ci tę możliwość. Jeżeli zdołasz ją odnaleźć, wówczas wystarczy, że ją dotkniesz i wymówisz jej imię, a nie tylko znów będziecie razem, lecz także puszcze was wolno.

– Brzmi prosto.

– Być może Honorata wygląda inaczej niż zwykle – zaznaczył Trillian.

– Co jej zrobiłeś?

Torivor się uśmiechnął.

– Cóż... odmieniłem ją.

– Jak? – zapytała Mira wzburzonym tonem.

Trillian wycelował w nią palec.

– To już musicie odkryć sami. Zastrzegam sobie prawo do dalszych zmian

w miarę postępu konkursu. Każdy z was dostanie jedną szansę, żeby czegoś dotknąć i powiedzieć: „Honorata”. Przygotowałem trzy miejsca do przeszukania. W pierwszym zgadywać będzie Cole, potem Jace, a na końcu Mira. Decydować możecie wspólnie.

– Honorata może być czymkolwiek? – spytał Cole.

– Czymkolwiek żywym. Rośliny nie wchodzi w grę. Tylko zwierzęta, włącznie z ludźmi. Przygotowałem specjalny pozór, dzięki któremu Honorata nie rozpozna Miry i nie dostrzeże waszej prawdziwej postaci. Jeśli spytacie ją o tożsamość, spróbujecie wyjawić własną albo wspomnieć o tym konkursie, iluzja zniekształci w jej uszach wasz głos. Honorata nie ma pojęcia, co robicie.

– Co będzie, jeśli nie trafimy? – zapytał Jace.

– Każda nieprawidłowa próba spowoduje przeniesienie do następnego miejsca. Jeżeli spudłujecie trzykrotnie, będziecie należeć do mnie. Aby zmotywować was do zgadywania, w każdym z miejsc czeka zagrożenie. Podczas gdy wy będziecie polować na Honoratę, coś innego polować będzie na was. Spróbujcie zabić wszystkich troje. Jeśli któreś z was zginie przed wykorzystaniem swojej próby odgadnięcia, uznam ją za zmarnowaną. Naturalnie jeżeli zginiecie wszyscy, konkurs dobiegnie końca.

Cole czuł się zdradzony. Wcześniej torivor nie wspomniał o tym, że podczas konkursu grozi im śmierć. Zachowywał się tak, jakby w najgorszym razie mieli zostać jego więźniami. Chłopiec spojrział na Mirę. Nie mógł sobie wybaczyć, że ją w to wciągnął.

– Nie mówiłeś, że możemy zginąć – zaprotestował.

– Mówię to teraz – odparł Trillian. – Życiu każdego z nas zawsze coś zagraża. Jeżeli niebezpieczeństwo znajdzie się zbyt blisko, wykorzystajcie próbę odgadnięcia, żeby przenieść się w następne miejsce. Będziecie mieć dość szans na przeżycie.

– A jeśli odmówimy udziału w grze? – zapytała Mira.

– Bramy zostały zamknięte. Tylko uczestnicząc w konkursie, możecie się stąd wydostać.

– Czy wszystko odbędzie się tutaj? – chciał wiedzieć Cole. – W tym śnie?

Trillian zaśmiał się pod nosem.

– Nie, na konkurs się obudzicie. Zostanie rozegrany na zewnątrz mojego pałacu. Gdy tylko wyjdziecie na dwór, gra się rozpocznie.

– Czy będzie miała formę iluzji? – zastanawiał się Cole.

Trillian zaprzeczył ruchem głowy.

– Prawie wszystko osiągnę za pomocą przemian małych i dużych. Każdy element konkursu będzie całkowicie namacalny. Moich zdolności formistycznych nie da się porównać z niczym innym w Pięciu Królestwach. Pozwól, że sam będę się martwił, jak to zrobię. Wy skupcie się na wygranej.

– Chcesz, żebyśmy przegrali? – zapytała Mira.

– Nieszczególnie. Najprawdopodobniej doznacie porażki. Konkurs będzie trudny, ale nie jest nieuczciwy. Można go wygrać. Jeśli wam się to uda, wypuszczę was, tak jak obiecałem. Bardzo jestem ciekaw, jak sobie poradzicie.

– Kiedy zaczynamy? – spytała Mira.

Trillian klasnął w dłonie.

Cole otworzył oczy. Patrzył w sufit. Drzwi do pokoju się otworzyły, ukazując Hinę czekającą w korytarzu.

– Czas iść – powiedziała.

Ruszył za nią do sąsiednich drzwi, zza których przywołała Jace'a. Potem udali się po Mirę. Dziewczynka poszła za Hiną razem z nimi.

– Czym jesteś, Hino? – zapytał Cole. – Zdawą? To znaczy wytworem? Czy

pozorem?

– Jestem kobietą z Elloweer – odparła. – Służę Trillianowi od wielu lat.

– Nie wyglądasz staro – stwierdziła Mira.

– To zaleta mieszkania tutaj. Jeśli we troje przeżyjecie próbę, być może do nas dołączycie.

– Już wystarczająco długo mam tyle lat, co teraz – odparła dziewczynka.

Hina doprowadziła ich do drzwi frontowych zamku.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła, sięgając do klamki. – Niechaj rozpocznie się gra.

ROZDZIAŁ 30

PEMBERTONOWIE

Trzymając dłoń na klamce, Hina spojrzała na Mirę.

– Gotowi? – zapytała Mira chłopców.

– Zgiń dzielnie – powiedział Jace.

– Znowu się zaczyna – mruknął Cole.

Mira skinęła głową, a wtedy Hina otworzyła drzwi.

Wyszli na dziedziniec zamku. Wyglądał zupełnie inaczej niż obie wersje Zaginionego Pałacu, które Cole widział do tej pory – teraz nie był ani spalony

ruiną, ani nie lśnił niczym perły.

Ten zamek wydawał się olbrzymi. Stąd, gdzie stali, mieli widok na tylko jedną stronę, a rozległy dziedziniec ogradzała masywna ściana zwieńczona wieżami i łącznikami. Część zamku, którą widział Cole, była mocna i szeroka, pięła się do góry wieloma poziomami blanków, balkonów i wieżyczek, aż ku najwyższym wieżom. Na murach, a także wokół dziedzińca, stali strażnicy w nieskazitelnie czystych mundurach.

– Miro, pośpiesz się – zawołała jakaś kobieta z głębi dziedzińca.

Była wysoka i zgrabna, miała kasztanowe włosy i psotną minę. Obok niej stała druga, młoda, równie wysoka i chyba jeszcze śliczniejsza. Jej włosy były odrobinę ciemniejsze i nosiła w nich grzebienie. Trzecia, młodsza i niższa dziewczyna o długich, prostych włosach, stała ze znudzoną miną i rękami założonymi na piersiach. Mogła być o rok, może dwa lata starsza od Cole'a. Ostatnia, najmniejsza dziewczynka, na pewno młodsza od niego o kilka lat, miała jednobarwną sukienkę z fartuszkim oraz ciemne, smętne oczy.

Mira cicho stęknęła.

– Nie, nie, nie – wyszeptała.

Cole z zaskoczeniem stwierdził, że jego przyjaciółka ma długie włosy i elegancką suknię. On i Jace również byli ładnie ubrani.

Nagle zrozumiał, co widzi. Kobiety i dziewczynki, które patrzyły na Mirę, wszystkie były do niej podobne. To na pewno jej matka i siostry!

– Pośpiesz się – odezwała się najstarsza córka. – Tylko wszystkie razem przekonamy Honoratę, żeby z nami poszła.

– Chwileczkę! – zawołała Mira.

Odwróciła się do Cole'a i Jace'a. Cole chyba jeszcze nigdy nie widział jej tak poruszonej. Otarła oczy drżącą dłonią.

– To twoja rodzina – powiedział.

Skinęła głową w milczeniu.

– To znaczy tak naprawdę to nie one – odezwała się w końcu, tak jakby sama chciała siebie o tym przekonać. – Ale, no wiecie, wszystko wygląda idealnie.

– To twoja mama? – spytał Jace.

– Matka i siostry – potwierdziła Mira, odzyskując panowanie nad sobą. – Królowa Harmonia, Ella, Kosta i Tessa. Do matki mówcie „moja królowo”. To dzień, w którym miałyśmy jechać na Święto Jesieni do Lipowej Kniei. Właśnie wtedy ojciec upozorował naszą śmierć.

– Najdroższa, powiedz kolegom, że musisz już iść! – zawołała Harmonia.

– Będą mi towarzyszyć do wyjazdu! – odkrzyknęła Mira.

Kosta zerknęła na Ellę.

– Chcesz mieć lepsze towarzystwo od nas?

– Tamten mi się podoba. – Tessa wskazała na Jace’a. – On nas ochroni.

– W porządku – rzekła Harmonia. – Chodźcie.

Zaczekały, aż Mira, Cole i Jace do nich dołączą. Ella wpatrywała się w dal i w ogóle nie okazywała im zainteresowania.

– Chyba się nie znamy – zwróciła się do chłopców królowa Harmonia.

Kątem oka Cole dostrzegł, że Mira daje znak, aby się uklonił. Z ukłonem powiedział więc:

– Jestem Cole Randolph, przyjaciel Miry.

– A ja jestem Jace. – Drugi z chłopców poszedł za jego przykładem.

– Jak poznaliście moją córkę? – spytała Harmonia, bez niechęci, ale z zainteresowaniem.

– Ich rodzice to wędrowni aktorzy – powiedziała Mira. – Bardzo uzdolnieni. Wiesz, jak bardzo lubię przedstawienia w mieście.

– Dobrze – rzekła królowa, przyglądając się chłopcom. – Chwilowo możecie nam towarzyszyć. Skoro Mira was lubi, to na pewno nie jesteście nudni, ale obawiam się, że nie dołączycie do niej w powozie do Lipowej Kniei.

– Nie chcielibyście z nami jechać – stwierdziła Mira. – Ten powóz wyląduje w rzece.

– Dostyc tych bzdur – warknęła Ella. – Mamo, czy Mira nie powinna pożegnać się z kolegami teraz? Przez Nori już jesteśmy spóźnione.

– Jeszcze ich nie odsyłaj – poprosiła królową Mira. – Będę grzeczna.

– Chodźcie więc – zgodziła się Harmonia, ruszając przez dziedziniec.

Ella dogoniła matkę. Kosta i Tessa ruszyły tuż za nią. Mira szła na tyle wolno, żeby wyprzedziły ją o kilka kroków.

– To teraz porywa nas ojciec – szepnęła nerwowo. – Na placu ćwiczebnym, kiedy idziemy po Nori. Zabiera nas do lochu i pozbawia mocy, a nasze sobowtóry odjeżdżają powozem i toną. Chętnie udusiłabym Trilliana, że właśnie z tej sceny zrobił część konkursu.

– Czy powinienem się wymknąć i poszukać Honoraty? – zapytał Cole. – To jest pierwsze miejsce, więc ja tu zgaduję.

– Właśnie do niej idziemy – odparła Mira. – Czy możliwe, żeby w tej iluzji grała samą siebie?

– Myślę, że Trillian nie urządziłby czegoś tak oczywistego – stwierdził Jace.

– Kto wie? – odrzekła dziewczynka. – Powinniśmy sprawdzić. Honorata nie odgrywałaby tej scenki naturalnie. Jeśli to naprawdę ona, będzie się zachowywać dziwnie.

Kosta zwolniła, żeby dołączyć do Miry. Była niewiele wyższa od swej młodszej siostry.

– O czym tak szepczecie?

Mira uśmiechnęła się blado.

– Jutro Cole i Jace wyjeżdżają do innego miasta.

– Nie powinnaś przyjaźnić się z aktorami – powiedziała Kosta. – Stale przychodzą i odchodzą.

– Jak daleko jest plac ćwiczebny? – zapytał Cole.

Mira wskazała palcem przed siebie.

– Za tymi drzwiami jest korytarz. Plac ćwiczebny znajduje się na drugim końcu.

– Powinniśmy tam iść? – zapytał Jace.

– Jeżeli chcecie nam towarzyszyć – odparła Kosta.

– Musimy przed nimi grać? – poskarżył się chłopiec Mirze, lekceważąc jej siostrę.

– Co to znaczy? – zdziwiła się tamta.

– Chyba nie – odrzekła Mira.

– Czy to mądre, żeby pakować się w pułapkę, skoro wiemy, że tam jest?

Mira przystanęła.

– Wszystko zależy od tego, gdzie Trillian ukrył Honoratę. Czy umieścił ją na trasie, którą pokonałam tamtego dnia, czy też w jakimś niedostępnym miejscu. Zamek jest ogromny.

– O czym wy mówicie? – dopytywała się Kosta, podnosząc głos.

Przed nimi Harmonia zatrzymała się i obróciła.

– Czy coś jest nie tak? – zapytała.

Ella i Tessa również się obejrzały.

– Usłyszałam o spisku – odpowiedziała głośno Mira. – Ojciec chce nas pojmać na placu ćwiczebnym i odebrać nam moce formistyczne.

Przez twarz Harmonii przebiegł wyraz niepokoju.

– Miracleo, cóż ci przyszło do głowy, żeby wygadywać takie rzeczy?

– Plac ćwiczebny jest ustronny – kontynuowała dziewczynka. – Nori trenuje tam z Galinem. Spróbujemy ją przekonać, żeby pojechała z nami na festyn. Matka powie jej, że nie musi się nawet przebierać, i pozwoli jej wziąć udział w zawodach łuczniczych. Nori będzie się opierała. A potem schwyta nas gromada ludzi ojca. Galin zginie, próbując nas bronić mieczem treningowym. Będzie tam także Owandell.

– Wiedziałam, że dziś nadejdzie koniec początku – powiedziała Tessa, wygładzając zmarszczkę na fartuszku.

Harmonia zrobiła krok w stronę Miry.

– Dlaczego tak mówisz? Skąd możesz wiedzieć, że Galin zginie?

– Mamo! – jęknęła Ella. – Chyba nie traktujesz tych bzdur poważnie! Widzisz, czym to się kończy, kiedy pozwalasz córce bawić się z aktorami? Bujdami i sztucznym dramatem.

– Czy to jakaś gra? – zapytała Harmonia oskarżycielskim tonem.

– Mówię poważnie – zapewniła Mira. – Musimy się schować. Powinnyśmy się rozproszyć. Nie pozwólmy, żeby odebrał nam moce!

– Patrzcie. – Tessa wskazała palcem. – Owandell.

Wszyscy podążyli spojrzeniem ku szczytowi murów zamku, gdzie stanowczym krokiem szedł mężczyzna w brązowej szacie mnicha. Na głowie nie miał kaptura, widzieli więc jego łysinę oraz pulchną twarz. Uważnym wzrokiem wpatrywał się w Mirę.

– Kto to? – zapytał Cole.

– Doradca mojego ojca. Dowodził ludźmi, którzy nas pojмали. Myślę, że właśnie on jest naszym zagrożeniem.

Z drzwi na murze oraz tych w dole, na dziedzińcu, wyłonili się ludzie w czarnych zbrojach. Bez wahania ruszyli na zamkowych gwardzistów i zaczęli ich mordować.

– Agenci – zrozumiał Cole, bo pamiętał te stroje z zasadzki w wąwozie.

– Są wszędzie – dodał Jace.

– Tylko nie przed nami – stwierdziła Mira. – Chcą nas zagonić na plac ćwiczebny.

– Co się dzieje? – zapytała Ella ze szczerym przerażeniem w głosie.

Zamkowi strażnicy wciąż ginęli. Na początku padali bez walki, ale teraz zaczęli stawiać opór. Agenci byli jednak znacznie lepiej wyszkoleni.

– Zdrajcy! – krzyknął Owandell z murów, wskazując mieczem Jace'a i Cole'a. – Chcą skrzywdzić rodzinę królewską!

– To on jest zdrajcą! – odpowiedziała głośno Mira i wycelowała w niego palec. – Zabija naszych gwardzistów!

– Kłamiesz! – Owandell był siny z wściekłości. – To ty sprowadziłaś tych intruzów!

– Tędy! – zawołała Harmonia, biegnąc ku drzwiom na plac ćwiczebny.

– Idziemy za nią? – Cole spojrzał na Mirę.

– Inaczej zginiemy – odparła. – Nie widzę tu nikogo, kto mógłby być Honoratą.

Rzucili się biegiem przez dziedziniec. Gwardziści padali na prawo i lewo. Cole wyciągnął z pochwy miecz skakania. Harmonia z Ellą biegły najszybciej, więc teraz gnały pozostałych przez duże drzwi. Gdy tylko wszyscy przestąpili próg, Ella zatrasnęła je i zaciągnęła dwie grube zasuwki.

Harmonia spojrzała na miecz Cole'a.

– Czy jesteś pewien, po czyjej stronie stoisz? – zapytała.

– Jestem z wami.

Królowa wyjęła krótki, ostry sztylet.

– Tędy – powiedziała.

Biegli długim korytarzem z łukowatym sufitem. W kinkietach płonęły masywne pochodnie. Ich kroki odbijały się echem od nagich ścian. Na drugim końcu czekały kolejne drzwi. Ella dobiegła do nich jako pierwsza i mocno je pchnęła.

Plac ćwiczebny był okolony przez zadaszony chodnik, oddzielony od pustej przestrzeni balustradą. Pośrodku placu toczyły bój dwie postaci ubrane w skórzane zbroje i dzierżące drewniane miecze. Stukot symulowanego starcia nie ustał mimo wtargnięcia przybyszów.

– Nori, atakują zamek! – krzyknęła Harmonia.

Walczące postaci zatrzymały się i odwróciły.

– Bardzo zabawne, mam – powiedziała jedna z nich, opierając sobie na ramieniu drewniany miecz. – Nie jadę na festyn.

– Honorato, sforsowali naszą obronę – oznajmiła królowa surowym tonem. – Gwardziści giną dziesiątkami.

– Ty nie żartujesz – zrozumiała Honorata.

Zdjęła hełm. Krótkie, spocone włosy lepiły jej się do głowy.

– Co mogę zrobić? – zapytał jej partner sparingowy.

– Na początek, Galinie, poszukaj prawdziwego miecza – zasugerowała Harmonia.

– Czy to ona? – Cole po cichu zapytał Mirę.

– Wątpię. Jest zbyt naturalna. Nie wyobrażam sobie, żeby Honorata zgodziła się brać udział w tej maskaradzie.

– Dokąd mamy uciekać? – zapytała Ella.

– Tędy – powiedział Galin, ruszając biegiem w stronę przeciwległego krańca placu.

Otworzyły się drzwi, do których się kierował, i wyłonili się z nich żołnierze w ciemnych strojach. Inne wejście na plac także stało otworem. Wpadło przez nie jeszcze więcej agentów, w większości uzbrojonych w miecze, a niektórzy w kije lub topory.

Cole, wzburzony i roztrzęsiony, chciał wykorzystać swoją desperację. Wycelował miecz skakania w jeden z balkonów i zawołał: „Naprzód!”, ale broń nie zadziałała.

W jednym z wejść pojawił się Stafford Pemberton. Był mężczyzną średniego wzrostu o zapadniętych policzkach, ze śladami siwizny w ciemnych włosach. Cole rozpoznał go, ponieważ pamiętał fałszywą wersję najwyższego króla, która rozmawiała z Mirą, kiedy walczyli ze Spustoszą. Stafford uniósł dłonie w pokojowym geście.

– Proszę, niech wszyscy opuszczą broń. Zaszło straszliwe nieporozumienie.

Agenci nie ustąpili pola. Na placu ćwiczebnym było ich już ponad dwudziestu.

– Co się dzieje, Staffordzie? – zapytała Harmonia. Ostra nuta w jej głosie wskazywała na to, że nie wierzy w jego niewinność.

– Przepraszam za tę spektakularną demonstrację siły – rzekł król. – Jest wśród nas zdrajca. – Wycelował palec w Mirę. – Ona nie należy do naszej rodziny. To tylko wymyślne przebranie! Zdradzono nas. Owandellu! Rozkazuję natychmiast zgładzić tych szpiegów.

Otworzyły się drzwi, przez które wcześniej Cole i pozostali weszli na plac. Wyłonił się z nich Owandell z mieczem w dłoni.

– Z przyjemnością – powiedział.

Za nim podążało kilku agentów.

– Niby jak to nie jest Mira? – Honorata podała w wątpliwość słowa ojca

i zrobiła krok naprzód. – I po co tylu żołnierzy, żeby pojmać troje dzieci?

– Tutaj użyto formowania – odparł Stafford. – Zejdź z drogi, Honorato.

Agenci napierali z bronią w ręku, odcinając wszystkie drogi ucieczki. Honorata niepewnie spojrzała na matkę.

– To koniec – powiedziała Mira. – Spróbuj z Nori.

Owandell kroczył ku nim z kamienną twarzą i mieczem w dłoni. Cole rzucił się w stronę Nori, złapał ją za nadgarstek i krzyknął:

– Honorata!

ROZDZIAŁ 31

PAN BARRUM

Była noc. Na niebie świeciły gwiazdy. Cole, Jace i Mira kucali na rozległym polu pełnym olbrzymich chwastów, zwróceni twarzami w stronę mocno podniszczonego drewnianego płotu, który musiał mieć z piętnaście metrów wysokości. Kiedy Cole się obrócił, spostrzegł, że pole widzenia w sporym stopniu przesłania mu porzucona pralka, większa od wywrotki. Za nią rozświetlało okolicę niewidoczne źródło światła. Po jednej stronie Cole miał kępę mleczy, które sięgały mu do pasa. Po drugiej – skorupę ślimaka niemal wielkości piłki nożnej.

– Czyli to chyba nie była Honorata – stwierdził. – Jedna próba z głowy, zostały jeszcze dwie.

– Nie mów o tym, co zostało – odparł Jace. – Wygrajmy już teraz. Damy radę. – Zamilkł na chwilę i rozejrzał się wkoło. – Gdzie jesteśmy?

– Nie wiem – przyznała Mira. – Ale wolę każde inne miejsce od tego ostatniego.

– Czy tak to się właśnie odbyło? – zapytał Cole. – Przyszli po was agenci?

Mira pokręciła głową.

– Trillian stworzył bardziej dramatyczną wersję. W rzeczywistości nie było ataku, nie ginęli strażnicy. Wszystko wydarzyło się na placu ćwiczebnym. Pojmali nas gwardziści ojca. Mniej więcej dziesięciu. Galin zginął, próbując nas bronić, a Honoratę musieli rozbroić. Ojciec nie przyszedł. Ale Owandell owszem.

– Mieliśmy mało czasu na szukanie Honoraty – stwierdził Jace.

– Odkąd zбочyliśmy z moich wspomnień, sprawy pogorszyły się bardzo szybko – powiedziała Mira. – Trillian raczej nie zostawił nam wyboru, dokąd iść. Zauważyliście, że zagonili nas na plac ćwiczebny?

– Czy w ogóle widzieliśmy prawdziwą Honoratę? – zastanawiał się Cole.

– Nie wiem. Próbowалам się przyglądać. Mogła być pierwszym lepszym strażnikiem. Albo ptakiem gdzieś w tle. A może przebywała w części zamku, do której nie dotarliśmy.

– To byłoby nieuczciwe – stwierdził Cole. – Trillian mówił, że mamy szansę wygrać.

– Ale miało być ciężko – wtrącił Jace. – Może za wcześnie się poddaliśmy. Może należało walczyć i przedrzeć się w jakieś inne miejsce.

– Otoczyli nas – przypomniała Mira. – Owandell przyszedł wykonać na nas wyrok. Musieliśmy zgadywać i jak najszybciej ruszać dalej.

– Co to takiego? – zapytał Jace, wskazując starą pralkę.

– Pralka – odparł Cole. – Pewnie zepsuta, skoro tu leży. Ale za duża. Wszystko jest przerośnięte.

– Co się w niej pierze? – spytała Mira.

– Ubrania. – Cole dostrzegł zgniecioną puszkę po coli wielkości kosza na śmieci. Słyszał cykanie świerszczy. Kiedy dokładniej przyjrzał się gwiazdom, rozpoznał Wielki Wóz. – Jesteśmy w moim świecie.

– Twój świat to straszny śmietnik – stwierdził Jace.

Cole ledwo dosłyszał tę obelgę. Nagle podwórko wydało mu się znajome. Ruszył w bok, żeby wyrzeć zza pralki. Tak jest, był tam parterowy dom z dużą werandą na tyłach, a nieopodal stały klatki królików. Na werandzie paliło się światło, a w jednym z okien migotał niebieskawy blask telewizora.

– Wiem, gdzie jesteśmy.

– Gdzie? – spytała Mira.

– To dom pana Barruma.

– Nic nam to nie mówi – stwierdził Jace.

– Kiedyś mieszkałem w Idaho – wyjaśnił Cole. – Aż do pierwszej klasy. Pan Barrum miał wielkie, zachwaszczone podwórko na końcu naszej ulicy. Za domem trzymał króliki. Dalej były już tylko puste pola. Pana Barruma bały się wszystkie dzieci w okolicy. Kiedy chodziłem do przedszkola, pewnego dnia zniknął nasz kot, Smokey. Innym dzieciom też ginęły koty. Tata mówił, że to pewnie kojoty albo jakaś sowa, ale my wiedzieliśmy, że to pan Barrum. Ciągle chodził z siekierą w rękę, a gdy podchodziliśmy do jego domu, wymachiwał nią i kazał nam trzymać się z dala od jego królików.

– Jesteśmy teraz w twoim dawnym miasteczku? – zapytała Mira.

– Tak. Na przedmieściach Boise. Ale jesteśmy mali. Trillian nas skurczył. Albo powiększył podwórko.

– Ten Barrum nie był olbrzymem? – spytał Jace.

– Nie.

- Myślisz, że to on jest zagrożeniem? – zastanawiała się na głos Mira.
- Pewnie tak. Nie cierpiałem faceta. Miałem przez niego koszmary.
- Ma rodzinę? – zapytał Jace. – Ma psy?
- Mieszkał sam. Tylko on i króliki.
- Poszukajmy Honoraty tutaj – zaproponowała Mira. – A może powinniśmy iść gdzie indziej? Może do twojego domu? Tam, gdzie jest więcej ludzi?
- Trudno będzie wydostać się z podwórka – odparł Cole. – Całe jest ogrodzone. Raz wspięliśmy się na płot z moją siostrą i... starszym kolegą. Podsadzili mnie. Pamiętam tę pralkę. I klatki z królikami. Pan Barrum mnie zobaczył. Wybiegł z domu, wrzeszcząc coś o terenie prywatnym. Zwiewaliśmy, aż się kurzyło.
- Jeśli to Barrum jest tym złym, Honorata może być królikiem – rozumował Jace.
- To by miało sens – przyznał Cole. – Jeżeli Trillian chciał namieszać mi w głowie, zrobienie z Honoraty któregoś z królików byłoby okrutne. Do królików pana Barruma nikt się nie zbliżał. Wszyscy trzymali się z dala od jego domu. Starali się go nawet nie widzieć.
- Ile jest tych królików? – zapytała Mira.
- Nie wiem. Sporo. Może z dziesięć. Zajrzałem na jego podwórko tylko ten jeden raz.
- Teraz moja kolej na zgadywanie – zwrócił się Jace do dziewczynki. – Idziemy zobaczyć, czy któryś z królików przypomina ci siostrę?
- Musimy być cicho – zaznaczył Cole. – Pan Barrum jest w domu, ogląda telewizję.
- Co to jest telewizja? – spytała Mira.
- Taka... no... skrzynka, która pokazuje różne historie.

– W twoim świecie jest bardzo dziwna magia – skomentował Jace.

– Pośpieszmy się – przynagliła Mira. – Pamiętajcie, że wszystkim kieruje Trillian. Może w jego wersji pan Barrum będzie bardziej czujny niż zwykle. Może doda coś, czego Cole się nie spodziewa. Tak jak zrobił to ze mną i moją rodziną.

Przebiegli przez podwórko, omijając wysokie chwasty, wielką rękawicę roboczą i kilka pustaków długości łóżek. Przeskoczyli przez zielony wąż ogrodowy, po czym ukryli się za pordzewiałym grillem niedaleko klatek.

Mieściły się one w budkach przypominających rząd domków na szczudłach. Prząd był otwarty, więc widzieli klatki, ale królików już nie. Do każdej klatki przylegała nieduża zamknięta przestrzeń, w której zwierzęta mogły się schować.

– Osiem klatek – policzył Cole. – Czyli pewnie osiem królików.

– Chyba że są też puste – odrzekł Jace. – On je hoduje na mięso, prawda?

– Zawsze tak myślałem. Podejrzewałem, że naszego kota też zjadł.

– Do klatek trudno się będzie dostać – oceniła Mira.

– Byłoby fajnie, gdyby miecze skakania znowu zaczęły działać – mruknął Jace.

– Już próbowałem – odparł Cole.

Mira podbiegła do budek. Same słupki, na których się opierały, przewyższały ich ponad trzykrotnie.

Dziewczynka obesła jeden z nich, przyglądając mu się uważnie.

– Damy radę się wspiąć?

– Nie ma się za co złapać – stwierdził Jace. – Przydałby się miecz skakania.

Cole dobył miecza i wycelował w jedną z klatek. Zamknąwszy oczy,

wyobraził sobie, że miecz działa, że na jego głowni tańczą widmowe płomienie. Przełał całą swą siłę woli w to, żeby broń zadziałała.

Potem otworzył oczy i rozkazał stanowczym tonem:

– Naprzód!

Nic się nie wydarzyło.

– Dobra robota – skomentował oschle Jace.

– Musimy się dostać na górę – powiedziała Mira, rzucając mu spojrzenie pełne wyrzutu.

– A gdybyśmy przyciągnęli tamte cegłówki? – zaproponował chłopiec.

– Są dużo za ciężkie – odparł Cole, a potem rozejrzał się po okolicy. Na werandzie, niedaleko drzwi, dostrzegł lodówkę, a obok niej torebkę z niebieskimi kubkami z plastiku. – Już wiem.

Nie tracąc czasu na wyjaśnianie przyjaciółom pomysłu, pobiegł na werandę. Jace i Mira ruszyli za nim. Przeźroczysta torebka nie była zamknięta, więc Cole ją rozchylił i wszedł do środka. Czuł się trochę tak, jakby szarpał się ze spadochronem. Kubki leżały ułożone jeden w drugim. Chwycił ten z góry i wyciągnął na zewnątrz. Kiedy postawił go pionowo, kubek sięgał mu prawie do ramion.

– Piramida – zrozumiał Jace i wszedł po kolejny.

Kubki okazały się niezbyt ciężkie. Cole porównałby ich wagę do pustego kubła na śmieci. Ustawili dwa obok siebie pod jedną z budek, a na nich trzeci.

– To może wypalić – przyznała Mira.

– Myślicie, że wystarczą trzy poziomy? – zapytał Jace.

Cole pokręcił głową.

– Nie sięgniemy. Potrzeba czterech. Będzie niezbyt stabilnie.

– Lepiej się pośpieszmy – przynagliła Mira.

Zrobili jeszcze dwie rundy i mieli dziewięć kubków. Cole z Jace'em zaczęli je ustawiać, a tymczasem Mira poszła po dziesiąty. Z pierwszymi dwoma rzędami poszło prosto. Potem Jace musiał stanąć na tym najniższym, żeby ustawić dwa kubki na trzecim poziomie.

Zeskoczył na ziemię i oparł dłoń na dziesiątym kubku.

– Wdrapię się na drugi rząd – powiedział. – Cole, ty wejdiesz niżej i mi go podasz.

Cała konstrukcja się chwiała, gdy się wspinał, ale wytrzymała. Kiedy na pierwszy rząd wciągał się Cole, za mocno się uwiesił. Kubek przechylił się do przodu i wszystko runęło. Jace zdążył zeskoczyć i wylądował z przewrotem.

Cole ze wstydu zaczerwienił się po uszy. Wstrzymał oddech. Stukot upadających kubków wydawał się głośny, ale może nie było go słychać w domu.

Mijały sekundy. Chłopiec obserwował tylne drzwi.

Nikt nie wyszedł.

– Brawo – mruknął Jace.

– Przepraszam – powiedział zawstydzony Cole. – Wszystko w porządku?

– Wręcz doskonale – odparł krótko tamten.

– Następnym razem przytrzymam kubek, na który się wspinasz – szepnęła Mira. – Szkoda, że wcześniej o tym nie pomyślałam.

Bardzo szybko odbudowali trzy poziomy. Jace wdrapał się na drugi rząd, Mira podparła skraj piramidy i Cole wszedł na pierwszy poziom. Dziewczynka obesła budowlę, a potem podała mu dziesiąty kubek. Cole

ostrożnie przekazał go Jace'owi. Nie ruszał się, kiedy jego przyjaciel ustawił kubek na szczycie.

– Wejdz na górę – powiedziała Mira do Jace'a. – Ty tu jesteś najważniejszy. To ty musisz zgadywać.

– Niezbyt to stabilne – mruknął chłopiec, testując jeden z kubków na trzecim poziomie.

Kiedy się wspinał, Cole obserwował jego technikę. Jace szybkim, opanowanym ruchem podciągnął się do pozycji siedzącej. Potem powoli wstał.

– Dobra robota – pochwaliła z dołu Mira.

– Całe szczęście, że nie ma wiatru – stwierdził Jace, badając kubek na szczycie.

Gdy się na niego wdrapał, kubek przechylił się na bok. Cole uskoczył przed walącą się piramidą. Jace wylądował na jednym z kubków i go zgniótł, ale plastikowe naczynie na szczęście zamortyzowało jego upadek.

Minęła tylko chwila, zanim otworzyły się tylne drzwi domu i pojawił się w nich pan Barrum z siekierą w dłoni. Miał na sobie podkoszulkę i spodnie od dresu, a z zębów sterczała mu wykałaczka. Wyglądał na zgryźliwego i był absolutnie ogromny.

Na jego widok w Cole'u przebudził się jakiś instynkt z dzieciństwa. Chłopiec skulił się z przerażenia, sparaliżowany strachem znacznie większym niż zagrożenie, jakie stwarzał ten olbrzym.

Pan Barrum ruszył w stronę klatek z twarzą wykrzywioną od gniewu.

– Szkodniki! – wrzasnął ostrym głosem, który Cole pamiętał aż za dobrze. – Precz od królików!

– Jesteśmy krasnalami! – krzyknął chłopiec desperacko.

Pan Barrum albo nie usłyszał, albo wcale się tym nie przejął. Człapał ciężko

w ich stronę, oburącz ściskając siekiere gotową do ciosu.

Cole za późno się zorientował, że rozsądny człowiek schowałby się wewnątrz kubka. Leżał nieruchomo, podczas gdy Jace pobiegł w jedną, a Mira w drugą stronę. Pan Barrum skręcił za dziewczynką. Jace wycofał się pod budki królików, więc ona, uciekając na otwartą przestrzeń, stała się łatwiejszym celem.

Pędziła w kierunku pustaka. Jeśli zdąży schować się w którymś z otworów, chwilowo będzie bezpieczna, ale ta misja już była spalona.

Cole zerwał się na równe nogi i wyciągnął z pochwy miecz skakania.

– Tu jestem! – zawołał, wymachując bronią z nadzieją, że odwróci uwagę pana Barruma od Miry.

Pan Barrum nie zwrócił na niego uwagi.

Stawiał długie kroki i dogonił dziewczynkę jeszcze przed pustakiem. Siekiera już opadała ze świstem, gdy nagle coś wpadło na Cole'a od tyłu i Jace wrzasnął:

– Honorata!

ROZDZIAŁ 32

ZAMEK NA NIEBIE

Znowu był dzień. Błękit nieba łagodziły puchate białe chmury. Cole leżał rozciągnięty na gęstej trawie, przygnieciony przez Jace'a. Sądząc po wielkości źdźbeł, odzyskali normalne rozmiary.

– Co się stało? – zapytał Cole.

– Przepraszam – odparł Jace, schodząc z przyjaciela. – Musiałem nas ratować. Nie wiedziałem, czy próba zgadywania będzie się liczyć, jeśli nie dotknę czegoś żywego, więc złapałem ciebie.

– Co za absurd! – jęknął Cole. – Przecież mieliśmy dostać jakąś szansę! Tym razem nawet nie dotarliśmy do żadnej żywej istoty!

– Może byliśmy blisko. Honorata mogła być królikiem. Nie wdrapaliśmy się, żeby to sprawdzić.

– Trillian ostrzegła, że będzie trudno – powiedziała Mira. – Tak czy inaczej musimy wygrać. Teraz albo nigdy. Tym razem moja kolej.

Podeszła do Cole'a i podała rękę, żeby pomóc mu wstać. Otrzeptał się i rozejrzał dookoła, chcąc odzyskać koncentrację. Przed nimi wyrastała olbrzymia ściana. Szare bloki wielkości samochodów połączone bez zaprawy. Przez mur prowadziło wielkie, sklepione przejście bez bramy. Po drugiej stronie widać było kolejną ścianę. Ponad wszystkim górowała prosta, wąska wieża, która wznosiła się absurdalnie wysoko. Nie widzieli jej podstawy.

– O nie – jęknął Jace.

– Co takiego? – zapytała Mira.

– To mój najgorszy zamek na niebie. Piąta misja. Nigdy nie byłem bliższy śmierci.

Cole zerknął przez ramię. Za jego plecami trawa kończyła się nagłą krawędzią, a dalej rozciągało się już tylko niebo. Spojrzał wkoło – nie widział niebolotu ani zamków w oddali.

– Opowiedz nam o nim – poprosiła Mira.

Jace westchnął ciężko.

– Było okropnie. Nie wziąłem spadochronu. Wtedy jeszcze myślałem, że

szybkość jest ważniejsza niż zabezpieczenie. Te mury to część labiryntu. W samym środku znajduje się stado koni.

– Przeróżające! – skomentował Cole.

– Powiedział gość, który ma koszmary o królikach – warknął Jace. – Jeszcze nie skończyłem.

– Jakie jest zagrożenie? – zapytała Mira.

– Potwór. Duży. Ze dwa razy większy ode mnie. Z ostrzami zamiast rąk. Szalupa wysadziła mnie pośrodku, przy koniach, ale potwór zagonił mnie do labiryntu. Przez jakiś czas bawił się ze mną w kotka i myszkę. Daję słowo, że robił to dla zabawy. Potem zagnał mnie do wieży bez żadnych pomieszczeń, tylko ze spiralnymi schodami, cały czas w górę i w górę. Naprawdę myślałem, że umrę z wycieńczenia. Potwór biegł tuż za mną, te jego ostrza zgrzytały o kamienne stopnie. Słyszałem, jak dyszy. Na samej górze znajdował się zatęchły pokój bez okien. Wpadłem w pułapkę. Wiedziałem, że już po mnie. Żadnej drogi ucieczki, żadnej drogi do szalupy.

– Co zrobiłeś? – zapytał Cole.

– W pomieszczeniu stało mnóstwo starych skrzyń i kufrów. W którymś z nich znalazłem złotą linę. Gdy tylko wziąłem ją do ręki, czułem, że porusza się według mojej woli. Kiedy wszedł tam potwór, użyłem jej, żeby go wyminąć, a potem zbiegłem po schodach. To właśnie wtedy lina po raz pierwszy uratowała mi życie. I wtedy jako zwiadowca byłem najbliższy śmierci.

– Nigdy nie słyszałam tej historii – powiedziała Mira.

– Bo nigdy jej nie opowiadałem – odparł Jace, zadzierając głowę i patrząc na wieżę.

– Czy są tu inne żywe istoty oprócz koni? – spytała.

– Tylko one. Uciekając przed potworem, nieźle zwiedziłem to miejsce. W centrum labiryntu, blisko podstawy wieży, pasie się swobodnie na polu

około dwadzieścia koni.

– Pamiętasz, jak się dostać do środka?

– Dzięki linie mogłem wdrapywać się na mury, więc labirynt to była pestka. Po ziemi będzie dużo trudniej. – Spojrzał na szczyt ściany. – Teraz ciężko będzie się tam wspiąć.

– Szkoda, że nie mamy plastikowych kubków – zamyślił się Cole.

Jace zarechotał.

– Przepraszam, że wtedy spadłem – powiedział.

– Cieszę się, że nie byłem jedyny – odparł Cole.

– Te mury mają z dziesięć metrów wysokości – stwierdziła Mira. – Nie dostaniemy się na górę. Musimy spróbować w labiryncie.

Weszli sklepionym przejściem do długiego kamiennego korytarza. Mira i Cole spojrzeli na Jace'a.

– Chyba tędy – powiedział. – Minęło już dużo czasu. A mój ostatni pobyt był dość szalony.

– Czy potwór mieszka w wieży? – zapytała Mira.

– Raczej nie. Pomieszczenie na górze przypominało raczej magazyn, a nie norę. Kiedy mnie poprzednio zaatakował, pojawił się w labiryncie.

– Myślisz, że rozpoznasz Honoratę jako konia? – zwrócił się Cole do dziewczynki.

– Mam nadzieję. To nasza ostatnia próba. Co będzie, jeśli potwór przyprze nas do muru? Mam użyć mojej próby, żeby się ratować, prawda?

– Nie pozwolimy mu na to – odparł Jace. – Rozdzielimy się. Ja z Cole'em zwabimy go, żeby nas gonił, a ty przez ten czas idź do środka labiryntu. Zmarnuj próbę, tylko gdybyś musiała ratować życie.

Kiedy dotarli do rozgałęzienia, Jace przystanął. W nowym korytarzu ponad murami widać było niebotyczną wieżę.

– Ciekawe, czy moja lina jest tam na górze – zastanawiał się chłopiec.

– Nie masz jej ze sobą? – spytała Mira.

– Zawsze – odrzekł, wyciągając ją z kieszeni.

– Może tutaj zadziała – stwierdził Cole.

Jace pomachał złotym sznurem.

– Niestety. Ale to niezły pomysł.

– Wątpię, żeby Trillian umieścił tam działającą linę – powiedziała Mira. – Przecież chce nam utrudnić wygraną. Wredny sąsiad Cole’a był olbrzymem. Nie powinniśmy liczyć na żadne przysługi. W tej wersji wieża to pewnie mordercza pułapka.

Zatrzymali się na skrzyżowaniu. Jace wziął się pod boki.

– Teraz to już tylko zgaduję – przyznał, skręcając w lewo.

Znajdowali się w połowie drogi do kolejnej krzyżówki, gdy zobaczyli potwora. Lśniaca czarna istota chodziła wyprostowana jak człowiek. Jej ciało najeżone było bezlikami cienkich kolców. Potwór nie miał szyi, więc jego szeroki łeb nie wyrastał wysoko ponad silne ramiona. Na końcu każdej z długich rąk sterczała para straszliwych ostrzy przypominających sierpy.

Jace szarpnął Cole’a i Mirę, a potem odwrócił się i ruszył pędem z powrotem tam, skąd przyszli. Cole zerknął przez ramię: potwór sadził za nimi, kołysząc rękami.

– Rozdzielamy się! – wrzasnął Jace, kiedy dobiegli do skrzyżowania.

Pognał prosto, Mira skręciła w lewo, a Cole w prawo, czyli w kierunku, z którego przybyli.

Biegł ile sił, serce waliło mu jak młotem. Obejrzał się w samą porę, by zobaczyć, że bestia przecina skrzyżowanie na wprost i rusza za Jace'em. Zahamował.

Co mu po tym, że wróci do wyjścia, skoro nic go nie goni? Jeżeli zawróci i ruszy za Mirą, może zdąży ją doścignąć i zdoła jej pomóc. Gdyby dopadł ją potwór, trzeba będzie odwrócić jego uwagę.

Cole pobiegł za przyjaciółką. Kiedy zbliżał się do skrzyżowania, przyszło mu do głowy, że może bestia czyha na niego tuż za winklem. Jeśli tak, to zaraz będzie ją oglądał od środka.

Skrzyżowanie okazało się puste. Pognał naprzód w kierunku, w którym udała się Mira. Po kilku kolejnych rozgałęzieniach zrozumiał, że musiałyby mieć mnóstwo szczęścia, aby za każdym razem wybrać tę samą drogę co ona. Poza tym była od niego troszkę szybsza, więc raczej nie uda mu się jej dogonić.

Uznał, że w takim razie powinien dotrzeć do serca labiryntu. Jeśli trafi tam przed wszystkimi, poczeka i może przyjrzy się koniom. Miał oczy i uszy otwarte, świadom, że za każdym zakrętem może się natknąć na potwora.

Zastanawiał się, czy Jace'owi nic się nie stało. Monstrum nie wydawało się zbyt szybkie. Z drugiej strony oczywiście nie biegło z pełną prędkością. Czy bawiło się z Jace'em tak jak poprzednio, czy tym razem nie marnowało czasu?

Cole trafił w ślepy zaułek i zawrócił. Twarz i ramiona lśniły mu od potu, oddychał z coraz większym trudem. Nawet kiedy kogoś goni potwór, są pewne granice możliwości ucieczki na pełnym gazie. Zwłaszcza, gdy tego potwora nie widać.

Chłopiec zwolnił do truchtu. Wybierał zakręty w stronę centrum labiryntu, kierując się widokiem wieży. Kiedy natrafiał na kolejne ślepe zaułki, ponownie korygował trasę.

– Już mnie nie goni! – zawołał Jace z oddali. – Przestał za mną biec! Uważajcie! Teraz może was dopaść!

Dreszcz niepokoju przebiegł Cole'owi po plecach. Znowu przyśpieszył bieg.

Po następnych dwóch zakrętach zobaczył sklepione przejście, a za nim – zieloną trawę i kilka koni. Biegąc w tamtą stronę, w mijanym korytarzu dostrzegł Mirę. Szła w złym kierunku.

– Miro! – zawołał nie za głośno.

Zatrzymała się i odwróciła. Pomachał. Pobiegnęła do niego.

Kiedy dotarła do Cole'a i zobaczyła przejście, uśmiechnęła się i przyśpieszyła.

– Dobra robota – wydyszała. – Zupełnie się zgubiłam.

Po drugiej stronie zobaczyli łąkę w pełnej krasie. Wieża także była widoczna w całości, sięgała ku niebu jak średniowieczny drapacz chmur. Pasło się tam ponad dwadzieścia koni, większość po drugiej stronie pola. Miały różne umaszczenie: białe, gniade, siwe, bułane, kare i kilka srokatych. Jeden był jasnoniebieski.

Mira pobiegła w stronę głównego stada. Prawie wszystkie konie przed nią uciekały. Jeden, siwy, z nakrapianym zadem, również odsunął się od niej, ale trzymał się z dala od pozostałych. Dwa, bułany i jasnoniebieski, podeszły do dziewczynki.

Kiedy się zbliżyły, zaczęła mówić do nich łagodnie i głaskała je po karkach. Niebieski ocierał się łbem o jej rękę.

– Może to ten? – spytał Cole.

– Honorata miała mnie nie rozpoznawać – przypomniała Mira. – Chyba nie byłaby taka przyjazna wobec obcej osoby.

– Zbliża się! – krzyknął Jace. Teraz słyszeli go już bliżej.

Cole obrócił się w miejscu. Przez przejście w murze widział potwora, który sadył w jego kierunku. Za nim biegł Jace.

– Miro! – zawołał Cole. – Mamy towarzystwo!

– Może to ten siwy – stwierdziła dziewczynka.

Ruszyła w stronę konia, ale ten odbiegł galopem, zwiększając dystans. Cole ruszył, żeby odciąć mu drogę i zagnać go z powrotem do Miry.

Kiedy potwór wpadł na polanę, kilka koni zarżało. Monstrum skierowało się do Cole'a takimi samymi długimi susami. Chłopiec zaczął wycofywać się w stronę wieży. Wymachiwał rękami, żeby skupić na sobie jego uwagę.

– No, już – mruzczała uspokajająco Mira, zbliżając się do siwego konia. Na wyciągniętej dłoni trzymała kępkę trawy. – Chodź, malutka. Nie masz się czego bać.

Potwór gwałtownie skręcił ku dziewczynce. Klacz pozwoliła jej podejść i skubała trawę z jej ręki. Mira głaskała zwierzę po pysku.

– Miro! – ostrzegł Cole. Monstrum było coraz bliżej. Teraz to już bez znaczenia, czy Mira się pomyli. Jeśli będzie czekać, zginie! – Powiedz to!

Gdy dziewczynka podniosła wzrok, zobaczyła, że potwór ma do niej już tylko parę kroków. Jace wpadł na polanę przez przejście w murze i zaczął wrzeszczeć:

– Hej! Brzydalu! Tu jestem!

Nie odrywając dłoni od konia, Mira przykucnęła i osłoniła twarz ramieniem. Potwór zatrzymał się przed nią, wysoko uniósł rękę, bliźniacze sierpy skierował ku dołowi.

– Poddaj się – warknął chrapliwym, obcym głosem.

– Powiedz to! – powtórzył Cole.

Mira puściła konia i zanurkowała w stronę potwora. Gdy tylko dotknęła palcami jego stopy, krzyknęła:

– Honorata!

ROZDZIAŁ 33

JEZIORO MGIEŁ

Cole stał na skraju przejrzystego stawu otoczonego przez najróżniejsze kryształy z żyłkami w jaskrawych barwach. W oddali wznosił się pałac Trilliana – dziwo z pereł i platyny.

Nieopodal stała Mira naprzeciwko wysokiej nastolatki w stroju podróznym, którą Cole natychmiast rozpoznał z pierwszej próby w konkursie. To była Honorata.

Mira rozpromieniła się na jej widok. Siostra znów miała krótsze włosy i nie nosiła eleganckiego ubioru. Była oszołomiona.

– Mira? – wydukała w końcu. – Niemożliwe.

– Odnalazłam cię – powiedziała Mira i rzuciła się jej na szyję.

Honorata przerastała młodszą siostrę o głowę. Nie czerpała przyjemności z czułego gestu, tylko rozejrzała się wokół nerwowo.

– Trillianie! Czy to kolejna z twoich sztuczek?

– Nie, Honorato, to naprawdę ja – zapewniła Mira. – Odszukałam cię wraz z przyjaciółmi. Właśnie cię uwolniliśmy.

Obok nich wylądował srebrny ptak, który zmienił się w Hinę.

– To prawda, Honorato. Rzeczywiście stoi przed tobą siostra i wszyscy jesteście wolni.

Honorata spojrzała w dół na dziewczynkę, trzymając dłonie na jej ramionach.

– Mira? – Głos trochę jej się łamał. – Czy to naprawdę ty? Tak długo cię nie widziałam! Nic się nie zmieniłaś.

– Ty też nie. – Mira ciągle uśmiechała się od ucha do ucha. – Minęła cała wieczność.

Honorata mocno przycisnęła siostrę do piersi.

– Nie mogę oddychać! – wychrypiała Mira po dłuższej chwili.

Honorata puściła ją ze śmiechem. Mira zrobiła mały krok w tył.

– Dalej jesteś chuderlawa! – stwierdziła starsza z królewskich sióstr.

– A ty dalej nie zdajesz sobie sprawy z tego, ile masz siły.

– Chwileczkę – mruknęła Honorata podejrzliwie. – Przed chwilą uczestniczyłam w konkursie, walczyłam o swoją wolność.

– O mało mnie nie zabiłaś – odparła Mira.

Honorata zakryła usta dłonią.

– To byłaś ty?

– Na czym polegał twój konkurs?

– Dostałam trzy scenariusze. Najpierw musiałam powstrzymać ojca przed porwaniem nas. Potem odpędzić trzy szczury atakujące króliki. A w końcu przegonić trzech koniokradów.

Mira uderzyła się w czoło.

– Zawsze byłaś napastnikiem!

– To ciebie cały czas goniłam? – zapytała Honorata z przerażeniem.

- Mnie i moich dwóch przyjaciół: Jace’a i Cole’a.
- Och, Miro, przepraszam. – Honorata spojrzała na Cole’a, a potem dostrzegła Jace’a. – Nie wiedziałam.
- Mnie ciągle ktoś chce zabić – odparł ten ostatni.
- Ja mam tak samo – dodał Cole.
- To nie twoja wina – uspokoiła ją Mira.

Honorata westchnęła.

- Jestem głupcem. Spodziewałam się podstępu, ale nie czegoś takiego.
- Dla nas wyglądałaś jak Owandell – powiedziała Mira. – Gdybym była bardziej bystra, powinnam się domyślić. On nigdy nie nosił miecza. Należał do tych, co nie lubią sobie brudzić rąk.
- Wy musieliście być trójką pojmanych zdrajców. Wyglądaliście jak ojciec, Owandell i Serbus. Obie dałyśmy się nabrać. Walczyłyśmy ze sobą w odmiennych wersjach tego samego scenariusza. Miro, nie miałam pojęcia...
- Żeby się uwolnić, musiałaś powstrzymać nas trzy razy?
- Musiałam zabić was troje. Trillian zapowiedział, że to będzie trudne. Ale nie mogłam zrezygnować z szansy na ucieczkę.
- My szukaliśmy ciebie. Wiedzieliśmy, że nie będziesz miała prawdziwej postaci. Musieliśmy cię odnaleźć, dotknąć i wypowiedzieć twoje imię. Ale dostaliśmy tylko trzy próby, po jednej w każdym miejscu. Nie pomyślałam, że możesz być naszym wrogiem. Przyszło mi to do głowy dopiero w ostatniej chwili, kiedy kazałaś mi się poddać.
- Zamiast mnie chciałaś wybrać konia? – spytała Honorata z niedowierzaniem.
- Trzymał się z dala od innych – wyjaśniła Mira. – To trochę tak jak ty,

zawsze zajęta swoimi sprawami. Ale kiedy do niego podeszłam, czułam, że to nie to. Coś mi podpowiadało, żeby poczekać do ostatniej chwili, bo może wpadnę na lepszy pomysł. Kazałaś mi się poddać i to było w twoim stylu, za to raczej nie pasowało do potwora.

– Nie powinnam była tego zrobić. W każdym razie gdybym grała w tę jego grę we właściwy sposób. Zabicie was to miała być przepustka, żeby stąd uciec. Ale czułam, że zabójstwo intruza byłoby zbyt okrutne. Jeszcze nie ukradliście koni. Nie próbowaliście ze mną walczyć. Czułam się jak zbój. Gorzej, jak morderca. Wiedziałam, że pewnie jesteś tylko ułudą, która może zniknąć, zanim dosięgnie jej mój cios, ale pozbawienie cię szansy kapitulacji mimo wszystko wydawało się nie w porządku.

Cole stanął obok Jace'a. Trzymali się z boku, na tyle blisko, żeby wszystko słyszeć, ale jednocześnie nie chcieli się narzucać. Honorata popatrzyła na nich.

– Dziękuję, że po mnie przyszliście. Jejku, przecież jesteście tylko dziećmi.

– A ty to co? – odparł Jace. – Mądra babuleńka?

– Nie chciałam was urazić.

– Dla nas wyglądałaś jak potwór – powiedział Cole. – Wiedziałaś o tym?

Honorata pokręciła głową.

– Cały czas czułam się sobą.

– Dobrze znałaś labirynt? – spytał Jace.

– Słabo. Wiedziałam tylko, że muszę chronić konie w samym środku. Dla mnie wyglądaliście jak małe gobliny.

– Gratuluję zdobycia wolności – oznajmiła Hina, podchodząc do Miry i Honoraty. – Mam was odprowadzić do bramy. Zanim odejdziecie, Trillian poprosił mnie, żebym przekazała wam pożegnalny podarunek.

– Niczego od niego nie chcę – odparła Honorata.

– Mimo to jest twój – powiedziała Hina.

Otworzyła rzeźbioną skrzynkę z drewna. Wyłoniła się z niej małeńka kula światła.

– Co to? – zapytała Mira.

– Myślałam, że moc Trilliana nie sięga poza jego włości – stwierdziła Honorata.

– To Iskra – wyjaśniła Hina. – Tego wytworu nie wykonał Trillian, ale Callista. Wielka formistka odpoczywała tutaj przez pewien czas, zanim się ukryła. Zostawiła swemu dawnemu mistrzowi kilka wytworów. Ten zaprowadzi was do niej.

– Witajcie – zaświergotała Iskra cienkim głosem.

– Teraz Trillian chce mi wskazać drogę do Callisty?! – wykrzyknęła Honorata. – Przybyłam w ten rejon Elloweer właśnie po to, żeby ją odnaleźć. Ale wtedy on mnie pojmał. Nigdy nie mówił, że pomoże mi odszukać wielką formistkę.

– Mój pan zna twoje myśli – odrzekła Hina. – Ostatnio posiadał więcej wiedzy na temat tego demona, Morgassy. Zależy mu na tym, by ją powstrzymać, i uważa, że nie poradzicie sobie bez pomocy wielkiej formistki. Jest to i w jego, i w waszym interesie.

– Skoro wie, gdzie ona jest, to dlaczego po prostu mi tego nie powie? – zapytała Honorata.

– Ukryła się głęboko w Jeziorze Mgieł – odpowiedziała Hina. – Odnalezienie jej samodzielnie byłoby nie lada wyczynem.

– To koniec waszych problemów! – zawołała Iskra. – Jestem waszym nowym przywódcą!

– Czy możesz nas zaprowadzić do Callisty? – spytała Honorata.

– Bez trudu. Jezioro Mgieł jest niecały dzień drogi stąd. Ze mną jako

przywódcą na pewno nie zabłądzicie.

– To, że wskażesz nam drogę, nie znaczy jeszcze, że jesteś naszym przywódcą – sprostował Jace.

– Jeżeli za mną pójdziecie, to owszem – pisnęła Iskra.

– Przekaż Trillianowi, że przyjmujemy podarunek – powiedziała Honorata do Hiny. – Czy zaprowadzisz nas do wyjścia?

Po kilku minutach trafili z powrotem na niezwykle czerwoną drogę. Znów czekała tam na nich wspaniała karoca. Było w niej miejsce dla czterech osób. Hina jechała konno.

Cole patrzył, jak zjawiskowy pałac znika w oddali. Mira opowiedziała Honoracie o walce ze Spustoszą i zagrożeniu ze strony formowników.

– Nic nie wiedziałam o formownikach – odrzekła jej siostra. – Reggie podejrzewał, że moc Morgassy może się wiązać z moją. Liczyliśmy na pomoc Callisty.

– Spotkaliśmy Reggiego w zamku Blackmont – powiedziała Mira.

– On żyje?! – zawołała Honorata. – Widziałam, jak członkowie Czerwonej Gwardii Trilliana siekli go mieczami.

– Stracił nogi, ale przeżył.

Powóz zatrzymał się na końcu drogi przed otwartą bramą. Po drugiej stronie widzieli tylko ciemność.

Przy wyjściu jeden z gwardzistów Trilliana trzymał osiodłanego konia. Gdy podeszła Honorata, podał jej lejce.

– Cześć, Generale. – Dziewczynka pogłaskała zwierzę po karku. – Dobrze cię traktowali?

Nie mówiąc ani słowa do gwardzisty i nie oglądając się na Hinę, poprowadziła konia prosto w mrok. Iskra poleciała za nią, następni wyszli

Mira i Jace. Cole pomachał do Hiny. Kobieta skinęła mu głową.

Kiedy przeszedł na drugą stronę, Skye właśnie podnosiła Mirę w objęciach i kręciła nią w powietrzu.

– Niepotrzebnie wątpiłam – mówiła. – Myślałam, że już cię nie zobaczę!

Dalton podszedł do Cole'a, uścisnął go, a potem poklepał Jace'a po plecach.

– Dobra robota! – powiedział z radością. – Znaleźliście ją! Co za ulga!

– Już zaczęliśmy obmyślać plany ratunkowe – wtrącił Drgawa. – Niezbyt obiecujące.

– Nie wszyscy byliśmy tak małej wiary – zapewnił Minimus. – Gdyby tylko nadarzyła się okazja, nauczyłbym tego torivora dobrych manier.

– Niewiele brakowało – stwierdziła Mira. – Konkurs był trudny, ale wygraliśmy.

Skye przyklęknęła na jedno kolano i skłoniła się przed Honoratą.

– Wasza Wysokość – powiedziała.

Drgawa też chciał przyklęknąć i złożyć pokłon, co wyglądało ciekawie, bo jego nogi zginały się w odwrotną stronę.

– Powstańcie – rzekła Honorata. – Proszę, bez ukłonów. Doceniam gest, ale daleko jesteśmy od dworu. – Drgawa się wyprostował, a Skye wstała. – Zamierzam udać się po radę do Callisty. Ten wytwór, Iskra, wskaże nam drogę. Kto z was chce mi towarzyszyć?

– Ja – powiedziała Mira.

– Ja idę z Mirą – oznajmił Jace.

Dalton przysunął się do Cole'a.

– Wchodzimy w to? – zapytał cicho.

– Bez Miry bylibyśmy zdani na siebie – odparł jego przyjaciel. – Poza tym kto wie, w czym może nam pomóc wielka formistka? Może właśnie ją Trillian miał na myśli, kiedy mówił, że ktoś o dostatecznej mocy jest w stanie wysłać nas do domu.

– Idziemy – zadeklarował Dalton.

Pozostali również się zgodzili.

– W takim razie jedziemy aż do zmierzchu – postanowiła Honorata. – Nasz przewodnik ocenia, że dotrzemy na miejsce w ciągu niecałej doby.

– Oczywiście, że tak – zaćwierkała Iskra. – Wystarczy, że zaufacie swemu nieustraszonemu przywódcy.

– Dziękuję wam wszystkim, że przybyliście mi z pomocą – powiedziała Honorata, wsiadając na konia. – Popełniłam poważny błąd, dając się pojmać Trillianowi. Uratowaliście mnie od skutków mojej nierozwagi. Jestem waszą dłużniczką.

– Po prostu cieszymy się, że nic ci nie jest – odpowiedziała Mira.

Cole zwrócił uwagę na to, jak naturalnie Honorata przejęła przywództwo w grupie. W jej obecności miał wrażenie, że do tej pory pozbawieni byli lidera. Jechała na przedzie z Iskrą, a gdy zaczęło się ściemniać, wybrała dobre miejsce na obóz.

– Stanę dzisiejszej nocy na warcie – zaofiarował się Minimus.

– Nonsens – odparła. – Wszyscy podzielimy się tym obowiązkiem. Musisz kiedyś spać.

– Tak naprawdę, moja pani, potrzebuję bardzo niewiele odpoczynku – wyjaśnił rycerz. – Całonocna warta to dla mnie pestka. Nie narażałbym was na niebezpieczeństwo czczymi przechwałkami.

– I ja będę pilnować – obiecała Iskra. – Ja też nie śpię. Do tego widzę we wszystkich kierunkach naraz. Dobry przywódca zawsze ma oko na swoje stadko.

- Będziemy dobrze strzeżeni – stwierdziła Honorata.
- Nasi wrogowie uciekną z krzykiem – zażartował Jace. – Nikt nie chciałby zadrzeć z punkcikiem światła.
- Od małej iskry rozpoczynają się wielkie pożary – wtrąciła Iskra.
- Możesz zmienić się w pożar? – zapytał chłopiec.
- Mogę zaalarmować karła – przyznała z zakłopotaniem.
- A wtedy on rozpęta istną pożogę! – obwieścił mężnie Minimus.
- Ukryję nas także iluzją – dodała Skye. – Nic nie powinno zmać nam odpoczynku.

Kładąc się spać obok Daltona, Cole patrzył w obce niebo. Dwa blade księżycy wspólnie rzucały słabe światło. Gwiazdy i galaktyki pokrywały firmament jak fosforyzujący pył.

- Widziałem Wielki Wóz – powiedział.
- Tutaj? – spytał Dalton.

Cole opowiedział mu o symulacji ziemskiego domostwa pana Barruma.

- To musiało być miłe: przez chwilę poczuć, jakbyś był w domu – stwierdził Dalton. – Oczywiście nie licząc tego, że o mało nie zostałeś porąbany siekierą.
- To było i dobre, i złe. Widziałem różne rzeczy z naszego dawnego życia. Zwyczajny dom. Puskę po coli. Nawet poświęcę telewizora. Zabawne, już prawie zapomniałem o telewizji. I o wielu innych sprawach. Może to dlatego, że byłem zmniejszony, a może wiedziałem, że to tylko iluzja, ale w ogóle nie czułem się tam jak u siebie.
- Trafieś do gościa, którego bałeś się w dzieciństwie – odparł Dalton. – Czułbyś inaczej, gdybyś znalazł się we własnym domu.

– Pewnie masz rację – zgodził się Cole. Nie był do końca przekonany, ale nie chciał ciągnąć tematu.

– Ja też nie tęsknię za telewizją – przyznał Dalton. – Ale za rodziną tak. I za naszą okolicą. Za grą w piłkę. Nawet za szkołą.

– Właśnie.

– Co będzie, jeśli nigdy nie wrócimy do domu?

– Znajdziemy jakiś sposób. Przynajmniej wiemy, że to możliwe.

– Nie poddamy się. Spróbujemy wszystkiego, co się da. Ale co będzie, jeżeli odnajdziemy Jennę i pozostałych, ale nie trafimy na nikogo, kto mógłby na stałe wysłać nas do domu? Jeżeli wszystkiego nie naprawimy? Jeżeli rodziny nie będą nas pamiętać? Jeżeli tu utkniemy?

Cole wpatrywał się w gwiazdy. Miał wiele podobnych obaw. Nie ufał własnemu głosowi, jednak musiał coś powiedzieć.

– Wtedy chyba spróbujemy sobie tutaj poradzić.

– Mądrze robisz, że pomagasz Mirze – rzekł Dalton. – Jest super. Nawet Jace jest w porządku, jak już się człowiek do niego przyzwyczai. Stanęliśmy po słusznej stronie.

– To prawda. Obyśmy tylko przetrwali to wszystko. Przez ostatnie dni parę razy było naprawdę niebezpiecznie. Mam nadzieję, że nie wyciągnąłem cię na śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Nie mów tak. To ja zdecydowałem, że tu jestem. Cole, do tej pory byłem sam. To było okropne. Teraz jest znacznie lepiej. Znowu czuję się sobą. Postępujemy właściwie. Musimy spróbować.

– Też tak uważam. Tyle że to trochę straszne.

– Co? Walka z jakąś demonią, która potrafi zniewolić umysł? Ucieczka przez złymi żołnierzami? To wręcz przerażające. Ale w przeciwnym razie możemy się tylko poddać.

– Nie ma mowy.

– Ja też nie zrezygnuję. I już wszystko jasne. Dobranoc.

– Dobranoc.

Mimo przyjemnych drzemek w pałacu Trilliana miniony dzień był bardzo męczący. Cole obrócił się na bok, podłożył ramię pod głowę i spróbował zasnąć.

Nazajutrz po południu, z niewysokiego wzgórza niedaleko brzegu, po raz pierwszy zobaczyli Jezioro Mgieł. Wszyscy zatrzymali konie, żeby obejrzeć cel podróży.

Linia pobliskiego brzegu wiła się, raz pokryta wilgotnym, twardym błotem, gdzie indziej kamykami. Tu i ówdzie w jezioro wżynały się małe cyple. Przeciwległy brzeg widzieli tylko jako niewyraźny szary kształt w oddali. Samo jezioro, białe i płaskie, było idealną czarą nieruchomej mgły. Opary nie wznosiły się powyżej brzegu, więc powietrze w górze pozostawało czyste, ale jak okiem sięgnąć, gładka powierzchnia nie miała żadnych przerw.

– Dziwne – stwierdził Dalton, przeciągając to słowo. – Jak to się wszystko trzyma w miejscu? Przecież choć trochę mgły powinno się rozwiać.

– Codziennie, całymi dniami, od wieków nic się nie zmienia – odparła Skye.

– Dotąd nigdy nie widziałam Jeziora Mgieł, ale słyszała o nim większość ludzi w Elloweer. Dalej na północ znajduje się znacznie większe Morze Mgieł. Na długości wielu mil wyznacza północną granicę Elloweer. Nikt go nigdy nie przebył.

– Czy ludzie zapuszczają się w okolicę Jeziora Mgieł? – zapytał Cole.

– Callista tak – zaćwierkała Iskra.

– Od lat nikt tego nie robi – odparła Skye. – Jezioro jest za blisko Trilliana, żeby ktoś je odwiedzał. Nigdy nie było bezpieczne, pełne niewidocznych rowów i innych zagrożeń. Na jego temat krąży wiele przesądów.

– Jest tu mnóstwo przepaści i stromizn – pisnęła Iskra. – I trochę mgławych

szachrai, ale będziemy trzymać się od nich z daleka. Callista nigdy nie miewa gości. Ależ się zdziwi!

– Czy będzie zła, że nas do niej przyprowadziłaś? – zapytała Honorata.

– Nie, bo mam zgodę Trilliana. Callista mu ufa.

– To raczej nie znaczy, że my powinniśmy ufać jej – mruknął Dalton.

– Potrzebne są nam informacje – odparła Honorata. – Callista była dziwna, ale zawsze przyjazna wobec naszej rodziny.

– Callista to największa zaklinaczka na świecie – oznajmiła Iskra. – Na pewno wam pomoże.

– Prowadź, Iskro. Ruszymy za tobą gęsiego. Pamiętaj, że nie potrafimy unosić się w powietrzu, nasze konie też.

– Przeprowadzę was. Ubierzcie się ciepło. W głębinach ludzie bardzo marzną.

Honorata miała pelerynę, ale większość pozostałych nie, więc owinęli się kocami. Iskra przez jakiś czas wiodła ich wzdłuż brzegu, a potem przecięła odcinek stwardniałego błota i zapuściła się we mgłę.

Cole patrzył, jak Honorata i jej koń brodzą w oparach, ledwo je mącąc. Kolejna wjechała Mira, potem Jace, Skye i wreszcie Drgawa. Wkrótce widać było tylko głowę Honoraty. Kiedy zniknęła pod powierzchnią mgły, ta znów znieruchomiała, jak gdyby nigdy się nie poruszyła.

– To nie wygląda normalnie – rzucił Cole przez ramię do Daltona, kiedy ich konie ruszyły za pozostałymi. – Nie może być naturalne.

– Sam nie wszedłbym tutaj za milion dolców – odparł jego przyjaciel.

– Chłopcy, będę tuż za wami – zapewnił Minimus, który zamykał kolumnę.

Wierzchowiec Cole'a kroczył naprzód i chłopiec zanurzył się we mgle. Kiedy znalazł się pod powierzchnią, ledwo widział własne dłonie, nie

wspominając już o jadącym przed nim koniu Drgawy.

– Trzymajcie się blisko siebie! – zawołała Honorata jakby ze zbyt daleka.

– Drgawa, jesteś tam? – zapytał Cole.

– Jestem – odpowiedział tamten. Jego głos wydawał się bliższy niż Honoraty, lecz także odleglejszy, niż powinien. – Nie zostawaj w tyle.

– Dalton, jedziesz za mną?

– Jadę.

Cole skupił się na odgłosie kopyt konia Drgawy. Miał nadzieję, że jak długo będzie je słyszał, nie spadnie w niewidoczną przepaść.

Im dalej, tym bardziej szara robiła się mgła. Nieruchome, lepkie powietrze było wilgotne i chłodne. Cole mocniej owinał się kocem. Zamiast się przed nim rozstępować, opary zdawały się przywierać do ciała. Każdy oddech był jak mały łyk płynu. Chłopiec czuł wilgoć w płucach. W miarę zagłębiania się i oddalania od brzegu spadała temperatura.

Dźwięk kopyt konia Drgawy zaczął cichnąć.

– Drgawa? – odezwał się Cole.

Żadnej odpowiedzi.

– Drgawa! – zawołał ponownie.

Koń wzdrygnął się pod nim, zapewne wystraszony okrzykiem.

– Cole? – odpowiedział Drgawa gdzieś z przodu, z dużej odległości.

– Cole? – zawtórował Dalton daleko z tyłu głosem cichym i nerwowym.

– Chyba się gubię! – krzyknął Cole i pogłaskał wierzchowca, żeby znów go nie spłoszyć.

Potrafił sobie wyobrazić niewiele gorszych rzeczy niż samotne błądzenie w tej mokrej szarości. Jezioro było olbrzymie! Nawet gdyby jego koń nie zszedł z urwiska, mogli się tu zgubić na zawsze. Nie istniały żadne punkty orientacyjne. No i co to takiego te mgławce szachraje?

– Nie ruszaj się z miejsca! – krzyknął Drgawa z oddali.

– Dalton, nie ruszaj się z miejsca! – powtórzył Cole przez ramię.

Usłyszał, że jego przyjaciel przekazuje tę samą wiadomość Minimusowi.

Ściągnął konia lejcami i czekał. A jeśli nikt po niego nie przyjdzie? Czy zwierzę instynktownie znajdzie drogę powrotną? Czy umknie mgławym szachrajom, nie spadając w przepaść?

Z mgły wyłonił się punkcik światła.

– Iskra? – spytał chłopiec.

– Jesteście bliżej siebie, niż wam się wydaje – powiedział wytwór.

Jakaś dłoń dotknęła uda Cole'a, co bardzo go zaskoczyło.

– Chwyć tę linę – powiedziała Honorata stłumionym głosem, mimo że chłopiec czuł jej dotyk. – Dzięki niej będziemy razem.

Złapał ją chyba mocniej, niż to było konieczne. Punkcik światła oddalił się w kierunku Daltona. Niedługo potem wrócił i popłynął naprzód ku Drgawie.

Po jakimś czasie szarpnięcie liny dało znak, że jadą dalej. Spiął konia piętami i zwierzę ruszyło przed siebie.

Brnęli przez setkę ciemniejących odcieni szarości, coraz bliżej zupełnej czerni. Czasami droga gwałtownie opadała. Nieraz kluczyli tam i z powrotem. Chociaż Cole opatulął się mocno kocem, był przemoczony i zmarznięty. Powietrze wydawało się tak wilgotne, że zaczął się zastanawiać, czy można utonąć w oparach. Zasłonił usta dłonią i oddychał przez palce. Czy ktoś kiedyś umarł od nadmiaru wilgoci?

Wreszcie mrok stał się całkowity. Cole zateęsknił za białą mgłą z powierzchni, w której przynajmniej było coś widać. Teraz ta niewidoczna stawała się coraz bardziej gęsta i wilgotna, aż przyszło mu do głowy pytanie: jak gęsta musi być mgła, zanim zamieni się w płyn? Woda skraplała się na jego twarzy oraz kocu. Stwierdził jednak, że chyba lepszy przemoczony koc niż żaden.

A potem nagle mgła się skończyła. Cole, który nadal trzymał linę, zobaczył, że znajduje się o niecałą długość konia za Drgawą. Tuż za nim z oparów wyłonił się Dalton.

Przed nimi stała duża chatka zbudowana z okrągłych kamieni scalonych błotem. Miała okna, a także dach kryty strzechą. W pewnej odległości otaczały ją świecące kule. Światło jaśniało także w oknach.

Gdy Honorata i Iskra doprowadziły całą grupę przed drzwi domku, te otworzyły się i wyszła z nich kobieta. Była średniego wzrostu, dość koścista, miała rozwichrzone niebieskie włosy i bardzo duże kolczyki, być może wykonane z żółwich skorup. Wyglądała na jakieś sześćdziesiąt lat, ale jej dłonie wydawały się znacznie starsze niż twarz.

– Iskro, ty mały łobuzie, kogoś mi tu sprowadziła na próg? – zapytała.

– Honoratę Pemberton i jej siostrę Miracleę – odparła Iskra – wraz z towarzyszami. Doskonale podążali za moim przewodem.

– To ci dopiero niespodzianka! – zahuczała kobieta. – Pierwsi goście od wieków i od razu rodzina królewska. Mój dom jest w okropnym stanie. Nie spodziewałam się towarzystwa!

– Czy to ty jesteś wielką formistką Callistą? – zapytała Honorata.

– Ta stara wiedźma przekreśliła się dawno temu. Jestem wytworem, który zostawiła do opieki nad domostwem.

– O, nie. Tak mi przykro!

– A mnie przykro, że się z wami drocę – odparła kobieta. – Jasne, że jestem Callistą. Czuję się samotna, nie mam z kim żartować oprócz wytworów

własnej roboty. Ludzie potrzebują innych ludzi, inaczej tracą kontakt ze światem i zbaczają na dziwne ścieżki swojego umysłu. Zsiądźcie z koni i wejdźcie. Pewnie jesteście przemoczeni i zmarznięci.

– Dziękujemy – powiedziała Honorata.

– Na razie mi nie dziękujcie – zarechotała Callista. – Jeszcze nie widzieliście, jak to wygląda w środku!

ROZDZIAŁ 34

CALLISTA

Cole poczuł się znacznie lepiej, kiedy usiadł przed rozłożystym kominkiem i sącył zupę z kubka. Ciepły bulion był dość rzadki, ale smakował trochę rybą. Wszyscy siedzieli na skrzyniach i beczułkach, a Callista kołysała się w fotelu bujanym. W pomieszczeniu unosiły się małe kulki światła podobne do Iskry. Do Cole'a podszedł duży, włochaty pies. Cole zawsze chciał mieć psa, więc nachylił się, żeby go pogłaskać, ale dłoń przeszła na wylot przez niematerialne ciało zwierzaka.

– Nie zwracaj uwagi na Guzika – powiedziała Callista. – On po prostu lubi uczestniczyć w rozmowie.

– Bo zwykle do rozmowy masz właśnie tylko mnie – odparł Guzik niskim głosem.

Niezliczone kulki światła zaćwierkały z oburzeniem.

– No, chyba że policzyć migotki – dodał pies. – Albo Gulgota.

– Gulgota? – powtórzyła Mira.

- To wiekowy wytwór – wyjaśniła Callista. – Przedemną należał do wielu wielkich formistów. Ma ogromną wiedzę.
 - Gulgot to sztywniak – westchnął Guzik. – Jasne, dużo wie, ale jest równie towarzyski jak stos papierusów.
 - Wciąż nie chce mi się wierzyć, że Trillian cię do mnie przysłał – zwróciła się Callista do Honoraty. – Dziwię się, że cię wypuścił.
 - Siostra mnie uwolniła, wygrywając konkurs – powiedziała dziewczyna.
 - Owszem, rozumiem, ale Trillian dał jej tę możliwość. To się rzadko zdarza.
 - Chyba naprawdę martwi się Morgassą. To potwór, który zmienia Elloweerczyków w swoją horde.
 - Wiem o niej, moja droga. Na pewno z czasem dojdziemy do tego tematu. Ale najpierw ważne pytanie: jak wam smakuje moja zupa?
 - Wspaniała, dziękujemy – odezwała się Mira.
 - I cieplutka – dodał Dalton.
 - Z czego jest zrobiona? – zastanawiał się Jace. – Na pewno trudno tu znaleźć jedzenie.
 - Bywa to niełatwe – przyznała Callista. – Mam bogaty ogród grzybowy. Grzyby rosną tu doskonale. Zbieram także kilka gatunków jadalnego szlamu.
 - Nie zapominaj o ćmach – wtrącił Guzik.
- Cole musiał powstrzymać odruch wymiotny. Co takiego było w jego zupie?
- Rzeczywiście, ćmy są tutaj zaskakująco różnorodne. Nieopodal w stawie łowią gupiki i inne małe żyjątka. Zmieniam je w to i owo w zależności od nastroju. Gdybym wiedziała, że przyjdziecie, zjedlibyśmy znacznie lepszy posiłek.
 - A drewno na opał? – spytał Cole, odstawiając na bok resztkę zupy.

Callista się skrzywiła.

– Nie, mój drogi, drewno na opał smakuje paskudnie.

Chłopiec się roześmiał.

– Chciałem zapytać, gdzie pani znajduje drewno? Robi je pani z błota?

– To nie Sambria – odparła formistka. – Nie mogę przekształcać materii nieożywionej. Drewno dostaję w ofierze od mgławych szachrai. Czasami przynoszą mi też jedzenie, głównie żaby, ptaki i ryby.

– Dlaczego przynoszą pani drewno? – zapytał Jace.

– Żebym ich nie zabiła, mój drogi – odrzekła Callista.

– Trillian powiedział, że cię szkolił – odezwała się Mira.

– Zatem powiedział prawdę.

– Czy on nie jest niebezpieczny? – zapytała.

Callista zachichotała niefrasobliwie.

– Sama nie wiem. Guziku, czy Trillian jest niebezpieczny?

Pies się wzdrygnął.

– Nie jest moim ulubieńcem – stwierdził. – Na tym poprzestańmy.

– Trillian jest bardzo niebezpieczny – powiedziała formistka. – Ja również. Dla wielu nie byłby właściwym nauczycielem. Ten stary, przebiegły torivor więcej wie o formowaniu niż ktokolwiek w całych Pięciu Królestwach. Postrzega formowanie jako jedną całość zamiast poszczególnych dyscyplin. Bez jego wskazówek nie odkryłabym większości tego, co wiem.

– Nie bałaś się, że cię nie wypuści? – zapytał Drgawa.

– Och, nie, nie, mój milusiński. Gdybym udała się do niego z nadzieją, że

odejdę, nigdy by mnie nie puścił. Ale poszłam, żeby się uczyć. Byłam gotowa zostać tam nawet na zawsze, jeśli to oznaczało możliwość nauki od najlepszego. Znał moje motywy. I w końcu mnie uwolnił. Wróciłam do niego, kiedy musiałam się kryć. Na pewien czas zapewnił mi schronienie, a potem zasugerował, żebym znalazła sobie inny dom, w którym mogłabym mieć kontakt z wydarzeniami w Elloweer.

– Tutaj ma pani kontakt ze światem? – zdziwił się Jace.

– Dzieci... – Callista pokręciła głową. – Zawsze takie bezpośrednie. Od razu mi się przypomina, dlaczego nigdy ich nie miałam. Kto ma ochotę na deser?

Cole nieśmiało podniósł rękę. Pozostali grzecznie siedzieli nieruchomo.

Callista wskazała na chłopca.

– Ten może zostać. A jeśli wy nie docenicie mojej gościnności, to niech was mgła pochłonie. – Potem dodała słodkim głosem: – Więc jeszcze raz, kto ma ochotę na deser?

Błyskawicznie zgłosili się wszyscy.

Formistka odchyliła się na fotelu bujanym, a potem skoczyła na nogi.

– Guzik, zabaw naszych gości – poleciała, po czym opuściła pokój.

– Dobra, poszła sobie – szepnął pies konspiracyjnie. – Co chcecie wiedzieć?

– Ona cię zrobiła? – zapytał Dalton.

– Z pomocą trojga uczniów, wszyscy już nie żyją – powiedział Guzik. – Nie ona ich zabiła – sprecyzował.

– Co jest na deser? – zainteresował się Drgawa.

– Pewności nie mam. Ona zawsze improwizuje. Większość deserów przyrządziła ze szlamu. Nie martwcie się, najpierw go przekształca.

Cole'owi nie uśmiechała się perspektywa jedzenia szlamu, nawet

przekształconego. Dalton dostrzegł jego zdeglustowaną minę i skrzywił się na znak, że myśli tak samo.

– Pomoże nam? – spytała Mira.

– Myślę, że tak. Najwyższego króla nie lubi ani trochę, no i ufa Trillianowi. Ustępujcie jej.

– Wszystko słyszałam – powiedziała Callista, wkraczając z powrotem do pokoju z tacą pełną niskich drewnianych pucharków. – Nie zaszkodzi mi ustępować, ale pilnujcie się, żeby nie traktować mnie protekcyjnie. Jestem ekscentryczna, ale nie tępą. Dzisiejszy deser to sorbet z niespodzianką.

Podetknęła tacę gościom. Cole wziął pucharek. W środku znajdowała się miękka biała pecyna posypana drobkami ziół. Poruszała się, kiedy na nią patrzył, wybrzuszała się i falowała. Część ziół zniknęła wewnątrz tej masy.

– Zajadajcie – rzekła Callista, znów siadając w fotelu bujanym. – Świeży jest najlepszy. Uważajcie, żeby nie uciekł.

Cole dziobnął białą pecynę łyżką. Masa lekko drgnęła. Zebrał się w sobie, nałożył kawałek i wziął do ust. Chłodna substancja przypominała lody. Miała smak wanilii z miętą i odrobiną soli. Całkiem niezły ten sorbet. Pewnie bardziej przypadłby mu do gustu, gdyby Cole nie wiedział, że głównym jego składnikiem jest szlam. Callista przyglądała się wszystkim bardzo uważnie, więc uznał, że lepiej zjeść wszystko.

– Bardzo dobre, dziękuję – odezwała się grzecznie Mira.

– Ta mi się podoba. – Formistka puściła do niej oko. – Jeśli wszyscy dojecie deser, może będę miała dla was niespodziankę.

– Nie mogę w tym uczestniczyć – powiedział przepaszająco Minimus.

– Guzik też nie – odparła Callista. – Wybaczam ci. No dobrze, gdzieśmy skończyli? Ach tak, na dnie Jeziora Mgieł. Zastanawialiście się, jak utrzymuję kontakt z wydarzeniami w Elloweer, siedząc w tej mojej wilgotnej kryjówce. Długotrwała samotność wyostrzyła moje zmysły. Rozumiecie,

mam pewien talent do zaklinania i wyczuwam sieć mocy rozciągniętą na całe Elloweer. Kiedy ktoś szarpnie za jedno włókno, drży cała pajęczyna. Czujne oko wiele może wywnioskować z tego, jak rozwija się wzór. A jeśli w sieci wyląduje jakaś smakowita mucha? – Kobieta oblizała usta. – Ambrozja!

Guzik odchrząknął.

– W przenośni – sprecyzował.

– Szukam przyjaciółki – odezwał się Cole. – Formistki, którą sprzedano jako niewolnicę.

– Czy ta osoba przebywa w Elloweer?

– W jednym z innych królestw.

– Niestety, moje zmysły nie sięgają poza elloweerskie granice.

– Mówiłaś, że wiesz o Morgassie – wtrąciła Honorata.

– Mam wiele sposobów zdobywania informacji – odrzekła Callista. – Jestem ekspertką w dziedzinie wytworów, to również robi swoje. Powiedzcie, czego domyślacie się na jej temat.

Mira wyjaśniła, że Spustosz była inkarnacją jej mocy, więc przypuszczają, że Morgassa ucieleśnia zdolności Honoraty.

– Wiecie, czego mi brakuje? – westchnęła Callista. – Słońca. Doskonale umiem je imitować. – Pośrodku pokoju pojawiła się olśniewająca kula światła, zbyt jasna, żeby na nią patrzeć. Po chwili zniknęła. Formistka wykrzywiła usta. – Ale w prawdziwym słońcu na prawdziwym niebie jest coś takiego, czego nie potrafię odtworzyć. – Spojrzała na Honoratę. – Mylisz się co do Morgassy, moja droga. Ona nie wiąże się z twoją mocą. Wyczuwam, dokąd biegnie twoja moc, i wcale nie do niej.

– Ojejku! – zawołała Mira.

– Zaraz – odparła Honorata. – To czym jest Morgassa?

– Pochodzi od prawdziwego mocarza – powiedziała formistka. – Nie znam jego imienia, lecz wyczułam, kiedy oddał swoją moc. Osobliwy przypadek. Ta moc pochodziła spoza Elloweer i przemieniła się w elloweerską energię. Zmyślna sztuczka. Trillian mówił, że jest to możliwe, ale ja sobie tego nie wyobrażałam. Teraz mam co badać.

– Brady – zrozumiał Cole.

– Czy do niedawna przetrzymywano go w zamku Blackmont? – zapytała Callista.

– Tak.

– Więc to on. Oddał moc, ale jej cień pozostał. Nie da się odebrać komuś całej, przynajmniej za życia. Ale on sam nigdy już nie będzie tym, kim był kiedyś. Cóż to za moc! Wolałabym z nim nie zadzierać.

Cole czuł się dziwnie, słuchając, jak Callista mówi o Bradym z takim szacunkiem. Przecież to tylko mały chłopiec! Oczywiście ten chłopiec stworzył dziwaczne pustkowie pełne zabójczych szkieletów i olbrzymich dinozaurów zabawek. Jego potęga to nie żart.

– Moja moc biegnie gdzie indziej? – zapytała Honorata.

– Ależ musiałś się już domyślić, moja droga. To wydaje się oczywiste.

– Nie mam pojęcia.

– Przecież towarzyszy ci jeden z jego sługusów. Twoja moc stworzyła Błędnego Rycerza, ma się rozumieć.

Cole znieruchomiał z łyżką sorbetu w drodze do ust.

– Jej moc?! – wykrzyknął Minimus.

– Tę moc skierowali ku niemu inni – dodała Callista. – W ten sposób chcieli zapanować nad możliwościami Honoraty. Ale jej potęga przejęła ciało i umysł żywiciela.

– Zaraz – wtrącił Cole. – Błędny Rycerz to moc Honoraty, ale jednocześnie prawdziwy człowiek?

– To samo dotyczy Morgassy. Tu, w Elloweer, energia nie może sama przybrać formy tak jak w Sambrii. Potrzebuje żywiciela. Moc Brady’ego wywarła na kimś potężne przemienstwo, moc Honoraty również. W ten sposób powstał Morgassa i Błędny Rycerz.

– Jestem oszołomiona – powiedziała Honorata. – Słyszałam o tym Błędnym Rycerzu, ale nie przypuszczałam, że mam z nim związek.

– On wie dużo o tobie. Czerpie siłę z twojej mocy.

– Czy nic mu nie jest? – zapytała Mira. – Żyje?

– Jest cały i zdrowy – oznajmił Minimus. – Poczuję, gdyby poległ.

– Ja również – dodała Callista.

Mira miała ulgę wypisaną na twarzy.

– Wiemy co nieco o ludziach, którzy stworzyli Morgassę i Błędnego Rycerza – stwierdziła, a potem opowiedziała o formownicze Quimie, która próbowała zapanować nad Spustoszą.

– Daję głowę, że Owandell też był formownikiem – orzekła Honorata. – To by miało sens.

– Wiedziałam, że istnieje ktoś taki jak ci formownicy – przyznała Callista. – Czuję, że grzebię w mocy formistycznej. Nie poznałam natomiast ich nazwy. Skutecznie trzymali się w cieniu.

– Jednak ostatnio przeliczyli się ze swoimi możliwościami – wtrącił Drgawa.

– Tak w przypadku Morgassy, jak i Błędnego Rycerza – zgodziła się kobieta.

– Będę musiała pokonać Błędnego Rycerza, żeby odzyskać swoją moc – zrozumiała Honorata.

- Wykluczone – odparł z pasją Minimus. – Nigdy! Po moim trupie.
- Nie bądźmy porywczy – zareagowała Callista, spoglądając ostro na rycerza.
- Bardzo bym nie chciała cofnąć przemieństw, które na tobie dokonano, mikrusie.

Minimus wstał i dobył miecza.

- Tylko spróbuj.

Cole oparł dłoń na rękojeści miecza skakania i przysiadł na skraju skrzyni. Widział już Minimusa w akcji. Jeśli sprawy się zaognią, zrobi się nieładnie.

- Natychmiast schowaj broń albo mgławe szachraje pożywią się twymi wnętrznościami – zagroziła Callista. – Gdyby coś stało się Honoracie, Błędny Rycerz nie tylko straciłby moc, ale zapewne także życie.

- Na niego znacznie lepiej działa życzliwość – powiedziała Mira. – Minimusie, dostałeś rozkaz mnie chronić.

- Zawsze stanę w obronie mojego pana.

- Twoja lojalność jest godna pochwały – rzekła uprzejmie Callista. – Lepiej?
- szepnęła do Miry.

Dziewczynka uniosła wyprostowane kciuki.

Formistka pogładziła oparcia fotela.

- Musimy współpracować. Co prawda Błędny Rycerz posiada moc Honoraty, ale zagrożeniem dla nas wszystkich jest teraz Morgassa. Jeśli nikt jej nie powstrzyma, każdego z nas czeka zguba z jej ręki: mnie, was, Błędnego Rycerza, nawet Trilliana. Morgassa generuje wytwory, które zamieniają w jej poddanych wszystko, czego dotkną. Jeżeli jej nie okiełznamy, horda pochłonie nas wszystkich. Jak reszcie smakuje deser?

- Smaczny – powiedział Jace.

Napięcie opadło. Minimus schował miecz i usiadł. Cole się odprężył.

Większość osób mamrotała pochwały.

- Przedstawiciel grinaldich nie dojadł swojej porcji – zauważyła Callista.
- Deser był pyszny – zapewnił Drgawa – ale dostaję lekkich mdłości, kiedy rozmawiamy o unicestwieniu wszelkiego życia w Elloweer.
- No, wypluj to z siebie – domagała się formistka. – Zbyt miętowe? Zbyt słodkie?

Drgawa spuścił głowę.

- Ruszało się.
- To tylko oznacza, że było świeże! Kto by chciał jeść martwy sorbet?
- Jak możemy współpracować? – zapytała Mira.

Callista zacmokała.

- Gdyby każdy z nas wziął po kęsie, chyba można by uznać sorbet tego chłopca za zjedzony i cały deser za udany.
- Chodziło mi o współpracę w walce z Morgassą – wyjaśniła dziewczynka.
- Co by było, gdybyście teraz stawili jej czoło?
- Przejęłyby nas jej wytwory.
- Zmieniłyby was w bezmyślne służki Morgassy. Na długo, zanimbyście ją zobaczyli, złączylibyście się z jej armią. Gdybyście po drodze zrobili komuś krzywdę, to tylko jej niewinnym niewolnikom.
- Czy można ich na powrót odmienić? – zapytał Cole.
- Jedynie oddzielając ich od jej mocy. Morgassa musi zostać unicestwiona. Czy nikt nie doje tego sorbetu?
- Ja się tym zajmę – zgłosił się Jace, sięgając po pucharek Drgawy.

– Tylko nie spałaszuj wszystkiego sam, jeśli ktoś jeszcze ma ochotę zjeść ostatki – upomniała go Callista.

Jace oddał po kęsie Cole’owi i Daltonowi.

– Morgassa ma ogromną moc – stwierdziła Mira. – Czy zabijając ją, nie uwolnimy całej tej energii?

– Ta moc jest w niej zakotwiczona – odparła formistka. – Stabilna. Morgassa z nikim jej nie dzieli. Jeśli ją zabijecie, pryśnie również ta energia. Miro, kiedy twoja moc była na wolności w postaci Spustoszy, twoja śmierć tak bardzo by ją zdestabilizowała, że wywołałaby katastrofę. Ale teraz, gdy moc znów jest w tobie zakotwiczona, po twojej śmierci przeminie po cichu. Tak samo jak moja.

– Ale jak dostaniemy się do Morgassy? – zapytała Honorata. – Jej wytwory nas przemienią.

– Właśnie dlatego Trillian przysłał was do mnie. Wtwory Morgassy łączą się z ludźmi i odmieniają ich. Ale gdybyście już wcześniej zostali wystarczająco odmienieni, nie miałyby z czym się połączyć. Nie chodzi mi bynajmniej o drobną, kosmetyczną modyfikację, ale o dogłębną, fundamentalną zmianę podobną do tych, jakie czynią te wytwory.

Cole wymienił spojrzenia z Daltonem. Widział, że obaj z przyjacielem myślą to samo: o jakiej dokładnie zmianie mówi Callista?

– Możesz zapewnić nam odporność na wytwory Morgassy? – zapytała Honorata.

– Owszem, jeżeli pozwolicie wystarczająco się przemienić. Wszyscy oprócz Minimusa. Jego dostatecznie odmienił już Błędny Rycerz. Nie tknie go żaden wytwór. Aby rzucić na niego zaklęcie, musiałabym zerwać łączącą ich więź.

– Moja zaklęta natura miała pozostać tajemnicą – powiedział Minimus.

– W takim razie nie powinieneś być tu przychodzić. Wyraźnie widzę te więzi. Błędny Rycerz rzuca doskonałe zaklęcia. Jego moc jest imponująca.

Honorata ma olbrzymi potencjał.

Minimus odwrócił się do królowej.

– Błądny Rycerz i ja naprawdę powstaliśmy z twojej skradzionej mocy? – spytał.

– Moc wykradł mi ojciec – odparła dziewczyna. – Tyle wiem na pewno.

– A potem przelano ją w osobę, która stała się Błądnym Rycerzem – dodała Callista.

– Może wcześniej wypowiedziałem się niefrasobliwie – stwierdził Minimus.

– Zawsze będę stał po jego stronie i go bronił, ale Błądny Rycerz musi się o tym dowiedzieć. Nie jestem pewien, czy w pełni rozumie, skąd wzięła się jego moc. On nigdy nie przymyka oka na niesprawiedliwość.

– Doceniam taką postawę – powiedziała Honorata.

– Błądny Rycerz jest ci potrzebny – zwróciła się do niej Callista. – On i jego stronnicy to wasi najsilniejsi sprzymierzeńcy w walce z Morgassą. Nie tkną ich jej wytwory. Jeśli stanie u twego boku, szanse powodzenia wzrosną.

– Wierzę, że nam pomoże – rzekł Minimus. – Sam go o to poproszę.

– A co z Bradym? – zapytał Cole. – Dlaczego agenci go więzili? Czy myśleli, że jeszcze im się przyda?

Callista zmarszczyła czoło i podrapała się w brodę.

– Bezpośrednio mieliby z niego niewielki pożytek. Moc nie jest w nim już zakotwiczona. Możliwe, że badając go, chcieli lepiej zrozumieć jej naturę. Albo sądzili, że Morgassa będzie mu życzliwa, bo od niego pochodzi. Jednak na tym etapie tylko by mu zagrażała.

– Powiedziałaś, że możesz nas zmienić – przypomniała Honorata. – W co?

Formistka demonstracyjnie rozejrzała się po pucharkach.

- Widzę, że wszyscy zjedli deser. W nagrodę pokażę wam moją Salę Masek.
- Wstała z bujanego fotela. – Dalej, za mną.

ROZDZIAŁ 35

MASKI

Kiedy wszyscy podnieśli się z miejsc, Cole i Dalton skręcili w kąt pokoju.

– Jeśli chodzi o deser, to zgadzam się z Drgawą – szepnął ten drugi.

– Wcale nie był zły.

– Nie, ale się ruszał.

– Fakt.

– Myślisz, że jeszcze żyje w naszych brzuchach?

– Wolę o tym nie myśleć. – Cole wzdrygnął się z obrzydzeniem.

– Jak sądzisz, w co nas przemieni? – zastanawiał się na głos Dalton.

– Mam nadzieję, że w coś fajnego.

– Na przykład w ruchomy deser?

Cole musiał stłumić śmiech.

– Myślę, że ona naprawdę chce nam pomóc. Ale rozumiem, dlaczego się denerwujesz. Jest troszkę... inna.

– I właśnie dlatego nie powinno się mieszkać samotnie na dnie jeziora.

Callista poprowadziła ich łukowatym korytarzem kojarzącym się raczej z podziemnym tunelem niż holem w domu. Doszli nim do ciemnego, prostokątnego pomieszczenia, w którym na ścianach wisiała bogata kolekcja prymitywnych drewnianych masek.

Wielka formistka machnęła ręką, a wtedy przestrzeń rozświetliły kule światła.

– Skąd w pokoju tyle kurzu, kiedy nikt go nie używa? – poskarżyła się, marszcząc brwi. – Nie miałam pojęcia, że w Sali Masek jest taki bałagan! Gdybym wiedziała o waszej wizycie choćby na pół godziny wcześniej, byłoby zupełnie inaczej. Jesteście moimi pierwszymi gośćmi od dziesięcioleci.

– Pani dom jest śliczny – powiedziała Mira. – Doceniamy wszystko, co pani dla nas robi. Te maski są bardzo ciekawe. Jakie różnorodne!

– Zaklinacze mają różne specjalności – wyjaśniła Callista. – Moją jest robienie masek. Każda powoduje przemianę w to, co sama symbolizuje. Rozejrzyjcie się i popatrzcie, co was interesuje, ale na razie żadnej nie dotykajcie.

Rozproszyli się po sali, jakby zwiedzali galerię. Wszystkie maski miały rozmiar odpowiedni dla ludzi. Żadna nie wyglądała zbyt realistycznie. Niektóre po prostu wyrzeźbiono w drewnie. Inne ozdobiono koralikami, kamieniami, skórą, farbą czy piórami.

Cole poznawał, co przedstawia większość z nich, choć kilka było zbyt prostych lub niejasnych. Większość odzwierciedlała zwierzęta. Dostrzegł wśród nich ptaki drapieżne, byki, niedźwiedzie, psy, koty, dziki, aligatory, małpy, barany, rekiny, konie, węże, łosie, a nawet tak egzotyczne stworzenia jak mors czy nosorożec. Były też maski przypominające pewne typy ludzi, na przykład błaznów, rycerzy i damy.

– Za duży wybór – stwierdził Dalton, stając obok przyjaciela. – Fajnie, gdybym mógł latać.

Cole spojrział na pobliską maską orła. A może jastrzębia?

– Chciałbyś być pokryty pierzem? – spytał.

– Myślisz, że byłoby prawdziwe? Czy drewniane, tak jak maska?

– Nie wiem. Dziwnie byłoby mieć dziób.

– Żegnajcie, usta – zgodził się Dalton.

– Jakież propozycje? – zapytał głośno Jace.

– Pamiętajcie, że każda z masek reprezentuje to, czym się staniecie – zaznaczyła Callista. – Będziecie inaczej widzieć, inaczej słyszeć, inaczej się poruszać. Wybierzcie coś, co do was przemawia. Nie zapominajcie, że wyruszacie w bój i że czeka was podróż. Nosząc maskę, odniesiecie różne korzyści. Nie będziecie potrzebować odpoczynku ani pożywienia. Staniecie się silniejsi. No i praktycznie nikt nie będzie w stanie przemienić was w coś innego.

– Czy możemy kilka wypróbować? – spytała Mira.

– Nie byłoby rozsądnie zapoznać się z więcej niż jedną – ostrzegła formistka.

– W tych maskach można się zatracić. Każda kolejna zwiększa niebezpieczeństwo postradania własnej tożsamości. Kiedy już którąś wybierze, powinniście wyjść na dwór, włożyć ją i już nigdy w życiu nie dotknąć innej.

– Możemy zapomnieć, kim naprawdę jesteśmy? – zatroskał się Dalton.

Callista przytaknęła.

– Dzięki masce staniecie się sokołem, niedźwiedziem lub rycerzem. Potem wyłącznie od was zależy, czy nim pozostaniecie. Tylko sami możecie zdjąć maskę. Jeśli postanowicie tego nie robić, dożyjecie końca swych dni w nowej postaci. Wytrzymacie jednak tylko kilka tygodni. Będziecie płonąć jasno i mocno, a potem znikniecie. Już wcześniej się to zdarzało. Pożyczam maski jedynie w wielkiej potrzebie.

- Czym grozi noszenie maski przez kilka dni? – zapytał Drgawa.
- Nie doznacie trwałych szkód, pod warunkiem że w końcu ją zdejmiecie. Stanowczo odradzam noszenie jej dłużej niż przez tydzień.
- Przyznam, że przyciąga mnie ta przedstawiająca rycerza – powiedziała Honorata, wskazując jedną z masek.
- W takim razie może będzie dla ciebie idealna – odrzekła Callista. Podeszła, żeby przyjrzeć się którejś belce. – To drewno gnije. I są ślady pleśni. Kiedy ma się gości, zaczyna się zupełnie inaczej patrzeć na swój dom. Nagle rzucają się w oczy niedoskonałości, do których człowiek zdążył się przyzwyczaić.
- To pomieszczenie wygląda całkiem dobrze – stwierdziła Skye.

Callista lekceważąco machnęła rękami.

– Z wilgocią nie wygrasz. Najgorsza mgła tu nie dochodzi, ale zawilgocenia nie da się uniknąć.

– Jak pani odgania mgłę? – zapytał Cole.

– Nie odganiem. Takie puste kieszenie rozsiane są w głębszych rejonach Jeziora Mgieł. Ja zajęłam tę. Korzystają z nich także mgławce szachraje.

– Sama zbudowała pani ten dom? – zainteresował się Dalton.

– Pomogli mi członkowie Czerwonej Gwardii. Trillian był bardzo hojny. Dwaj jego gwardziści mieszkali tu ze mną przez lata. W końcu zmarli. Nie prosiłam o kolejnych, a on ich nie przysłał.

– Mnie podoba się byk – stwierdził Dalton. – Chyba przydałby się w bitwie.

– Na pewno miałbyś sporą siłę – przyznał Cole. – I byłbyś bardzo popularny na rodeach.

– Zdejmijcie ze ściany tę maskę, którą chcecie – poinstruowała Callista – ale jeszcze jej nie wkładajcie. Wyjdźcie z nią na zewnątrz i tam na mnie

poczekajcie.

Wszyscy zaczęli wybierać maski. Skye wzięła niedźwiedzia, Jace wilka, Mira muflona, a Drgawa orła. Cole po namyśle odszedł od maski małpy i zdecydował się na pumę.

Kiedy opuszczał Salę Masek, poczuł czyjąś dłoń na ramieniu.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedziała Callista.

Zaprowadziła go z powrotem do pomieszczenia, z którego inni właśnie wychodzili. Po chwili zostali sami.

– Źle wybrałem? – spytał, unosząc swą maskę.

– Nie, puma to dobry wybór na tę okoliczność. Ostrzegłabym, gdyby ktoś zdecydował się na coś niedogodnego. Chcę, żebyśmy pomówili o twojej mocy. Przez lata spotkałam wielu zaklinaczy, ale jeszcze nigdy nie wyczułam mocy formistycznej tak niezwyklej jak twoja. Opowiedz mi o niej.

Cole opisał ten epizod, kiedy to ożywił miecz skakania. Następnie podał przykłady kolejnych nieudanych prób.

– Nie rozwiążę tego problemu za ciebie – rzekła Callista. – Ale mogę ci służyć radą. To nie tylko kwestia wysiłku umysłowego albo siły woli. Czy gdybyś chciał tamtą maskę aligatora, to spróbowałbyś ją zmusić, żeby przybyła do ciebie?

– Poszedłbym po nią – odparł Cole.

– Właśnie. Twoja wola zmotywowałaby cię do podjęcia działania, prawda?

– Aha.

– Ale sama wola nie wystarczy.

– Rzeczywiście.

– Z twoim talentem formistycznym jest podobnie. Gdy po raz pierwszy

przypadkowo użyłeś swej mocy, odczuwałeś silne emocje. Myślałeś, że to one są kluczowe, ale być może zamaskowały to, czego tak naprawdę musisz się nauczyć. Tak bardzo skupiłeś się na panice, że nie rozpoznałeś źródła mocy. Przywołałeś ją przypadkiem, wcale nie rozumiejąc, w jaki sposób zaczerpnąłeś energię z głębi siebie i przelałeś ją w miecz. Potem, zamiast odtworzyć udaną czynność, zbytnio skoncentrowałeś się na naśladowaniu emocji z tamtej chwili.

Cole zamknął oczy i skupił się na sobie, szukając źródła mocy. Nie wyczuwał niczego niezwykłego.

– Nic nie czuję.

– Jesteś niczym małe dziecko, które dopiero się uczy, że może otwierać i zaciskać dłoń. Są nerwy, są mięśnie, ale jeszcze nie opanowałeś ich świadomego używania.

– Jak mam znaleźć właściwe mięśnie?

– Nie pokażę ci tego. I trudno to opisać. Nie da się wyjaśnić głuchemu dźwięku albo ślepemu widzenia. Wiem, skąd ja czerpię moc. Używam umysłu tak samo do wykonania kroku, zaciśnięcia pięści albo wymówienia słowa, tylko że nie jest to akt fizyczny. Mimo wszystko kieruję moją mocą w podobny sposób. Zwracaj uwagę na to, jak ty odnajdujesz swoją. Naucz się, jakie to uczucie. Odkryj, co musisz zrobić, żeby z niej czerpać. Nie skupiaj się na emocjach. Czy zwróciłeś uwagę na Skye, kiedy wybieraliście maski?

– Nie za bardzo. Skoncentrowałem się na tym, którą sam wezmę.

– Przyglądała im się ze strachem i podziwem. Wyczuwała zawartą w nich moc. Może nie rozumiała najdrobniejszych szczegółów, ale sięgnęła po maskę z wahaniem i trzymała ją bardzo delikatnie, bo czuła, że pulsuje w niej energia. Czy ty też czujesz to w swojej?

– Wierzę w jej działanie – odparł Cole – ale nie czuję nic niezwykłego.

– To umiejętność, którą możesz rozwijać – powiedziała Callista. – Naucz się

rozpoznawać moc w innych. Nabierz większej świadomości tej własnej. Masz ją. Wyczuwam to wyraźnie. Gdy odkryjesz, jak z niej czerpać, wtedy zaczniesz nią kierować swą wolą, a może także spotęgujesz jej siłę emocjami.

– Pamiętam, gdy ją poczułem. Wiedziałem, że energia płynie ze mnie do miecza. Ale kiedy ten przepływ ustał, nie potrafiłem go znowu wzbudzić.

– To dobrze! Przynajmniej masz pojęcie, o co chodzi! Odszukaj to uczucie, które zapamiętałeś. To właśnie na nim musisz się skupić. W pewnym sensie łatwiej rozpoznać swą moc, kiedy jesteśmy spokojni i nic nas nie nęka, aniżeli w nerwach. Szukaj swojego talentu w chwilach ciszy. Nie nadwerężaj się. Już raz ci się udało, więc zrobisz to ponownie.

– Dziękuję. To mi powinno pomóc.

– Mam nadzieję. Nigdy nie wiadomo. Formowanie zawsze jest trudno uchwytnie, a ty nigdy się go nie uczyłeś. Ale najbardziej wymyka się na początku. Bardzo mnie ciekawi, jak wykorzystasz swą moc, kiedy już nauczysz się z niej czerpać. Twój dar jest tak niezwykły, że nie wyobrażam sobie jego zastosowań oprócz tego, co mi opisałeś. Wkroczysz na niezbadane terytorium. Idziemy do pozostałych?

– Jedno pytanie. Chcę odnaleźć przyjaciół i wrócić do domu. Jesteśmy z zewnątrz.

– Stróż Drogi mógłby cię tam wysłać, mój chłopcze, ale tylko tymczasowo. Twoi najbliżsi nie będą cię pamiętać i wkrótce znowu przyciągnie cię tutaj.

– Trillian powiedział, że istnieje sposób, żeby to zmienić.

Callista wydeła usta i westchnęła przeciągle.

– Teoretycznie to możliwe. Trillian ciągle mówi o możliwościach, które dla nas, pozostałych, są niemal niewyobrażalne. Trzeba by na nowo ustalić wzajemny układ Pięciu Królestw. Nie znam nikogo poza Trillianem, kto mógłby podjąć taką próbę.

– Ale to możliwe? – upewnił się Cole.

– W teorii. Może wielki formista Creonu miałby więcej do powiedzenia na ten temat. No i kto wie, do czego zdolni są ci formownicy? Ale w praktyce szanse są niewielkie. Na wszelki wypadek naucz się cieszyć życiem tutaj.

– Dobrze – odrzekł chłopiec, rozczarowany, ale niezbyt zdziwiony. Wiedział, że nie będzie łatwo. – Chyba możemy już iść.

Ruszył za Callistą łukowatym korytarzem z powrotem do salonu, a potem na dwór, przed chatkę. Pozostali czekali tam z maskami. Ze wszystkich stron otaczającej ich przejrzystej bańki napierała kopa ciemnej mgły.

– Honorato – odezwała się Callista. – Który to twój koń?

Dziewczyna wskazała swego wierzchowca.

Formistka spojrzała na niego i rozprostowała palce. Zwierzę urosło, nabrało rozmiarów i mięśni.

– Odmieniłam go tak, aby niósł cię w nowej postaci równie szybko i nieustrudzenie, jak my, pozostali, jesteśmy w stanie biec. Minimusie?

– Mój jest tamten – odparł Półrycerz, wskazując niewielkiego kucyka.

Callista nie powiększyła zwierzęcia tak bardzo jak wierzchowca Honoraty, ale było teraz drugie co do wielkości. Otrzepała dłonie i zadowolona pokiwała głową. Potem podeszła do Minimusa.

– Twoje przemienstwo jest zadziwiająco trwałe – rzekła. – Nie potrzebujesz snu ani żywności, a ono wydłuży ci życie, zamiast je skrócić. W tej postaci mógłbyś żyć i sto lat. Ale wszystko zależy od Błędnego Rycerza. Jeśli on polegnie, utracisz swą moc.

– To prawda – przyznał Minimus.

– Mogę utrwalić twój odmieniony stan. Wówczas przemienstwo nie skończyłoby się, nawet gdyby Błędny Rycerz zginął, ale już nigdy nie wróciłbyś do dawnego życia. W tej chwili Błędny Rycerz może odwrócić zaklęcie, może cię uwolnić. Jeśli utrwale przemienstwo, twoja zbroja stanie się na zawsze częścią ciebie. Nie będzie odwrotu.

– Czy zachowam więź z Błędnym Rycerzem?

– Nie. Taka właśnie jest cena. Utracisz świadomość jego położenia, on przestanie cię wyczuwać. Wasze połączenie przestanie podtrzymywać cię w postaci rycerza. Ale to również oznacza, że zachowasz ją nawet wówczas, jeśli Błędny Rycerz zginie albo utraci moc. Wybór należy do ciebie.

– Będę mógł mu nadal służyć? – upewnił się Minimus.

– Albo zrobić, cokolwiek zapragniesz – odrzekła Callista.

– W takim razie utrwal moją moc. Może dzięki temu Błędny Rycerz będzie mógł pozyskać dodatkowego stronnika. Ja pozostanę jego wiernym sługą nawet bez tej więzi. Bycie rycerzem jest dla mnie wszystkim. Wyświadczyłabyś mi olbrzymią przysługę.

Callista oparła mu dłonie na ramionach. Przez chwilę kiwała się w miejscu, a potem się cofnęła.

– Gotowe.

– Nie czuję się inaczej – stwierdził Minimus. – Ale przestałem wyczuwać Błędnego Rycerza.

– Zgodnie z obietnicą.

– Czy Morgassa przypomina Błędnego Rycerza? – zapytał Cole.

– W jakim sensie? – odparła Callista.

– Czy jeśli ją powstrzymamy, jej horda odzyska normalną postać?

– Przemienstwa wiążą się z jej mocą. Chociaż teraz Morgassa w pełni nad nią panuje, to mimo wszystko pochodzi ona z zewnątrz. Jeśli Morgassa polegnie, horda zostanie uwolniona. – Callista obróciła się w miejscu. – Guzik! Do mojego powrotu ty tu rządzisz. Pilnuj, żeby Gulgot nie pakował się w kłopoty. I daj do zrozumienia co bardziej zuchwałym mgławym szachrajom, że tu wrócę.

- Idziesz z nami? – zdziwiła się Honorata.
- Czasem przejście do ofensywy to najbezpieczniejsze rozwiązanie. Z wami u boku będę miała z Morgassą większe szanse. Jeśli jej nie pokonacie, w Elloweer i tak nie będzie się gdzie ukryć. Opuszczenie tego królestwa byłoby dla mnie niepraktyczne. Nie tylko zależy mi na jego losie, ale bez zaklęć do obrony byłabym zdana na łaskę najwyższego króla i jego agentów.
- To pomoc, na którą nie śmiałam liczyć.
- Mile widziana, mam nadzieję? – upewniła się Callista.
- Bardziej niż słowa potrafią wyrazić!
- Mogę was zaprowadzić do Błędnego Rycerza. Minimus już tego nie potrafi.
- Czuję się trochę zagubiony – przyznał Półrycerz.
- Mogę też prowadzić do Morgassy. Nasze przemienstwa powinny pomóc przedrzeć się przez jej hordę. Największym wyzwaniem będzie sama Morgassa. Jest istotą o ogromnej mocy zaklinania. W pojedynkę nie dałabym jej rady. Może wspólnie znajdziemy jakiś sposób.
- Co z naszymi końmi? – zapytała Mira. – Tymi, których nie odmieniłaś.
- Wyjdą stąd za nami. Pomogą im moje wytwory. Nic im nie będzie. To żyzna kraina.
- Czy powinniśmy włożyć maski? – spytał Jace.
- Nadszedł czas – zgodziła się Callista.
- Ty żadnej nie masz? – zauważyła Mira.
- Moja droga, nie zapominaj, kto je stworzył. – Formistka błyskawicznie urosła i przekształciła się w smukłego czarnego bawoła afrykańskiego niemalże o rozmiarach słonia. Jej rozłożyste rogi były tak grube, że chyba starłyby w proch cały budynek. – Dalej – poleciała głosem niezmiennym

pomimo nowej, potężnej postaci. – Włóżcie maski.

Dalton stał obok Cole'a z maską w dłoni. Cole zerknął na przyjaciela i spytał:

– Gotowy?

– Naprawdę to zrobimy? – mruknął Dalton.

– Chyba że chcesz zostać tutaj, na dnie jeziora.

– Myślisz, że będę miał apetyt na siano?

– Zaraz się okaże.

Cole przycisnął maskę do twarzy.

Zbombardował go grad różnych odczuć. Przez ułamek sekundy chłopiec przechylał się i wirował, kurczył się i rósł.

Stał na czterech łapach i czuł się z tym zupełnie naturalnie. Nagle uświadomił sobie, jak bezużyteczne do przemieszczania się były ludzkie ramiona. Owszem, dłońmi mógł lepiej chwycić, ale nigdy nie czuł się tak stabilny jak w tej chwili. Ludzie kiwający się na dwóch nogach wydawali mu się teraz dość żałośni.

Wykonawszy kilka kroków, poczuł siłę swych potężnych mięśni. Pragnął biegać i skakać, badać granice nowych możliwości. Wyostrzyły mu się zmysły. Dźwięki i zapachy docierały do niego wyraźniejsze i bardziej zróżnicowane.

Był duży. Takich rozmiarów nie osiągała żadna zwyczajna puma. Otaczały go inne potężne i silne zwierzęta. Każde pachniało inaczej.

– To szaleństwo! – zawołał Dalton. Tylko że teraz nie był Daltonem, ale olbrzymim bykiem, niemal tak wielkim jak Callista.

– Mogłabym się do tego przyzwyczaić – stwierdziła Skye, która zamieniła się w potężnego niedźwiedzia.

Wspięła się na tylne łapy i przecięła powietrze pazurami.

– Za mną! – zawołała Callista, po czym opuściła swój dom i zanurzyła się w mgłę.

Cole skoczył naprzód. Jego mięśnie z radością powitały ekscytującą prędkość. Mknął przez mgłę, szybko, tuż nad ziemią, pomimo mroku bez trudu śledził Callistę słuchem i węchem. Musiał się zgodzić ze Skye.

Można by się do tego przyzwyczać.

ROZDZIAŁ 36

RYCERZE

Opuszczali Jezioro Mgieł w takim pośpiechu, że ta niecka pełna oparów wydawała się teraz znacznie mniejsza niż poprzednio. Nie zwalniali ani na moment. Cole czekał, aż poczuje zmęczenie w mięśniach, aż jego płucom zabraknie tlenu, ale wyczerpanie nie nadeszło. Po godzinie zaczął wierzyć, że mógłby tak gonić bez końca.

Poruszali się w zadziwiającym tempie. Chociaż z Edgemontu przybyli konno, wierzchowce większość drogi pokonały stępa albo kłusem. Podróż, która wcześniej zajęła kilka dni, teraz minęła w kilka godzin. Przez jakiś czas widzieli zamek Blackmont, a potem zostawili go w tyle. Ponad nimi Drgawa w postaci orła wykonywał akrobacje na niebie.

– Zbliżamy się do obozu Błędnego Rycerza – oznajmiła Callista. – Zastanowiliście się, czy chcemy stanąć przed nim jako zwierzęta, czy w naszej prawdziwej postaci?

To pytanie sprawiło, że Cole się ocknął. Uświadomił sobie, że dotąd nie

myślał właściwie o niczym prócz pierwotnej radości z biegania.

– Jak sądzisz, Minimusie? – zapytała Honorata z grzbietu wierzchowca.

– Błędny Rycerz woli uczciwe podejście do sprawy. Doceni, jeśli zwrócicie się do niego w prawdziwych kształtach. Wyjątkiem może być Honorata. Jest obeznany z przemienstwami dodającymi siłę i zbroję.

Callista zwolniła i przystanęła. Pozostali zrobili to samo. Po długim biegu Cole dziwnie czuł się w bezruchu.

– Jesteśmy prawie na miejscu – oznajmiła formistka. – Jeśli chcemy zrzucić przemienstwa, to właśnie teraz.

– Minimus dobrze nam doradził – stwierdziła Honorata. – Zdejmijcie maski, ale miejcie je pod ręką, na wypadek gdyby negocjacje zawiodły. Ja zostanę w mojej.

– Wprowadzę nas do obozu – zadeklarował Półrycerz. – Na dowód, że nie mamy złych zamiarów.

Cole zorientował się, że chociaż przybrał zupełnie nową postać, wciąż jest świadomy maski na twarzy. Spojrzał na swoje łapy. Chyba nie były zdolne jej uchwycić.

Czy powinien spróbować? Jakaś jego część chciała, żeby tego nie robił. Tęskniłby za siłą i zwinnością. Czy ta potężna postać nie jest groźniejsza niż dzieciak? Dlaczego musieli stanąć przed Błędnym Rycerzem słabi?

Zobaczył, że Dalton i Jace już zdjęli maski. Widziani oczami pumy wyglądali jak chucherka.

Instynkt zapolowania na przyjaciół był wstrząsem, który kazał Cole'owi sięgnąć do maski. Chłopiec chwycił ją łapami i uniósł bez trudu. Zalała go powódź wrażeń, chwiał się i rósł, jego ciało gwałtownie się przekształcało.

Po chwili stał na dwóch nogach z maską w dłoni. Czy to wszystko wydarzyło się naprawdę? Czas spędzony w postaci pumy już teraz zdawał się odległy i niewyraźny, jakby Cole zbudził się ze snu. To było coś – móc tak długo

biec tak prędko, nie wspominając już o wyostrzonych zmysłach. Ale czy przez moment patrzył na Daltona i Jace'a jak na swoje ofiary? Czuł się z tym bardzo dziwnie i bardzo nie w porządku.

Spojrzał na prostą maskę, którą trzymał w ręku. Czuł lekką pokusę, by ponownie ją włożyć, jeszcze raz poczuć tę siłę. Wiedział, że znowu się przemieni, kiedy stawia czoło Morgassie, i to go ekscytowało.

Callista, odzyskawszy ludzką postać, zwróciła się do olbrzymiego orła, który przysiadł nieopodal.

– Drgawo, zdejmij maskę. To dobra praktyka, zwłaszcza jeśli masz opory. Włóżysz ją znowu po naradzie z Błędnym Rycerzem.

Cole spostrzegł, że pozostali – oprócz Honoraty – zdjęli maski i przyglądali się tej rozmowie. Wielki orzeł rozpostarł skrzydła.

– Wolę latać – odpowiedział głosem Drgawy.

– Latać będziesz później – powiedział mu Cole. – Teraz ściągnij maskę.

– Kiedy wy będziecie rozmawiać z Błędnym Rycerzem, ja mogę zostać na niebie. Będę czuwał nad sytuacją.

– Nie zapominaj, kim jesteś. Ja też czułem silną pokusę. Twoja wioska cię potrzebuje.

Orzeł spuścił głowę i uniósł pazur do dzioba. Po chwili Drgawa stał na ziemi z maską w dłoni.

– Przepraszam – rzekł. – Nie wiem, co mnie opętało. Latanie w postaci orła wydawało się takie... idealne. Nie chciałem się z tym rozstać. Już mi lepiej.

– W pewnym stopniu wszyscy mieliśmy chętkę, żeby pozostać w odmienionej postaci – przyznała Callista. – Pamiętaj, co czułeś, gdy nadszedł czas zdjęcia maski. Musisz walczyć o zachowanie kontroli, inaczej alternatywne wcielenie zapanuje nad tobą.

Ta rada poruszyła Cole'a. Rzeczywiście czuł pokusę, żeby nie zdejmować

maski. Podobnie jak Drgawa, on też będzie musiał mieć się na baczności.

– Wszyscy dobrze sobie radzicie – pochwaliła Honorata. – Jestem wdzięczna, że mi towarzyszycie. Mieście maski pod ręką podczas konfrontacji z Błędnym Rycerzem.

– Czegoś nie rozumiem – wtrącił Dalton. – Skoro zaklęcia odmieniają tylko żywe istoty, to jakim cudem maska Honoraty dała jej zbroję?

– Bystre pytanie – przyznała Callista. – Podobnie jak w przypadku Błędnego Rycerza oraz Minimusa jej zbroja jest połączona z nową tożsamością. W tej formie, nie zdjęwszy maski, Honorata nie mogłaby jej ściągnąć tak samo jak własnej skóry. To część jej samej.

– A nasze ubrania? – spytał Cole. – Wie pani, kiedy zmieniamy się w zwierzęta.

– Zaprojektowałam maski w taki sposób, żeby ubrania zlewały się z nowymi postaciami. To samo ze sprzętem. Ukrycie przedmiotów w odmienionej anatomii komplikuje przemienstwo, ale dobrze wrócić do własnej postaci w ubraniu i w pełnym rynsztunku.

– Proszę przyjąć moją wdzięczność – powiedziała Mira z powagą.

– Jesteśmy gotowi? – zapytała Honorata.

Wszyscy przytaknęli.

– Tędy – wskazał Minimus i ruszył naprzód na swym silnym wierzchowcu.

On i Honorata jechali pierwsi konno, a pozostali szli za nimi pieszo. Dwoje rycerzy starało się utrzymać wolne tempo, ale Cole i tak musiał prędko maszerować, by dotrzymać im kroku.

Zrównał się z Daltonem.

– I jak było? – zapytał.

– Super – odparł jego przyjaciel. – Prawie aż za bardzo.

– Też nie chciałeś zdejmować maski?

– Byłem taki silny. Mocne przeżycie.

– Biegało mi się wspaniale – powiedział Cole. – Czułem się taki... żywy. I czujny. Chciałem na coś zapolować. – Nie wspomniał, jakie ofiary upatrzył sobie pod koniec.

– A ja chciałem się bić. Miałem nadzieję, że coś wejdzie mi w drogę, żebym mógł to staranować. Dziwne. Pamiętam, co czułem, ale już trochę niewyraźnie.

– Jeszcze to powtórzemy. I myślę, że doczekasz się tej swojej walki.

Pokonawszy kilkaset metrów przez zagajnik, dotarli do polany, na której stały trzy duże namioty oraz kilka małych. Po obozie krążyli rycerze w pełnych zbrojach. Na widok przybyszów przystanęli.

Z okazałego namiotu wyłonił się Błędny Rycerz. Kiedy Cole widział go po raz ostatni, jego zbroja była zryta i powgniatana, teraz jednak lśniła nieskazitelnie, a z hełmu sterczały oba rogi.

– Minusie! – Błędny Rycerz powitał towarzysza swoim grzmiącym głosem. – Przyprowadziłeś do mnie z powrotem Miracłę. Dobra robota. Nie wyczułem twojego przybycia.

– Wielka formistka odłączyła mnie od twojej mocy – wyjaśnił Minimus. – Pozostaję jednak twoim wiernym sługą.

– Rozumiem – odparł Błędny Rycerz wyraźnie niezadowolony. – Kim są twoi nowi towarzysze?

– Pozwól, że przedstawię Honoratę Pemberton. – Głos Minimusa brzmiał wyjątkowo piskliwie w porównaniu z głosem jego pana. – Znajduje się pod wpływem przemienstwa.

– Ach tak. – Błędny Rycerz skłonił głowę. – Honorato, cieszę się, widząc cię w dobrym zdrowiu.

– Jak rozumiem, mamy wiele wspólnego – odrzekła dziewczyna.

– Co powiedział ci Minimus?

– Nic – wtrąciła Callista. – Jestem Callista, wielka formistka Elloweer. Twój związek z Honoratą był dla mnie oczywisty, podobnie jak odmieniona postać twoich rycerzy.

– Cechuje cię więc niezwykła spostrzegawczość. Nikt inny tego nie zauważył. Stawiasz mnie w trudnej sytuacji, pani. Moje tajemnice muszą pozostać zachowane.

– Bez pogroźek, panie rycerzu – powiedziała Honorata. – Zanim skoczymy sobie do gardeł, czeka nas walka ze wspólnym wrogiem.

– Morgassa powstała podobnie jak ty – wyjaśniła Callista. – Ale jej energia pochodzi od formisty o jeszcze większej mocy. Tylko osoby tu obecne mogą ją zwyciężyć. Zwyczajny śmiertelnik, który śmie się do niej zbliżyć, zostanie włączony do jej hordy. Twoje przemienstwa ochronią ciebie i twoich rycerzy, podobnie jak te, które zapewniłam tej oto drużynie bohaterów.

– Wśród was widzę głównie dzieci – stwierdził Błędny Rycerz.

Cole przesunął palcami po masce pumy. Niewiele potrzebował, żeby stać się znacznie groźniejszy.

– Nie lekceważ młodości – odparła z powagą Callista. – Moc twoją i twoich rycerzy skradziono dziecku, tak samo jak moc Morgassy.

– Nie mogę temu zaprzeczyć – przyznał Błędny Rycerz, opierając dłoń na rękocyfry Prawdy. – Otrzymałem moc Honoraty, ale nie uczestniczyłem w kradzieży. Teraz nie tylko dzierzę tę moc, ale określa ona to, kim jestem.

– Wciąż należy do Honoraty – powiedziała formistka. – Pragnie do niej wrócić. Jeśli Honorata zginie, twoja moc przepadnie. Będzie tak jak przed kradzieżą.

– Gdybym to przetrwał, byłbym bezsilny. Bardziej prawdopodobne, że rozerwałoby mnie na strzępy.

– Nie przybyłam tu po to, żeby odebrać swoją moc – oznajmiła Honorata. – Może kiedyś nadejdzie ta chwila, ale jeszcze nie teraz. W trosce o Elloweer musimy powstrzymać Morgassę.

– Dlaczego nie zostawimy tego osobom, które ją stworzyły? – zasugerował Błędny Rycerz.

– Gdyby tylko one miały zapłacić cenę za swoje szaleństwo, chętnie bym na to przystała. Niestety, nie potrafią jej pokonać i nie tylko one ucierpią. Wkrótce pod kontrolą Morgassy znajdzie się całe Elloweer. Nie można do tego dopuścić. Wspólnie mamy większe szanse.

Błędny Rycerz odwrócił się do swoich ludzi.

– Wiedziałem, że kiedyś nadejdzie dzień rozliczenia się za pożyczone moce. Spodziewam się, że jeśli powstrzymamy Morgassę, właśnie to nas czeka.

– Posłuchamy twych rozkazów jak zawsze, bez względu na konsekwencje – obiecał Phillip z toporem opartym o ramię. – Prowadź.

– Masz więcej rycerzy – zauważył Minimus.

– O trzech. Rycerze Desmond, Oster i Raul uciekli z nami z Edgemontu i dołączyli do mnie na stałe. Teraz, kiedy wróciłeś, mam jedenastu i pół rycerza.

Mówiąc o Desmondzie, Osterze i Raulu, Błędny Rycerz wskazał ich gestem. Cole zauważył, że, tak jak pozostali, noszą teraz pełne zbroje. Wydawali się też więksi niż dawniej.

– Co z Joem, Bradym i Sułtanem? – zapytała Mira. – Nie mogli nam towarzyszyć. Czy wiesz, co się z nimi stało?

– Ja i Brady jesteśmy tutaj – oznajmił Joe, wyłaniając się z namiotu z ręką na temblaku.

Za nim wyszedł Brady. Na ich widok Cole poczuł olbrzymią ulgę. To wspaniale, że Joemu i maluchowi nic się nie stało.

– A Sułtan? – spytała Skye.

Joe spochmurniał.

– Zmarł na skutek obrażeń kilka godzin po waszym odjeździe.

– Nie żyje? – jęknęła kobieta z rozpaczą w głosie.

Uczucie ulgi Cole'a przysło. Ranne ramię Sułtana co prawda bardzo krwawiło, ale przecież bełt nie ugodził go w serce ani nic w tym stylu. Chłopiec sądził, że krzepki iluzjonista wyliże się z tego.

– Zrobiłem, co mogłem – powiedział Joe. – Gdyby nie pomoc Błędnego Rycerza wkrótce po śmierci Sułtana Brady i ja dostalibyśmy się w ręce wroga. Wpadliśmy w zasadzkę agentów, ale przybyli rycerze i wszystkich wybili.

– Czy mogę obejrzeć chłopca? – zapytała Callista.

Joe odwrócił się do Brady'ego.

– Chcesz do niej iść?

Mały spojrział na niego i zmrużył oczy.

– A jest miła?

– Jestem przyjaciółką, Brady – powiedziała formistka. – Przyszłam pomóc.

– Jest całkiem miła – zapewnił Cole.

Brady podszedł do Callisty. Wszyscy im się przyglądali. Kobieta oparła mu dłonie na ramionach i popatrzyła z góry. Wydawał się drobny i dziecinny.

– Jesteś daleko od domu – rzekła.

– Chcę tam wrócić. Pomoże mi pani?

– Nie teraz. Zrobiłabym to, gdybym mogła. Czy wiesz, jak tu trafiłeś?

- Śniłem. I utknałem. Nie mogłem się obudzić. I nie mogłem wyjść.
 - Rozumiem. Przybyłeś tutaj przez sen. Otworzyłeś drogę. A potem nie potrafiłeś się wydostać.
 - Aż tamci po mnie przyszli. Ale nie zabrali mnie do domu. – Chłopiec spochmurniał.
 - Miałeś olbrzymią moc.
 - Wyobrażałem sobie różne rzeczy i one się działy. Zupełnie jak we śnie, tylko że wydawały się prawdziwe. Próbowałem tworzyć same wesołe rzeczy. Ale ciągle przychodziły mi do głowy okropności. Ci, którzy mnie zabrali, sprawili, że to się skończyło.
 - Oddałeś im moc, a oni przelali ją w inną osobę.
 - Dali ją pewnej pani. Pozwoliłem im na to. Obiecali, że wtedy sny miną. Ta pani się zmieniała.
 - W jaki sposób? – spytała Callista.
- Brady zamilkł na chwilę i się rozejrzał.
- Stała się jak pani Morgan. Tylko jeszcze gorsza.
 - Kim jest pani Morgan?
- Chłopiec wbił wzrok w ziemię.
- To moja okropna nauczycielka z pierwszej klasy. Nie cierpiała mnie.
 - Morgassa – mruknął Cole.
 - Właśnie. – Brady spojrział na niego. – Tak się nazwała, kiedy się zmieniała. Urosła. Zrobiła się strasznie wściekła. Powiedziała, że byłem niegrzeczny. Że jeszcze jej zapłacę. Wtedy tamci mnie zabrali. Ją też. Powiedzieli, że jestem bezpieczny. Kłamali.

Mira podeszła do chłopca.

– Powstrzymamy ją – powiedziała. – Powstrzymamy Morgassę. Obiecuję.

Brady zmarkotniał.

– Nawet nie próbujcie. Załatwi was.

– Musimy – odparła Honorata.

– Czy wiesz może o niej coś, co nam pomoże? – zapytała Callista.

– Ona była inna niż pani Morgan. Wścieklejsza. Silniejsza. Tak jak moje potwory w Krainie Snów. Zawsze stawały się gorsze, niż sobie wyobrażałem.

– Czy pani Morgan miała jakieś słabości? – spytała Mira.

Brady nie wiedział, co powiedzieć.

– Czy czegoś się bała? – rozwinął Cole. – Coś ją szczególnie denerwowało?

Chłopiec się zastanowił.

– Nie cierpiała, kiedy jej nie słuchaliśmy – powiedział. – Mieliśmy jej słuchać. I robić, co każe. Nie lubiła bałaganu. Ciągle kazała mi sprzątać ławkę. Nigdy nie była zadowolona.

Callista zbliżyła się do Joego.

– Opiekuj się Bradym – poprosiła.

– Idę z wami – zaproponował.

Formistka pokręciła głową.

– Nas wszystkich chronią przemienstwa. Ktoś musi pilnować chłopca. On ci ufa. Wrócimy, gdy uporamy się z Morgassą. Jak ręka?

Joe potarł ramię.

– Mogło być gorzej.

Callista oparła mu ramię na barku.

– Temblak już ci niepotrzebny – powiedziała.

Mężczyzna poruszył ramieniem i wyprostował rękę.

– Niesamowite.

– To drobne przemięstwo. Uraz jeszcze się nie zaleczył, ale teraz ramię pozostanie w pełni sprawne, a pod przemięstwem samo wyzdrowieje. Zaprowadź chłopca do najdalszego namiotu. Mamy sprawy do omówienia.

– Chcę zostać – zaprotestował Brady. – Nie jestem małym dzieckiem.

– Chodź, znam fajną grę – powiedział do niego Joe.

– Jaką?

– To tajemnica. Sam zobaczysz.

Joe ruszył przed siebie, a Brady pobiegł za nim i wziął go za rękę. Oddalili się razem.

– Morgassa pochodzi z tego malca? – spytał Błędny Rycerz, tym razem cichym głosem.

– Podobnie jak twoja siła od Honoraty – potwierdziła Callista. – Główna różnica jest taka, że chłopiec zrzekł się prawa do swej mocy, więc teraz ona istnieje niezależnie od niego.

Błędny Rycerz spojrział na Honoratę.

– Jeśli i ty zrzekniesz się mocy, mój miecz i moi rycerze będą twoi.

– Nie zrobię tego – odparła Honorata. – Może ci się wydawać, że ta moc jest częścią ciebie, ale pochodzi ode mnie. Ojciec i jego pomagierzy odebrali mi ją siłą. Ale jeśli nam pomożesz, chwilowo zrezygnuję z egzekucji swego

prawa.

Błądny Rycerz dobył Prawdy.

– Mógłbym zgładzić twoich towarzyszy i wziąć cię do niewoli.

– Mógłbyś spróbować – odparł Jace, włożył maskę i zmienił się w potężnego wilka.

Cole również wdział swoją. Przemiana w pumę dodała mu tyle siły, że aż ryknął. Od razu lepiej! Błądny Rycerz i jego ludzie nie wydawali się już tacy groźni. Cole niemalże chciał, żeby zaatakowali. Zbroje stanowiłyby pewien problem, ale był przekonany, że jego kły i pazury im podołają. Obok siebie z jednej strony zobaczył niedźwiedzia, a z drugiej barana – zatem pozostali także włożyli maski.

– Nie straszny mi ni człek, ni bestia! – huknął Błądny Rycerz. – Miałem obiekcje, czy atakować dzieci. Z chęcią przystaniemy na uczciwszą walkę.

– Jeśli chcesz uczciwej walki – powiedziała Honorata – nie mieszaj do tego innych. Stań ze mną do pojedynku.

Tylko Callista zachowała swoją prawdziwą postać. Uniosła rękę.

– Dość tych głupot! – zawołała. – Błądny Rycerzu, nie sądzę, byś chciał sprawdzić się w boju z tą szlachetną młodą damą. Niczym cię nie skrzywdziła. To ty skrzywdziłeś ją. Jeśli coś zrobisz królowie Honoracie, zapłacisz własnym honorem. Nie miałeś udziału w kradzieży jej mocy, więc nie czyn się współwinnym po fakcie! Gdybyś nie zechciał nam pomóc, dożyłbyś swoich dni jako uciekinier przed Morgassą albo padłbyś jej ofiarą. Nie możesz opuścić Elloweer. Sprzymierz się z nami przeciwko zagrożeniu. Daj temu królestwu szansę na przetrwanie.

– Żądacie zbyt wiele – warknął Błądny Rycerz, jakby wydzierano z niego te słowa. Wymierzył czubek Prawdy w Honoratę. – Jestem jej mocą bardziej niż czymkolwiek innym, moi rycerze również. Żądasz rezygnacji z mojej tożsamości. Naszej tożsamości.

Minimus zsiadł z konia i powoli podszedł do swego przywódcy.

– Sigmundzie – powiedział – tożsamość, którą chcesz chronić, nie jest twoja. Należy do Honoraty. Owszem, to cię odmieniło, ale wewnątrz nadal jesteś sobą. Zatrzymując jej moc, sprzeniewierzyłyś się wszystkiemu, co ci teraz bliskie i czego nas nauczyłeś.

W obozie zapadła cisza. Jedenastu i pół rycerza obserwowało swojego wodza w niewzruszonym milczeniu.

– Zobaczmy, jak potoczy się bitwa – zaproponowała Honorata. – Dzięki mojej mocy działałeś wiele dobrego. Może osiągniesz jeszcze więcej, zanim zażądam jej zwrotu.

– Po bitwie – odparł Błędny Rycerz – może zażądasz, a ja może odmówię.

– Jestem gotowa na takie ryzyko.

– Największą szansę w starciu z Morgassą będziemy mieli, jeśli zjednoczymy siły – powiedziała Callista. – Stanę u twego boku, podobnie jak Honorata, jej siostra i ich towarzysze. Może to jedyna nadzieja, żeby powstrzymać niebezpieczeństwo.

– W porządku – rzekł Błędny Rycerz z nutą rezygnacji w głosie. – Obserwowałem Morgassę. Zaiste stanowi tak katastrofalne zagrożenie, jak opisujesz. Dołączymy do polowania, ale nie obiecuję, co będzie potem.

– Możliwe, że kłopot rozwiąże się sam – stwierdziła Callista pogodnie. – Jest duża szansa, że nikt z nas nie przeżyje.

ROZDZIAŁ 37

STARCIE

Posuwiste kroki pchały Cole'a naprzód z podniecającą szybkością. Fizyczna radość, którą czerpał z biegu jako puma, pomagała stłumić strach przed zbliżającą się bitwą. Chociaż na dnie umysłu kłębił się niepokój, bladł przy euforii z pędu w gromadzie zwierząt i rycerzy.

Najwidoczniej wierzchowce tych ostatnich przemieniły się tak bardzo jak ich jeźdźcy, bo mimo mnóstwa kilogramów na grzbiecie bez trudu dotrzymywały tempa innym niez mordowanym bestiom. Wokół dudniły kopyta, po jednej stronie gnał niedźwiedź, a po drugiej byk, Cole czuł się niemal niezwyknięty. Cóż mogłoby stanąć im na drodze?

Zwęszył hordę, jeszcze zanim ją zobaczył. W tej woni było coś... nienaturalnego. Wzdrygnął się instynktownie. Horda miała zapach... No właśnie, jaki? Zapach czegoś zakażonego? Zepsutego? Właśnie te słowa przychodziły mu na myśl. Czegoś, czego nie chciałby ugryźć ani dotknąć. Czego zdrowe zwierzę powinno unikać.

Zobaczyli niewielką wioskę u stóp pagórka. Ludzie uciekali z małych kamiennych domków z dachami krytymi strzechą. Przerażonych wieśniaków dopadła forpoczta hordy, przygniotła ich do ziemi, a wytwory przejęły nad nimi kontrolę.

– Morgassa jest za tym wzgórzem – oznajmiła Callista. – Jej horda rozpierzchnęła się, żeby opanować kilka osad naraz. To dobra okazja do ataku.

– Naprzód! – zawołał Błędny Rycerz, dobywając Prawdy. – Nie zwalnajcie, by wdawać się w walkę. Nasze powodzenie zależy od prędkości.

Cole pędził szybciej niż kiedykolwiek, łapami odbijał się od ziemi, spinał i rozkurczał mięśnie, wystrzeliwując przed siebie. Z wioski nikt już nie uciekał. Wszyscy zostali opętani.

Zbliżając się do pierwszych członków hordy, Cole zebrał się w sobie. Narastał w nim taki wstręt, jaki pewnie by poczuł, gdyby musiał zanurkować w głębokim ścieku. Ale to, co nadciągało, było jeszcze gorsze. Ściek jest przynajmniej normalny. Zmysły ostrzegały go, że ta horda to zbrodnia

przeciwno naturze.

Błądny Rycerz wysunął się naprzód. Jego ludzie rozproszyli się za nim, tworząc klin, który osłaniał Honoratę i zwierzęta.

Wytwory sunęły, żeby przeciąć im drogę. Ich ospałe ruchy okazywały się zdradliwie szybkie. Wytwory miały ludzką postać, ale brakowało im szczegółów. Ich twarze były puste, a ciała, każde średniej budowy, równie dobrze mogły być męskie lub kobiece.

Przed wytworami gnały dziesiątki odmienionych ludzi w brudnych, porwanych ubraniach. Starzy i młodzi, wysocy i niscy, grubi i chudzi, brnęli naprzód z obłąkańczym zacięciem, wpadali na siebie, bezmyślnie bełkotali i warczeli. Poruszali się prędko, lecz niezgrabnie, jakby gnani paniką.

Rycerze nie zwalniali, zbliżając się do hordy. Ich konie tratowały nadciągające postacie. Co zwinniejsze przemienie rzucały się na jeźdźców, jak gdyby chciały wytrącić ich z siodła, ale oni odpychali je tarczami i bronią.

Kiedy wytwory były już blisko, Błądny Rycerz zaczął zataczać Prawdą szerokie łuki. Gdzie tylko skierował broń, tam magiczne istoty pryskały w niebyt.

Cole przebiegał po leżących przemienkach. Starzał się nie robić im krzywdy. Były co prawda odrażające i obłąkane, ale to tylko niewinni ludzie pod kontrolą Morgassy. Rycerze myśleli tak samo, bo nie zadawali śmiertelnych ran, tylko powalali je na ziemię. Chłopiec zauważył, że uderzają płazami mieczy i toporów, zamiast ciąć ostrzami.

Nie przyhamowali, kiedy minęli awangardę i dotarli do zwartych szeregów przemienców. Kosili tłum, jednych wyrzucając w powietrze, a innych wgniatając w ziemię. Cole nie był w stanie ominąć ciał, które zaścięły mu drogę. Stękały pod jego łapami, a on koncentrował się na utrzymaniu prędkości.

Błądny Rycerz wciąż zawzięcie wymachiwał Prawdą. Kolejne wytwory rozwiewały się jak dym. Po jakimś czasie chyba zorientowały się, że nie mają

szans w starciu z mieczem, który potrafi je wymazać, więc teraz trzymały się z tyłu.

Ale przemienie wciąż szarżowały.

Cole'owi żal było ludzi, których deptał. Oni wcale nie chcieli atakować. Nie mieli nad sobą kontroli. Wiedział jednak, że gdyby tylko nadarzyła się okazja, rozdarliby go na strzępy. Na miejsce powalonych, bez względu na liczbę, niezrażeni napierali następni. Dziko przewracali oczami, toczyli ślinę z wykrzywionych ust. Przynajmniej chyba nie czuli bólu.

Cole pędził naprzód. Powtarzał sobie, że jeśli wraz z przyjaciółmi nie powstrzyma Morgassy, przemienie na zawsze pozostaną jej sługami, a reszta Elloweer wkrótce do nich dołączy. Jeśli po drodze części stanie się krzywda, taka była cena. Minąwszy wioskę, Błędny Rycerz pogalopował wzwyż po zboczu wzgórza. Większość hordy nie wspięła się na pagórek, ale go okrążyła, więc nagle Cole nie biegł już po rannych ciałach, ale po trawiastym stoku.

– Morgassa nas wyczuwa – oznajmiła Callista. – Idzie w naszą stronę.

Błędny Rycerz nie wjechał na szczyt, ale poprowadził ich wokół zbocza. Gdy tylko znaleźli się z drugiej strony, zobaczyli Morgassę.

Miała tradycyjny ubiór, który Cole znał ze swojego świata: białą bluzkę, długą szarą spódnicę, ciemne pończochy i płaskie czarne buty. Jej włosy były związane w niechlujny kok. Wyglądała jak nauczycielka w dniu wywiadówki. Cole znał kilka, które ubierały się w taki sposób. Tylko że Morgassa miała dwa i pół metra. I unosiła się parę centymetrów nad ziemią.

Kiedy zbiegali ze wzgórza w jej kierunku, ona sunęła im na spotkanie. Uniosła dłoń i odezwała się do nich. Upiorne było to, że wszystkie przemienie i wytwory chórem wypowiedziały te same słowa.

– Nieznajomi! – zawołała Morgassa i jej horda; niezliczone głosy krzyczały jak jeden. – Stójcie i wyjaśnijcie, dlaczego niszcycie moje dzieci!

– To nie są twoje dzieci – odparł oskarżycielsko Błędny Rycerz,

przyśpieszając. – Porwałaś niewinnych ludzi.

– Zatrzymajcie się i wytłumaczcie albo poczujecie mój gniew! – zagroziła Morgassa i jej horda.

– Honorato? – odezwał się Błędny Rycerz, nie ustając w galopie.

– Co tu można powiedzieć? – odpowiedziała dziewczyna z grzbietu swojego wierzchowca.

– Jesteście niegrzeczni! – zaskrzeczała Morgassa, a jej horda wykrzyczała te same słowa. – Wytłumaczcie się lub gińcie!

– Może warto lepiej ją zrozumieć? – zasugerowała Callista.

Błędny Rycerz uniósł dłoń. Zwolnił do kłusa, a potem do stępa. Zatrzymał się na zboczu dwadzieścia metrów nad Morgassą. Cole'owi wcale się to nie podobało. Wyczuwał jej plugawą moc i chciał uderzyć z impetem. Stojąc w miejscu, czuł niepokój. Przesunął się nieco, żeby widzieć Morgassę pomiędzy dwoma jeźdźcami. Mimo imponującego wzrostu wydawała się dość bezbronna. Twarz miała surową i spokojną. Chłopiec z łatwością mógł ją sobie wyobrazić w szkolnej sali.

– Co masz do powiedzenia? – odezwała się do niej Honorata.

– Jaki pan tłumaczy się swoim sługom? – odparła dźwięcznie Morgassa i jej horda. – Jesteśmy siewcami porządku. Dlaczego niesiecie tu chaos?

– Przejmujesz władzę nad ludźmi! – zawołała Honorata. – Uwolnij ich!

– Matka i jej dzieci to jedność! – wrzasnęła Morgassa i horda. – Dlaczego nam się opieracie? Poddajcie się mej woli, która niesie spokój.

– Jej marionetki nas otaczają – ostrzegł Błędny Rycerz.

– Skoro chcesz rozmawiać, przestań przemieszczać swoich pachołków – zaapelowała Honorata. – Zwróć im wolność albo czekają cię konsekwencje.

Morgassa skrzywiła się, palce wygięła jak szpony. Potem wraz ze swą hordą

krzyknęła:

– Wy nie będziecie mi stawiać ultimatum!

– Dość tego! – odpowiedziała dziewczyna głosem słabym w porównaniu z fanatycznym chórem. – Broń się.

– Podobasz mi się – mruknął do niej przez ramię Błędny Rycerz, a potem spał konia i ruszył naprzód.

Inni rycerze poszli za jego przykładem. Za nimi gnał Cole w towarzystwie pozostałych zwierząt.

– Nie do przyjęcia! – wrzasnęła Morgassa wraz ze swą kohortą. Wyciągnawszy obie ręce, posłała ku wrogom sto nowo stworzonych, pustych wytworów.

Błędny Rycerz machnął Prawdą i wymazał je wszystkie. Morgassa przywołała kolejne, a on i te unicestwił.

Był coraz bliżej, jechał wprost na nią. Uniósł miecz i wychylił się na bok, żeby zadać zabójczy cios.

W okamgnieniu Morgassa zniknęła wewnątrz pełnej, białej zbroi przyozdobionej złotymi akcentami na napierśniku, nagolennikach, karwaszach i hełmie. Dzierżyła miecz niemal wielkości dorosłego człowieka oraz tarczę olbrzymią niczym stół. Stała na ziemi. Przewyższała teraz Błędny Rycerz na grzbiecie wierzchowca.

Prawda brzęknęła o jej tarczę, a potem to Morgassa przeszła do ofensywy. Tą samą tarczą pchnęła konia nieprzyjaciela. Zwierzę wywróciło się i przekoziółkowało, wzbijając w powietrze wielkie bryły ziemi. Błędny Rycerz wypadł z siodła. Wylądował, wywinawszy niezgrabne salto.

Pozostali rycerze skręcili, by zaszarżować na Morgassę. Sparowała mieczem kiścień, uchyliła się przed lancą, a potem brutalnym ciosem rozplątała jednego z jeźdźców od ramienia aż po biodro. Spadł z konia i wił się na ziemi.

Nie wszyscy mieli dość miejsca, żeby skierować wierzchowce w jej kierunku. Niektórzy zeskoczyli z siodeł. Inni zawrócili, by zaszarżować ponownie.

Minimus, który pozostał kilka długości za resztą rycerzy, ruszył prosto na Morgassę. Skoczył na nią wprost z grzbietu konia, a kiedy zamachnęła się mieczem, odbił jej cios własną bronią. Uderzenie zmieniło trajektorię jego lotu: przefrunął obok Morgassy i potoczył się w dół po stoku wzgórza.

Nagle Cole zobaczył, że między nim a Morgassą nie ma już nic. Pędził w jej stronę, pazurami rył w trawiastej ziemi. Obróciła się z uniesionym mieczem i tarczą gotową do walki. Górowała nad nim w swej wspaniałej białej zbroi. Cole wiedział, że miecz jest groźny. Wiedział, że zbroję trudno przebić. Ale wyczuwał również jej strach.

Ponieważ broń trzymała wysoko w górze, zaatakował nisko i rzucił się na jej nogi. Pazurami przeorał powierzchnię zbroi, zostawiając płytkie rowki w gładkim metalu. Próbował zacisnąć zęby na kostce Morgassy, ale odskoczyła zwinnie. Jej miecz spadł z wysokości, rozkrawając mu ranę od łopatki wzdłuż boku.

Morgassa przygotowała kolejny cios, ale Callista pod postacią bawołu afrykańskiego wpadła w nią z opuszczonymi rogami. Biała rycerka zakręciła się w miejscu i upadła na jedno kolano. Wtedy Dalton w formie byka wparował rozłożystymi rogami w jej bok. Oszołomiona Morgassa runęła na czworaki.

Mira jako baran wspięła się na tylne nogi, po czym zakrzywionymi rogami z całej siły grzmotnęła białą rycerkę. Morgassa upuściła miecz i otrząsnęła się po uderzeniu. Zaszarżowali na nią Skye pod postacią niedźwiedzia i Jace w formie olbrzymiego wilka.

Cole usłyszał zgrzyt kłów i pazurów o metal. Potem Morgassa odepchnęła wilka i rzuciła się po swój miecz. Obróciła się, obcięła niedźwiedziowi jedną łapę, po czym pchnęła ostrzem w pierś zwierzęcia.

Honorata wskoczyła między nich w samą porę, sparowała pchnięcie i napała na Morgassę. Gdy biała rycerka broniła się przed atakiem, byk zaszedł ją od

tyłu. Stracił róg, kiedy, odpierając cios, gwałtownie opuściła miecz.

Łopatka i bok Cole'a paliły go jak ogniem. Czuł, że luźno zwisa mu duży kawał skóry. Biała rycerka stała tyłem do niego. W furii ruszył na nią, chociaż w rannej łapie miał teraz mniej siły. Skoczył, podczas gdy Morgassa walczyła z Honoratą, ale odtrąciła go w powietrzu tarczą.

Wylądował oszołomiony. Czy ona ma oczy z tyłu głowy? Obroniła się idealnie, chociaż powinien wziąć ją przez zaskoczenie. Przejmujący cios nasilił uraz. Cole chciał się gdzieś schronić, dopóki nie dojdzie do siebie. Wystarczy płaska jaskinia. Nie wiedział, czy to koci instynkt, czy prawdziwe myśli. Czy to się czymś różni? Przecież jest pumą. Źródłem przemiany była maska, ale to nie kostium uległ uszkodzeniu. Paliły go jego nerwy. Na ziemię lała się jego krew.

Zewsząd napierały wytwory i przemieńce. Minimus i jego towarzysze skupili się na odparciu hordy. Błędny Rycerz gorączkowo wymachiwał Prawdą, żeby rozpraszać szturmujące istoty. Pole bitwy, na którym Morgassa walczyła ze zwierzętami, stało się wyspą w oceanie wrogów.

Przy białej rycerce Honorata wydawała się prawie tak mała jak Minimus. Walczyła z gracją i precyzją, blokowała wszystkie ataki i spychała Morgassę do defensywy.

Drgawa zapikował pod postacią orła. W ostatniej chwili uniknął miecza Morgassy, która się na niego zamachnęła. Stracił trochę piór, ale chyba nie odniósł poważniejszych obrażeń.

– Poddaj się – nawoływała Honorata podczas walki. – Przestań wysyłać swych ludzi przeciwko rycerzom. Zabijasz ich!

– Złóżcie broń – odpowiedziała Morgassa i jej horda. – To wy zabijacie swoich, wkrótce bowiem do nas dołączycie, wszyscy muszą do nas dołączyć.

Cole patrzył, jak wilk i baran razem atakują od tyłu białą rycerkę.

– Uważajcie! – zawołał, niepokojąc się o Jace'a i Mirę.

Zgodnie z jego obawami, Morgassa obróciła się, tuż zanim ją dopadli. Wilkowi mieczem rozorała pierś. Padł na ziemię, skamłąc. Rogi barana odtrąciła tarczą, a potem odwinęła się, żeby zaatakować Honoratę, i zwinnie odskoczyła.

W jej białej zbroi było kilka wgnieceń i zadrapań, ale na oczach Cole'a wszystkie zniknęły, a sama rycerka odrobinę urosła.

– Dołączcie do mnie albo gińcie! – wrzasnęła, a wraz z nią jej horda zawyła opętańczo. – Nie będzie więcej ostrzeżeń!

Te głosy raniły uszy Cole'a. Sprawdził moc swoich pazurów w starciu z białą zbroją, wiedział więc, że jest twarda. Jak pokonać Morgassę, skoro siłą woli potrafi naprawiać pancerz?

Rycerze powoli ustępowali pola zastępom wroga i zacieśniali pierścień. Wszyscy zsiadli z siodeł, a konie walczyły u ich boków, gorączkowo tupiąc i kopiąc. Na nic niestrudzony wysiłek i ogromne umiejętności – nieprzyjaciele byli zbyt liczni. Rycerze wciąż grzmocili, cięli i dźgali, ale cofali się, zawężając pustą przestrzeń. Zostawiali za sobą hałdy ciał. Dalton gnał po wewnętrznym obrębie pierścienia, żeby swym jedynym rogiem wykańczać przemienne, które zdołały się przemknąć do środka.

Rycerze nie uderzali już tak, by ranić. Teraz walczyli o życie. Cole zwrócił uwagę na to, że pokonane przemienne przestawały cuchnąć. Śmierć przynajmniej uwalniała tych ludzi spod władzy Morgassy.

Olbrzymia biała rycerka napierała na Honoratę, która teraz broniła się tylko dzięki pełni swych umiejętności. Błędny Rycerz przestał walczyć z hordą i doskoczył do Morgassy. Jego miejsce zajęły Callista z Mirą. Druzgotąły przemienne rogami i kopytami.

Cole próbował się podnieść, ale przez nogę i bok przeszedł mu tak porażający ból, że znowu padł na płask. Jego ziejąca rana nie tylko rozwarła się szerzej, ale czuł, jak wewnątrz zgrzytają połamane kości.

Przez moment Błędny Rycerz i Honorata wspólnie atakowali Morgassę. Biała rycerka jedno odpierała tarczą, a drugie mieczem. Potem długą nogą

kopnęła Honoratę, żeby całą uwagę skoncentrować na Błędnym Rycerzu. Każde uderzenie, które parował, zdawało się tak silne, że mogłoby zwalić go z nóg, w końcu jednak spowodował to mocny cios tarczą.

Jace leżał. Czy był poważnie ranny? Serce Cole'a łomotało. W porządku, wilk nadal oddychał. Skye dźwignęła się z ziemi, chowając ranną łapę, i poczłapała ku Morgassie. Wyglądała przy niej jak małe niedźwiedziątko. Biała rycerka powaliła ją wściekłym cięciem, a potem odwróciła się, żeby dobić Honoratę.

Cole musiał coś zrobić! Honorata zginie! Rycerzy i jego pozostałych przyjaciół zajmowała atakująca masa przemieńców. Warcząc cicho, podniósł się z ziemi i zaszarżował. W jego rannym boku eksplodowały fajerwerki bólu. Nie miał siły skoczyć, więc rzucił się na nogi Morgassy.

Jej miecz spadł z wysokości i worał mu się w grzbiet. Potem Cole poczuł, że metalowy but miażdży mu bok. Pociemniało mu przed oczami. Patrzył z przerażeniem, jak Morgassa odwraca się od niego i wznosi ostrze nad bezbronną Honoratą.

– Stój, demonie! – zawołała nagle Callista wzmocnionym głosem.

Nie było już bawołu. Na miejscu zwierzęcia stała wielka formistka w swojej prawdziwej postaci z uniesionymi ramionami.

Biała rycerka wyciągnęła dłoń. Wyczarowała pięćdziesiąt pustych wytworów, które posłała przeciwko Calliście. Gdy w odpowiedzi wielka formistka machnęła rękami, pojawiły się dwa ponure olbrzymy, o głowę wyższe od Morgassy. Każdy trzymał długi żelazny pręt. Ruszyły na wytwory i rozgniotły je wszystkie pewnymi ciosami. W pierwszej chwili Cole się zdziwił, bo przecież wytwory są niematerialne, uznał jednak, że pewnie to samo dotyczy tych olbrzymów.

Lekko unióśł głowę, a wtedy poczuł tak silny ból i mdłości, że prawie zemdlał. Miał wrażenie, że wnętrzości wypełnia mu potłuczone szkło, które tnie i kłuje przy każdym oddechu. Dla niego był to nie tylko koniec bitwy – przypuszczał, że nie pożyje już długo. Bezradny, obolały, rozpaczliwie przypatrywał się dalej.

Morgassa machnęła ręką, a wtedy w powietrzu śmignęło dwadzieścia migoczących włóczy, które przeszły parę olbrzymów wyczarowanych przez Callistę. Towarzyszyła im fala niewidzialnej energii. Cole poczuł, jak go oblewa, choć nie dotknęła go fizycznie.

Skye zerwała maskę. Nie była już niedźwiedziem – wydawała się cała i zdrowa. Choć jako zwierzę straciła łapę, teraz miała obie ręce i nogi. Wyciągnęła dłoń w stronę Morgassy.

Wokół hełmu białej rycerki pojawiła się drewniana skrzynia, która spoczęła na jej ramionach. Morgassa próbowała chwycić ją wolną dłonią, ale metalowa rękawica przeszła na wylot. Skye zaślepiała ją iluzją!

Błądny Rycerz ruszył do ataku. Jego miecz brzęknął o biodro Morgassy, zostawiając wgniecenie. Zachwiała się. Drugi cios trafił ją w kolano. Runęła na ziemię.

Cole wyczuł przypływ energii ze strony białej rycerki. Wokół niej znów pojawiły się puste wytwory. Dwa zerwały z jej hełmu iluzoryczną skrzynię. Błądny Rycerz przegnał je ruchem Prawdy, a tymczasem Morgassa zwinnie się podniosła.

Buchnęła od niej kolejna fala mocy. Niedaleko Skye zmaterializował się gąszcz wytworów. Jeden rzucił się naprzód i zlał się z nią, zanim Błądny Rycerz machnięciem miecza unicestwił pozostałe.

Skye, zgarbiona i wykrzywiona, z dziką miną ruszyła na Callistę. Wielka formistka stworzyła dwa nowe olbrzymy do obrony, ale Skye przebiegła przez nie jak przez dym. Na ratunek pośpieszyła Mira. Zakrzywionymi rogami powaliła ją na ziemię, a potem na niej usiadła. Skye szarpała się i warczała, ale nie potrafiła się wyrwać spod wielkiego barana.

Honorata, która zdążyła się podnieść, dołączyła do Błędnego Rycerza w kolejnym ataku na Morgassę. Biała rycerka broniła się przed nimi, a Cole czuł promieniującą od niej moc. Wyglądziły się szramy na jej pancerzu, ona sama trochę urosła, a jej miecz wydłużył się o jakieś trzydzieści centymetrów.

Kopniakiem posłała Błędnego Rycerza w powietrze. Potoczył się w dół wzgórza ku obrzeżu kręgu, tam gdzie jego towarzysze mozolnie odpierali napływ przemieńców. Wyczuwając jego bliskość, kilka przecisnęło się, by go zaatakować.

Honorata znów była całkowicie zepchnięta do defensywy. Po serii wyjątkowo silnych ciosów Morgassa uderzyła ją tarczą. Honorata grzmotnęła ostrzem swojej broni w masywny prostokąt z metalu, a wtedy klinga się roztrzaskała. Biała rycerka poprawiła mieczem. Potężne cięcie obaliło dziewczynę na ziemię, żłobiąc nierówną bruzdę w jej napierśniku.

Cole wyczuł energię formistyczną gromadzącą się gdzieś z boku. Gdy lekko obrócił głowę, ujrzał, jak Callista przemienia się w olbrzymią rycerkę w pełnej czarnej zbroi, uzbrojoną w miecz oraz tarczę. Urosła niemal do rozmiarów Morgassy, a potem ruszyła do natarcia.

Bardzo chciał pomóc. Instynkt mówił mu, że to już koniec. Krąg wciąż się kurczył – rycerze z wierzchowcami wycofywali się niechętnie. Poległ kolejny, a także kilka koni. Błądny Rycerz, w sponiewieranej, pooranej zbroi, pomagał swoim ludziom powstrzymać hordę. Wspierały go te zwierzęta, które jeszcze były zdolne do walki. Mira nadal przygniatała Skye. Honorata wciąż leżała na ziemi.

Ona i Błądny Rycerz nie potrafili sprostać Morgassie. Jeśli biała rycerka pokona Callistę, przegrają. Cole próbował się podnieść. Nie pozwoliły mu na to zawroty głowy i przeszywający ból. Nieomal pochłonęła go ciemność.

Leżał bez ruchu, dopóki nie przejaśniło mu się przed oczami. Obserwował białą i czarną rycerkę zwarte w pojedynku. Sypały się iskry, kiedy miecze tłukły o tarcze i pancerze. Walczące skakały ku sobie, popychały się i kopały. Ich zbroje zgrzytały i szczękały.

Callista wytrąciła Morgassie broń z dłoni, a potem wyprowadziła cios znad głowy. Morgassa złapała ostrze metalową rękawicą, wyszarpnęła je przeciwniczce z ręki, obróciła, a potem przekłuła nim zbroję i brzuch wielkiej formistki.

Przez moment obie stały nieruchomo. Dłoń Morgassy ścisnęła ramię Callisty,

jej palce odcisnęły ślady na pancerzu. Potem formistka zatoczyła się do tyłu i upadła na kolana. Chwilę później cios tarczą powalił ją na ziemię. Leżała z własnym mieczem sterczącym z napierśnika i już się nie poruszyła.

Morgassa podniosła swoją broń, po czym ruszyła ku Honoracie, która wstała chwiejnie, a teraz stawiała niepewne kroki na bok. Znowu buchnęła energia i uszkodzenia zadane ręką Callisty zniknęły.

W tej właśnie chwili Cole uświadomił sobie, że wyczuwa ich moc. Czuł, jak wzbiera, kiedy ją gromadziły i gdy jej używały. Ta świadomość wydawała mu się tak bardzo naturalna, że nie przyszło mu do głowy, iż jest to coś całkiem nowego.

Skupiwszy uwagę na sobie samym, poczuł energię emanującą z jego twarzy. Rozpoznawał tylko maskę. Własna moc Cole'a pozostawała niewidzialna.

Przypomniawszy sobie, że Skye została wyleczona z ran, kiedy zdjęła maskę. Zastanawiał się, czy w jego przypadku stałoby się tak samo. Jego obrażenia wydawały się zbyt głębokie, żeby cokolwiek mogło je zabić. Był pumą. To jego ciało. A jeśli jednak nie? Jeśli jakimś cudem jego ciało pozostało oddzielne od ciała zwierzęcia? Jeśli zdjęcie maski pozwoli mu wrócić do walki?

Próba uniesienia łapy okazała się torturą. Zdruzgotane wnętrzości piłowały mu nerwy. Świat falował mu przed oczami.

Jeśli zdejmie maskę, straci odporność na puste wytwory. Czy prędko stanie się obłąkanym przemieńcem tak jak Skye? Nie chciał doświadczyć takiego losu. Instynkt mówił mu jednak jednoznacznie: za moment umrze od doznanych ran. A Morgassa zabije Honoratę, która słała się, jakby ziemia chwiała jej się pod nogami.

Część Cole'a miała ochotę poddać się obrażeniom. Zmęczenie kusiło go, by odpoczął. No bo co zrobi? Znowu da się rozharatać? Tak łatwo byłoby osunąć się na ziemię i zasnąć. Ale to zbyt kosztowne. Przyjaciele go potrzebują. Musi spróbować!

Palący ból przeszył go jak prąd elektryczny, kiedy pochylił łeb w stronę łapy.

Uchwycił mocno i ściągnął maskę.

Ból zniknął. Jego umysł stał się czysty. Cole wciąż wyczuwał moc emanującą z Morgassy. Co ważniejsze, czuł również tę obecną w nim samym. Jak mógł ją wcześniej przegapić? Kiedy się na niej skupił, zapłonęła jaśniej. Dobył miecza skakania i skierował w niego swoją moc. Klingę spowiły widmowe płomienie.

– Zdejmij maskę! – wrzasnął do Jace’a, który leżał nieruchomo pod postacią wilka.

Morgassa zamachnęła się na Honoratę. Ta mieczem zablokowała uderzenie, ale upadła na ziemię i wypuściła broń. Gdy biała rycerka szykowała się do ostatecznego ciosu, Cole wycelował w nią klingę i krzyknął:

– Naprzód!

Poszybował w powietrzu, w górę, w stronę białego hełmu. Doleciał tam, zanim zdążył pomyśleć, więc miecz tylko o niego brzęknął. Cole odbił się od opancerzonego ramienia Morgassy, powtórzył komendę i wylądował w pewnej odległości.

Morgassa obróciła się w kierunku chłopca i wyciągnęła ku niemu broń.

– Jak śmiesz! – warknęła wraz ze swą hordą.

Puste wytwory sunęły w stronę Cole’a. Zanim zdążył przed nimi odskoczyć, zniknęły. To Błędny Rycerz szarżował na Morgassę, wymachując Prawdą.

– Cole! – zawołał Jace.

Cole zobaczył, że jego przyjaciel nie jest już wilkiem. Maskę leżała u jego stóp.

– Wyjmuj linę! – krzyknął, a potem, używając miecza, doskoczył do Jace’a.

Gdy wylądował, tamten wyjął złoty sznur. Cole dotknął go i wlał weń swą energię. Wzdłuż liny zamigotały ciepłe płomienie.

Błądny Rycerz stanowczo stawił czoła Morgassie, ale była szybsza i silniejsza. Kilka razy zwarli się mieczami, a potem ona przyklękła na jedno kolano i odrąbała mu obie nogi na wysokości łydek. Błądny Rycerz ciężko runął na ziemię.

Tymczasem Honorata podniosła swój miecz. Kuśtykając jak zamroczony bokser, wystawiła się wprost na brutalny cios Morgassy i padła obok Błędnego Rycerza.

Złota lina Jace'a popęzła po ziemi, oplótła się Morgassie wokół buta, porwała ją wysoko w powietrze, a potem walnęła nią o ziemię z takim łomotem, jakby to czołg spadł z wieżowca. Po chwili biała rycerka znowu wleciała do góry i znowu gruchnęła o podłoże. Po trzecim razie miała już chyba zgnieciony pancerz.

Sznur napiął się raz jeszcze i Jace ponownie wyrzucił ją w górę, ale nagle jej zbroja zniknęła. Morgassa znów wyglądała jak unosząca się w powietrzu nauczycielka, z tym że jej twarz była podrapana i krwawiła. Złota lina już jej nie trzymała.

– Co to za diabelska sztuczka? – wrzasnęła Morgassa wraz ze swoją hordą. – Takie formowanie nie ma prawa tu istnieć!

Kiedy złoty sznur znowu sunął w jej stronę, w dłoni Morgassy pojawił się miecz, którym odrąbała linę. Wolną ręką przywołała dużą gromadę pustych wytworów i posłała je na Jace'a.

– Naprzód! – krzyknął Cole i uskoczył przed nimi w bok.

Jace wycofał sznur i zwinął go do skoku jak sprężynę. Cole zobaczył z przerażeniem, że jego przyjaciel nie zdąży uciec wytworom.

A potem Honorata ponownie była na nogach. Nie miała już zbroi, bo odrzuciła maskę rycerza. Oburącz chwyciła Prawdę. Miecz wydawał się dla niej za duży, ale nie powstrzymało jej to przed wprawieniem go w ruch.

Puste wytwory wyparowały.

Jace skoczył przy użyciu liny i wylądował po przeciwnej stronie Morgassy. Ta odwróciła się do Honoraty.

Cole wycelował miecz skakania w głowę nieprzyjaciółki i krzyknął:

– Naprzód!

Kiedy pomknął w powietrzu, Morgassa okręciła się ku niemu z bronią gotową do walki. Cole wiedział, że nie zmieni już kierunku lotu, więc spróbował się nastawić na sparowanie jej ciosu.

Nagle pojawiły się dwa jego duplikaty, które również frunęły ku Morgassie. Cole zauważył, że Dalton zrzucił maskę byka. To on wytworzył te zdawy.

Po drugiej stronie Morgassy lina Jace'a oplótła Honoratę i dźwignęła ją w powietrze w stronę lewitującej nauczycielki. Kiedy Cole był już blisko, Morgassa zamachnęła się mieczem. Chłopiec zablokował cios swoją bronią. Siłę uderzenia poczuł w kościach i stawach ramion. Rękojeść wyslizgnęła mu się z dłoni i miecz skakania poleciał w powietrze.

Honorata zaatakowała Morgassę od tyłu i wbiła Prawdę między jej łopatki. Demoniczna nauczycielka runęła w dół ze wzniesionymi ramionami i mieczem sterczącym z pleców.

Cole także runął. Morgassa znajdowała się dość wysoko nad zboczem pagórka. Chłopiec nie mógł już wykonać skoku, więc czekało go twarde lądowanie.

Ziemia zbliżała się z dużą prędkością, gdy nagle jakieś szpony chwyciły go za ramiona i znacznie spowolniły. Cole dopiero po chwili zrozumiał, że to Drgawa znów zanurkował mu na ratunek.

Chłopiec mimo wszystko mocno uderzył o ziemię, ale mogło być znacznie gorzej. Kiedy się odwrócił, żeby podziękować Drgawie, Morgassa skoczyła naprzód i odtrąciła orła.

Kasłała, bulgotało jej w gardle, twarz miała wykrzywioną w przerażającym, rozpaczliwym grymasie. Miecz wciąż sterczał z jej pleców. Bluzka była

zniszczona. Kobieta wybałuszyła oczy.

Potem rzuciła się i runęła na Cole'a. Jej długie paznokcie boleśnie wbiły się w boki chłopca, a ona obryzgała go mokrym kaszlem. Próbował się wyrwać, ale Morgassa, nawet mniejsza i bez zbroi, wciąż była bardzo silna.

Nagle Cole'em szarpnęło do szpiku kości jakieś dezorientujące doznanie. Wszystko się w nim zwinęło i wykręciło, jakby cały – ciałem i umysłem – został wywrócony na lewą stronę. Czuł w sobie zalęknioną, wściekłą obecność Morgassy. Krążyła w nim moc, ohydna i mściwa.

Jego oczy przestawały funkcjonować prawidłowo. Widział wirującą ciemność w odcieniach od niewiarygodnie do niewyobrażalnie czarnego, pustkę w pustce. Słyszał wiele krzyczących głosów, całą armię głosów, setki tysięcy. I to nie były radosne krzyki jak w wesołym miasteczku – lecz jak w płonącym budynku.

Cole szukał własnej mocy, żeby móc stawić opór. Ale zdolność wyczucia jej zatraciła się w burzliwej powodzi gniewu Morgassy.

I nagle Morgassa została od niego oderwana. Złoty sznur szarpnął ją w powietrze i po raz ostatni cisnął nią o ziemię. Prawda wysunęła się z jej ciała. Morgassa leżała bez ruchu.

ROZDZIAŁ 38

HONOR

Cole, cały spocony, usiadł na ziemi, dysząc. Pojaśniało mu przed oczami, jakby ktoś zerwał zasłonę z jego twarzy. W uszach wciąż dźwięczały echa wrzasków. Teraz było już cicho, prawda? Czuł cztery palące rany w miejscach, gdzie paznokcie Morgassy wbiły się w boki.

Wszędzie dokoła padała jej horda. Puste wytwory znikwały, a przemienie wszystkie naraz runęły na ziemię jak marionetki po przecięciu sznurków – martwe lub nieprzytomne.

Honorata podeszła do Morgassy z Prawdą w dłoni, gotowa zadać cios. Morgassa wyglądała teraz inaczej. Była wzrostu przeciętnej kobiety, ubrana na czarno, rysy miała gładsze i mniej majestatyczne. Jej obrażenia nie zmieniły się. Nie żyła.

Cole podniósł się chwiejnie. Czuł się dezorientowany. Wygrali, prawda? To dobrze, nie? Podszedł do niego Drgawa, już bez maski, nie w postaci orła.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Nie wiem – odparł Cole.

– Co ona ci zrobiła? – Drgawa przykucnęła, żeby obejrzeć zagłębienia w bokach przyjaciela.

– Nie jestem pewien – przyznał szczerze chłopiec. – To nie było przyjemne. Dzięki, że mnie złapałeś.

– Dzięki, że pomogłeś ją pokonać.

– Fakt – przyznał Jace, podchodząc do nich. Jego złota lina znowu się skróciła. – Należy ci się za to parę punktów. W samą porę odnalazłeś w sobie te swoje czary-mary. Nic ci nie jest?

Cole na próbę poruszył ramionami. Rany pumy zniknęły. Trochę piekły go boki, tam gdzie naznaczyła go Morgassa, ale poza tym fizycznie był w całkiem niezłym stanie. Wewnątrz natomiast czuł się dziwnie wyczerpany. Odrętwiały. Chciał się położyć na ziemi i zasnąć.

– Cole? – powtórzył Jace.

Cole zorientował się, że mu nie odpowiedział.

– Chyba nic.

– Uratowałeś nas – powiedział Dalton. Podszedł od tyłu i objął przyjaciela ramieniem.

– Dzięki za pomoc – odparł Cole. – Zauważyłem twoje iluzje.

– Musiałem coś zrobić. Szkoda, że nie mogłem więcej.

– Może następnym razem pożyczymy ci miecz skakania – stwierdził Jace, poklepując Daltona po plecach.

Cole podszedł i podniósł swój. Na klindze nie migotały już widmowe płomienie. Zajrzał w głąb siebie, ale znów nie wyczuwał energii. Niemożliwe! Przecież teraz wiedział, czego szukać. Skoncentrował się, sięgnął bardzo głęboko, ale nadal nic nie czuł. Może po prostu był zmęczony?

Honorata i Mira stały obok leżącej postaci Callisty.

– Cole! – zawołała ta pierwsza. – Callista chce z tobą rozmawiać! Prędko!

Mimo wyczerpania pobiegł tam natychmiast. Słyszał, że Drgawa, Dalton i Jace ruszają za nim.

Callista, wciąż olbrzymia, leżała na plecach z mieczem wbitym w tułów. Zdjęto jej hełm, więc wszyscy widzieli, że głowa formistki urosła proporcjonalnie do reszty ciała. Jej przejęte spojrzenie odnalazło Cole'a.

– Tobie też to zrobiła – wychrypiała.

– Co? – zapytał chłopiec, chociaż dobrze wiedział.

Callista zamknęła oczy, przełknęła ślinę, a potem znów je otworzyła.

– Morgassa obłożyła mnie dziwnym przemianstwem. Kiedy wbiła mi miecz. Odłączyła mnie od mojej mocy. Nie ukradła jej, ale jakimś cudem mnie rozstroiła. Tobie zrobiła to samo.

Cole skinął głową.

– Poczulem to. Wszystko poczerniało.

– Tak myślałam. Dotknąłeś jej zepsutej mocy, nieskończonego głodu, który po wieczność pożera sam siebie. Samo poznanie go było straszne, a wyobraź sobie, co to znaczyło być nią. Moc miała nad Morgassą pełną kontrolę. Uwolniliśmy tę kobietę od straszliwego losu.

– Czy możesz odtworzyć więź ze swoją mocą? – zapytała Mira. – Uleczyć się przemianstwem?

– Może gdybym miała więcej czasu – wydyszała Callista. – Nie byłoby łatwo. Morgassa zrobiła ze mną coś nienaturalnego. Coś, co przekracza moją obecną wiedzę o zaklinaniu. Rany odniosłam sama. To inaczej niż w maskach. Stworzyłam je w taki sposób, żeby po ich zdjęciu zniknęło wszystko, co było częścią zwierzęcia. Również obrażenia. Niebezpieczeństwo wiązało się tylko z tym, że ktoś może nigdy nie zdjąć maski albo zginąć, zanim zdąży to zrobić. Ja postanowiłam odrzucić moją przemianę. Blokowała mój dostęp do pełnej mocy. Oznaczało to, że stawiałam czoła Morgassie ze słabszą ochroną. Wielu z was pod koniec podjęło to samo ryzyko.

– Poszukaj jej – zachęcała Mira. – Odnajdź swoją moc!

– Ona wciąż jest ze mną – odparła Callista. – Postrzegam ją, choć nie mam do niej dostępu. Gdyby tylko... Nie... Brakuje mi czasu. Tych formowników trzeba powstrzymać! Kobieta, która stała się Morgassą, była jedną z nich. Połączyła swoje możliwości z mocą Brady’ego. Honorato, spróbuj ocucić Skye. Nie umarła, ale zasnęła, tak jak reszta byłych przemieńców. – Honorata odbiegła. Callista wyciągnęła rękę. – Cole. – Chłopiec włożył swoją małą dłoń w jej ogromną. Poczul się malutki. – Chciałabym móc cofnąć to, co zrobiła ci Morgassa. Masz wyjątkowy dar. Musisz na powrót odnaleźć swą moc. Morgassa ci to utrudniła, ale ta moc wciąż tam jest. Pięć Królestw cię potrzebuje.

Skye przyczłapała do nich, wspierana przez Honoratę. Wyglądała blado, jej powieki i wargi miały ziemistą barwę.

Callista puściła Cole’a i wyciągnęła rękę do iluzjonistki, która przyjęła jej

dłoń. Przez chwilę przyglądały się sobie.

– Mianuję cię moją następczynią – oznajmiła Callista z powagą. – Kiedy odejdę, zostaniesz wielką formistką Elloweer. Nie mogę przypieczętować tej decyzji swoją mocą. Moje zdolności są teraz poza moim zasięgiem, a mój czas się kończy. Idź do Trilliana. Nie powinnaś ufać mu w pełni, ale go potrzebujesz. Ucz się od niego. Dla Elloweer musisz stać się tym, czym tylko on może cię uczynić. Kiedy zobaczy, że wskazałam cię na swą sukcesorkę, będzie cię uczył. Obiecuj mi, że do niego pójdziesz.

Skye się zawahała. Potem ściągnęła ramiona i stanęła prosto.

– Obiecuję.

Callista opuściła dłoń i osunęła się płasko na ziemię.

– Wszystko, co mam, jest twoje – wymamrotała. – Opiekuj się nimi.

Zamknęła oczy. Jej urywany oddech ustał.

Honorata i Skye uklękły nad nią. Honorata dotknęła jej szyi.

– Odeszła – powiedziała, spuszczać głowę.

Skye wydawała się znużona i dezorientowana, jak małe dziecko obudzone w środku nocy. Usiadła na ziemi i patrzyła tępo na olbrzymią postać formistki.

Cole przełknął kulę w gardle. Niezbyt długo znał Callistę, ale była dla niego miła, pomogła mu. Zanim przybył na Obrzeża, jedynym znanym mu zmarłym był dziadek cioteczny, którego prawie nie pamiętał. A teraz Sułtan, Callista – oraz kilkoro dzieci u Łupieżców Niebios. Wiedział, że nigdy nie przyzwyczai się do życia w miejscu, w którym ciągle ktoś ginie.

Obrócił się i zobaczył, że pozostali przy życiu rycerze zgromadzili się nad swym leżącym dowódcą. Był z nimi Minimus, ale trzech rycerzy oraz kilka koni miało się już nigdy nie podnieść. Zbroje reszty na pewno pamiętały lepsze dni. Wyglądali tak, jakby wszyscy razem stoczyli się ze skalistej góry.

Minimus dostrzegł, że Cole patrzy w jego stronę, więc pomachał ręką.

– Honorato, pozostali, Błędny Rycerz chce z wami mówić.

Cole zerknął na dziewczynę. Wydawała się niepewna.

– Jak sobie życzy – powiedziała.

Wszyscy podeszli do Błędnego Rycerza rozciągniętego na ziemi w pooranej, wgniecionej zbroi. Nogi miał obcięte tuż pod kolanami. Chyba nie krwawił.

– Zrobiłaś z Prawdy dobry użytek – powiedział głosem trochę zmęczonym, ale ciągle krzepkim.

– Jest przedłużeniem mnie samej – odparła Honorata. – Poczułam silną więź. Dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest. Chociaż już bym nie żył, gdyby nie ty i twoi przyjaciele. Uratowałaś mnie i uratowałaś Elloweer. Nikt inny by jej nie powstrzymał.

Cole zastanawiał się, czy Błędny Rycerz wie, że nie ma nóg. Myślał, czy nie zwrócić mu na to uwagi.

– Dokonaliśmy tego wspólnie – powiedziała Honorata. – Callista poległa.

– Tego się obawiałem. Ja straciłem trzech ludzi. Nie da się im już pomóc. Mógłbym naprawić obrażenia, których doznaliśmy ja i pozostali, ale nie zamierzam. Zrobię to tylko dla Minimusa. – Ruszył ręką i Minimus znów miał na sobie nieskazitelną zbroję.

– Dlaczego tylko dla niego? – zapytała Honorata.

Błędny Rycerz westchnął.

– Od czego zacząć? Łatwo było wyobrazić cię sobie jako rozkapryszoną, niedojrzałą, niegodną. Łatwo było sobie wmawiać, że władam twoją mocą w imię wyższego dobra. Ale teraz z bliska poznałem twą odwagę i szlachetność. To oczywiste, że jesteś równie wyjątkowa, jak twoja moc. Przecież zrodziła się w tobie. Powinienem był to wiedzieć. Moc, którą

dysponuję, prawowicie należy do ciebie. Kto śmie twierdzić, że jest inaczej? Zanim do mnie przyszła, nie miałem honoru. Pracowałem dla formowników, którzy stworzyli Morgassę. Przyjąłem to, co mi zaoferowali. Chcieli, żebym stał się ich bronią. Ale obecność twojej mocy otworzyła mi oczy i zmieniła moją naturę. Jestem dumny z tego, w kogo się przeobraziłem. Ale jeśli spróbuję zatrzymać ją choć chwilę dłużej, to ten godny człowiek przepadnie.

– Czy jesteś tego pewien? – zapytał Minimus.

Błądny Rycerz uniósł dłoń, żeby powstrzymać jego słowa.

– Chociaż przywróci mi to dawną postać, a moich rycerzy zwolni ze służby, to honor, który mną kieruje, wymaga, żebym oddał tej młodej kobiecie jej moc. Nie chcę iść tą samą drogą co Morgassa, przywłaszczając sobie coś, co nie jest moje. Co prawda osobiście nie pozbawiłem Honoraty jej zdolności, ale współpracowałem z ludźmi, którzy to zrobili, więc gdybym teraz odmówił zwrotu tego, co do mnie nie należy, równie dobrze sam mógłbym być złodziejem. Usilnie proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość.

– Uczyniłeś wiele dobrego – powiedziała Honorata. – Może powinnam pozwolić tobie i twoim ludziom zachować moją moc przez pewien czas. Obawiam się, że wspólnie korzystacie z niej skuteczniej niż zrobiłabym to sama.

– Może teraz – przyznał Błądny Rycerz. – Ale ta moc należy do ciebie. Jeśli ci ją zwrócę, będzie coraz silniejsza. Pewnego dnia zapewni ci większą potęgę niż nam wszystkim. Poza tym w przeciwieństwie do nas ty możesz przekroczyć granice Elloweer.

– Czy taka jest twoja decyzja? – zapytała Honorata.

– Tak. Phillipie, podziel mnie na pół tuż poniżej pasa. To mój ostatni rozkaz.

Rycerz z potężnym toporem poczłapał do swego dowódcy. Miał wygięty i podrapany napierśnik. Cole i Dalton wymienili spojrzenia. Czy to będzie egzekucja?

Phillip wysoko uniósł broń, a potem znieruchomiał na chwilę.

– Służba pod twoją komendą była dla nas największym honorem.

Kiedy topór opadał, Cole odwrócił wzrok. Nie mógł się jednak powstrzymać i popatrzył znowu. Widział, jak dolna część ciała Błędnego Rycerza oddziela się od górnej.

Obok Honorata głośno stęknęła. Obejrzała się na Mirę szeroko otwartymi oczami.

– Wróciła! Czuję moją moc! Przybyła nagle. Wcześniej wyczuwałam tylko ślady. A teraz jest tak, jakby mnie nigdy nie opuściła!

Mira uściskała siostrę.

Na oczach Cole'a pancierz Błędnego Rycerza rozwiął się, podobnie zbroje jego ludzi, z wyjątkiem Minimusa. Rycerze stracili imponującą posturę. Niektórzy, w tym Oster i Desmond, mieli pod spodem inną zbroję i rynsztunek, a pozostali zwykłe ubrania. Kilku wydawało się zbyt starych i słabych, żeby być rycerzami.

Nikt jednak nie zmienił się tak bardzo jak Błędny Rycerz. Tam, gdzie wcześniej leżał wielki wojownik, teraz siedział karzeł w średnim wieku. Podniósł się na nieco krzywych nogach. Jego przysadziste ciało mierzyło zaledwie metr. Rozejrzał się po otaczających go ludziach.

– Sigmundzie! – zakrzyknął Minimus.

– Donovanie. – Karzeł skłonił się nieco. – Widzę, że zachowałeś zbroję. Już wcześniej wyczułem, że coś się w tobie zmieniło.

– Callista scalała ją ze mną – wyjaśnił Półrycerz. – Utrwaliła moje przemienstwo.

Karzeł skinął głową.

– Władalem pożyczoną mocą. Tak samo jak Morgassa, chociaż ona zyskała do niej pełne prawo. W końcu musiało się to skończyć.

Cole zmarszczył brwi.

– Morgassa obłożyła mnie przemianstwem. Oddzieliła mnie od mojej mocy. Ale to nie minęło po jej śmierci.

– W takim razie musiała skorzystać z własnych umiejętności – odrzekł karzeł. – Ze swej rdzennej mocy.

– To ma sens – przyznała Honorata. – Callista mówiła, że Morgassa dawniej była formowniczką. Widocznie użyła przeciwko nim formownictwa.

– Pracowałem dla nich. – Dawny Błędny Rycerz westchnął. – Dla formowników. Nie pełniłem żadnej ważnej funkcji. Ot, zwykły sługa. Chyba właśnie dlatego sądzili, że mogą mnie całkowicie kontrolować. I na początku tak było. Ale po tygodniu wymówiłem im posłuszeństwo. Chociaż otrzymałem od nich wielką moc, nadal nie rozumiem, jak działa sztuka, którą uprawiają.

Cole nie mógł uwierzyć, że ten drobny człowiek o łagodnym głosie był Błędnym Rycerzem.

– Nazywasz się Sigmund? – zapytał.

Karzeł odchrząknął.

– Zgadza się. A Minimus to mój starszy brat Donovan. On nie okrył się hańbą tak jak ja, nie służył formownikom. Kiedy zaproponowałem, że uczynię go rycerzem, zgodził się, ale pod warunkiem, że zachowa niski wzrost. Zawsze czuł się z nim lepiej ode mnie. Podkreślił to, przybierając przydomek, który sam wymyślił.

– Dobrze, że stworzyłeś sobie dużą zbroję – powiedział Minimus. – Inaczej straciłbyś nogi.

– Miałem dużą zbroję – przyznał Sigmund – ale nigdy nie zmodyfikowałem ciała, żeby do niej pasowało. Ponieważ pancerz poruszał się jako część mnie samego, nie było takiej potrzeby. Dzięki decyzji, żeby moje ukryte ciało pozostało nieduże, uratowałem stopy.

– Sporo kłopotów narobiłeś jak na tak małego gościa – stwierdził Jace.

– Nigdy nie lekceważ człowieka z powodu jego wzrostu – skarcił go Minimus.

– Dużo mam na sumieniu – przyznał Sigmund. – Zyskałem znacznie więcej wrogów niż przyjaciół. – Uklęknął przed Honoratą. – Przyjmę każdą karę, jaką uznasz za stosowną.

– Dobrze wykorzystałeś moją moc – odparła królowna. – A w końcu oddałeś ją z własnej woli. Narobiłeś sobie wrogów wśród formowników oraz tych, którzy rozdają karty w Elloweer, ale znalazłeś również przyjaciół. – Honorata spojrzała na jego ludzi. – Czy ktokolwiek z was wstydzi się swojego dowódcy?

Phillip, szczupły rolnik po czterdziestce, uklęknął na jedno kolano.

– Oddałbym za niego życie.

Pozostali rycerze zrobili to samo i spuścili głowy. Minimus również.

Honorata powiodła wzrokiem po morzu nieprzytomnych przemieńców.

– Proponuję, abyśmy zachowali w tajemnicy prawdziwą tożsamość Błędnego Rycerza.

Rycerze potakująco pokiwali głowami.

– Roztropna rada – zgodził się Sigmund. – Błędny Rycerz i jego towarzysze przestali istnieć. Ujawnienie przeszłości tylko zaszkodziłoby nam oraz naszej sprawie. Niechaj wrogowie zastanawiają się, kim byliśmy i dokąd odeszliśmy.

– Ja zostałem – stwierdził stanowczo Minimus.

– To prawda. I jesteś wolny od wszelkich zobowiązań wobec swego dawnego dowódcy. Co oznacza, że być może na pewien czas powinniśmy się rozstać.

Minimus skrzyżował ramiona.

– Nie chciałbym zwrócić na ciebie podejrzeń. Pójdę z Drgawą. Chłopak

potrzebuje czempiona. – Rycerz obrócił się do niego. – Przyjmiesz moją pomoc?

– Jasne. – Drgawa był zaskoczony i uradowany. – Oczywiście. Renford nawet się nie obejrzy!

– Nie jestem już tak przydatny jak dawniej, ale nie odwrócę się od rebelii – powiedział Sigmund. – Błędny Rycerz służył tej sprawie, więc teraz będę jej służył ja.

– Ja również – włączył się Desmond. – I chętnie wyszkolę każdego, kto chce nauczyć się walki bez pomocy zaklęć.

Reszta byłych rycerzy również wyraziła gotowość do służby.

– Oddajemy się pod twoje rozkazy – rzekł Sigmund do Honoraty.

– Zatem powstańcie – odparła. – Ludzie opętani przez Morgassę zaczynają się poruszać. Powinniśmy stąd odejść. Proponuję wrócić do waszego obozu. Joe i Brady zasługują na wiadomość o tym, co się stało. Tam podejmiemy dalsze decyzje.

Cole rozejrzał się po armii leżących ciał. Tu i ówdzie zdezorientowani ludzie siadali na ziemi, włosy mieli zlepione, twarze umazane brudem. Byli wśród nich mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi. Na razie zbudziło się może pięćdziesiąt osób z wielu tysięcy. Większość pocierała skronie, jakby dręczył ich ból głowy. Przez masę ciał przechodziły fale ruchu, kiedy kolejni ludzie otrząsali się ze snu.

– Budzą się – powiedział Dalton.

– Wkrótce zacznie się tu olbrzymie zamieszanie – ostrzegł Desmond. – Bierzmy jak najszybciej konie, które przeżyły, i ruszajmy.

– No i maski – przypomniał Jace. – Nie możemy ich zostawić.

Honorata objęła Cole'a ramieniem.

– Czy jesteś w stanie podróżować? – zapytała.

– Myślę, że tak – odrzekł.

Wciąż czuł się otumaniony. I dziwnie rozciągnięty.

– Blado wyglądasz – powiedziała. – Możemy cię wsadzić na któregoś z koni. Skye również.

– Chyba nic mi nie jest.

Honorata nadal trzymała rękę na jego ramieniu.

– Wszyscy się dziś przysłużyli. Ale ty nas uratowałeś. Bez twojej mocy przegralibyśmy bitwę. Morgassa się ciebie nie spodziewała. Zaskoczyło ją wszystko, co zrobiłeś. Kiedy was poznałam, nie doceniłam ciebie i twoich przyjaciół, co było nie w porządku, bo przecież poznaliśmy się, kiedy mnie oswobodziliście. Dziękuję ci, Cole.

– Nie ma za co – odparł chłopiec zawstydzony, lecz szczęśliwy. – Ale sam nie wiem... To ty dobiłaś Morgassę.

– Było już po niej, kiedy ożyły twój miecz skakania oraz lina Jace’a. Niesamowicie się nią posługuje.

– Artefakty znowu nie działają – jęknął Cole. – Przynajmniej na razie.

– Poradzisz sobie z tym – zapewniła go Honorata. – Chodźmy.

Chłopiec poszedł podnieść swoją maskę pumy. Kiedy się po nią schylił, wszystko poczerniało.

ROZDZIAŁ 39

NOWE MISJE

Cole obudził się na grzbiecie konia, przywiązany do siodła. Zwierzę prowadził Oster. Przez pewien czas chłopiec na zmianę tracił przytomność i dochodził do siebie. Tak naprawdę ocknął się dopiero wtedy, gdy o północy ściągnęli go z siodła i nakarmili. Chociaż drzemał w ciągu dnia, bez trudu przespał całą noc.

Dwie kolejne doby były serią niewyraźnych, oderwanych od siebie chwil. Cole albo półprzytomny jechał przywiązany do siodła, albo jadł lub spał. Czuł się wyczerpany. Bolesna sztywność w mięśniach przypominała tę, jaka zwykle następuje po nadmiernym wysiłku. Od światła bardziej bolały go oczy, więc starał się ich nie otwierać.

Czwartego dnia zaczął dochodzić do siebie, ale ilekroć próbował sięgnąć do swej mocy, nic nie odnajdywał. Odkąd świadomie ją rozpoznał, jej brak był bolesny.

Wreszcie zauważył, że nie ma Minimusa i Drgawy. Dalton wyjaśnił mu, że oddalili się z pola bitwy w przeciwnym kierunku. Cole żałował, że nie miał okazji pożegnać się z Drgawą i życzyć mu powodzenia.

Skye, przywiązana do innego konia, również była bez życia. Uznał, że nie powinno go to dziwić – nawiedziła ich przecież ta sama zepsuta siła. Identycznie czuli się zapewne wszyscy ludzie odmienieni przez Morgassę, ale nie mógł się o tym przekonać, bo zostawili byłe przemienie przed wieloma dniami.

Pieszko, prowadząc wierzchowce, potrzebowali sześciu dni, żeby przebyć odległość, którą wcześniej, jako zwierzęta i konni rycerze, pokonali w kilka godzin. Kiedy dotarli do obozowiska, Skye zaczęła bardziej przypominać samą siebie, a Cole poczuł się znacznie przytomniej.

– Załatwiliście ją?! – zawołał Brady, wybiegając z namiotu na ich powitanie.

– Załatwiliśmy – odpowiedział Cole.

Za małym z tego samego namiotu wyłonił się Joe z mieczem przy pasie.

– Nie żyje? – zapytał Brady. – Na pewno? Obcięliście jej głowę?

– Morgassa zginęła – zapewniła go Honorata.

Chłopczyk spojrzał na pozostałych.

– Gdzie Błędny Rycerz? I co się stało z innymi rycerzami? Dlaczego Oster wygląda tak jak dawniej? I dlaczego Minimus nie ma zbroi?

Ten potok pytań rozbawił Cole'a. Nie on jeden parsknął śmiechem.

– Nie zobaczysz już Błędnego Rycerza – wyjaśnił Sigmund. – On i większość innych rycerzy odeszła. A tak w ogóle to nie jestem Minimusem. Ale przeżył.

– A tamta starsza pani? – spytał Brady.

– Callista zginęła dzielnie – powiedziała Honorata.

– Wszyscy ciągle giną – poskarżył się mały.

Cole rozumiał, co on czuje, ale nie wiedział, jak zareagować. Sam miał kłopot z pogodzeniem się ze śmiercią tylu osób – więc jak mógł pomóc znacznie młodszemu od siebie dzieciakowi?

– Czy Błędny Rycerz też nie żyje? – zapytał Brady.

– Nie zginął – odparł Sigmund. – Po prostu odszedł.

Chłopiec milczał przez chwilę, marszcząc brwi.

– Co teraz zrobimy?

– Oto jest pytanie – przyznała Skye, zsiadając z konia.

– Wkrótce wszystko omówimy – rzekła Honorata. – Najpierw zatrzymajmy się i sprawdźmy, co z zapasami.

Przez jakiś czas dawni rycerze krzątali się po obozowisku. Niektórzy

przynieśli zasoby pożywienia, inni zajęli się zapasową bronią i ekwipunkiem. Cole pomagał przy koniach. Kiedy skończył, Desmond i Joe rozdawali śniadanie.

Usiadł na kłodzie, a potem przystąpił do jedzenia okrągłej bułki z grubymi plastrami sera i kiełbasy. Kiedy posiłek został rozdany, Joe spoczął obok niego.

– Rycerze nie musieli jeść – przypomniał sobie Cole. – Więc skąd tyle pożywienia?

– Mieli dużo dla mnie i Brady’ego. Lubili być przygotowani. Zostało dość zapasów dla wszystkich na kilka tygodni.

– Nie zabawimy tu tak długo – wtrąciła Mira, zajmując miejsce obok chłopca. Położyła mu dłoń na ramieniu. – Jak się czujesz?

– Dobrze – odparł Cole zgodnie z prawdą.

– Zupełnie dobrze? – dopytywała się.

– Jeszcze mnie trochę bolą mięśnie – przyznał. – To pewnie dlatego, że tak długo jechałem przywiązany do konia. W ogóle nie czuję swojej mocy. Poza tym wszystko jest w porządku.

– Przez pewien czas byłeś zupełnie wyczerpany. Martwiłam się o ciebie.

– Tuż po bitwie wcale nie czułem się źle. Pewnie napędzała mnie adrenalina.

– Musiałeś być w szoku – stwierdził Joe.

– Po posiłku Honorata chce porozmawiać o tym, dokąd się teraz udamy – powiedziała Mira. – Jesteś gotów do wyczerpującej podróży?

– Jasne – odparł Cole.

Podszedł do nich Jace i usiadł na kłodzie.

– Szkoda, że Morgassa nie poturbowała mnie mocniej – stwierdził. – Fajnie

byłoby pojeździć na koniu.

– Jace! – skarciła go dziewczynka.

– No co? Nogi mnie bolą.

– Spokojnie – wtrącił Cole. – On po prostu jest zły, że lina znowu nie działa.

– Nawet mi o tym nie przypominaj – jęknął Jace. – Sami widzieliście, jak szybko wygraliśmy, kiedy jej użyłem.

– Złożyło się na to jeszcze kilka innych czynników – zaznaczyła Mira.

– Niewiele – przyznał Cole. – Jace był super.

– Przynajmniej ktoś mnie rozumie – mruknął chłopak i ugryzł duży kęs bułki.

Zbliżył się Dalton.

– Honorata chce ze wszystkimi porozmawiać.

– Dopiero usiadłem, żeby coś zjeść – stęknął Jace.

– Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi – odparł Dalton, po czym włożył do ust ostatni kawałek kiełbasy.

– Możesz jeść podczas narady – zauważyła Mira.

Wszyscy zebrali się w luźnym kręgu pośrodku obozu. Wewnątrz stali Honorata i Sigmund.

– Mamy plan – oznajmiła dziewczyna. – Czas potraktować nasz bunt poważnie. Za długo zwlekaliśmy, szukając wsparcia i wyczekując właściwej chwili. Formownicy sięją zbyt wielki chaos. Oni i mój ojciec muszą ponieść klęskę, zanim zniszczą Pięć Królestw. Nie wiem, ile jeszcze takich Morgass wytrzymamy. Pora, aby Niewidzialni powstali. Musimy też odnaleźć moje pozostałe siostry.

– Gdzie one są? – zapytał Brady.

– Znając ich zdolności, należy przyjąć, że Konstancja jest w Zeropolis, Destynea w Necronum, a Elegancja w Creonie. Elegancja, jako najstarsza, najlepiej sobie poradzi, a ponieważ Creon to najdalsze królestwo, proponuję, żeby Mira, Joe i jej przyjaciele udali się do Zeropolis na poszukiwanie Konstancji. Desmond i Oster zadeklarowali, że wyruszą ze mną do Necronum, żeby znaleźć Destyneę. Ci z nas, którzy uporają się prędzej, mogą skierować się do Creonu.

– Brady zostanie ze mną i moimi ludźmi – powiedział Sigmund.

– Przecież ja cię prawie przerastam! – poskarżył się chłopiec.

– Ale nie moich ludzi. Raul zostanie z nami, zapewni ochronę i szkolenie. Wzniesimy tu bunt, a potem rozszerzymy go na inne królestwa. Teraz, bez przemianstw, możemy przekraczać granice.

– A ja? – odezwała się Skye.

– Celowo zostawiliśmy ci wybór – odrzekła Honorata. – Jesteś teraz wielką formistką Elloweer. Możesz posłuchać rady Callisty i odwiedzić Trilliana albo zrobić coś innego, co uważasz za stosowne.

– Nigdy nie chciałam być wielką formistką – powiedziała Skye niemal bez emocji. Chociaż fizycznie doszła już do siebie, to od czasu walki z Morgassą była przygaszona. – Nie zasługuję na ten zaszczyt. Dobrze sobie radzę ze zdawami, ale jeśli chodzi o przemianstwa, jestem właściwie amatorką. Muszę odwiedzić Trilliana, jeżeli chcę się sprawdzić w mojej nowej roli.

– Wcale nie musisz do niego iść – podkreśliła Mira.

Skye wzruszyła ramionami.

– Nie muszę, jeśli nie wierzę w rewolucję. Ale wierzę. Starcie z Morgassą obnażyło moje ograniczenia. Silny wielki formista znacznie wspomogł Niewidzialnych tu, w Elloweer. Choć na samą myśl czuję się jak wystraszone dziecko, udam się do Trilliana i nauczę się od niego możliwie najwięcej.

– Dobrze – rzekła Honorata. – Czy ktoś ma zastrzeżenia do przedstawionego

planu?

– Nie mam żadnych – odparł Cole – ale ja i Dalton jednocześnie zamierzamy również szukać naszych przyjaciół. Zwłaszcza Jenny. Poza tym jak zwykle pomożemy Mirze.

– To zrozumiałe – zgodziła się królowa. – Spróbujemy was wesprzeć w tych staraniach.

– Nie mogę wrócić do domu? – zapytał Brady.

– Na razie nie – odrzekła. – A może nawet nigdy. W każdym razie nie na stałe. Brady, kto raz trafił na Obrzeża, tego znów tu przyciąga. Wysłalibyśmy cię do domu, gdybyśmy mogli, daję słowo. Może coś poradzi wielki formista Creonu, który ukrywa się na drugim krańcu Pięciu Królestw. Tymczasem musisz przyjąć opiekę Sigmunda i pozostać w Elloweer.

– Ja też szukam drogi do domu – powiedział Cole. – Nie zapomnę o tobie, jeżeli ją znajdę.

– Dobra – westchnął Brady.

– Coś jeszcze? – spytała Honorata zgromadzonych. Nikt się nie odezwał. – W takim razie proponuję, żebyśmy tu przenocowali. Rano się rozdzielimy i wyruszymy w podróż.

Gdy się rozeszli, Cole i Dalton poszli za Joem.

– Opowiedz mi o Zeropolis – poprosił ten pierwszy.

Joe uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Nie ma drugiego takiego królestwa – powiedział.

– Cieszysz się, że wracasz do domu? – spytał Dalton.

Przez moment mężczyźni milczeli.

– Zeropolis to królestwo, z którego przybyłem, ale nie jest to mój dom. Ja też

pochodzę z zewnątrz, tak jak wy dwaj. Zanim tu trafiłem, mieszkałem w Monterey w Kalifornii.

– Naprawdę?! – zawołał Cole. – Dlaczego wcześniej nic nie mówiłeś?

Joe wzruszył ramionami.

– Ten temat jakoś nigdy się nie pojawił. Nie lubię gadać o sobie. Ale wygląda na to, że nasz los jest teraz powiązany. Wcale się nie skarżę. Niezwykłe z was dzieciaki.

– Próbowalesz wrócić do domu? – zapytał Dalton.

– Jasne. I to bardzo! W końcu mi się udało, ale nie na długo. Jest tak, jak mówią: nikt was nie pamięta, nikt nie poznaje, a w końcu zostajecie przyciągnięci z powrotem tutaj. Okrutna kombinacja.

– Myślisz, że znajdziemy sposób, żeby wrócić na dobre? – zastanawiał się Cole.

– Uwierz, zależy mi na tym równie mocno – odparł Joe. – Nigdy nie rozmawiałem z wielkim formistą Creonu. Warto spróbować.

– Ale najpierw jedziemy do Zeropolis – przypomniał Dalton.

– Taki jest plan.

– Czym się różni Zeropolis od innych królestw? – chciał wiedzieć Cole.

– Formowania używa się tam głównie jako paliwa. I do produkcji materiałów budowlanych. W tym królestwie pod pewnymi względami wyprzedzono technologię, którą znamy z Ziemi. Przy Zeropolis reszta Obrzeży wydaje się prymitywna. Sami zobaczycie.

– Wygląda, jakbyś wcale się nie cieszył, że tam wracasz – zauważył Cole.

– To królestwo jest najmniej przychylnie rebelii – odrzekł Joe. – Wielki formista Zeropolis stanął po stronie najwyższego króla. Jest jego prawą ręką. Poza tym w grę wchodzi... sprawy osobiste. Nie bez powodu zgłosiłem się

do misji, która wymagała opuszczenia Zeropolis.

– Dlaczego? – spytał Cole.

Przez moment Joe wydawał się bardzo zmęczony.

– To długa historia. Kiedyś wam opowiem. Ale plus jest taki, że Zeropolis ma wiele udogodnień, których nie znajdziecie nigdzie indziej na Obrzeżach, a ja umiem się tam poruszać. O konkretach pomówimy później.

Przez kolejnych kilka godzin Cole i Dalton krążyli po obozie w poszukiwaniu przydatnego ekwipunku. W końcu znaleźli więcej, niż byli w stanie unieść. Schowali to wszystko w namiocie, a potem usiedli na pryczy.

– Wszystko w porządku? – zapytał Dalton. – Dalej nie wyglądasz za dobrze.

– Staram się – odparł Cole. – Ty poznałeś swoją moc. Korzystałeś z niej. Wyobraź sobie, co byś czuł, gdyby nagle całkiem znikła.

– Rzeczywiście byłoby okropnie.

– Poza tym bitwa okazała się straszna. Naprawdę myślałem, że umieram.

– To prawda. Niewiele brakowało, a byłoby po nas – przyznał Dalton.

– Boję się, że będzie jeszcze gorzej – powiedział Cole.

Jego przyjaciel się uśmiechnął.

– W takim razie my musimy być coraz lepsi.

Cole'owi trochę poprawił się nastrój.

– Masz rację. To jedyne, co możemy zrobić. Ciekawe, gdzie jest teraz Jenna.

– Mam nadzieję, że jest niewolnicą w jakimś strasznie nudnym miejscu, gdzie ma strasznie nudną pracę.

– Ja też. Ale biorąc pod uwagę wszystko, co widzieliśmy do tej pory, to raczej nieprawda.

– Wcześniej czy później się o tym przekonamy – powiedział Dalton.

Cole pokiwał głową.

– Znajdziemy ją. Choćby nas to miało zabić.

PODZIĘKOWANIA

Każda moja książka zaczyna się od serii scen w mojej głowie, które rozwijam, śniąc na jawie. Kiedy czuję, że mam już coś, czym warto się podzielić, piszę pierwszy szkic, mocniej zarysowuję postacie, ich wzajemne relacje, wspólne kłopoty, decyzje, jakie podejmują, i konsekwencje, z którymi muszą się zmierzyć. Kiedy to wszystko dopieszczę, dzielę się maszynopisem z redaktorami, a oni wskazują mi na słabości wymagające naprawy oraz zalety warte podkreślenia. Proces poprawek trwa dotąd, aż razem z redaktorami zgodzimy się, że jesteśmy już tak blisko najlepszej wersji tej konkretnej historii, jak to możliwe. Nigdy nie jest idealna, ale w toku prac zawsze powstaje coś, z czego jestem dumny.

Muszę podziękować osobom, które pomogły mi dopracować tę książkę. Jak zwykle mojej żonie i dzieciom należą się ogromne wyrazy wdzięczności za to, że dali mi czas na pisanie i redakcję. Moja żona Mary jak zawsze była moją pierwszą czytelniczką w miarę powstawania kolejnych rozdziałów, a jej opinie pozwoliły mi wprowadzić na wczesnym etapie kilka ważnych zmian.

Moja redaktorka Liesa Abrams Mignogna po raz kolejny podzieliła się ze mną wieloma przydatnymi spostrzeżeniami i pomogła mi dodać charakteru wielu scenom. Cieszę się, że czytelnicy nie mieli okazji zapoznać się z tą

książką, zanim nie poprawiłem jej we współpracy z Liesą. Wiele istotnych uwag pochodziło również od mojego znakomitego agenta Simona Lipskara oraz od Elv Moody, która występowała w imieniu mojego brytyjskiego wydawcy.

Rodzina i przyjaciele wychwycili różne błędy, dzielili się ze mną praktycznymi radami i dodawali mi otuchy. Ta grupa czytelników to: Tucker Davis, Pam Mull, Cherie Mill, Sadie Mull, Liz Saban, Cole Saban, Dalton Saban, Richard Young, Jason i Natalie Confortowie, Paul i Amy Frandsenowie oraz Wesley Saban.

Jestem również winien wdzięczność ekipie wydawnictwa Simon & Schuster. Bez ich wsparcia *Pięć Królestw* nigdy by nie powstało. Niektórzy członkowie zespołu Simon & Schuster Alladin przenieśli się ostatnio do innych firm, dlatego szczególnie chciałbym podziękować Bethany Buck, Annie McKean i Paulowi Crichtonowi. Pozostali członkowie zespołu, którzy mi pomogli, to Mara Anastas, Carolyn Swerdloff, Matt Pantoliano, Jessica Handelman, Lauren Forte i Jeannie Ng. Owen Richardson stworzył kolejną fantastyczną okładkę.

Chcę również podziękować Wam, Czytelnicy. Bez Was ta książka byłaby bezcelowa. Dziękuję, że poświęciliście swój czas, żeby ożywić tę historię w swoich głowach!

NOTA DO CZYTELNIKÓW

Dwie za nami, zostały jeszcze trzy. Ci z Was, którzy czytali uważnie, zauważyli, że na końcu poprzedniej książki napisałem: „Jedno za nami, zostało jeszcze pięć”. Ponieważ jest to pięcioksiąg, pewnie myśleliście, że się pomyliłem, ale to był test, więc jeśli zwróciliście na to uwagę, to gratuluję –

przeszliście go. No dobra, w porządku, przyznaję: chciałem napisać „zostały jeszcze cztery”, ale byłem nie dość uważny. Niech to będzie dla Was naučka! Zawsze uważnie szczytujcie wszystko, co piszecie!*

Jest pięć królestw i w serii będzie pięć książek. Ta była druga, a teraz pilnie pracuję nad trzecią.

Pisanie cyklu oznacza spędzenie z głównymi bohaterami mnóstwa czasu. Przywołując ich do życia w moich snach na jawie, całkiem nieźle ich poznałem. Dotyczy to również informacji o ich przeszłości i przyszłości. Pisarzowi jest czasem trudno, bo zna tajemnice dotyczące ważnych postaci albo kluczowych wydarzeń, które zostaną wyjawione dopiero w późniejszych tomach. Chwilami niełatwo trzymać język za zębami, jeśli chodzi o różne fajne niespodzianki, które mam w zanadrzu, ale zachowanie ich w tajemnicy to ważny element mojej pracy. Uwierzcie mi – to dla Waszego dobra! Najciekawsze królestwa i sekrety zachowałem na później.

Rozpoczynając kolejną serię, czuję się trochę tak, jakbym od nowa zaczynał karierę. Zawsze mam nadzieję, że czytelnikom spodoba się nowa historia. Wygląda na to, że jak dotąd podoba im się *Pięć Królestw*. Jeśli Wam również, proszę, opowiadajcie innym o tych książkach! Z entuzjazmem myślę o swoich planach na ostatnie tomy cyklu. To może być najlepsze, co dotąd napisałem.

Zanim ukończę cykl *Pięciu Królestw*, rozpocznę pracę nad kontynuacją książek o Baśnioborze. Będzie nosiła tytuł *Dragonwatch*. Bardzo się cieszę, że opowiem więcej historii o postaciach z Baśnioboru takich jak Kendra, Seth, Nowel, Doren, Warren, Paprot, Vanessa, Raxtus i inni. Jeśli podoba Wam się *Pięć Królestw*, a nie czytaliście *Baśnioboru*, zapoznajcie się z tymi wszystkimi bohaterami!

Jeżeli chcielibyście nawiązać ze mną kontakt albo dowiedzieć się czegoś więcej o mojej twórczości, oto kilka miejsc, w których znajdziecie mnie w internecie. Możecie polubić moją stronę na Facebooku (Brandon Mull) i tam mnie śledzić. Możecie również obserwować mnie na Twitterze (@brandonmull). Stale pisuję w tych serwisach, więc to dobre źródło wieści. Jeśli zależy Wam na ogólnych informacjach albo najważniejszych wiadomościach, zajrzyjcie na stronę www.brandonmull.com. Mapy

i dodatkowe informacje o Pięciu Królestwach znajdziecie pod adresem www.EnterFiveKingdoms.com. Jeśli chcecie wysłać mi maila, korzystam z adresu automnsolace@gmail.com, ale jestem na tyle zajęty, że odpowiadam tylko od czasu do czasu na losowo wybrane listy. (Lubię je dostawać i czytam tyle, ile tylko się da). Jeżeli chcecie poznać mnie osobiście, wyruszam w trasę zawsze po wydaniu nowej książki. Wiadomości na ten temat znajdziecie w miejscach, które opisałem powyżej.

Na razie to wszystko. Dziękuję, że towarzyszyliście mi aż tutaj. Teraz pora na tom trzeci i wyprawę do Zeropolis!